

KRYMINAŁ

# DAHL

ARNE

BEZDROŻA



**D A H L**  
ARNE

**B E Z D R O Ź A**

Przełożył  
Maciej Muszalski

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2018

Tytuł oryginału: *INLAND*

Redakcja językowa: Agnieszka Niegowska  
Projekt okładki: © Miroslav Šokčić  
Zdjęcie na okładce: © Adobe Stock  
Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka  
Korekta: Beata Wójcik  
Redaktor prowadzący: Małgorzata Głodowska

Copyright © Arne Dahl, 2017  
Published by agreement with Salomonsson Agency  
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-527-5

Wydawnictwo  
**CZARNA  
OWCA**  
www.czarnaowca.pl

**Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

1

# 1

*Do komisarz Desiré Rosenkvist*

Po raz pierwszy ten dźwięk pojawił się dwa miesiące temu. Trudno go opisać. Brzmi, jakby ktoś siedział w ścianie. Nie dobiega ani z wewnątrz, ani z zewnątrz i nie wydaje go człowiek. Teraz, kiedy minęło już trochę czasu i zdołałam to przetrwać, aluzja pary młodych policjantów, którzy mnie odwiedzili przed kilkoma tygodniami, jest dla mnie obraźliwa. Wtedy nazwa spuszczał pospolity nic mi nie mówiła.

Teraz już wiem, co to takiego.

Larwy spuszczała pospolitego żyją bardzo długo – aż do dziesięciu lat – w suchym drewnie drzew iglastych, zanim się przeobrażą w poczwarkę i wyjdą na zewnątrz. Drewno staje się przez to zupełnie wydrążone, choć z zewnątrz wygląda na zdrowe. Jedynym sposobem na zwalczenie larw spuszczała pospolitego jest spalenie zaatakowanego drewna albo rozpylenie w budynku trującego gazu.

Larwy wydają dźwięki. Wyraźnie słyhać, jak podgryzają zaatakowane deski. Dźwięk nie dobiega ani z wewnątrz, ani z zewnątrz. Dobiega z mroku.

Ale to nie był ten dźwięk. Chyba że we mnie też mieszka wrogo nastawiony spuszczał. Bo naprawdę mam wrażenie, że ktoś chce mnie dorwać.

Mieszkam na uboczu. Nikt tu nie przychodzi sam z siebie, nie ma żadnych zagubionych obozowiczów, żadnych ciekawskich spekulantów handlujących nieruchomościami czy kadr zarządzających, które udają, że zawody triathlonowe to świetny sposób na odprężenie. Są za to zwierzęta. Oczywiście najpierw pomyślałam, że to zagubiony ren, a może nawet łoś, przedostał się przez ogrodzenie i grzebie w moich przystosowanych do naszego klimatu roślinach wieloletnich. Wiem jednak, że ani ren, ani łoś nie przejdzie przez ogrodzenie – w czasie budowy zależało mi na dopasowaniu ogrodzeń właśnie pod tym kątem.

Nie może więc chodzić o żadne inne zwierzę, tylko o człowieka. Ludzie też potrafią być nieludscy. Można się zastanawiać, czy ze wszystkich milionów gatunków zwierząt to nie my dzierzymy palmę pierwszeństwa, jeśli chodzi o nieludzkość. Chociaż uchodzimy za wzorzec czegoś wręcz przeciwnego.

Poza tym naukowcy ustalili, że odkryliśmy najwyżej połowę żyjących na świecie gatunków zwierząt.

A jednak ten ktoś, kto się na mnie zasadził, może być tylko człowiekiem. Na pewno nie znalazł się (zakładam, że to mężczyzna) na moim płaskowyzu w żadnym innym celu. Niedawno spadł śnieg. Po zbadaniu pokrywy śnieżnej nie udało mi się znaleźć żadnych dowodów ani choćby śladów kogokolwiek oprócz mnie. A przecież wiem, że to trwa. Trwa przez cały czas.

Ktoś mnie szpieguje.

Jestem w Mroku.

W dziewiętnastym wieku wszystkie zamknięte w ośrodkach, spragnione wolności i sprawiedliwości kobiety były uznawane za histeryczki. Niestety od tamtego czasu nie posunęliśmy się zbytnio do przodu. Wiem, że policja od dawna uznaje mnie za histeryczkę, choć dobrze ukrywacie to przekonanie za pojęciami w stylu „paranoiczka” czy „zwolenniczka teorii spiskowych” i na

pewno macie już pod ręką jakąś praktyczną diagnozę neuropsychiatryczną. Życzę wam powodzenia i mam nadzieję, że zeżrecie sobie tę diagnozę, kiedy będziecie stać pochyleni nad moimi zmasakrowanymi zwłokami.

Ten człowiek nie chce mojego dobra.

Naprawdę mi przykro, że nikt nie wierzy w to, co mówię. Albo, co jeszcze gorsze, wszyscy uważają mnie za wariatkę. Słyszałam ton tych posterunkowych, kiedy tu byli. Słyszałam ich głosy dobiegające z radiowozu, kiedy rzeli ze „spuszczela pospolitego”. Jakbym nie potrafiła usłyszeć różnicy między szkodliwym potomstwem chrząszcza a wrogo nastawionym człowiekiem. Jakbym myliła ze sobą wydawane przez nich dźwięki.

Próbowałam tak wiele razy, ale nikt mnie nie słucha. Naprawdę jestem w mroku.

Wiecie równie dobrze jak ja, że Operacja „Gladio” to nie fikcja, a firmy tytoniowe ze Stanów Zjednoczonych naprawdę dodawały do papierosów substancje uzależniające. CIA rzeczywiście dysponuje pistoletem, który wywołuje atak serca i nie zostawia żadnych śladów, a scjentolodzy przeprowadzili Operację „Snow White”, choć nikt w to nie wierzył.

Sama podkreślałam, że Victora Gunnarssona widziano na Luntmakargatan tuż po zabójstwie Olofa Palmego – to jest na piśmie – i osobiście rozmawiałam z policjantem, który przyznaje, że dwóch niezależnych świadków owego lipcowego wieczoru zauważyło biały sportowy samochód miejscowego funkcjonariusza policji kryminalnej na drodze nieopodal kawiarni na Kinnekulle.

Poza tym dobitnie próbowałam dać wam do zrozumienia, że DNA Essama Qasima jest zupełnie inne niż to na nożu znalezionym w studziencie ściekowej w Strömstad i że Penny Grundfelt trzy lata przed zamordowaniem Andersa Larssona była aktywna na forum Flashback i pisała hejterskie posty jako DeathStar. O śladzie długopisu na pośladku Lisy Widstrand

wspomniano nawet w lokalnej prasie, ale policja się tym nie przejęła – to pozwala spojrzeć z pewnej perspektywy na winę Karla Hedbloma. Dotarłam też do maili, które pisali do siebie bracia Abubakirowie – wspominają tam wprost o amunicji do rugera mini-14, która urwała głowę Sanchezowi.

Ale was to nie interesuje.

Zacznę was interesować dopiero jako ofiara mordercy. Dopiero jako trup.

Tak, piszę na maszynie. Przestałam korzystać z komputera, jak tylko poznałam prawdę o NSA. To dlatego Edwarda Snowdena nie można namierzyć w Rosji – nie używa komputera. Zwłaszcza on powinien poważnie odczuć skutki abstynencji, ale mimo wszystko da się je opanować. Ja surfuję po sieci z tabletu, dobrze ukrytego, nigdy nie piszę ani słowa na komputerze. Został na zawsze w wielkiej chmurze i można go powielać w nieskończoność. Gdyby na przykład bliźniacy Abubakirowie mogli przeczytać, co wiem, byłabym w strasznych opałach.

Znów słyszę ten dźwięk, dokładnie w tej chwili. O Boże...

Najgorsza jest pewność, że on zabierze tę kartkę. Poplamioną moją krwią. A potem się jej pozbędzie, wiele nad tym nie myśląc, jakby nic nie znaczyła.

Piszę własną krwią.

Zewnętrzna ściana, w kierunku piwnicy. Przemieszczający się dźwięk, jakby naprawdę coś się ruszało w ścianie, głęboko w mroku. Oczywiście wiem, że on jest na zewnątrz, że brnie przez śnieg okrywający rabatki. Nie wiem tylko, czego chce.

Czyżbym zdradziła w sieci jakieś niewygodne informacje, zanim przestałam korzystać z komputera? Czy to jednak przestępca, który pozostaje na wolności i czuje się zagrożony przez to, co wiem? A może to tylko zwyczajny prosty sadysta, który nie ma żadnych głębszych motywów? Włamywacz, gwałciciel, zawodowy morderca – w zasadzie mam gdzieś kto to. Chcę tylko wiedzieć dlaczego.



Chcę wiedzieć, dlaczego zginę.

Nie zamierzam wstać, nie zamierzam przerwać pisania. Zapadł już zmrok, ostatnio dzieje się to coraz wcześniej i podejrzewam, że niebo zasnuwają chmury, bo za mrokiem czai się jakby kolejny mrok.

Znowu ten dźwięk. Przemieścił się. Nagły, rozwlekły, przeciągły, rozchodzący się wzdłuż ściany, bez wątpienia bliżej głównych drzwi.

Gdyby to były larwy spuszczała pospolitego...

Mój wzrok nie chce się oderwać od kartki. Mimo to czuję, że naprawdę muszę poszukać wyjścia. Płomień świecy drży lekko w ciemności, jakby zaraz miał zgasnąć. Słysząc tylko stukot mojej maszyny do pisania – dźwięk, który w innej sytuacji pomógłby mi uspokoić skołatane nerwy.

Ale nie teraz.

Teraz znów słyszę ten odgłos. Szybkie szuranie, energiczne drapanie. Nigdy nie był tak blisko.

Dwa miesiące z czymś takim... Czasami codziennie, czasami z upiorną kilkudniową przerwą. Teraz, kiedy słyszę dźwięk przy schodach na werandę, jest to niemal piękne. Nie zniosłabym już zbyt długo tej niepewności.

Dwa lata temu przestałam korzystać z piwnicy – od tamtej pory nawet w niej nie byłam. Patrząc w stronę wiodących tam drzwi i nagle czuję w sypialni powiew lodowatego wiatru. Maleńki płomień świecy zostaje zdmuchnięty i w tej samej chwili słyszę.

Dwa lata temu przestałam korzystać z piwnicy – od tamtej pory nawet w niej nie byłam. Patrząc w stronę wiodących tam drzwi i nagle czuję w sypialni powiew lodowatego wiatru. Maleńki płomień świecy zostaje zdmuchnięty i w tej samej chwili słyszę.

## 2

*Czwartek 12 listopada, godz. 14:17*

Nazywał się Berger. Sam Berger.

Nic więcej nie wiedział. Poza tym, że musi się wydostać.

Uciec.

Położył dłoń na oknie w kuchni. Było tak zimne, że miał wrażenie, iż pot zaraz skleji mu koniuszki palców z szybą. Gwałtownie oderwał rękę. Odciski były bardzo wyraźne – pomyślał, że w dużej mierze składają się ze skóry.

Pierwszym, co zobaczył w szybie, był on sam. Uniósł prawą rękę i wyprostował palec wskazujący i środkowy, tak że dłoń przypominała dwulufowy rewolwer.

Strzelił do siebie.

Za oknem wszystko było białe. Całkiem białe.

Gruba pokrywa śnieżna leżała płasko. Pod nią było pole, które zdawało się ciągnąć w nieskończoność. W oddali, jeszcze w zasięgu wzroku, dostrzegł jakiś ruch. Wyteżył wzrok do granic możliwości i odniósł wrażenie, że rozciągnięty ruchomy prostopadłościan to autobus.

Musiał się tam dostać.

Tam była droga. Wyjście. Ucieczka.

Drzwi jego pokoju po raz pierwszy były uchylone, udało mu się wymknąć

w idealnym momencie poobiedniej senności i dotarł do kuchni, w której, o ile dobrze pamiętał, nigdy wcześniej nie był.

Personel kuchenny przygotował popołudniową kawę – kilka termosów stało na wózku obok talerza cynamonowych bułeczek przykrytych folią. Przy wózku wisiało kilka białych fartuchów.

Znów wyjrzał przez okno, z bliska. Poczł zimno na twarzy. Opuścił wzrok i spojrzł na siebie. Poniżej tego, co w innych okolicznościach można by pomylić ze spodniami dresowymi, dostrzegł bosc stopy. Szybko pokiwał palcami i poczuł się tak, jakby one same uznały, że nigdy nie dotrze do drogi bez butów.

Mimo to musiał wyjść. Musiał uciec. Za długo już tu siedział.

Za długo był nieobecny.

Wyszedł do spiżarni. W odległym rogu stała para chodaków. Były co najmniej o trzy numery za małe, ale mimo to je włożył. Palce zgięły się wpół, ale mógł chodzić. A może nawet biegać.

Kiedy wrócił do kuchni, usłyszał krzyki biegnące od kuchennych drzwi w kierunku głównego korytarza. Drzwi były zamknięte, ale wiedział, że nie potrwa to długo.

Zgarnął wszystkie trzy białe fartuchy wiszące przy łóżku i pokonał krótki dystans dzielący go od mniejszych drzwi do kuchni. Ból w zgiętych palcach sprawiał, że miał się na baczności.

Włożył pierwszy biały fartuch, potem drugi i miał już włożyć trzeci, kiedy stwierdził, że hałas jest zbyt blisko głównego wejścia do kuchni. Ostrożnie nacisnął klamkę i wymknął się do bocznego korytarza. Zamknął za sobą, tak cicho jak potrafił, i usłyszał odgłos otwieranych głównych drzwi. Biegąc coraz ciemniejszym korytarzem, narzucił na siebie trzeci fartuch. Przez chodaki jego zazwyczaj szybki bieg przypominał powolne i niezdarne człapanie wariata.

Zazwyczaj? Tak naprawdę nie było żadnego „zazwyczaj”. I z całą pewnością żadnego biegu. Miał wrażenie, jakby się obudził w zupełnie pustym, całkowicie białym świecie.

W świecie bez właściwości.

To, co sprawiało wrażenie wspomnień, było tylko bólami fantomowymi duszy, niczym więcej. Wszystko było odległe, zostało odcięte. Jakby umysł świadomie zatarł za sobą ślady.

Mimo to rozpoznawał te drzwi, a nawet szczelinę, która sprawiała, że ostatnie ciemne metry korytarza spowijał obłok chłodu.

Berger otworzył drzwi. Weranda była duża, wręcz ogromna, jak w królewskim zamku, ale tylko mały kwadrat najbliższej progu był odśnieżony. Leżało tam pełno niedopałków papierosów.

Poczuł, że na pewno był w tym kwadracie i palił, kiedy nadal przebywał w mroku. Tak musiało być. Jak inaczej by tu trafił?

Czy aby nie rzucił palenia?

Za odśnieżonym kwadratem na werandzie zalegała metrowa warstwa śniegu. Był zgarniany całymi płatami, tak że utworzył stromy, zbity stopień, sięgający do śniegowego płaskowyzu. Od poręczy werandy dzieliło go sześć metrów, od ziemi – nie wiadomo ile.

Nie wiedział, jak daleko jest do drogi. Do wyjścia.

Do ucieczki.

Rzucił się w głęboki śnieg. Był pokryty szrenią i nawet jego teraz nieproporcjonalnie małe stopy w chodakach nie mogły się przez nią przebić. Udało się dopiero wtedy, kiedy walka o dotarcie do poręczy zmieniła się w walkę o to, aby w ogóle się przemieszczać. Sięgnął poręczy i w tej samej chwili usłyszał za sobą dźwięki dobiegające od strony drzwi werandy.

To, co uznał za rozległe pole, było dobre pięć metrów niżej. Pokrywa śnieżna wyglądała na grubszą niż na werandzie, ale wiedział, że jeśli okaże

się równie twarda, połamię sobie nogi. Nie miał jednak wyboru.

Nie oglądając się za siebie, przerzucił jedną nogę, a potem drugą nad poręczą werandy. Trzy warstwy fartuchów łopotały wokół niego jak dziwaczne białe skrzydła. Łopotały bardzo długo.

Opadł na śnieg, zapadł się. Tak, zapadł się, a śnieg stłumił jego upadek. Poleciał do przodu, zrobił salto prosto w ponadmetrową pokrywę śnieżną. Poczul śnieg w ustach, nie mógł oddychać.

Trwało to trochę za długo i ogarnęła go panika. Lawinowa panika. Po chwili jednak dał radę wstać, a nogi się pod nim nie ugięły. Pluł śniegiem, smarkał śniegiem, wymiotował nim, ale mimo to biegł dalej przez pole. W kierunku drogi. Nieznośnie wolno. Jakby stąpał po ruchomych piaskach.

Po kilkunastu metrach spojrzął przez ramię. Dwaj barczyści mężczyźni stali przy poręczy i na niego patrzyli. Zaraz potem zniknęli.

Biegł dalej. Pokrywa śnieżna była jednocześnie puszysta i zbita, łatwa do przebycia w pionie, trudna w poziomie. Walczył z żywiołem. Mimo trzech warstw szpitalnych fartuchów było mu nieprawdopodobnie zimno.

Zaczął padać śnieg. Duże płatki powoli sypały z ciemniejącego nieba. Słońce zdążyło już zająć, kiedy usłyszał inny dźwięk niż własny zwierzęcy oddech. Zatrzymał się, popatrzył w niebo, czuł, jak płatki śniegu opadają mu na twarz niczym pocięta na kawałki maseczka. Wstrzymał oddech, nasłuchiwał.

Intensywnie nasłuchiwał.

W słabym, głuchym dźwięku, który towarzyszył zachodowi słońca, usłyszał ruch, w oddali. W końcu zobaczył również kształt. Sunący w bieli prostopadłości.

Figura się zbliżała. Berger przyśpieszył, zrobił nadmiernie entuzjastyczny krok, który okazał się fałszywy, zamachał rękami, żeby się nie przewrócić do przodu, zamiast tego poleciał płasko w tył. Nogi nadal tkwiły w śniegu. Nie

wstał, czuł, jak tańczące płatki śniegu układają się na rogówkach jego oczu, a oczy zachodzą łzami.

Naprawdę nie wstał.

Musiał szukać bardzo głęboko, żeby znaleźć w sobie rozżarzony punkt woli, dobrze ukryty zapas energii. Kawałek mocno zbitej wściekłości. Wstał z wrzaskiem, śnieg fruwał wokół niego, płaszcze powiewały, jakby mocno trzepotał skrzydłami. Był upadłym śnieżnym aniołem, ale dał radę znów powstać.

Popędził dalej. Autobus nadjeżdżał, jego boki były całkowicie oblepione śniegiem, dało się dostrzec tylko fragmenty szyb. Kierowca włączył reflektory i z prostopadłościanu wystrzeliły stożki światła. Pomruk silnika był coraz głośniejszy.

Paradoksalny dźwięk wolności.

Widział teraz drogę, krętą, jakby zatopioną w białej pokrywie. Zaczął biec, nagle okazało się to możliwe, śnieg nie stawiał już takiego oporu. Widział manewrujący autobus, coraz bliżej i bliżej. Do skraju drogi zostało mu dziesięć metrów. Upadł na kolana, wstał. Od autobusu dzieliło go już tylko kilka metrów. Podniósł ręce i zaczął gwałtownie machać. Kierowca na pewno nie przeoczył białego skrzydlatego stworzenia, otoczonego aureolą śnieżnego pudru.

Biegł i machał dalej, dotarł do rozwidlenia dróg, zebrał resztkę sił na skok przez rów. Autobus nadjechał, przez chwilę Berger miał wrażenie, że patrzy kierowcy w oczy.

On jednak nie zwolnił.

Autobus nie zwolnił.

Berger wyciągnął rękę w stronę pokrytego śniegiem boku i zakrzywił palce, jakby chciał zatrzymać wielotonowy pojazd siłą woli. Autobus z hukiem przejechał mu przed nosem, ani odrobinę nie zwalniając. Kiedy

lekko skrzył, Berger wyraźnie zobaczył pięć nieregularnych kresek na boku – ślady własnych palców.

Przyglądał się przemarzniętej prawej dłoni, zakrwawionym opuszkom, ale nie czuł nic. Zupełnie nic. Opadł na kolana. Nie miał nawet siły krzyczeć.

Autobus zniknął w oddali, zostawiając za sobą nieprzeniknioną chmurę. Berger znalazł się w samym środku burzy sypkiego śniegu. Powoli, powoli się uspokajała.

Zza śnieżnej mgły zaczęło coś wyzierać. Dostrzegł ruchy, odniósł wrażenie, że chodzi o niego. Pojawiły się dwie istoty, dwaj barczyści mężczyźni w ruchu. Jeden z nich nadal odpędzał gestem autobus, jakby czas całkiem wypadł z ram.

Drugi przeciął drogę, uniósł zaciśniętą pięść i zdzielił go prosto w twarz. Cios padł w momencie, kiedy Berger był przekonany, że już jest nieprzytomny.

Zdążył jeszcze usłyszeć spadające z nieba płatki śniegu.

### 3

*Czwartek 12 listopada, godz. 17:48*

Biała powierzchnia. Nic tam się nie działo, nie sposób było dostrzec choćby jednego kształtu.

Jednak w miarę jak rozszerzało się pole widzenia, w biel wkraczały dwie równoległe świetlówki. Jedna z nich mrugała, słabo, lecz szybko, roztaczając na białym suficie nerwowo pulsującą poświatę.

Rozpoznał ją. Już ją kiedyś widział. A jednak nie dało się tego nazwać wspomnieniem.

Pierwsza świadoma myśl: jakie to dziwne być tak opróżnionym ze wszystkiego. Mieć tylko ciało. Była w tym groteskowa wolność. Wolność od przeszłości.

Po chwili pojawiło się też zupełnie inne uczucie. Jakby w jego mózgu uchylały się jedne drzwi po drugich. Jakby naprawdę po raz pierwszy chciał pamiętać.

Nagle usłyszał urzędowy męski głos:

– Mocne wychłodzenie, ale żadnych odmrożeń.

Odwrócił wzrok od sufitu. Ubrany na biało mężczyzna, obdarzony bujną białą czupryną, nasunął opatrunek z powrotem na jego prawą dłoń i przykleił dwoma kawałkami taśmy. Potem spojrzał mu w oczy.



Parzył długo, z namysłem, spod zmrużonych powiek, a potem oznajmił:

– Jestem doktor Stenbom. Poznajesz mnie, Sam?

Berger pokręcił głową. Nie rozpoznawał mężczyzny w bieli. Coś mu jednak mówiło, że powinien.

– Dłoń w każdym razie wygląda dobrze – powiedział doktor Stenbom i, nie bez pewnej czułości, położył ją z powrotem na jego udzie. – Bandaż nie ma nic wspólnego z odmrożeniami. Po prostu twoje palce mocno ucierpiały, kiedy próbowałeś rozciąć paznokciami bok lokalnego autobusu. Owinęliśmy każdy palec osobno. Wiem, że autobus jechał z prędkością ponad osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, co by tłumaczyło postać tych obrażeń. Ale przez tydzień wszystko się zagoi. Pamiętasz, że próbowałeś złapać autobus, Sam?

Ku swojemu zdziwieniu skinął głową. Rzeczywiście pamiętał. Pamiętał całą tę szaloną wędrówkę. Kuchnię, kwadrat palarni, werandę, pole. Śnieg wpadający mu do ust. Pamiętał autobus. Pamiętał dwóch barczystych mężczyzn.

– Nie do końca rozumiem, skąd się wzięły te obrażenia na twarzy – doktor Stenbom wskazał je ręką.

Ale ja rozumiem, pomyślał Berger i przelotnie się uśmiechnął. Do siebie. Poczul, że twarz dziwnie się napina. Dotknął jej. Cała głowa była chyba obandażowana.

– Pamiętasz, jak się nabawiłeś tych obrażeń twarzy? – spytał lekarz.

Berger pokręcił głową.

Za to doktor Stenbom powoli skinął, jakby bardziej zmartwiony.

– Jeszcze przed chwilą miałem wrażenie, że twoje spojrzenie nabrało przytomności, ale teraz pamięć najwyraźniej cię zawodzi. Wiesz, jaki mamy dzisiaj dzień?

Berger pokręcił głową. Nie był nawet pewien, czy zna nazwy wszystkich

dni tygodnia. Zdaje się, że jest ich siedem, zastanawiał się.

- Poniedziałek – oznajmił.
- Niezupełnie – doktor Stenbom zmarszczył czoło.
- Wtorek – mówił dalej Berger. – Środa, czwartek, piątek, niedziela.
- Zapomniałeś o sobocie, Sam.

Berger spojrział z powrotem na sufit. Zapomniał o sobocie. Nie potrafił nawet policzyć do siedmiu.

– Doznałeś wstrząśnienia mózgu – oznajmił lekarz. – Raczej to jest przyczyną, a nie... twój wcześniejszy stan. Możesz powiedzieć, jak się nazywałeś?

- Sam Berger.
- Dobrze. A pamiętasz, jak się tu znalazłeś?

Poczuł delikatne ruchy w środku – bliżej karku niż ciemienia. Czyżby w rdzeniu kręgowym? Zobaczył przed sobą śnieg uderzający dziko o szybę, przelotne odbicie w tej samej szybie, burzę włosów. Po chwili obraz zniknął.

Berger pokręcił głową. Doktor Stenbom skinął.

- Ale pamiętasz, że próbowałeś uciec?

Berger pokiwał głową.

– Jasne, że próbowałem uciec – odparł. – Nie wiem, gdzie jestem. Na biegunie północnym?

Doktor Stenbom wybuchnął śmiechem, ale zaraz znowu spoważniał.

- Pamiętasz, kto cię tu przywiózł?

Znów stanęły mu przed oczami niewyraźne wspomnienia, niekompletne obrazy, jak podarte fotografie. Pokręcił głową.

- Pamiętasz, czy to był mężczyzna, czy kobieta?
- Kobieta – odparł od razu, ku własnemu zdziwieniu.
- Dobrze, Sam. Pamiętasz, jak wyglądała?
- Blondynka.

– Mamy obraz z kamery monitoringu przed głównym wejściem – oznajmił doktor Stenbom. – Zgadza się w zupełności, była tam blondynka. Tyle że zostawiła cię na zewnątrz, na śniegu. Musieliśmy wyjść i wnieść cię do środka. Kim ona była, Sam?

Czuł, jak mruga. Po każdym mrugnięciu bandaż się naprężał. Czyżby cała głowa była owinięta?

– Nie wiem – odparł.

– My też nie wiemy – powiedział doktor Stenbom i rozłożył ręce. – Nie mamy żadnego krewnego, z którym moglibyśmy się skontaktować teraz, kiedy zaczynasz zdrowieć.

– Zaczynam zdrowieć?

– Mimo wszystko tak sędzę – lekarz uśmiechnął się i wstał. – Myślę, że jesteśmy na dobrej drodze, Sam.

– Nie mam pojęcia, na jakiej drodze jestem.

– Śpieszmy się powoli, Sam. Jeśli nie wiesz, dokąd idziesz, to prawdopodobnie nie musisz się tam śpieszyć.

– Co teraz robisz?

– Ponownie nastawiam kroplówkę, która pracuje już od dwóch tygodni. Tę samą dawkę. Potem możemy zacząć ją zmniejszać.

– Ale co to takiego?

– Przede wszystkim składniki odżywcze – wyjaśnił doktor Stenbom. – Nie byłeś w stanie przyjmować pokarmu w inny sposób. Ale także środki uspokajające. Bardzo ich wtedy potrzebowałeś i co najmniej w równym stopniu potrzebujesz ich teraz, kiedy rzeczywistość powoli do ciebie wraca.

Przyjrzał się plasterom w zgięciu lewej ręki. Wienczyła je żółta końcówka. Lekarz wetknął tam rurkę połączoną z woreczkiem znajdującym się na stojaku nad jego głową. Wziął się pod boki i obserwował pacjenta. Zmarszczywszy brwi, kontynuował:

– Uciekłeś, Sam. Gdyby personel tego nie zauważył, na tym mrozie spotkałaby cię pewna śmierć. Normalnym postępowaniem byłoby teraz przywiązanie cię do łóżka, dla twojego dobra. A jednak tego nie zrobię, bo myślę, że rozumiesz: to nie od nas uciekasz, lecz od rzeczywistości, od własnych wspomnień. Sądząc po tym, co ja i reszta personelu słyszeliśmy w ciągu tych tygodni, kiedy wspomnienia powrócą, nie obędzie się bez bólu. Chcę, żebyś o tym pomyślał, Sam, może nawet to zapamiętał. Nie obędzie się bez bólu.

Doktor Stenbom wstał i przez jakiś czas go obserwował. Na koniec posłał mu badawcze spojrzenie i wyszedł. Być może zamek kliknął, kiedy zamknęły się za nim drzwi.

Berger obserwował żółtą końcówkę wystającą mu z ręki. Zaczął powoli odklejać paski taśmy chirurgicznej, które ją utrzymywały.

Miejsce, w którym została wbita gruba igła, było nie tylko sine, ale też pełne mniej lub bardziej zagojonych śladów po wcześniejszych wkłuciach – nie ulegało wątpliwości, że leżał tu już od jakiegoś czasu. Dwa tygodnie, tak mówił doktor *fucking* Stenbom, a może i znacznie dłużej. Na razie czas był pozbawiony wszelkiego znaczenia.

Wyrwał igłę. Ze zgięcia ręki trysnął strumień krwi, dość słaby – jakby w żyłach nie było już ciśnienia. Strumień przeszedł w strużkę. Berger wyszarpnął sobie poduszkę spod głowy, zdjął powłoczkę i podłożył poduszkę pod łokieć. Krew powoli spływała po niej krętym strumieniem i tworzyła coraz większą plamę.

Zaczął zginać grubą igłę. To było trudniejsze, niż się spodziewał. W końcu nadał jej kształt lekkiego łuku. Podniósł ją pod światło i dokładnie obejrzał. Potem wbił w rękę i zaczął dłubać we wciąż krwawiącej ranie, szukając dojścia do żyły.

Ból wprowadził go w stan czujności.

Przyjrzał się skórze. Kilka centymetrów poniżej rany spostrzegł niewielkie wybrzuszenie. Wcisnął igłę mocniej – wybrzuszenie się powiększyło. W końcu skóra pękła. Krew wypłynęła z obu ran – wlotowej i wylotowej.

Zobaczył dziurę, dziurę po postrzale. Obraz przelatował mu przed oczami, próbował się utrzymać. Był uporczywy.

Został jednak odegnany przez przezroczysty płyn pośród ciekącej krwi. Płyn sączył się z czubka wygiętej igły. Kap, kap. Płyn infuzyjny. Nie wpływał już do jego żył, nie zatruwał ciała.

I duszy.

Nakleił taśmę z powrotem na ranę, zrobił w niej mały tunel i czekał, aż pierwsza przezroczysta kropla wypłynie z niego na poduszkę. Kiedy to się stało, umocował żółtą końcówkę i wszystko wyglądało jak przedtem.

Położył zaplamioną krwią poduszkę po drugiej stronie łóżka, jakby chciał, żeby wyschła, przerzucił nogi nad krawędzią łóżka i usiadł. Następnie przeniósł ciężar ciała i wstał. Lekko się zachwiał, głowę przeszyły mu błyskawice bólu, ale utrzymał równowagę. Zrobił pierwszy, niepewny krok, a potem drugi. Fakt, chwiał się na nogach i był mocno oparty na stojaku od kroplówki, ale stał.

Na drugim końcu sali o nagich ścianach tkwiła umywalka z lustrem. Pokuśtykał w tamtą stronę. Zobaczył osobliwą twarz mumii i pomyślał, że to dość logiczne. Człowiek bez pamięci, człowiek bez twarzy. To nie było odbicie Sama Bergera. Przeciągnął lekko palcami po bandażu. Miał wrażenie, że w lustrze widzi kogoś zupełnie innego.

Kogoś zupełnie innego. Odbicie zupełnie innego człowieka. Nagle lustro stało się szybą, być może w samochodzie, i w jednej chwili nie było już wyraźne i czyste, lecz pokryte zawijasami. Spostrzegł płatki śniegu – duże, płaskie płatki wirujące w tańcu w kierunku szyby, jakby samochód penetrował kłębowisko prędko pęczniejących śnieżnych drobin. W tym

przelotnym odbiciu zobaczył coś innego. To nie było odbicie jego – Sama Bergera. Zobaczył burzę jasnych włosów. Nie było twarzy, tylko włosy. A potem wszystko zniknęło. Została jedynie dziwnie gapiąca się mumia. Nie w szybie, tylko w lustrze w nieubłagane nagim pokoju w środku czegoś, co mimo wszystko musiało być placówką służby zdrowia.

Odszedł od lustra, nie chciał widzieć nic więcej. Pokuśtykał do okna. Wyjrzał na zewnątrz. Pole, wcześniej tak białe, było teraz zupełnie czarne. Nic nie było widać, ani księżyc, ani choć jednej gwiazdy, tylko nieprzeniknioną czerń. Nie dało się nawet stwierdzić, czy śnieży.

Ale przecież musiało śnieżyć.

Nie potrafił uciec od swojego odbicia. Znów zobaczył mumię. Tym razem jednak mumia uczyniła gest Sama Bergera – uniosła zabandażowaną prawą rękę i strzeliła do siebie z dwulufowego rewolweru.

Zupełnie znieruchomiał. Jak postać przy stole.

Poczuł błysk dezorientacji. Stół? Postać?

Straszliwe wrażenie pamiętania czegoś, czego wcale się nie pamięta. Dokładnie tej pustej przestrzeni.

Stał przy oknie czarnym jak węgiel. Widział swoje odbicie, to zmumifikowane. W tle ukazywały się rzeczy, formowały się na jego oczach. Pokój. Duży, niemal pusty dom. Deszcz bijący ciężko o szyby. Postać siedząca w pokoju na krześle. Pustka, bezruch, którego nie można porównać z niczym innym. Stopniowo pojawiające się umeblowanie – czy raczej jego brak. Prawie zupełnie nieumeblowane wnętrze. Krzyk niewiadomego rodzaju, wznoszący się ku stosunkowo wysokiemu sufitowi. Ale nic więcej. Nic więcej. Chociaż...

Burza włosów. Burza jasnych włosów. Cały mózg zaczął wirować.

Siedząca postać. Wszystko niewyraźne.

Czterolistna koniczyna. I nagła eksplozja krwi. Krwi i przemocy. Dom

wypełniony bólem. Wszędzie dziury po kulach. W podłodze.

Dziury po kulach w podłodze.

Siedząca postać. Kobieta. Bezruch.

A potem piwnica, ciemne schody. Tam nie dał rady pójść. Mózg stawiał opór.

Wirowanie się rozpoczęło, nie miał pojęcia, gdzie miało swój początek. Dwaj ludzie, coraz bardziej oddaleni, jakby obserwował ich z dużej odległości. Zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Najpierw szli, a potem siedzieli nieruchomo, bardzo blisko.

Wszystko dziko wirowało.

Może to właśnie była rzeczywistość: księżyc wysunął się z chmury, rozświetlając z wolna wirujące płatki śniegu. Nie wpadały na szybę, raczej dotykały jej w tańcu. Można było śledzić każdy płatek, nietknięty przez czas i przez prędkość.

Prędkość nie istniała. Była w nim i nigdzie więcej. Ruch wewnątrz niego był szybki.

Słabość pamięci była niepojęta: wszystko się wymykało. Już miał pochwycić jakiś obraz, kiedy ten mu uciekał.

Znowu zobaczył tych dwoje – jedna postać duża, a druga mała. Dobrany duet. Zmusił się, aby ich unieruchomić, choć szli w kierunku stołu. Większą postacią był on – Sam Berger – a obok niego szła kobieta. Nie blondynka, lecz brunetka, raczej drobna, ostrzyżona na pazia. Bezskutecznie próbował przypomnieć sobie jej imię. Desiré?

Tak, zgadzało się i nie zgadzało jednocześnie. Było jeszcze inne imię, może przydomek? Tak. Deer. Chyba się zgadza? Nagle zobaczył ich z zewnątrz. Sam i Deer, dobrany duet.

Policjanci.

Potem siedzieli po tej samej stronie stołu w pokoju przesłuchań. On po

lewej, a Deer po prawej. Rosenkvist. Desiré Rosenkvist.

Zobaczył własną minę – była ponura. Spojrzał na Deer – na jej twarzy malowała się zachęta. *Good cop, bad cop*. Zobaczył szyderczy gest Sama Bergera.

Znajdowały się tam trzy kobiety. Jedna siedziała nieruchomo na krześle w pokoju bez mebli. Deszcz bębnił o szyby, a na podłodze widać było krew i ślady po kulach.

A może cztery kobiety?

Albo jeszcze więcej?

Po chwili wszystko zniknęło.

Nagle. Jakby niewyćwiczony, wytrzęsiony mózg dostał za dużo bodźców i po prostu się wyłączył.

Berger krzywo postawił nogę. Rozległ się zgrzyt stojaka na kroplówkę. Poczuł naprężenie rany, w której tkwiła igła. Przyjrzał się plasterom. Wyglądały normalnie. Czekał. W końcu z małego tunelu z plastrów wypłynęła kropla przezroczystego płynu.

To wciąż działało.

Odwrócił się i omiół pokój wzrokiem. Zostawił za sobą ślad na podłodze. Nie krwi, lecz pojedynczych przezroczystych kropel. Ślad kropelkowy. Ślad infuzyjny. Miał nadzieję, że wyschnie, zanim do jego pokoju wejdzie ktoś z personelu.

Pokuśtykał w stronę łóżka. Leżała tam poduszka, bez powłoczki, ale z wyraźną plamą krwi. Dotknął jej. Nadal była mokra. Położył powłoczkę obok i postanowił, że zaczeka z jej naciąganiem, aż krew zakrzepnie.

Żeby nie zostawiać za sobą śladów. Śladów krwi.

Okrzyżował łóżko i wrócił do punktu wyjścia. Usiadł na brzegu łóżka, podciągnął nogi i położył się płasko na plecach.

Popatrzył w sufit. Za nerwowo pulsującym blaskiem był zupełnie biały.



A mimo to nie brakowało mu właściwości. Właściwości, które obudziły wspomnienia.

Wiedział, że powinien zrobić przerwę. Ponownie opróżnić mózg, podłączyć go do ładowarki. A potem zacząć pamiętać.

Naprawdę pamiętać.

## 4

*Piątek 13 listopada, godz. 7:33*

W pokoju nie było okien. Było za to więcej ludzi. I jeszcze więcej ekranów. Czuł się tak, jakby byli pod ziemią. A w każdym razie poniżej jej poziomu.

W rogu wielkiego, pełnego gorączkowej aktywności pokoju było dwóch mężczyzn, jakby na uboczu. Siedzieli po dwóch stronach i obserwowali swoje twarze niemal równie często jak ekrany komputerów. Jeden z nich wpatrywał się w ścianę, drugi obserwował pokój. Zmieniali się, bo każdy z nich wolał widok pokoju.

Wyrośnięty mężczyzna, który w tym tygodniu wyciągnął pusty los i musiał patrzeć w ścianę, zerkał na tani zegarek do nurkowania, który miał na grubym nadgarstku. Jakby właśnie się wynurzył i sprawdzał, na jak długo udało mu się wstrzymać oddech. Wziął kilka głębokich wdechów i znów zanurkował. Głęboko w komputerowe morze.

Przy komputerze stała mosiężna tabliczka informująca, że nazywa się Roy Grahn.

Poczuł na sobie szybkie spojrzenie z przeciwka. Żaden nie chciał się do tego przyznać, ale między nimi trwała ciągła walka o to, kto pierwszy osiągnie oficjalny status i zostanie awansowany na pracownika wewnętrznego.

Na razie obaj byli zaliczani do zasobów zewnętrznych.

Obok ekranu odwróconego do ściany stała w zasadzie identyczna mosiężna tabliczka, tyle że z napisem Kent Döös. Kent Döös zanurzył się w komputerowym świecie, wyposażony mniej więcej w te same parametry wyszukiwania co Roy Grahn, i sprawdzał, czy pojawiło się coś nowego.

Jak zwykle było to trudne. Jeśli ktoś z poszukiwanych wbrew oczekiwaniom pojawiłby się w przestrzeni publicznej, to tylko w wyniku błędu. Właśnie takiego błędu szukali Roy i Kent: użycia karty debetowej, pojawienia się w sieci, wszelkiego rodzaju omyłkowych ujawnień tożsamości.

Kent Döös myślał: Molly Blom.

Roy i Kent już z nią pracowali, robiła niesamowite wrażenie. Nigdy nie popełniłaby błędu tego typu. Należała do zasobów wewnętrznych, była jedną z najbardziej cenionych, niemal legendarnych wtyczek. Miała upoważnienie do używania kilku tajnych tożsamości, których nie znała nawet policja bezpieczeństwa, Säpo. Mogłaby pozostawać poza zasięgiem radarów w nieskończoność. To jej partner, o ile można go tak było nazwać, były policjant z wydziału kryminalnego, Sam Berger, był słabym ogniwnem. Prawie całą energię wkładano w szukanie jego ewentualnych potknięć. Ale od dwóch tygodni także on nie dawał znaku życia.

Albo był pod pełną kontrolą Molly, albo zapadł się pod ziemię na własną rękę. To drugie mimo wszystko wydawało się nieprawdopodobne. Pieprzony Sam Berger musiał popełnić jakiś błąd, to nieuniknione. Należało tylko cierpliwie czekać. Z drugiej strony, cierpliwość nie była mocną stroną ani Kenta, ani Roya.

Zajęli się zwyczajowym wyszukiwaniem. Należało znaleźć najbardziej ustronne miejsca, o których nie ma wielu informacji w sieci. Hotele z systemem manualnej rejestracji gości, objęte tajemnicą ośrodki zdrowia,

obozy treningowe celowo organizowane w odludnych miejscach, bilety lotnicze z podejrzanymi danymi osobowymi, które zbyt późno zaalarmowały służby, przejścia graniczne, z których raporty spływają wyjątkowo ociężale, ledwo widoczne miejsca w całej strefie Schengen, w których w ogóle się nie przeprowadza kontroli tożsamości. No i oczywiście tereny poza strefą. Jednak najbardziej prawdopodobne było, że Berger i Blom są na terenie Unii, w strefie Schengen, zapewne gdzieś, gdzie w paskudnym listopadzie jest najlepiej.

Hipoteza o ucieczce za granicę nie do końca przekonywała Kenta. Długo współpracował z Molly Blom. Nie wierzył, że uciekła za granicę. Skupiał się na Szwecji. Na jej najbardziej niewidocznych zakątkach. Może gdzieś w głębi kraju?

Roy Grahn i Kent Döös nie mieli dostępu do najbardziej tajnych informacji. Nie wiedzieli dokładnie, czym zawinili Molly Blom i Sam Berger, ale wiedzieli, że są na szczycie listy poszukiwanych przez Säpo.

Kent wiedział, że minutę później będzie gorzko żałował swojego kilkusekundowego zawieszenia, ale nie był w stanie powstrzymać paradoksalnych wspomnień. Wyraźnie pamiętał szaloną walkę, kiedy Berger włamał się do mieszkania Blom. Bił się jak trzykrotny recydywista, trzeba go było uśpić. Potem przypomniał sobie Blom przesłuchującą Bergera – była nieustępliwa. Nagle z niejasnych powodów nagranie się urwało. Na koniec przypomniał sobie, co się działo w koszmarnym mieszkaniu w Sollentunie. Berger i Blom byli tam razem i wspólnie przeprowadzili bohaterką akcję ratunkową.

Kent nie potrafił sprawić, żeby te wspomnienia do siebie pasowały.

Ale przypomniał sobie, z lekkim uśmiechem, że Roy wymiotował. W przeciwieństwie do niego.

Kiedy na ekranie pojawił się wynik, nie był całkiem gotowy. Nie wiedział,

jak długo mrugało okienko na ekranie, ale kiedy już je zobaczył, wszystko zaczęło się toczyć szybko. Przeklikał się przez kilka rejestrów, prześlizgnął przez parę firewalli, złamał kilka haseł i już miał wejść najgłębiej, kiedy zobaczył coś, czego absolutnie nie chciał widzieć. Rękę.

Rękę na ekranie. A na niej tani zegarek do nurkowania. Palce wskazujący i środkowy tworzyły kształt litery V.

Roy szybko wstał i wrzasnął:

– Arjeplog!

Był już w połowie drogi do drzwi, kiedy Kent z niesmakiem spojrzał na wynik wyszukiwania. Na ekranie ukazał się napis: „Sam Berger: dom opieki Lindstorp, gmina Arjeplog”.

\* \* \*

Jak zwykle minęła dobra chwila, zanim drzwi wydały leniwy pomruk zwiastujący dostęp do tego, co najświętsze. Zanim to nastąpiło, ponad minutę dreptali w korytarzu. Kent, chcąc nie chcąc, zadawał sobie pytanie, co szef wydziału wywiadu Säpo zawsze robi przez tę minutę. Czy rzeczywiście był to tylko pokaz siły?

Roy otworzył drzwi i wszedł do środka. Szef wydziału August Steen siedział za biurkiem wyprostowany jak struna. Miał krótko ostrzyżone siwe włosy bez śladów łysiny, a jego jasnoszare oczy przypominały zmrożone kamienie.

– Mamy go – oznajmił Roy.

August Steen szerokim gestem zdjął okulary do czytania, postukał nimi w stół i spytał:

– Kto kogo ma?

– Bergera – odparł Roy. – Sama Bergera. Mamy go. W domu opieki nieopodal Arjeplog.

Brwi Steena zmarszczyły się na sekundę. Poza tym na surowej twarzy nie drgnął żaden mięsień. I ani jedno słowo nie padło z jego ust.

– Mogę zaproponować najszybszy transport? – ciągnął Roy. – Każda sekunda to większe ryzyko ucieczki.

August Steen bacznie go obserwował. Potem spojrzął na Kenta. To nigdy nie było zbyt przyjemne.

Skinął głową.

Roy i Kent w pół sekundy wyszli z pokoju. Steen obserwował drzwi, które się za nimi zamknęły. Obserwował je długo.

W końcu wyprostował szyję, która donośnie strzyknęła, i wysunął jedną z najniższych szuflad biurka. Przez chwilę w niej grzebał, aż w końcu wyciągnął wiekowy telefon. Z nieobecny wyrazem twarzy czekał, aż powoli się włączy. Potem wziął go do ręki i użył.

\* \* \*

Roy Grahn myślał, że „najszybszy transport” będzie oznaczał pokonanie całej drogi helikopterem. Nie miał jednak pojęcia, że z komisariatu w Sztokholmie do Arjeplog jest dziewięćset czterdzieści kilometrów.

Na szczęście zdążyli na poranny lot. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, na lotnisku Arvidsjaur powinien na nich czekać śmigłowiec, którym przelecą ostatnie sto pięćdziesiąt kilometrów.

Kiedy wysiedli z prawie pustego samolotu, powitała ich śnieżycą. Dużo silniejsza niż przy lądowaniu – prawdopodobnie się wzmagala. Poza tym niepokojąco wiało.

Wsiedli do małego helikoptera. Wiatr rzucał ich tam i z powrotem przez białą pustkę i tylko czasami pozwalał dostrzec bezkresne masywy górskie. Wiedząc, że Berger, choćby i w ograniczonym zakresie, potrafi walczyć wręcz, sprawdzili broń – dwa solidne Glocki i w zapasie dwie łaty

dostępne strzykawki z grubymi igłami w celu szybkiego podania substancji, na przykład do tętnicy szyjnej.

Ledwo dało się dostrzec jakby zamrożone małe miasto, kiedy je mijali, a znów znaleźli się nad wsią. Kent dostrzegł maleńki prostopadłościan przesuwający się po wężowatym kształcie, w którym po bliższych oględzinach rozpoznał drogę. A prostopadłościan zapewne był autobusem.

Zza śniegu wyrastał budynek, a przed nim rozpościerało się płaskie pole z odśnieżonym okrągłym lądowiskiem dla helikoptera. Doświadczony, choć małomówny pilot z wprawą wylądował w okręgu i wszystko zrobiło się białe. Silnik i śmigło już dawno ucichły, kiedy wzniecony śnieg wreszcie opadł. Pośród śnieżycy dało się dostrzec trzy osoby w grubych kurtkach. Drzwi się otworzyły, Kent i Roy, w zbyt cienkich ubraniach, poczuli uderzenie zimna. Powinni byli się domyślić, że Arjeplog w połowie listopada będzie mroźną częścią kraju. Powinni.

Siwy mężczyzna idący przodem wyciągnął do nich rękę na powitanie.

– Doktor Stenbom – przedstawił się. – Witajcie w Lindstorp.

– Roy Grahn, Säpo – odparł Roy i podał mu rękę. – I Kent Döös.

– Też z Säpo – dodał Kent.

Doktor Stenbom nie zawracał sobie głowy przedstawianiem dwóch idących za nim mężczyzn. Nie było zresztą takiej potrzeby. Kent i Roy dobrze znali ten typ. Pielęgniarze. Strażnicy więzienni. Doktor się odwrócił i poprowadził gości niedbale odśnieżoną ścieżką w stronę budynku, który przypominał gospodarstwo.

– Sam Berger, tak? – odezwał się lekarz, kiedy szli przez śnieg. – Nie wiem, czy wiecie, że wczoraj próbował uciec. Namierzyliśmy go w ostatniej chwili, jeszcze trochę i by zmarzł.

– Uciec? – odparł Roy. – Przebywa teraz w zamknięciu?

– Tak, tymczasowo – oznajmił doktor Stenbom. – Trafił do nas

w fatalnym stanie. Zostawiła go niezidentyfikowana osoba. Był bardzo zdezorientowany i agresywny, musieliśmy podać mu leki uspokajające, po których usnął. Kiedy się obudził, był wściekły, rzucał groźby, wykazywał objawy głębokiego niepokoju. Tak rozrabiał, że postanowiliśmy go uspić.

– Kiedy to było?

– Mniej więcej dwa tygodnie temu.

– Trzymaliście go pod narkozą przez dwa tygodnie?

– Wprawdzie jesteśmy ośrodkiem specjalizującym się w zaawansowanej opiece psychiatrycznej, ale nie mamy środków, które pozwalałyby pilnować więźniów okrągłą dobę. W tym okresie co jakiś czas zmniejszaliśmy dawki leków i badaliśmy jego stan. Dopiero wczoraj rano wydawał się wystarczająco spokojny, aby odstawić mu leki. Ale najwyraźniej spokój wynikał jedynie z zamiaru przygotowania ucieczki. Dość szalonej, pozwolę sobie podkreślić. Próbował chwycić autobus gołymi rękami.

– Jak teraz wygląda sytuacja?

– Przy okazji nabawił się obrażeń, więc postanowiliśmy wrócić do maksymalnej dawki. Porządnie go uspiliśmy.

– Obrażeń? – odparł Kent i się wzdrygnął. – Chodzi o odmrożenia?

– Nie przede wszystkim – oznajmił doktor Stenbom. – Jak wspominałem, próbował złapać autobus gołymi rękami. Prawdopodobnie został potrącony przez ten autobus i doznał obrażeń twarzy. Jest obandażowany.

– Obandażowany?

– Tak. Owinęliśmy mu głowę gazą.

Wreszcie dotarli do czegoś, co wyglądało jak tylne drzwi. Doktor Stenbom wstukał kod, przeciągnął kartę wstępu przez czytnik i powiedział:

– Tak więc obawiam się, że nie będziecie mogli teraz przesłuchać Bergera. O cokolwiek jest podejrzany...

Roy i Kent zignorowali jego ciekawość i otrzepali cienkie kurtki ze



śniegu. Korytarz był zupełnie pusty, świetlówki na suficie rzucały zimne, surowe światło na ich zaniepokojone twarze. Skręcili w większy korytarz. Szła nim tylko pielęgniarka z wózkiem medycznym. Nie widzieli ani jednego pacjenta.

W końcu doktor Stenbom przystanął przed jednymi z identycznych drzwi i wyciągnął pęk kluczy. Włożył jeden z nich w coś, co najprawdopodobniej było zamkiem antywłamaniowym. Kent i Roy zobaczyli, jak marszczy czoło – trwało to tylko krótką chwilę, ale było niedwuznaczne. Jak na dany znak obaj rozsunęli zamki błyskawiczne w kurtkach i odpięli kabury. Doktor Stenbom otworzył drzwi... które wcale nie były zamknięte na klucz.

W samotnym łóżku, przy ścianie daleko od drzwi, leżał człowiek całkowicie przykryty kocem.

Roy wyciągnął pistolet i szybko zabezpieczył pokój. Kent pokonał biegiem kilka metrów dzielących go od łóżka i również wyciągnął glocka. Odsunął koc i kołdrę.

Zobaczyli smacznie śpiącą postać.

Ubraną na biał.

To była pielęgniarka.

Z pustą strzykawką wystającą z ramienia. Stenbom szybko ją zbadał i uznał stan jej zdrowia za zadowalający.

– Do jasnej cholery! – krzyknął Roy i odwrócił się w stronę dwóch pielęgniarzy, którzy wolnym krokiem weszli do sali. Odpowiedzieli wzruszeniem ramion.

Na prześcieradle, po stronie śpiącej pielęgniarki, widniała duża mokra plama.

– Co to jest, do diabła? Ten gnojek się zeszczął? A może pielęgniarka?

Doktor Stenbom nachylił się nad plamą i lekko wciągnął powietrze. Pokręcił głową i odwrócił się w kierunku stojącej przy łóżku kroplówki.

Chwycił rurkę i podążył przez całą długość aż do końcówki, która powinna była tkwić w ramieniu Sama Bergera. Żółtej i pokrytej świeżą krwią. Doktor Stenbom przyjrzał się igle. Była wygięta.

– Infuzja się nie przyjęła – oznajmił.

– Mów pan po ludzku! – wrzasnął Roy.

– Wygiął igłę – odparł doktor Stenbom z namysłem. – Płyn infuzyjny wyciekł. Berger nie jest pod narkozą. Kiedy przyszła pielęgniarka, żeby mu podać...

– Był przygotowany – przerwał Kent i wskazał pielęgniarzy. – Uciekał wczoraj. Dokąd?

Pielęgniarze patrzyli po sobie. Trochę za długo.

– Mówcie, do cholery! – krzyknął Roy.

– Kuchnia – odparł większy pielęgniarz. – Potem na taras. I dalej na pole i do drogi.

– No to ruchy! – wrzasnął Roy.

Pobiegli korytarzem.

– Całkiem świeża krew na igle – wydyszał doktor Stenbom. – Minęło niewiele minut.

Wbiegł po schodach i skręcił w kolejny korytarz. Jeden z pielęgniarzy otworzył drzwi do kuchni. Na wózku kelnerskim stało kilka termosów i półmisek cynamonowych bułeczek przykrytych folią. Poza tym było pusto.

– Szukajcie! – zawołał Roy.

Pracownicy ośrodka posłuchali i nieco nieporadnie zaczęli przeczesywać obskurną kuchnię.

– Tutaj – odezwał się mniejszy z pielęgniarzy.

Podeszli do okna, przy którym stał. Przez uświnioną szybę widać było helikopter. Pilot stał w śnieżycy i palił papierosa. Chmura dymu zdawała się być przechwytywana przez płatki śniegu i partiami wsysana ku ziemi.

– Tutaj – powtórzył pielęgniarz i wszyscy przenieśli wzrok z okna na zlewozmywak. Do jednego z czterech nieumytych kubków po kawie skapnęła kropla krwi i przybrała kształt gwiazdy.

Krew była świeża.

Kuchnia miała dwoje drzwi. Roy podbiegł do jednych z nich i otworzył. Ukazała się spiżarnia. Pusta.

– Sprawdźcie to – krzyknął i pobiegł do drugich drzwi.

Otworzył. W obu kierunkach rozciągał się posępny korytarz. Roy wyszedł i usłyszał za sobą krzyk:

– Tu też jest krew!

Roy prędko się zastanowił, gdzie jest helikopter, i pobiegł korytarzem w lewo. Po kilkunastu metrach stanął i popatrzył na smutną plecioną tapetę beżowego koloru. Kent go dogonił i zobaczył, jak jego wskazujący palec zbliża się do słabego czerwonego śladu na ścianie.

– Ma zawroty głowy – stwierdził Roy. – Wbiegł w ścianę.

Biegli jeden przy drugim w stronę drzwi na końcu korytarza. Otworzyli je i poczuli zamieć na twarzach. Dopiero po chwili mogli znów oddychać, a jeszcze dłużej potrwalo, nim cokolwiek zobaczyli. Śnieg wirował we wszystkich możliwych kierunkach.

Znajdowali się na czymś w rodzaju werandy. Nie więcej niż dwa metry kwadratowe były odśnieżone, jakby tworzyły miejsce do stania, może palarnię. W grubszej warstwie śniegu dostrzegli świeże ślady kroków. Prawdopodobnie w pobliżu była poręcz lub balustrada, może też coś w rodzaju zejścia na pole. Daleko po lewej, bardzo niewyraźnie widzieli helikopter.

Roy uniósł pistolet, jakby biorąc coś na celownik, miał lepszą widoczność, ale to tylko sprawiło, że Kent zyskał przewagę. Brnął przez grubszą warstwę śniegu, balansował na zlodowaciałej pokrywie, choć wszystko wskazywało

na to, że zaraz ją sforsuje. Podszedł do krawędzi i przeskoczył nad zaśnieżoną balustradą. Wpadł głęboko w śnieg, wydostał się z niego i ruszył w kierunku coraz bardziej nieprzeniknionej śnieżycy. Szalejący żywioł wyglądał tak nietypowo, że w każdej innej sytuacji zatrzymałby się i zaczął go podziwiać. Teraz jednak był na tropie, musiał więc mieć oczy dookoła głowy. Nic nie mogło ujść jego uwadze.

Nawet anioł.

Bo tak właśnie wyglądał. Rozprostował skrzydła, białe na tle obejmującej wszystko bieli. Wydawało się, że postać w każdej chwili może oderwać się od ziemi i na przekór prawom natury po prostu wystrzelić w górę ku śnieżnej zamieci, triumfalnie przelecieć po gniewnym niebie, zanurkować ku niemu i z owym zwycięskim uśmiechem Bergera minąć o włos jego wyciągniętą rękę, odlecieć i zniknąć.

Tak się jednak nie stało.

Postać, którą miał przed sobą, była coraz bliżej. Nie, to on sam, Kent, pokonywał teren i był już tak blisko, że miał ją w zasięgu wzroku. Zobaczył cienki, rozciągnięty ślad na śniegu, przez który właśnie brnął. Był tak blisko, że niemal mógł dotknąć trzepoczącego się człowieka.

Szybko ocenił sytuację. Pomyślał, że będzie miał szansę, jedną szansę. Szukał chwili, w której będzie mógł się rzucić na uciekiniera, ale akurat kiedy się zaparł nogami, w Bergera wstąpiła nowa energia i znalazł się poza jego zasięgiem. Odwrócił się i Kent zobaczył białą, rozmazaną twarz. Berger patrzył, jakby nigdy wcześniej go nie widział i nigdy nie bił go bezwzględnie w mieszkaniu przy Stenbocksgatan we wciąż jeszcze kompletnie beśnieżnym Sztokholmie. Jak zupełnie inna istota. Mumia.

Mumia uniosła obandażowaną rękę, jakby chciała zastrzelić go palcami.

To był fałszywy krok. Chwila nadeszła. Kent po raz kolejny zaparł się stopami w groteskowym śniegu, wyskoczył, chwycił szamoczącą się postać

za ramię i obalił na śnieg, który natychmiast ustąpił pod ich ciężarem. Głęboko w śniegu znalazł się z nią oko w oko, zastosował zabroniony chwyt wykręcania ramion do tyłu i wcisnął gnojka w miękkie podłoże.

Oczy spoglądały na niego zza warstw gazy, przez ramię. Niebieskie, krnąbrne, lekko spanikowane. Kent go obrócił, przycisnął kolanami przedramiona. Chwycił opatrunek gdzieś na karku. Zaczął go odwijać. Zobaczył policzek, który był jedną wielką powierzchowną raną, i brodę z kilkoma zadrapaniami.

Znienawidzoną twarz Sama Bergera miał wypaloną w pamięci. Nadszedł czas zapłaty za poniżenie, jakiego doznał w ostatnich tygodniach. Chciał zobaczyć, jak rozkrwawione, przerażone oblicze powoli zmienia się w twarz pokonanego Bergera.

Odwijał powoli, upajając się tą czynnością. Kawałek po kawałku zza bandaża wyłaniała się skóra. Wielkie płatki śniegu opadały na nią i się topiły.

Zawartość zwycięskiego pucharu zaczynała jednak mieć gorzki posmak. Już po odsłonięciu szczęki Kent poczuł, że coś jest nie tak. Nie mógł tego dłużej przeciągać. Zaczął odwijać jak najszybciej.

Puchar wypełnił się trucizną.

Kent dobrą chwilę patrzył na poranioną, posiniaczoną twarz.

A potem wrzasnął z całej siły:

– Ja pierdolę, to nie jest Sam Berger!

## 5

*Środa, 18 listopada, godz. 10:28*

Śnieg już nie padał. Po prostu leżał. Spokojny, nieruchomy. Świat miał biały kolor. Przypominało to pokonywanie dziewiczych terenów.

Coś przedzierało się przez biel. Kobieta.

Jej wyteżony krok tworzył pierwsze oznaki cywilizacji. Oznaki walki, przetrwania. Oporu wobec opłakanych warunków.

To była długa noc, dopiero rankiem śnieżycą przesunęła się dalej na południe. Ścieżka nie była już tak dobrze odśnieżona.

Kobieta pokonała wierzchołek wzniesienia, zobaczyła domek w nowych białych szatach, rzuciła okiem na komórkę. Miała dwie minuty – dużo czasu.

Wtedy go zobaczyła. Brnął w śniegu, otulony intensywnie czerwoną puchową kurtką.

Przystanęła, gwałtownie podniosła głowę ku błękitnemu niebu i pobiegła za nim. Jego ślady były głębokie i wyraźne, jej kroki hamowała gruba pokrywa śnieżna. Raczej się wlokła przed siebie niż biegła, a on toczył się na przedzie. Zygzakowaty ślad, który za sobą zostawiał, również świadczył o jego stanie psychicznym.

Mimo to była coraz bliżej. Wyciągnęła telefon komórkowy. Nie miała pojęcia, jak długo wskazywał dziesiątą dwadzieścia dziewięć. Godzina mogła

się zmienić w każdej chwili, a wtedy na wszystko byłoby już za późno.

Kiedy przebiegała ostatnie metry, bardziej niż kozicę górską przypominając pług śnieżny, rozpięła długą, białą pelerynę. Wypełniona wiatrem przypominała spinaker na morzu w czasie sztormu. Berger się odwrócił. Był zdezorientowany, pierwotny strach promieniował z jego oczu, nieprzerwanie wyczaiących znad dziko rozrośniętej, posiwiałej brody.

Wylądowała na nim, wcisnęła cały czerwony kształt w śnieżne masy, poczekała, aż śnieżnobiały spinaker go przykryje, i rzuciła okiem na komórkę. W tej samej chwili godzina zmieniła się na dziesiątą trzydzieści.

Znaleźli się oko w oko w naprędcie rozbitym obozie. Wpatrywał się w nią. Uniosła palec do ust, syknęła. Posłuchał bez słowa.

Dziwnie było go widzieć w takim stanie. Jakby się zmienił. To, że broda się rozrosła ponad wszelkie pojęcie, nie było tak dziwne jak to, że zmieniła kolor. Jego ciemne włosy też posiwiały – jakby dwa tygodnie na szwedzkim biegunie niedostępności uczyniły go innym człowiekiem.

Nadal trzymała palec przy ustach, on w dalszym ciągu milczał i leżał nieruchomo, nagle skłonny do współpracy. Patrzyła na telefon, a czas płynął. Słysząc było tylko ich dyszące oddechy, w dwóch zupełnie różnych tempach.

Leżała na nim. Jego ciało wydawało się zwiotczałe. W śnieżnej grocie, utworzonej pod jej szeroką białą peleryną, nawiązała z nim kontakt, praktycznie po raz pierwszy od czasu wydarzeń w hangarze na łodzie. Oczy zerkające znad płataniny zarostu już bardzo dawno nie były tak przytomne.

Ostatni raz rzuciła okiem na telefon. Było już w porządku, już po wszystkim. Powoli wstała, peleryna przestała odgrywać rolę kamuflażu i zdumiewająco ciasno opinała jej wyprostowaną sylwetkę. Jego czerwona puchowa kurtka leżała rozciągnięta na śniegu.

Pomału się podniósł, stanął obok niej, oko w oko.

– Satelita – oznajmiła. – Jeden z wielu.

Mocno zamrugał, jakby fizycznie próbował odpędzić resztki dezorientacji. Otworzył usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale komunikacja wciąż jeszcze była niemożliwa. Chwyliła go pod rękę i z precyzją zaprowadziła z powrotem do domku.

Biegun niedostępności to miejsce znajdujące się najdalej jak tylko się da od rubieży cywilizacji. Istnieje na przykład oceaniczny biegun niedostępności zwany punktem Nemo, znajdujący się na południowym Pacyfiku, najdalej od lądu ze wszystkich punktów na oceanie.

Również każdy kraj posiada własny biegun niedostępności. Szwedzki znajduje się przy południowo-wschodniej zatoce jeziora Kåbtåjaure, w Parku Narodowym Padjelanta w gminie Jokkmokk, zaledwie kilka metrów od pośpiesznie utworzonej groty śnieżnej, którą oboje chwilę wcześniej opuścili.

Kiedy otworzyła drzwi do małego domku, przeciąg uniósł jej jasne włosy.

Łóżko było puste, prześcieradło i kołdra wyglądały jak kłębowisko. Na nocnym stoliku leżały tabletki. Podłużne pudełko na zegarki było otwarte po raz pierwszy od ich przyjazdu, złożona klamra lśniła delikatnie w przefiltrowanym przez szybę zimowym słońcu.

Mężczyzna precyzyjnie przesunął się obok niej, opadł na podłogę za prymitywną toaletą i się skulił. Plecami dotykał ściany, obejmował kolana, wpatrywał się w przestrzeń. Na jego nadgarstku pierwszy raz od dawna był zegarek.

– Minęły ponad dwa tygodnie, Sam – powiedziała kobieta. – A mimo to nie jesteśmy do końca pewni. – Mam schemat ukazujący, kiedy mogą przelatywać satelity. Wtedy należy unikać przebywania poza domem.

Popatrzył na nią, potarł potężny zarost, rozprostował kark i odwróciwszy wzrok, powiedział:

– To gównu musi się teraz skończyć.

– W tym okresie nie byłeś przesadnie kontaktowy Sam. Skończyłeś brać leki?



Pokręcił głową.

– Molly, do jasnej cholery!

Przycupnęła obok niego. Siedzieli tak przez chwilę, ona w kucki, on oparty o ścianę. Słysząc było tylko burczenie kaloryfera.

– Myślę, że to się wyczerpuje – oznajmił Sam Berger i wskazał akumulator samochodowy.

– Jeśli nie liczyć satelity, twoje wybudzenie miało dobry *timing* – powiedziała Molly Blom. – To daje trochę nadziei na przyszłość.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Racja – odparła Blom i wstała. – To twój piąty akumulator i właśnie się wyczerpuje. Powoli nadchodzi czas na ucywilizowanie. Dopóki będziemy pamiętali, że nie możemy się swobodnie poruszać. Ukrywamy się. Polują na nas. Pamiętasz, prawda?

Berger jej się przyglądał. Napotkała jego spojrzenie. Było jak róg obfitości wypełniony pytaniami.

– Tyle koszmarów i halucynacji – powiedział. – Wciąż wraca do mnie twarz zupełnie bez wyrazu. Strzała nie żyje? Została zabita przez Säpo? Skończyła z pieprzoną skarpetą w pysku?

Blom obserwowała Bergera. Był tak wychudzony.

– Naprawdę mam nadzieję, że nie przesadziłam z faszeringowaniem cię lekami. Ale w żaden sposób nie można było cię opanować. Nic nie pamiętasz?

– Pamiętam, że dorwaliśmy mordercę z dalekiej przeszłości. Pamiętam, że uwolniliśmy sporo zakładniczek. Pamiętam, że wyrzucono nas z policji. Pamiętam, że płynęliśmy łódką i snuliśmy plany na przyszłość. Dalej mój mózg nie chce współpracować.

Blom nachyliła się w kierunku podłogi obok Bergera, chwyciła brudną kuchenkę polową i postawiła ją na stole. Potem wysunęła jedno

z rozchybotanych krzeseł i usiadła. Do poobijanego rondla naląła wody ze stojącej obok plastikowej butelki i zapaliła gaz. Płomień zagłuszył kaloryfer.

– Musisz jeść – powiedziała.

– Co ja, u diabła, mam na sobie? – wymamrotał, z wysiłkiem wstał z podłogi i popatrzył na siebie.

Przemakająca czerwona puchowa kurtka, gówniane spodnie z polaru? Czyżbym obrabował bezdomnego? – pomyślał.

– Musieliśmy kupić ciuchy po drodze – wyjaśniła Blom. – W sklepach, w których na pewno nie ma monitoringu. To ograniczyło wybór. Ale w przyszłości nie wkładaj tej czerwonej kurtki, masz jeszcze białą.

Blom wyjęła mały woreczek z kieszeni białej peleryny, lekko nim potrząsnęła i podniosła.

– Zupa mięsno-warzywna?

Berger wzruszył ramionami i usiadł po drugiej stronie stołu. Blom dostrzegła w jego oczach zagubienie, ale wreszcie towarzyszyła mu chęć, aby wiedzieć. Nie uciekać, lecz wiedzieć.

Skonfrontować się.

– Wiem, że cholernie długo mieszkałem w tej surowej chacie. Kilka razy dziennie chodziłem do tej cuchnącej toalety kompostującej, piłem gotowaną wodę z jeziora, którą z czasem zastąpił roztopiony śnieg, często rozrobiony z jakąś śmieszoną zupką z proszku. Ani razu nie brałem prysznic. Wiem to wszystko. Ale nic poza tym. Gdzie jesteśmy?

– Myłam cię – powiedziała Molly Blom.

Berger spojrzał na nią uważnie, lekko zamrugał, a ona mówiła dalej:

– Jezioro nosi nazwę Kåbtåjaure i znajduje się w Parku Narodowym Padjelanta. Tak daleko od cywilizacji, jak tylko mogłam odejść.

– Padjelanta? – zawołał Beger. – W Laponii? Na północ od koła podbiegunowego?

– Tak – odparła Blom. – Musieliśmy wyjechać naprawdę daleko. Wszystko wskazuje na to, że ci, którzy zabili Sylwię Andersson, są ekspertami w odnajdywaniu ludzi.

– Säpo.

– Tak. Albo inna instytucja w taki czy inny sposób związana z Säpo. Pamiętasz, co się wydarzyło?

– Nie całkiem – odparł Berger. – Zabili Strzałę. Jej pięcioletnia córka Moira została sierotą. A to wszystko przeze mnie.

– Sylvia była dorosła – oznajmiła Blom, gotując zupę. – Poza tym pracowała w policji. Potrafiła podejmować samodzielne decyzje. Zrobimy następny krok pod warunkiem, że przestaniesz się biczować. I znów wkroczysz na właściwy tor.

– Za bardzo ją naciskałem.

– Pamiętasz, w jakiej sprawie?

– Chodziło o pliki Säpo. Miała się włamać do ich rejestru i zdobyć kilka usuniętych z niego dokumentów.

– Pamiętasz, w jakim celu?

Berger mocno zacisnął powieki. Blom go nie poznawała. Naprawdę się zmienił.

– To miało związek z naszym mordercą – wykrztusił w końcu. – Ze sprawą Ellen Saviger.

– Jesteś gotów posłuchać? Po raz pierwszy od ponad dwóch tygodni?

Skinął głową. Molly Blom zaczęła opowiadać:

– Morderca pracował pośrednio dla Säpo, w firmie, która dostarczała im technologię. Tyle chyba pamiętasz? – Znów skinął głową, więc kontynuowała: – Uznaliśmy to za przypadek, dopóki nie zrozumieliśmy, że pracował też aktywnie dla Säpo jako ochroniarz rodziny Pachachich. Ta posada sprawiła, że coś w nim pękło. Nadążasz?

– Tak – odparł Berger. – Wyobraź sobie, że tak. Porwał pierwszą dziewczynę. Aiszę Pachachi.

– Dobrze – odparła Blom z uznaniem. – Udało nam się też zidentyfikować jego ojca jako norweskiego najemnika Nilsa Gundersena. Ów Gundersen już w latach siedemdziesiątych został zwerbowany przez młodego funkcjonariusza Säpo Augusta Steena i dostarczał kluczowych informacji z Bliskiego Wschodu. Nadążasz?

Berger pokiwał głową, marszcząc brwi.

– August Steen, który teraz jest wysoko postawionym szefem Säpo.

– Szefem wywiadu Säpo – potwierdziła Blom. – To on osobiście nas zwolnił.

– Ale żadne informacje na ten temat nie zostały w archiwum Säpo.

– Wyraźnie zostały usunięte i to względnie niedawno. Strzała próbowała ich zhakować i zdobyć te informacje. Również te dotyczące zagadkowego przybycia Aliego Pachachiego z rodziną z Iraku w czasie wojny w Zatoce Perskiej. Dlaczego to takie tajne? I dlaczego wydaje się, że August Steen jest gotów na wszystko, byle tylko nie dopuścić szpiega Gundersena do archiwów?

Berger nie przestawał kiwać głową.

– Co się stało? – zapytał. – Jak się tu znaleźliśmy?

– Łódkę pamiętasz – odparła Blom. – Odetchnęliśmy, planowaliśmy przyszłość. Pamiętasz hangar na łodzie?

– Tak. Hangaru chyba nigdy nie zapomnę.

– Rozmawialiśmy nawet o tym, żeby go kupić, prowadzić tam biznes, zostać kimś w rodzaju prywatnych detektywów. Ale stało się tak, że Sylvia Andersson, twoja Strzała, czekała tam na nas. Martwa. Z czarną skarpetą w ustach, tak samo jak wcześniejsza ofiara, dotknięta demencją starsza kobieta, która podała nam nazwisko Nilsa Gundersena.

– O cholera – odparł Berger.

Przez chwilę milczeli, pozwalając się sączyć przeszłości, którą na różne sposoby tłumili. Po jakimś czasie poczuli, że nie mogą oddychać.

– Coś ci się tam stało, Sam – powiedziała w końcu Blom. – Stałeś się innym człowiekiem.

– Pamiętam tylko fragmenty tego, co się działo po łódce.

– Nasz upadek otworzył wszystkie tamy, zmiotł groble, które usypaliśmy na granicy z przeszłością. Ogarnęło cię poczucie winy. Wobec mnie i wobec pokaźnej grupy dziewczyn. Jednak przetrwaliśmy to. Było nawet parę jasnych momentów. I nagle ten cios prosto w pysk, a do tego wyrzuty sumienia z powodu Strzały i Moiry. Nic dziwnego, że upadłeś, Sam, że wszystko się zmieniło.

– Upadłem?

– Nie potrafię tego lepiej określić – odparła Blom, nalewając zupy mięsno-warzywnej. – Ja sama zareagowałam instynktownie, z pewnością włączył się mój szpiegowski zmysł. Wiedziałam tylko, że musimy się stamtąd wydostać jak najdyskretniej. Posadzili tam Strzałę z jakiegoś powodu. Albo żeby nas zrobić w morderstwo, albo żeby nas ostrzec, dać znak, że my też jesteśmy skazani na śmierć. Nas też mogli usunąć, za jednym zamachem. W łódce na zatoce Ed byliśmy łatwymi celami. Nie wiem co to, ale ma duży zasięg. Wjechaliśmy na skórcie od banana w sam środek, za pośrednictwem obłąkanego mordercy, choć on nie grał głównej roli w tym wszystkim. Czymkolwiek to jest. Toczyła się gra o wysoką stawkę, a my byliśmy w najlepszym razie dwoma pionkami, które można poświęcić. Myślałam tylko o tym, że musimy się wydostać.

– Ty zareagowałaś instynktownie, a ja... upadłem?

– Zjedz trochę zupy, to ci dobrze zrobi.

Berger niechętnie uniósł kubek i wypił łyk gorącego wywaru, który

oczywiście jak zwykle miał niewiele wspólnego z mięsem. Blom też trochę wypięła i kontynuowała:

– Upadłeś dosłownie. Prawdziwy młot trafił cię w czubek brody. Stałam tam przy zwłokach Strzały i nieprzytomnym tobie i wiedziałam, że w taki czy inny sposób mnie obserwują. Może mogłam uciec, ale wówczas musiałabym cię zostawić. Muszę szybko tchnąć w ciebie życie, Sam. Poza tym na szczęście rana już się zagoiła.

– Cięłaś mnie, żeby mnie obudzić?

– Tak, znalazłam efektywny punkt bólowy. Ale nie dało się tobą kierować. Nie wiedziałeś, co jest dla ciebie najlepsze, co jest najlepsze dla nas. Miałeś zamiar za wszelką cenę, w kompletnej furii, ścigać Augusta Steena. Chciałeś iść do prasy, telewizji, wykrzykiwać to na ulicach i placach. Musiałam cię uspokoić.

– Niech zgadnę – odparł Berger. – Igła w szyi?

– Nie mogłeś znów stracić przytomności, ale musiałam mieć nad tobą kontrolę. Uznałam, że będę ci dawać pół dawki. Stałeś się bardziej skłonny do współpracy, to działało. Byłeś skołowany, ale zgodny. Uciekaliśmy przez las. Osiki, pamiętasz osiki?

– Szum ich liści – odparł Berger. – Choć wtedy zdążyły już opaść.

– Trzymałam cię w pozycji pionowej. Brnęliśmy przez śnieg, trzymaliśmy się z dala od naszego samochodu na parkingu przed ratuszem. Dotarliśmy do kilku willi, włamaliśmy się do jednej z nich, zlokalizowaliśmy kluczyk do samochodu.

– Serio? Ja to wszystko robiłem?

– Nie. Posadziłam cię na schodach werandy i miałam nadzieję, że nikt nie zobaczy, że siedzisz tam jak podejrzany lump. Od tamtego czasu kilka razy zmieniałam samochód. Teraz mamy ten.

Blom pomachała kluczykiem w kierunku Begera. Marki nie dało się

pomylić z żadną inną.

– Jeep – powiedział i pokiwał głową. – Obstawiam, że z napędem na cztery koła.

– Zastanawiałam się, dokąd powinniśmy pojechać. Nie wolno mi było z nikim się kontaktować, w ogóle. To było najistotniejsze. Przez cały czas musiałam przebywać poza zasięgiem radarów. *Off the grid*. Przyszły mi do głowy te dwa domki letniskowe, pamiętałam je z wędrówki w góry sprzed kilku lat. Ludzie nigdy tu nie przychodzą, szczególnie w listopadzie. Od tamtej pory nie wychylaliśmy się. Żadnego internetu, żadnych rozmów przez telefon, transakcji, żadnego świata zewnętrznego. Wiele rozważań egzystencjalnych, naprawdę. I trochę jazdy na nartach.

Berger wskazał dyndający kluczyk samochodowy.

– Ale mamy stąd wyjechać?

– O czym ty mówisz? – odparła Blom.

– „Zjedz trochę zupy, to ci dobrze zrobi”. Tak powiedziałaś.

Blom opróżniła kubek i popatrzyła na Bergera. Ich spojrzenia się zwały, jakby jedno oceniało drugie w najdrobniejszym szczególe.

W końcu Berger też dopił zupę i zapytał:

– Dlaczego potrzebuję więcej energii niż zwykle?

Blom z hukiem postawiła pusty kubek na stole.

– Bo mam dla ciebie niespodziankę – odparła.

## 6

*Środa 18 listopada, godz. 11:14*

*Pokój jest pusty, klaustrofobiczny, lodowaty, jakby wtopiony w skałę. Tylko światło ekranów odróżnia go od kompletnej ciemności.*

*Ekrany są dwa, jeden nad drugim, i pokazują ten sam widok, choć z różnych wysokości. Odległość została zoptymalizowana pod kątem małego biurka z joystickiem, który reguluje kierunek, zbliżenie i ostrość. Teraz wydaje się, że ekrany pokazują nieruchomy obraz, złożony głównie ze śniegu. Na górnym widać dwa ośnieżone domki, na różnych planach, na dolnym tylko ten bliższy.*

*Nagle bezruch zostaje przełamany. Przy domku stojącym dalej. Wychodzi z niego dwoje ludzi. Są bardzo mali i bardzo oddaleni.*

*Dłoń w cienkiej skórzanej rękawiczce z wprawą robi zbliżenie na nich. Nawet z tej odległości dobrze widać szczegóły. Kobieta ma gruby, biały strój, nowoczesne buty narciarskie i ciasno przylegającą czapkę, a mężczyzna jest bosy i jedynie owinięty ręcznikiem. Kobieta prowadzi go za róg, podaje mu wiadro i wraca.*

*Oko kamery przez chwilę skupia się na niej.*

*Potem lewa ręka robi zbliżenie na mężczyznę. Prawa, także w cienkiej skórzanej rękawiczce, zapisuje na małej klawiaturze pod małym ekranem:*



*„11:15: wyraźna czujność ♂; prawdopodobne zabiegi higieniczne ♂; ♀ asystuje z dystansu”.*

*Mężczyzna przy domku zdejmuje ręcznik i wiesza go na gwoździu w ścianie. Jego brązowa broda ma szare plamy. Ustawia się i z lekkim wahaniem przez chwilę obserwuje wiadro.*

*Potem unosi je nad głowę.*

## 7

*Środa 18 listopada, godz. 11:16*

Budzenie się ma wiele faz. Największą przytomność można z reguły osiągnąć za pomocą gwałtownego szoku, zwłaszcza termicznego.

Kiedy jego nagie ciało ochlapała wylana z wiadra woda z roztopionego śniegu, Berger czuł się, najdelikatniej mówiąc, rozbudzony. Jak na dany znak zza rogu wychynęła butelka szamponu. Wymienił ją na puste wiadro, kobieca dłoń znów zniknęła.

Namydlił całe ciało, chłód wgryzał się w niego mikrometr po mikrometrze, jeśli nie liczyć stóp – tam milimetrowe kroki sprawiały wrażenie siedmiomilowych. Po chwili ręka znów wysunęła się zza rogu, tym razem z pełnym wiadrem. Szybko wylał sobie jego zawartość na głowę i odwiesił je z powrotem na wyciągniętą rękę.

– Jeszcze jedno? – rozległ się głos Blom.

– Jeśli to nie problem – wykrztusił Berger.

Wiadro znów się ukazało. Wylał zawartość na głowę, potem zdjął ręcznik z gwoźdźnia na ścianie i zaczął się wycierać. Woda spływała mu po łydkach, gotowa przymrozić stopy do śniegu.

Nie zdążyła. Już po kilku sekundach się uwolnił, przebiegł obok Blom i wpadł z powrotem do domku, mniej więcej wytarty.

– Twoje zwykłe ubrania leżą w torbie – krzyknęła Blom z zewnątrz.

Szybko je znalazł i włożył. Wszystko wydawało się zdumiewająco zwyczajne, oprócz grubych śniegowców, których nigdy wcześniej nie widział, a jednak pasowały wyjątkowo dobrze. Wszedł na dwór i pośród pogrążonego w ciszy zimowego krajobrazu otulił białą puchową kurtkę białą peleryną. Molly Blom patrzyła na niego krytycznie.

– Co zrobimy z tą brodą? – zapytała.

– Zależy, co planujemy – odparł Berger.

Blom tylko skinęła głową i ruszyła przed siebie. Wciąż starannie odśnieżona ścieżka poprowadziła ich w dół wzgórza, na pozór prosto w pustkowie. Po chwili jednak wyłonił się kolejny domek, nieco większy niż tamten. Stała przed nim szufla do odśnieżania, nic więcej. Blom otworzyła drzwi i weszła do środka. Berger stał w progu i patrzył, jak zgarnia kilka rzeczy i wrzuca je do plecaka.

Rozejrzał się po domku. Tuż przy drzwiach zobaczył kilka akumulatorów samochodowych, ustawionych jeden na drugim. Na stosie leżała duża liczba zwykłych baterii, prawdopodobnie do lampek. Tak samo jak i w pierwszym domku, bez wątplenia bardziej obskurnym, i tu znajdował się kominek, z którego najwyraźniej nie należało korzystać. Berger był w opłakanym stanie, ale mimo to domyślił się, że chodzi o dym z komina. I o satelity.

A więc Molly Blom była przyczajona przez dwa tygodnie, bez żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym, z imbecylem w stosownej, lecz możliwej do ogarnięcia odległości. Próbował odkryć ślady jej aktywności. Akumulator stojący przy starannie zaścielonym łóżku był połączony kablami z transformatorem, a transformator z laptopem, pod którym stał podstawowy model drukarki.

– Żadnego połączenia z siecią? – spytał Berger.

– Minimalne – przyznała Blom. – I porządnie zabezpieczone. To było

konieczne.

– Googlowałaś satelity?

– Tak. Już wiem, do których z nich mogła mieć dostęp Säpo. Przelatują o konkretnych porach, wysłałam ci schemat na komórkę.

– A więc zamierzasz trzymać mnie w niepewności?

Blom narzuciła plecak. Przeciskając się koło Bergera, podała mu okulary przeciwsłoneczne. Ścieżka biegła dalej i coraz bardziej niknęła w śniegu. Ruszyli przed siebie. Niedługo potem już brnęli przez zasy.

– Nie szczęście nie jest tak głęboko – oznajmiła Blom, torując drogę. – Mimo to do najbliższej prawdziwej drogi mamy pięćdziesiąt kilometrów.

Wędrowali dalej. Słońce nadal świeciło lodowatym światłem, które, odbite w śniegu, stawało się jeszcze chłodniejsze. Okulary przeciwsłoneczne pozwalały uniknąć ślepoty śnieżnej, ale promienie nadal kłuły w oczy.

Berger spojrział na komórkę. Mimo ciemnych okularów widział schemat satelitów. Przelatywały trzy razy na dobę. Ale nie miało to nastąpić w ciągu najbliższych dwóch godzin.

Teren był surowy, nierówny, dziki, górzysty. Żaden samochód nie mógłby tędy przejechać, nawet taki z napędem na cztery koła.

– Jak, do cholery, dałaś radę mnie tędy wlec? – zapytał zdyszany Berger. – Kompletnie nie pamiętam, żebym tędy szedł.

– Tak samo jak przez las przy zatoce Ed – odparła Blom. – Igła z odpowiednią dawką. Mogłeś chodzić, ale niewiele więcej. Poza tym wtedy nie było śniegu, teren wyglądał zupełnie inaczej.

Blom sprawdziła kompas na komórce i odbiła lekko na południe. Szli przez nieokreślony czas, nie mówiąc ani słowa.

Po jakimś czasie pokrywa śnieżna się zmniejszyła i było łatwiej chodzić. Najwyraźniej wiał tu silniejszy wiatr. Zaczęły się pojawiać drzewa, małe i poskręcane – widocznie przekroczyli granicę drzew.

W oddali Berger zobaczył coś, co przypominało wiatę. Blom ruszyła w tamtą stronę pewnym krokiem i zaczęła odgarniać śnieg. Kiedy się dokopała do pni, Berger też przystąpił do pracy. Nie był w najlepszej formie, to nie ulegało wątpliwości. Po raz pierwszy w życiu zaskoczyła go własna słabość fizyczna.

– Ty to zbudowałaś? – zapytał i odrzucił na bok gałąź karłowatej brzozy.

– Na wypadek gdyby rzeczywiście prowadzili obserwację satelitarną – odparła Blom. – Ale nie sądzę. Säpo też musi brać pod uwagę budżet. Poza tym, jak mówiłam, nie jest to sezon wędrówek po górach. Ale nie chciałam ryzykować.

Ukazał im się tył jeepa. W kolorze wojskowej zieleni, jakżeby inaczej... Czyżby podprowadziła go z obozu wojskowego?

Rzuciła się na fotel kierowcy, bez problemu uruchomiła silnik, cofnęła. Kiedy Berger usiadł na miejscu dla pasażera, grzebała w plecaku. Wyjęła kartkę i mu ją podała.

– Na początku teren będzie trochę nierówny – oznajmiła. – Trzymaj się.

– Co mam z tym zrobić? – spytał Berger i stuknął w kartkę.

– Na przykład przeczytać – odparła Blom. I dodała gazu.

– „Do komisarz Desiré Rosenkvist”? – wykrzyknął Berger i zaczął czytać.

\* \* \*

Kiedy miejscami nieobecna naturalna ścieżka po raz pierwszy od wielu dziesiątek kilometrów zaczęła przypominać normalną drogę, Blom stanęła i zmieniła tablice rejestracyjne. Zaraz potem dotarli do wsi.

Latem Kvikkjokk była naturalnym punktem początkowym górskich wędrówek w okolicach parków narodowych Sarek i Padjelanta, ale na początku zimy wioska opustoszała. Kiedy jeep wjechał w okolicę, którą prawdopodobnie należało traktować jako aglomerację, nadal nie widzieli ani

jednego człowieka.

Ponad pięćdziesiąt kilometrów jazdy po wybojach na lapońskich pustkowiach w listopadzie zrobiło na Bergerze mniejsze wrażenie niż powinno. Powód był prosty: właśnie przeczytał dziwaczny tekst napisany na maszynie. Zapomniał nawet o chorobie lokomocyjnej. Zaczął czytać na głos:

– „Po raz pierwszy ten dźwięk pojawił się dwa miesiące temu. Trudno go opisać. Brzmi, jakby ktoś siedział w ścianie. Nie dobiega ani z wewnątrz, ani z zewnątrz i nie wydaje go człowiek”.

Blom posłała mu spojrzenie, nic więcej.

– Kto to napisał? – zapytał, kiedy mijali tablicę obwieszczającą, że zbliżają się do schroniska Kvikkjokk Fjällstation.

– I co się z nią stało? – odparła Blom i wjechała na parking pomiędzy kilkoma czerwonymi długimi budynkami. Najbardziej uparty fragment strumienia nadal walczył z rosnącą pokrywą śnieżną, ale było jasne, że wkrótce woda zostanie zatrzymana na pół roku.

– Naprawdę odpowiadasz pytaniem? – odparł Berger. – To ty dałaś mi ten papier. Wysłany, jak widzę, do mojej byłej koleżanki policjantki Deer. I to z nieprawidłowym stopniem służbowym?

– Czyżby twój wewnętrzny detektyw przeszedł na emeryturę? – powiedziała Blom. – Tak, to zostało napisane na maszynie, ale czy dałam ci oryginał? Czy może raczej wydrukowałam to na swojej małej drukarce, którą widziałeś w domku?

Berger patrzył na nią, kiedy wysiadała z samochodu.

– Czy to jest pewne? – spytał i wskazał otoczenie.

– Według naszych informacji tak – odparła. – Wstrzymaj się z pytaniami. I, bardzo cię proszę, uważaj na to, co będziesz mówił w ciągu najbliższych minut.

– Według naszych informacji? – odparł Berger, ale mówił do zamkniętych

drzwi samochodu.

Wysiadł. Ostre mroźne powietrze przedzierało się przez drogi oddechowe. Musiał kawalek podbiec, żeby dogonić Blom. To było dziwnie odświeżające. Weszli na pierwsze piętro długiego domu w kolorze czerwieni z Falun i znaleźli się w czymś w rodzaju loftu. Nigdzie nie było widać ani jednego człowieka, jakby cały wszechświat po prostu zamarł. Blom poprowadziła ich do drzwi i zapukała. Kiedy czekali, aż ktoś otworzy, odwróciła się do Bergera.

– Mam nadzieję, że twoje serce jest już mocne – powiedziała.

Berger tylko na nią patrzył.

Drzwi się otworzyły. Jego spojrzenie zatrzymało się na kobiecie o ostrzyżonych na pazia ciemnych włosach i czujnych brązowych oczach. Lekko się skrzywiła i zaprosiła ich do środka trochę niechętnym gestem.

Blom weszła do środka, Berger nie. Dopiero teraz jego stopy przymarły do ziemi, jakby tylko czekały na odpowiednią okazję.

– Deer? – zaczął niepewnie.

– Tak, tak – odparła ciemnowłosa kobieta. – Wejdz, zanim ktoś zobaczy tę brodę i zadzwoni na policję.

– Ale, co ty, do jasnej cholery, robisz w Kvikkjokk?

– Wejdz – powtórzyła cierpliwie Desiré Rosenkvist, jakby robiła coś podobnego bardzo wiele razy.

Szybkim gestem wskazała dwa krzesła obok czegoś, co przypominało maleńkie biurko. Na blacie leżały lornetka, trzy segregatory różnej grubości i napisany na maszynie list, który bardzo przypominał ten trzymany w ręku przez Bergera. Deer usiadła naprzeciwko nich i utkwiała wzrok w oczach Bergera.

– Oczywiście nie siedzę w Kvikkjokk – powiedziała. – Udało nam się uzgodnić, że to rozsądne miejsce na spotkanie.

– Nam? – odparł Berger i wyjrzał przez okno na górzystą pustkę. – Rozsądne?

– *In and out* – odparła enigmatycznie Deer. – Wolny dzień po weekendowym spotkaniu z szefostwem Narodowego Wydziału Operacyjnego policji NWO, bezpośredni lot do Kiruny, wypożyczony samochód, a potem lot powrotny. A co wy tu, kurwa, robicie?

Berger popatrzył jej w oczy. We własnych czuł pustkę.

– Nawet jeśli rozumiem każde słowo z osobna, nie dostrzegam tu nic, czego mógłbym się chwycić, Deer. No, może jedynie słowo „kurwa”... Do tego potrafiłbym się odnieść.

Deer znieruchomiała, przyjrzała mu się i w końcu powiedziała:

– Zostałeś zwolniony, tak jak przewidziałam. Zniknąłeś w związku z tragiczną śmiercią Strzały. Po kilku dniach wysłałam esemes na twoją prywatną komórkę. Odpisała mi Blom. Przez jakiś czas rozmyślałam nad tą odpowiedzią.

Berger oglądał widoki za oknem. W tej chwili to było dla niego najbardziej zrozumiałe.

– Znowu jest za dużo pytań – stwierdził. – Wyłączam się.

– Rozumiem, że byłeś wyłączony przez dobrą chwilę. Rozumiem, że zamierzaliście zainwestować wasze odprawy w sektor prywatny. Rozumiem, że twoja obecność na tym spotkaniu stała pod wielkim znakiem zapytania.

– Nie wiedziałem o nim – oparł Berger.

– Ale dostałeś maszynopis?

– Tak. Właśnie go przeczytałem. Kto jest autorem?

– To drugorzędne. Najważniejsze, czy coś wywołało twoją reakcję.

– Oczywiście, wiele rzeczy. Autorka żyje?

– Nic jej nie grozi – odparła Deer. – List został napisany dwa tygodnie temu, a ona dzwoniła z piwnicznych schodów. Policja z Jokkmokk zjawiała



się mniej więcej po godzinie. Nic nie wskazywało na to, że ktoś tam jest. I z całą pewnością nie było spuszczała pospolitego.

– Ale potem wysłała niedokończony list bezpośrednio do ciebie? I nazwała cię komisarzem?

– Jestem komisarzem – odparła Deer. – Tymczasowo wyznaczonym do pracy w NWO.

– Narodowym Wydziale Operacyjnym? Ale jak do tego doszło?

– Nasza grupa się rozpadła, Allan przeszedł na emeryturę, Strzała miała udar...

– Udar? – wykrzyknął Berger i poczuł, że dłoń Blom zaciska się na jego udzie. To sprawiło, że się opanował.

– Tak, a co? – Deer mu się przyglądała.

– Po prostu nie znałem przyczyny śmierci – poprawił się Berger.

– I nie byłeś też na pogrzebie... Co wy tu, do licha, robicie? Ukrywacie się? Oddajecie się miłosnym uniesieniom w jakimś igloo?

Blom uprzedziła Bergera z odpowiedzią:

– Umówiliśmy się na spokojne spotkanie, żeby podyskutować o przyszłości po tym, jak nasza kariera w policji dobiegła końca. Mamy czysto zawodowe relacje.

Deer popatrzyła na nią, pokręciła głową i demonstracyjnie odwróciła się do Bergera.

– W NWO pojawiła się posada od zaraz. Złożyłam podanie i ją dostałam.

– Gratulacje – odparł Berger.

– Jako pierwsza na moim biurku wylądowała Jessica Johnsson z Porjus. Tak jak pisze, jest znaną paranoiczką. Wszyscy w NWO kręcili głowami, kiedy pokazywałam im ten list. Kazali mi spalić to gównem

– Ale tego nie zrobiłaś?

– I oczywiście wiesz dlaczego, Sam?

Berger zmarszczył nos, ale się nie odezwał.

– Jeśli ten list jest zaadresowany do mnie – odparła Deer – to także do ciebie, prawda?

– Ja tu widzę tylko masę teorii spiskowych – wtrąciła Blom.

Spojrzenia Bergera i Deer skrzyżowały się ze sobą. Dopiero po dobrej chwili Deer odpuściła i rzekła:

– Tak. Jessica Johnsson pławi się w teoriach spiskowych. Ale jedno nazwisko się wyróżnia. Prawda, Sam?

– Karl Hedblom – mruknął Berger.

– Przeczytam: „O śladzie długopisu na pośladku Lisy Widstrand wspomniano nawet w lokalnej prasie, ale policja się tym nie przejęła – to pozwala spojrzeć z pewnej perspektywy na winę Karla Hedbloma”.

– Nasza pierwsza wspólna sprawa, Deer – odparł Berger.

– Do tego cholernie paskudna – dodała Deer. – Dała się we znaki. I to mocno. Minęło osiem lat, a ja pamiętam, jakby to było wczoraj. Po wielu bezsennych nocach.

– I myślisz, że wysłała ten list bezpośrednio do ciebie tylko z powodu Karla Hedbloma?

– Nie widzę żadnego innego powodu. O ile w ogóle to ona go wysłała.

– Ach – odezwała się Blom.

Berger i Deer spojrzeli w jej stronę.

– Nie skojarzyłam nazwiska Hedblom – uściśliła Blom. – Chodziło o podwójne morderstwo, prawda? Matki i noworodka?

– Wypożyczono nas ówczesnej Krajowej Policji Kryminalnej – powiedziała Deer. – W rowie na przedmieściach Orsy znaleziono zmasakrowane szczątki trzydziestopięcioletniej Heleny Gradén i jej czternastomiesięcznego syna Rasmusa. Dziecko było w wózku, przynajmniej częściowo. Co to było za morderstwo? Przede wszystkim dziecka, czy

kobiety? Śledczy rwali sobie włosy z głów i zaglądali pod każdy kamień. Serce aż się krajało, a ojciec, mimo przytłaczającej żałoby, przez długi czas był głównym podejrzanym. Dopiero kiedy góra odwróciła sytuację i zaczęła myśleć *outside the box*, coś się ruszyło. To nie był morderca dzieci ani kobiet, lecz morderca matek. Matek z synami. Potrzeba było potężnej wiedzy psychologicznej, mającej jak najmniej wspólnego z postępowaniem w sprawie Thomasa Quicka, żeby dotrzeć do prawdy. W końcu znaleziono człowieka z naprawdę poważnymi zaburzeniami, który akurat tego lata przebywał na kilkudniowym urlopie z pensjonariuszami swojego ośrodka, nieopodal Orsy. Mężczyzna nazywał się Karl Hedblom, miał dwadzieścia cztery lata i straszne dzieciństwo za sobą. Jego matka to istny potwór z piekła rodem. Helena i Rasmus zostali znalezieni dopiero po dwóch dniach. Karl Hedblom mógł w zasadzie wychodzić i przychodzić, kiedy chciał. W końcu w lesie pomiędzy miejscem odkrycia zwłok a ośrodkiem znaleziono świeżo postawiony szalaz ze śladami krwi w środku. Było w nim również DNA Hedbloma.

Blom skinęła głową, choć miała zmarszczone brwi.

– Ale to chyba jeden z najbardziej oczywistych przestępców w historii szwedzkiego wymiaru sprawiedliwości? – odparła. – Proces przebiegał niesłychanie szybko, a to ze względu na obfitość zgromadzonego materiału.

– To tabu, bo Jessica Johnsson jest znaną paranoiczką – powiedziała Deer.  
– Ale to tylko drugi powód. Sprawa jest nie do ruszenia przede wszystkim dlatego, że schwytanie Karla Hedbloma ukoronowało kariery wielu policjantów, między innymi naszego Allana Gudmundssona. Naprawdę wiele by trzeba, żeby go ściągnąć do domu z turnieju brydżowego.

– Turnieju brydżowego? – wykrzyknął Berger.

– Nie wiedziałeś, że Allan i jego żona należą do krajowej elity brydżowej? Po przejściu na emeryturę zaczęli jeździć po świecie i grać.

– O kurde.

Blom rozłożyła ręce.

– Dlaczego przelotna wzmianka w liście paranoiczki miałyby wywołać tak drastyczne kroki?

– Ta kwestia pozostała znakiem zapytania w śledztwie – odparł Berger. – Nie doczekała się wyjaśnienia, policja zachowała ją dla siebie, w końcu zniknęła pod warstwą kurzu. Chodzi o mały znak długopisem na lewym pośladku Heleny Gradén.

– Nie słyszałam o Lisie Widstrand, o której Jessica Johnsson wspomina w swoim liście – powiedziała Deer. – Okazało się, że to prostytutka z Göteborga, która została brutalnie zamordowana przez nieznanego klienta. Sprawa jest nierozwiązana, ale widziałam zdjęcia. Rzeczywiście na jej lewym pośladku jest znak wykonany długopisem.

– Ale co to za znak? – spytała Blom. – I jak to możliwe, że policja z niczym go nie powiązała?

Deer rozłożyła ręce.

– Zabójstwa prostitutek są bardziej powszechne niż można by sądzić i często nie wzbudzają zainteresowania mediów. Niestety, nie mają najwyższego priorytetu.

– To była bardzo starannie narysowana czterolistna koniczyna – oznajmił Berger.

Zapadła cisza. Przyglądali się sobie. Uważnie.

– Jessica Johnsson zaadresowała list do NWO i napisała „komisarz Desiré Rosenkvist”. Awansowano mnie tuż przed tym, jak go wysłała. Jakimś sposobem mnie śledziła. A więc prawdopodobnie wie, że byłam zaangażowana w sprawę Gradén. Jest dość duże prawdopodobieństwo, że to wszystko, co chciała powiedzieć tym listem: że Karl Hedblom może być niewinny. I chciała to powiedzieć akurat mnie. Dlaczego?

Berger pokiwał głową.

– Dlaczego jesteś teraz na potajemnym spotkaniu z parą wyrzuconych z pracy gliniarzy, którzy według ciebie się ukrywają?

– Kierownictwo NWO wydało zarządzenie, że nikomu nie wolno się zadawać z Jessicą Johnsson. Jest typową pariaską. Inaczej mówiąc, nie mogę zrobić tego sama. Poza tym sądzę, że z tobą, Sam, porozmawia równie chętnie jak ze mną. Ona coś wie. Chcę, żebyście ją przesłuchali, jak najbardziej nieoficjalnie. Chcę wiedzieć, czy to jest warte zachodu i cierpienia, które spowoduje otwarcie tej sprawy.

– Rozumiem, że obie już się co do tego zgodziłyście? – odparł Berger. – Nie wiem, czy jestem na tyle zdrowy, żeby odgrywać prywatnego detektywa.

Deer pchnęła w ich stronę trzy teczki. Ta po lewej była znacznie grubsza niż dwie pozostałe.

– Sprawa Gradén – oznajmiła Deer i postukała w nią palcami. – Sprawa Widstrand. I wreszcie akta Jessiki Johnsson. Pojedziecie tam jako przedstawiciele NWO, będziecie się do mnie odwoływać tylko jako do źródła informacji, nic ponadto. Prześlę fałszywe legitymacje i wizytówki. Cała sprawa jest ze wszech miar nieoficjalna. Jeśli się zbłąźnicie, wszystkiego się wyprę. Już dzwoniłam do Jessiki Johnsson i poinformowałam ją, że przyjedziecie. Macie się zachowywać tak, jakbyście przyjechali zbadać sprawę tajemniczego mężczyzny, który rzekomo ją śledzi. Ale tak naprawdę ustalicie, co ona wie na temat zabójstwa Heleny Gradén, Rasmusa Gradéna i Lisy Widstrand.

Berger odwrócił się do Blom. Powoli pokiwała głową.

– Gdzie, do cholery, leży Porjus? – zapytał Berger.

– Tuż tuż – odparła Deer i wstała.

Następnie wręczyła im solidny telefon satelitarny.

## 8

*Środa 19 listopada, godz. 14:08*

W Laponii „tuż tuż” w żadnym wypadku nie oznacza niewielkiej odległości. Przeciwnie – to określenie ma w sobie autoironię.

Jednak w porównaniu z naturalną ścieżką wiodącą z bieguna niedostępności droga z Kvikkjokk do Vaikijaur była wyjątkowo zadbana. Kiedy słońce schowało się za górami w magicznej miksturze kolorów, a wskazówka zegara minęła czternastą, prawie dotarli do najdłuższej drogi w Europie.

Europejskie drogi przecinają kontynent wzdłuż i wszerz, ale żadna nie biegnie tak daleko i tak prosto na północ i południe jak E45. Przegryza się przez pięć tysięcy kilometrów od Geli na południowym wybrzeżu Sycylii do Karesuando – najdalej na północ wysuniętej miejscowości Szwecji. Z południowego krańca Unii Europejskiej na północny. W północnej Szwecji na tę drogę mówi się Inlandsvägen. Z Vaikijaur w Laponii biegnie dalej na północ w kierunku Porjus.

Przez całą drogę z Kvikkjokk w jeepie panowała cisza. Po obu stronach skrzyni biegów trwało przetwarzanie informacji.

– Czyli nie wiedziałaś? – odezwał się w końcu Berger.

– Wiedziałam, że Rosenkvist czegoś od ciebie chce – odparła Blom. – Ale

nie wiedziałam czego.

– To znaczy, że Deer wysłała esemes na mój prywatny zapasowy telefon? Podejrzewam, że ze swojego. Dwa anonimowe telefony na kartę w bezkresnej cyberprzestrzeni. Co dokładnie napisała?

– „Jak się masz? Nie mogę się z tobą skontaktować w inny sposób. Ważne”.

– „Ważne”?

– To sprawiło, że odpisałam – odparła Blom. – Krótko. Tak, jakbyś nie chciał, żeby ci przeszkadzano.

– To znaczy, że nad Kåtadjuret jest zasięg?

– Nad Kåbtåjaure. Nie, nie ma. Jednak w pewnych warunkach atmosferycznych sygnał potrafi się przebić, jeśli człowiek stoi w odpowiednim miejscu. Rosenkvist poprosiła mnie o przesłanie maila na adres, który wyglądał na nieoficjalny. Poszłam w odpowiednie miejsce, udało mi się nawiązać połączenie, przyznałam, że to ja piszę i jestem daleko, poinformowałam, że na jakiś czas wypadłeś z gry... nazwałam to „grypą żołądkową”... W odpowiedzi dostałam ten napisany na maszynie list. Kiedy zapytała, czy przypadkiem nie jesteśmy na północy, nabrałam podejrzeń. Może Säpo dobrała się też do niej. Ale wyjaśniła sytuację, a ja w miarę możliwości próbowałam ustalić, ile jest w tym prawdy. Napisałam, że jesteśmy elastyczni. Potem na miejsce spotkania wybrałam Kvikkjokk, jako coś w rodzaju neutralnego gruntu pomiędzy nami a Porjus.

– Zakładam, że już w mailu dostałaś nazwisko Jessiki Johnsson? – odparł Berger. – Sprawdziłaś je? Kim ona jest?

– Nie do ruszenia, tak jak mówiła Rosenkvist. Wysyłała takie listy na policję od lat. Jedna z tych kobiet nie do zniesienia.

– Przeczytałem list jeszcze raz. Nasza Jessica naprawdę tkwi w mroku.

– Wielką literą i tak dalej – odparła Blom. – Opowiedz o Helenie Gradén.

Berger patrzył w ciemność, która była już kompletna.

– Próbowałem odpuścić – powiedział w końcu.

– Ciężka sprawa?

– Tam było nagranie wideo...

W jeepie zapadła cisza. Minęło pół minuty, potem Berger mówił dalej:

– Czternastomiesięczny Rasmus stawiał pierwsze kroki. Helena Gradén tak się cieszyła, była taka roześmiana, że Rasmus też zaczął się śmiać. I ten śmiech mnie prześladowe. Śmiech mamy i dziecka, który się splatał w coś w rodzaju oczywistej... sieci życia. Nie potrafię tego do końca wyjaśnić. Naprawdę to przeżyłem. Tydzień później oboje byli martwi. Zmasakrowani.

Blom przez jakiś czas nic nie mówiła. W końcu posłała mu szybkie spojrzenie i oznajmiła:

– Możemy wrócić, jeśli chcesz.

– Nie – odparł zdecydowanie Berger. – Asystowałem Allanowi podczas decydującego przesłuchania Karla Hedbloma. Allan był wtedy ostry, wyciągnął z niego to, co najgorsze, a Karl okazał się szalony i brutalny. Żywił głęboką nienawiść do matek. Umieszczenie go w kiepsko pilnowanym ośrodku było błędem. Jeszcze większym błędem było wysłanie go na wycieczkę z podopiecznymi wspomnianego ośrodka... Coś poszło bardzo nie tak w czasie oceny jego stanu psychicznego, ordynator za to wyleciał z pracy... Jednocześnie w samym uczynku było coś, czego Karl kompletnie nie rozumiał. Allan mocno naciskał i przez cały czas wszystko się zgadzało, dopóki nie zaczęto omawiać tych dwóch dni w szalacie.

– Co się wtedy stało? – spytała Blom.

– Karl Hedblom się przyznał. Bez najmniejszego wahania. Jednak sprawozdanie z rzeczywistych okoliczności pozostawiało wiele do życzenia. Ponieważ fizyczne dowody były przytłaczające, sąd uznał, że wszystko wskazuje na to, iż Hedblom znajdował się w stanie psychozy i po prostu nie



pamiętał szczegółów.

– Ciebie też to przekonało?

– Tak – odparł Berger. – Wszystko razem.

– Czy Hedblom wspomniał o rysunku długopisem?

– Wyznał, że go zrobił, i dalej nie dopytywano. W porównaniu z resztą mały rysunek na pośladku był czymś najzupełniej marginalnym.

– Zakładam, że opowiesz mi o reszcie...

– Reszta jest chociażby tutaj. – Berger wskazał teczkami ciemne wnętrze jeepa.

Ze stosu wypadły dwie wizytówki. Berger podniósł je z kolan i skupił uwagę na tekście. Skrzywił się z niesmakiem.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła Blom.

Reflektory jeepa na krótko oświetliły fasadę domu pięćdziesiąt metrów dalej. Po chwili Blom wyszarpnęła kluczyk ze stacyjki i pozostała tylko bardzo blada poświata. Padała z werandy nad schodami, które prowadziły do anonimowego starego domu na płaskim wzgórzu pośrodku pustkowia. Nie było widać żadnych innych świateł, nawet gwiazd, a co dopiero księżyc.

Blom wysiadła, Berger poszedł za nią. Obok parkingu spostrzegli ścianę garażu, po drugiej stronie samochodu biegła słabo zaznaczona ścieżka do domu. Blom oświetliła ją latarką. Warstwa śniegu była gruba i nietknięta. Ktoś śledzący tę kobietę na pewno zostawiłby wyraźne ślady.

Ślizgając się, weszli po schodach i zadzwonili do drzwi. Berger odwrócił się na słabo oświetlonej werandzie i popatrzył na mroźną lapońską noc. Była najwyżej piętnasta i panował nieprzenikniony mrok. Berger próbował się trzymać terażniejszości, ale mrok nieubłaganie ciągnął go w stronę rowu nieopodal Orsy.

Wózek dziecięcy. Dłoń matki, która mimo nienaturalnej pozycji nadal go trzymała. Krew.

Berger nie widział miejsca odkrycia zwłok. Nie wtedy. Widział zdjęcia – bezwstydnego, natarczywego zdjęcia. Widział miejsce zbrodni później, kiedy nie było tam już zwłok. To tylko pogorszyło sprawę: wyobrażenia wypełniła luki.

Odgłos gwałtownie otwieranych drzwi wyrwał go z mrocznych głębin pamięci. Kobieta, która pojawiła się w drzwiach, nie wywarła na nim wielkiego wrażenia i zdążyła się odwrócić, zanim dokładnie jej się przyjrzał. Dostrzegł tylko grubego sweter i pasujące do niego skarpetki.

Usiedli przy ciemnym stole w jeszcze ciemniejszym salonie. Berger położył na blacie odwróconą komórkę i w roztargnieniu mieszał herbatę, zerkając w bok do sypialni. Widział biurko i stojącą na nim starą maszynę do pisania.

– Będziecie rozmawiać o spuszczeniach pospolitych? – spytała kobieta i zapaliła dwie świece.

Wtedy Berger po raz pierwszy naprawdę zobaczył Jessicę Johnsson. Świece rzuciły światło na jej bladą twarz. Miała pomiędzy trzydziestką a czterdziestką i cała jej postać emanowała nerwowością. Była nieumalowana, miała ciemne, krótko ostrzyżone włosy i chociaż uciekała wzrokiem, jej niebieskie oczy były bystre.

– Żadnych spuszczeń – odparła Blom.

– Jestem bardzo wdzięczna, inspektor Lundström.

– Co się stało w chwili, kiedy przestała pani pisać? – spytał Berger. – Przerwała pani w połowie zdania.

– Nie rozumiem...

– Ostatnie zdanie pani listu brzmi: „Maleńki płomień świecy zostaje zdmuchnięty i w tej samej chwili słyszę”. Dalej nie ma nic więcej. Wysłała pani list na policję, nie skończywszy go. Dlaczego?

Jessica Johnsson postanowiła obserwować wizytówkę zamiast rozmówcy.

– Inspektor Lindbergh, tak? – powiedziała. – Przez h? Co oznacza C.? „C.

Lindbergh”.

– Proszę po prostu odpowiedzieć na pytanie – powiedział Berger. – Co takiego pani usłyszała, kiedy poczuła w sypialni zimny podmuch wiatru? W chwili, gdy zgasł płomień świecy?

– Otworzyły się główne drzwi – odparła Jessica Johnsson i po raz pierwszy na niego spojrzała. W tym spojrzeniu była szczerść, choć niezupełna.

– I co pani wtedy zrobiła?

– Pobiegłam do drzwi piwnicy i rzuciłam się do środka. Na piwnicznych schodach zadzwoniłam na policję. Nie chciałam schodzić, nie byłam w piwnicy od dwóch lat.

– Kiedy człowiek sądzi, że do jego domu wszedł przez drzwi obłąkany morderca, chyba powinien odruchowo się ukryć?

– Nie myślałam racjonalnie. Przykro mi. A na schodach powinien być lepszy zasięg.

– Czyli myślała pani racjonalnie?

– Tak, choć odruchowo. Nie zdawałam sobie sprawy, że myślę racjonalnie.

Berger pokiwał głową i przyglądał się kobiecie. Kiedy służył w policji, był dobry w ocenianiu ludzi. Nie mógł przecież stracić tej umiejętności w dwa tygodnie. Jednak Jessicę Johnsson trudno było ocenić. Brakowało szaleństwa, które świeci własnym blaskiem w oczach ludzi dotkniętych paranoją. Z drugiej strony brakowało błysku inteligencji – takiej, jaką emanowała siedząca obok niego Molly Blom. Wyglądało to raczej tak, jakby jej spojrzenie zapadło w zimowy sen – było jednocześnie ospałe i nerwowe, a w kącikach ust błąkał się dziwny uśmiezek. Berger widział, jak analityczny wzrok Blom pada na Johnsson. Zastanawiał się, czy ona też ma takie problemy z wydaniem osądu.

- Jak długo czaiła się pani na schodach do piwnicy? – zapytał.
- Do przyjazdu policji.
- I przez ten czas nic pani nie słyszała?
- Słyszałam podgrzewacz.
- Podgrzewacz?
- Podgrzewacz wody – odparła Jessica Johnsson. – Wydaje głuchy pomruk. Nie lubię tego dźwięku. Dlatego przestałam korzystać z piwnicy.
- Ale nic nie dobiegało z góry?
- Już mówiłam, pani i panie władzo: nic. Zamknęłam drzwi na klucz i znalazłam przy schodach stary toporek strażacki. Trzymałam go tak kurczowo, że musieli mi odginać wszystkie palce po kolei.
- Czyli przed przyjazdem policji ani przez chwilę nie była pani na górze?
- Nie. Krzyczeli: „Tu policja. Pani Jessico, gdzie pani jest?”.
- Wydawali się zaniepokojeni?
- Nie. Wiem, co sobie o mnie myślą. Jedne z pierwszych słów, jakie usłyszałam brzmiały: „Spuszczel pospolity”.
- Wtedy list nadal był w maszynie?
- Tak. Nawet nie spojrzeli na niego. Kiedy poszli, przypomniałam sobie, że miałam go wysłać. Żebyście zrozumieli, jak się czuję. Żeby sprowadzić tu innego policjanta niż ten niewydarzony gliniarz z Jokkmokk.
- I sprowadziła pani. Proszę więc mówić. Dlaczego zaadresowała pani list akurat do komisarz Desiré Rosenkvist?
- Kilka tygodni temu widziałam ją w telewizji – odparła Johnsson. – Chodziło o sprawę porwania w Sztokholmie... Ellen jakiejś tam. Odpowiadała na pytania. Robiła korzystne wrażenie. Kiedy trochę później ją znalazłam, okazało się, że jest komisarzem w NWO. Pomyślałam, że może potraktuje mnie poważniej niż miejscowa policja.

Berger skinął głową.

– Z pewnością nie podkrada się do pani nikt obcy. Na pewno wie pani, kim jest ten człowiek. Dlaczego nie chce pani powiedzieć?

Jessica Johnsson mu się przyglądała. Tak, kiedy już skupiła na nim wzrok, w jej spojrzeniu była ostrość, ale też coś jeszcze. Czyżby strach? Czy wyglądała tak, jakby wiedziała, że ktoś chce ją dopaść?

– Ale ja naprawdę nie wiem – odparła.

Berger opadł na oparcie krzesła i się nie odzywał. Miał nadzieję, że Blom prawidłowo odczyta ten gest i przejmie inicjatywę.

Tak też się stało.

– Wybrała pani bardzo odludne miejsce zamieszkania, pani Jessico – zaczęła Blom. – O ile wiem, nie ma pani pracy, męża ani dzieci. Ucieka pani przed czymś?

– Chcę tylko mieć spokój – mruknęła Johnsson.

– Spokój od czego? Przeniosła się pani tutaj, żeby przed kimś uciec?

– Przed ludźmi jako takimi. Tak jak powiedziałam, chcę tylko mieć spokój.

Blom wlepiła w nią wzrok. Berger to dostrzegł, podążył za jej spojrzeniem. Rzucił szybko okiem na telefon: nagrywanie przebiegało bez problemów.

– Pochodzi pani ze Sztokholmu – odezwała się Blom. – Dorastała pani w Rågsved, ale duża część pani akt jest pusta.

– A dlaczego w ogóle macie moje akta? Przecież nie jestem o nic oskarżona.

– Staramy się mieć na oku ludzi, którzy szczególnie często kontaktują się z policją – odparła Blom. – Choć jeśli doszło do przestępstwa, będziemy musieli się przyjrzeć dokładniej.

– Do przestępstwa?

– Ukrywania dowodów – odparła Blom i odwróciła się do Bergera.

Berger z powagą pokiwał głową.

– Tak, myślę, że powinniśmy pogrzebać nieco głębiej w przeszłości pani Jessiki Johnsson. Pewnie tam znajdziemy spuszczała pospolitego.

Spojrzenie Jessiki Johnsson padło na Bergera. Odwzajemnił je. Wiedział, że nikt tak bardzo nie lubi mówić jak paranoicy. To wręcz prawo naturalne – chęć, aby za wszelką cenę dać głos wszystkim prawdom wyciszonym przez ludzi trzymających władzę. Johnsson była powściągliwa, nie wypowiadała ani słowa bez potrzeby. A jednak wrzeszczała wniebogłosy, żeby sprowadzić do siebie innych policjantów niż lokalni.

Żeby sprowadzić Deer.

A teraz milczała.

Dlaczego?

– Jak pani myśli, kto panią obserwuje? – zapytał Berger.

Jessica Johnsson tylko ponuro pokręciła głową. Berger próbował uchwycić każdy niuans w jej ruchach, ciągłe zmiany w spojrzeniu, niewypowiedziane słowa. Widział rozbieżności pomiędzy napisanym przez nią tekstem, a jej zachowaniem, pomiędzy paranoiczną osobowością a spojrzeniem.

Pomyślał, że musi dokładniej przeanalizować uciekające spojrzenie.

Przypomniał sobie dawne, rozstrzygające o życiu i śmierci przesłuchanie enigmatycznej kobiety – Nathalie Fredén. Ponownie zerknął na Molly Blom. Tym razem spojrzała mu w oczy i ledwo dostrzegalnie skinęła głową.

Berger skinął tym wyraźniej, wyłączył nagrywanie w komórce i schował ją do wewnętrznej kieszeni starej marynarki. Potem wstał i oznajmił:

– Myślę, że powinniśmy przystąpić do bardziej formalnego przesłuchania, z nagraniem wideo i dobrym oświetleniem. Możemy je przeprowadzić na komisariacie w Jokkmokk, jeśli pani chce. To w końcu nieopodal.

Jessica Johnson tylko na niego patrzyła.

– Możemy też przeprowadzić je tutaj – ciągnął Berger. – Wówczas miałyby nas pani z głowy znacznie szybciej. Proszę zdecydować.

– Tutaj – odparła Johnsson.

– Dobrze – powiedział Berger. – Zamontujemy kilka lampek i tak dalej. Ale najpierw zajmiemy się oględzinami domu.

– Oględzinami domu?

– Pokaże nam pani cały dom i jego okolicę. Zakładam, że policja z Jokkmokk nie zadała sobie tego trudu?

Jessica Johnsson wstała i posłała mu martwe spojrzenie. Po raz drugi w krótkim czasie pożałował, że nie nagrał wszystkiego na wideo.

Jessica zaprowadziła ich na piętro. Nie było tam wiele do oglądania. Blom przez cały czas miała uniesiony telefon, robiła zdjęcia. Berger zajrzał do pomieszczenia pod spadzistym dachem. Latarka należąca do przenośnego wyposażenia Blom oświetlała tylko pyłki kurzu, które wskazywały podmuchy wiatru niewyczuwalne dla człowieka. Pyłki przez chwilę wirowały i z powrotem opadały na stare walizki, a raczej kufry w rodzaju tych, które wychudzone szkapy imigrantów ciągnęły po amerykańskich preriach.

– Stały tu, odkąd się wprowadziłam – oznajmiła Jessica Johnsson.

– I nie sprawdziła pani, co w nich jest?

Pokręciła głową. Poszli dalej. Dwie sypialnie, każda z własną przestrzenią wzdłuż najniższych partii kalenic. W pierwszej sypialni było gołe samotne łóżko. Drewniane szczeble przypominały obnażone żebra. W drugiej pomieszczenie pod dachem było pełne kurzu, lecz puste, a sofę i fotel pokrywały białe płótna w rodzaju tych, pod którymi rodziny kupców z końca dziewiętnastego wieku chowały meble, kiedy należało się pożegnać z letnimi przyjemnościami i przygotować do zimy.

– Pani to zrobiła? – zapytał Berger.

Jessica Johnsson tylko pokręciła głową. Ale Berger nie dawał za wygraną. Niestrudzenie ją obserwował w bezwzględnym świetle latarki.

– Tak było, odkąd się tu wprowadziłam – powiedziała w końcu. – Kilka razy wyprałam te narzuty i to wszystko.

Wyszli z sypialni. Berger chwilę się ociągał, przesuwał palcem po białym pokryciu sofy. Wyszli do klatki schodowej. Stały tam meble, które wyglądały, jakby nikt na nich nie siedział od przełomu wieków. Zeszli z powrotem, wkroczyli do kuchni. Panował w niej porządek, była podniszczona, ale nie obskurna. Berger spostrzegł, jak Blom ukradkiem przeciąga palcem po powierzchni w jednym z kątów.

Poza tym dolny poziom składał się z salonu, który meandrował wokół schodów i dawał się podzielić na trzy części: sień, w której hol stapiał się z czymś w rodzaju przedsionka wiodącego do trzech krzeseł, otwartą przestrzeń z małym telewizorkiem na ścianie przed kanapą i pomieszczenie przypominające jadalnię, w którym wcześniej odbyli krótkie przesłuchanie. W końcu weszli do sypialni. Berger przyjrzał się starej maszynie do pisania i rzucił okiem na łóżko, dokładnie tak starannie pościelone i surowe, jak mógłby się spodziewać.

– Piwnica – rzucił.

– Naprawdę musimy? – spytała Jessica Johnsson.

– Tak – odparła Molly Blom i odblokowała telefon. – Jesteśmy z panią, nie ma się czego bać.

Johnsson zaprowadziła ich do pomalowanych na biało drzwi, w których tkwił stary klucz. Przekręciła go i posłała im czujne, wręcz lekko rozbawione spojrzenie. Z charakterystycznym dla siebie słabym, dziwnym uśmiechem otworzyła drzwi.

– Zwykle nie jestem takim tchórzem – oznajmiła.

Zobaczyli mrok, który jakby wystrzeliwał z dołu. Berger spostrzegł, że



Blom robi krok w bok, jakby chciała przepuścić ciemność. Kiedy pokonali pierwsze stopnie w dół, owionęła ich woń nieobecności.

Blom włączyła swoją mocną latarkę, oświetliła schody i poczekała, aż reszta pójdzie przodem. Za ich plecami przymocowała telefon komórkowy do poręczy schodów.

A potem zrobili jeszcze jeden krok.

## 9

*Środa 18 listopada, godz. 21:44*

Z początku wszystko jest mocno rozedrgane. Białe drzwi ze starym kluczem w zamku. Dłoń, która go przekręca.

Potem ciemność, głęboka ciemność. Mocna latarka, schody wyłaniające się jeden po drugim. Szeroka piwnica umyka z pola widzenia po obu stronach schodów. Wszystko w dalszym ciągu mocno drga.

W końcu obraz nieruchomieje, stabilizuje się. Prawy górny róg pokrywa nagle ciemna powierzchnia, prawdopodobnie belka biegnąca równolegle do schodów. Pole widzenia jest już zupełnie stabilne.

Ukazują się plecy kobiety schodzącej po schodach. Potem jeszcze jedna postać, mężczyzna, i w końcu kobieta o jaśniejszych i dłuższych włosach – to ona trzyma latarkę. W połowie drogi na dół odwraca się i patrzy na schody, jakby chciała się upewnić, że wszystko jest na miejscu.

To ona zdaje się mieć ogłęd sytuacji.

Przystają u podnóża schodów. Odległość do nich zrobiła się duża. Ale nie pomiędzy nimi. Przyciąga ich do siebie niemal magnetyczna siła. Padają ciche słowa, słychać tylko burczenie, takie jak ze starego kotła centralnego ogrzewania. Zapala się kolejna latarka. Wiązki światła rozchodzą się po piwnicy.

Za pierwszą kobietą, tą o ciemniejszych włosach, idzie mężczyzna, który niedawno włączył latarkę. Druga wiązka światła porusza się niezależnie, w prawo. Blondynka rzadko jest widoczna. Kiedy pada na nią światło, akurat przerzuca klamoty. Są wśród nich bardzo stare meble ogrodowe, zardzewiałe rowery, pokaźna liczba opon samochodowych, zeżarte przez mole plandeki przykrywające niewiadome przedmioty.

Mężczyzna i kobieta po lewej znikają w mroku. Od czasu do czasu widać omiatający przestrzeń stożek światła i niewiele więcej. W końcu wszyscy troje idą do drzwi, zza których dobiega głuchy pomruk. Stają przed nimi. Brunetka przywołuje gestem blondynkę, mężczyzna też macha ręką, fragmenty wypowiedzi co jakiś czas zagłuszają stłumiony pomruk bojlera.

Mężczyzna wyciąga rękę do klamki. Ale nie sięga.

Drzwi otwierają się z pełną siłą, a odgłos bojlera staje się bez porównania silniejszy. Mężczyzna dostaje drzwiami w głowę, przewraca się do tyłu. Blondynka unosi latarkę jak do ciosu, wiązka światła sunie po suficie, ale coś, co wygląda jak polano, uderza kobietę w skroń. Mężczyzna wstaje oszołomiony i dostaje tym samym polanem prosto w ciemię. Upada.

Dopiero wtedy z gęstych ciemności pomieszczenia z bojlerem wyłania się postać. Jest wielka, przypomina cień, wręcz samą sylwetkę. Bojler warczy tak mocno, że nie słyhać żadnych głosów, wszystko wygląda jak pantomima, wszystkie ruchy są dziwnie kanciaste.

Postać zadaje leżącemu mężczyźnie jeszcze jeden cios polanem i odwraca się do blondynki, skulonej na klęczkach. Uderza ją w tył głowy, kobieta pada na podłogę.

Mężczyzna zerka na oboje leżących i wyciąga coś z kieszeni. Ciemnowłosa kobieta zakrywa rękami twarz, postać odciąga ją na bok i szybko przywiązuje jej dłonie do poręczy opaskami zaciskowymi. Kobieta opada na kolana, z rękoma wykręconymi ku górze. Nie widać jej twarzy.

Postać ciągnie powalonego na ziemię mężczyznę do ściany po prawej i przywiązuje mu nadgarstki do kaloryfera. Potem robi to samo z blondynką. Mężczyzna i kobieta siedzą przywiązani do dwóch różnych kaloryferów, pięć metrów od siebie, a postać z powrotem skupia uwagę na ciemnowłosej kobiecie przy schodach. Wyciąga z kieszeni duży myśliwski nóż i rusza w jej stronę. Po raz pierwszy słowa zagłuszają dziki pomruk bojlera, powietrze przecina przenikliwy krzyk kobiety.

Sylwetka podchodzi bliżej, unosi nóż i kieruje go w jej stronę. Przecina opaski zaciskowe, chwytając wierzgającą kobietę i wnosi ją po schodach. W chwili kiedy mija kamerę, w słabym świetle uchylonych drzwi piwnicy jego twarz staje się widoczna. I nie jest to twarz.

To raczej kominiarka i widać ją może pół sekundy, kiedy postać przechodzi obok. Słychać dźwięk zamykanych drzwi i rozpoczyna się chaotyczny ruch. Potem wszystko nieruchomieje. Widać tylko coś, co wygląda na bardzo słabo oświetloną foliową torbę.

Dźwięk bojlera został zagłuszony przez metaliczny głos kobiety:

– Czy to koniec?

– Komórka spadła – przyznał bardziej naturalny damski głos.

– A Jessica Johnsson? Co się z nią, do cholery, stało?

– Ślady krwi w domu i na śniegu, ślady kół i otwarte drzwi do garażu. Zbyt dużo krwi, żeby mogła pozostać przy życiu, to istna krwawa łaźnia. Wszystko wskazuje na to, że ten świr ją zabił i odjechał ze zwłokami.

Dopiero kiedy kobieta o metalicznym głosie wydała głęboki jęk, Berger rozpoznał Deer. Rozmawiali przez telefon satelitarny, siedząc przy stole w jadalni, tam, gdzie kilka godzin wcześniej przesłuchiwali Jessicę Johnsson. Berger opuścił serwetkę, którą przyciskał do głowy, i przyjrzał się krwi w rozmaitych odcieniach i różnych stadiach skrzepnienia. To było jak *déjà vu*.

Blom siedziała po drugiej stronie stołu z podobną serwetką przyciśniętą do głowy i słuchawką przy uchu.

– Mieliście, kurwa, tylko tu przyjechać i ją przesłuchać – wrzeszczała Deer ze słuchawki. – Zamiast tego zrzucacie mi na głowę jakieś diabelstwo.

– Zaatakował nas, Desiré – powiedziała Blom. – Byliśmy kompletnie nieprzygotowani.

Przez chwilę panowała cisza. Berger miał wrażenie, że nawet na odległość słyszy, jak Deer przełyka całą wiązanekę słów. W końcu powiedziała:

– Czyli zeszliście do kompletnie ciemnej piwnicy w leżącym na pustkowiu domu, u kobiety, która zgłosiła, że ktoś ją prześladowuje, i byliście „kompletnie nieprzygotowani”?

Cisza stała się trzecią osobą w pomieszczeniu, wyjątkowo nachalną.

– To wszystko, co jest na filmie? – spytała w końcu Deer.

– Film trwa jeszcze dziesięć minut – odparła Blom. – Do wyczerpania baterii w komórce. Kamera pokazuje tę foliową torbę przy schodach. Ocknęłam się szybciej niż Sam, a i tak byłam nieprzytomna prawie trzy godziny. Potem przez dwadzieścia minut przegryzałam opaski. W końcu mogłam podpełznąć do Sama i nim potrząsnąć, żeby się ocknął.

Berger rozejrzał się w ciemności. Dom był już zupełnie innym miejscem. Tak jak i cały świat.

– Jesteście pewni, że nikt już nie został w domu? – spytała Deer.

– Kiedy się obudziliśmy, byliśmy kompletnie skołowani – odparła Blom. – Poza tym, jak mówiłam, minęły trzy godziny. Nie byliśmy pewni, w jakim jesteśmy stanie fizycznym, może mieliśmy trwałe uszkodzenia mózgu. W końcu powlekliśmy się na górę i w miarę możliwości próbowaliśmy zabezpieczyć dom. A więc podłączyć komórkę do ładowania, przynieść telefon satelitarny z samochodu... To wtedy zobaczyłam ślady krwi na śniegu. I to nie były zwykłe ślady krwi. Wyglądały, jakby kogoś niesiono i co

jakiś czas stawiano w śniegu, prawdopodobnie w czymś, co przypomina trumnę.

– Na górę nie wchodziliście?

– Podjęliśmy próbę...

– Powiedz, do cholery, że macie coś więcej – wrzasnęła Deer.

Blom zamrugała i na ułamek sekundy zmarszczyła nos.

– Nie zaglądaliśmy na górę. Ale obejrzeliliśmy cały dół.

– Z kamerą?

– Tak.

Deer donośnie westchnęła. Berger się skrzywił i jednocześnie poczuł smak krwi w kąciku ust. Wytarł je ponownie. Serwetka w zasadzie przestała się nadawać do użytku. Potrzebował nowej.

Blom zaczęła coś majstrować przy telefonie i połączyła ich ze stacją bazową telefonu satelitarnego.

– Teraz – powiedziała.

Duży pokój jest maksymalnie oświetlony, jakby ktoś chciał przegonić długie koszmary. Obraz zostaje przekreślony i ukazuje się stół. Nie widać jeszcze telefonu satelitarnego, ale za to leży tam pokaźna liczba poplamionych krwią serwetek. Ruch trwa dalej – kamera wędruje przez duży pokój, skręca w lewo do pokoju z telewizorem i kanapą. Na podłodze przy kanapie nagle widać jakiś błysk, światło lampki do czytania odbija się w dużej kałuży na podłodze. Kiedy kamera się zbliża, widać, że to kałuża krwi. Na środku jest zupełnie klarowna, o lekko skrzepłej powierzchni. Od kałuży odchodzą lepkie ślady – trzy z nich to ślady stóp o rozmiarze co najmniej czterdzieści pięć. Widać też trzy dość wyraźne linie, jakby kogoś ciągnięto. Prowadzą do przedpokoju. Nagle skręcają, w kierunku schodów na piętro. Kamera podąża za nimi do pierwszego stopnia. Potem obraz zaczyna się trząść jeszcze bardziej, wszystko wiruje i po chwili widać tylko sufit.

Przez ekran przelatuje twarz Bergera, jego spojrzenie jest pełne niepokoju. Od twarzy odrywa się czerwona kropla, przecina powietrze, jest coraz większa. Potem słycać mlaśnięcie i całe pole widzenia staje się czerwone.

– Zemdlależ? – spytała Deer.

– Powiedzmy po prostu, że nie dotarliśmy na górę – odparła Blom.

– Zasłabliśmy na służbie – powiedział głośno Berger.

Deer najwyraźniej to usłyszała, bo odparła:

– Zostawiliście po sobie tyle śladów DNA, że pewnie trudno będzie wszystko wysprzątać. Nie mogę was mieć w tym śledztwie, w żadnym charakterze. A już szczególnie jako podejrzanych.

– Powinniśmy poświęcić kilka godzin na usunięcie śladów – powiedziała Blom.

– Pogasiliście światła? – zapytała Deer. – Na filmie było tak jasno, że pewnie widać to w całej okolicy. Nie pojawili się żadni ciekawscy?

– Wszystko jest zgaszone – odparła Blom. – I nie ma żadnych ciekawskich. Sądzę, że nikt nie zobaczyłby domu, chyba że zmierzałby specjalnie do niego.

– Co według was się wydarzyło?

– Sprawca dostał się do środka. Nie wiadomo kiedy. Prawdopodobnie w czasie, gdy Jessiki Johnsson nie było w domu. Usiadł w pomieszczeniu z bojlerem i czekał. Znalazł tam polano i przygotował się, żeby go użyć, kiedy ona postanowi wejść.

– Znaleźliście to polano?

– Nie – odparła Blom.

– Nie brzmi jak zaplanowane działanie – stwierdziła Deer. – Polano?

– Wrócimy do tej kwestii.

– Nie macie wracać do żadnej kwestii. Macie odpuścić i trzymać się od tego z daleka, to wszystko. Teraz my przejmujemy pałeczkę.

– NWO? – spytał Berger.

– Nie możemy wyłączyć policjantów z Jokkmokk – odparła Deer – ale będziemy im towarzyszyć. A teraz, do ciężkiej cholery, idźcie na piętro, żebyśmy wiedzieli, z czym mamy do czynienia. Przez resztę nocy będę próbowała znaleźć rozwiązanie i zawęzić problem w jakiś prowizoryczny sposób, a potem wrócę do Laponii. Nie powinnam była angażować do tego was. Amatorów. Weźcie choćby pod uwagę niewielkie ryzyko, że morderca nadal tam jest. Nie sposób wykluczyć, że to czystej wody świr. Może czeka na was na piętrze w kostiumie ze skóry Jessiki Johnsson.

– A ślady krwi na śniegu? Ślady kół prowadzące z garażu?

– Słyszałeś o czymś takim jak fałszywy trop, Sam? Weźcie ze sobą przynajmniej nóż kuchenny. Zadzwońcie do mnie później.

– Wyślemy film – powiedział Berger do głuchej już słuchawki.

Dokładnie w tej samej chwili na stole przed nim coś brzdęknęło. Kuchenny nóż zakręcił się na blacie. Blom miała swój.

– Dwa – oznajmiła. – Weźmiemy dwa.

I poszli. Berger ruszył przodem, a Blom filmowała przez jego ramię. W pokoju nie paliło się światło i można było odnieść wrażenie, że plamy prawie całkiem zakrzepłej krwi roznoszą mrok spod ziemi. Berger włączył latarkę i wszedł na schody. W zasadzie na każdym stopniu były ślady ciągnięcia, jakby pozostawione przez pięty w grubych skarpetach.

Weszli do holu na górze. W bladym świetle latarki wszystko wyglądało zupełnie inaczej, jakby to nie był ten sam pokój, ten sam dom, ten sam wszechświat. Ślady prowadziły dalej do sypialni po lewej. Drzwi były otwarte.

Berger uniósł nóż, ale trzymał go poza strumieniem światła latarki. Czuł na ramieniu oddech Blom, była bardzo blisko. Szli w kierunku drzwi.

Na początku zobaczyli płótna, lśniły w ciemności nienaturalną bielą.



Berger skierował światło latarki na fotel. Nie było słychać żadnych dźwięków, nic nie wskazywało na czyjąkolwiek obecność. Potem skierował światło na tak samo udrapowane białą tkaniną łóżko. I spostrzegł kontury.

Zarys człowieka. Wydawało się, że na środku łóżka leży postać z rozrzuconymi rękoma i nogami, jakby chciała zrobić anioła w śnieżnobiałej pościeli.

A jednak nie był to człowiek. Konturom brakowało głębi. Berger czuł, że latarka się trzęsie, zrobił dwa kroki do przodu. Dotknął prześcieradła, konturu. Był jak namalowany na materiale. Farba wyschła.

Kilka godzin wcześniej czerwień była znacznie bardziej intensywna. Teraz krew zakrzepła. Zakrzepła w formie leżącego człowieka.

Kontur odcinał się ciemnym blaskiem od reszty sypialni. Berger słyszał za plecami jęk Blom. Ten człowiek raczej nie żył, kiedy go tam ułożono, a już na pewno był martwy teraz, kilka godzin później.

Berger poświecił po pokoju, otworzył drzwi do pomieszczenia pod dachem, nadal trzymał nóż w gotowości. Oświetlił wnętrze. Było w zasadzie puste i wyglądało dokładnie tak jak kilka godzin wcześniej. Warstwa kurzu była nietknięta.

Poszli dalej do następnej sypialni. Samotne łóżko wydawało się jeszcze bardziej nagie, drewniane żebra stelaża jeszcze mocniej niż przedtem przypominały odsłonięte żebra. Jednak wąskie, niskie drzwi do pomieszczenia pod dachem wyglądały inaczej.

Były uchylone.

Berger i Blom ustawili się przy nich z nożami w gotowości.

Berger wziął głęboki wdech, szarpnął drzwi i zaświecił do środka. Także tutaj warstwa kurzu była w zasadzie nietknięta. Ale coś się zmieniło. Berger spojrzał na Blom: przez jakiś czas filmowała wszystko po kolei, a potem ruszyła dalej.

Sam został na miejscu i policzył kufry. Były już nie cztery, tylko trzy.

– Brakuje jednego kufra – oznajmił.

Skulony wyszedł z pomieszczenia pod dachem. Blom odłożyła nóż i włączyła latarkę. Poświeciła po pustej sypialni. Nagle wydało jej się, że dostrzega coś w mroku. Podeszła bliżej, przycupnęła, do połowy zniknęła za szkieletem łóżka.

Potem wydała z siebie głęboki jęk.

– O mój Boże – powiedziała.

Berger okrążył łóżko i podszedł bliżej. Przycupnął obok Blom. Miał problem ze zrozumieniem, na co patrzą. Na pierwszy rzut oka wyglądało to jak wyrzucona na brzeg meduza.

Przedmiot leżał na dywanie z długim włosiem i utworzył wokół siebie czerwone kółko. Podeszli trochę bliżej. Blom poświeciła z bliska.

– Co, do diabła – odezwał się Berger. – Czy to ludzka skóra?

Blom zrobiła zbliżenie na telefonie, zatrzymała się na małym fragmencie skóry, który miał inne zabarwienie. Wyglądało to jak rysunek.

Po chwili Berger zrozumiał, na co patrzy. Był to mały rysunek długopisem.

Przedstawiał czterolistną koniczynę...

Berger szybko wstał, poczuł nagły ból i zawroty głowy. Zamknął oczy i miał wrażenie, że zaraz się przewróci. Jego pole widzenia zaczęło przypominać histerycznie wirującą mozaikę.

Nie upadł jednak. Znów otworzył oczy. Jak przez czerwoną mgłę kilka metrów dalej dostrzegł mężczyznę. Mężczyznę, który wyglądał jak szaleniec. Berger uniósł nóż. Mężczyzna zrobił to samo.

Sekundy, które upłynęły, zanim w ciemnej szybie rozpoznał samego siebie, jeszcze długo nawiedzały go w koszmarach.

||

# 10

*Czwartek 19 listopada, godz. 10:02*

*Jest cicho. Żaden z obu ekranów w zimnym jak lód pokoju nie pokazuje najmniejszego ruchu. Nawet lodowaty wiatr nie wyje. Bliższy i dalszy domek pogrążone są we śnie.*

*Oczekiwanie jest wszystkim. To chwila, w której piętrzą się inne rzeczy, inne obrazy. Wewnętrzne obrazy. Obrazy oczekiwania.*

*Zapach sosny towarzyszy promieniom porannego słońca tańczącym na wielkim tarasie, lekkim mgłom świtu. W oddali przez morską mgłę prześwituje wysokie wzgórze. Niewyraźna sylwetka zdaje się unosić na nieruchomej morskiej powierzchni.*

*To dom. Ten dom. Móc jeszcze raz usiąść w porannym słońcu na tarasie i widzieć. Naprawdę widzieć. Móc zobaczyć. Wszelki ruch, wszelki wysiłek jest posyłany w tym kierunku. Istnieje granica czasu. Deadline.*

*Istnieje zakończenie. Szczęśliwe zakończenie.*

*To nawet nie samotność – wymieniają spojrzenia, patrzą na siebie i na krótką, bardzo krótką chwilę granica między dwojgiem ludzi przestaje być absolutna.*

*To nigdy się nie zdarzyło naprawdę. Tylko w marzeniach. W obrazach oczekiwania. W minutach, które upływają, nie dając się policzyć.*

*Istnieje cel. Istnieje chwila, w której wszystko jest jasne. Chwila, gdy napięcie ostatnich miesięcy nagle ustępuje. Wtedy nie będzie już samotności – to postanowione już od dawna.*

*W tej samej chwili na górnym ekranie pojawia się mężczyzna, jest zaledwie dziesięć kroków od dalej położonego domku. Obrazy oczekiwania powoli znikają, ponura rzeczywistość powraca, cienkie skórzane rękawiczki opinają dłonie. Zbliżenie.*

*Mężczyzna ma białą kurtkę, owija ją szczelniej wokół ciała, idzie w śniegu. Nie ma opadów, nie ma wiatru, widać tylko niezwykłą, białą sylwetkę mężczyzny. Wygląda jak anioł śnieżny.*

*Pojawia się na dolnym ekranie, odwraca głowę w bok, zatrzymuje się, nieruchomieje, coś widzi lub słyszy. Wtedy w kadrze pojawia się ona.*

*Na górnym ekranie kobieta podchodzi bliżej, kamera robi na nią zbliżenie. Przez ostatnie tygodnie jej jazda na nartach zbliżyła się do perfekcji. Pod obcisłym narciarskim strojem widać grę mięśni, kamera na chwilę pokazuje je w zbliżeniu.*

*To ona. Kobieta, która ma znieść granicę pomiędzy dwojgiem ludzi.*

*Dłoń w cienkiej skórzanej rękawiczce klika i zmienia ekran. Obie postacie mieszczą się teraz na dolnym monitorze. W lodowatym pokoju rozbrzmiewa westchnienie. Klawiatura, profanacja.*

*Druga ręka pisze: „10:24. ♂ i ♀ docierają razem do domku ♀. Nerwowych działań nie wykryto. Domniemana współpraca rozpoczęta”.*

*Dłoń przestaje pisać i kładzie na biurku pistolet sig sauer P226.*

# 11

*Czwartek 19 listopada, godz. 10:02*

Berger się obudził. Fragmenty snów przelatywały przez niego niczym wirujące płatki śniegu. Nie potrafił jednak dostrzec żadnego z płatków z osobna, nie dostrzegał żadnych rządzących nimi reguł. Jedynym, co z całą pewnością czuł, był ćmiący, pulsujący ból głowy.

Usiadł na łóżku i po raz pierwszy uświadomił sobie, jak mały jest ten domek. Śpiwór owijający jego ciało nie wydawał się dużo mniejszy. Ściany napierały na niego. Przez chwilę miał wrażenie, że sięga ręką do nieznanych drzwi, które wyglądały identycznie jak drzwi do toalety, jednak zanim dłoń dotarła do klamki, drzwi otworzyły się gwałtownie i uderzyły go w czoło. Znowu pojawił się wir. A jednocześnie ryk – od strony nagle odsłoniętego bojlera i ze środka, z mózgu, który był jak rzucany na wszystkie strony, wykolejany z toru. Berger przypomniał sobie, jak upadłszy na podłogę, widział polano trafiające Blom w skroń. Jak wstał i poczuł, że nie ma kontaktu z mózgiem i ciałem. Przyjął jeszcze jeden cios i poczuł, że opuszcza go świadomość. Skierował jej resztki ku górze i próbował – na wypadek gdyby wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu miał przeżyć – skupić prawie całkiem wygaszone pole widzenia na twarzy postaci. Nie było jej jednak, panował zbyt duży mrok. Widział tylko polano w ręku umykającego

mu człowieka w czerni. Zbliżyło się raz jeszcze, a potem zapadł całkowity mrok.

„Nieprzygotowani”, mówiła Deer. Pamiętał jej uwagi co do słowa. „Czyli zeszliście do kompletnie ciemnej piwnicy w leżącym na pustkowiu domu, u kobiety, która zgłosiła, że ktoś ją prześladowuje, i byliście «kompletnie nieprzygotowani»?”.

Tyle że nie byli tam z powodu zgłoszenia, że ktoś ją prześladowuje. Ich wizyta miała jeden cel i udało im się zablokować zagrożenie także dlatego, że centrum ich zainteresowania w coraz większym stopniu stanowił trudny do określenia charakter Jessiki Johnsson. Założyli, że jest histeryczką, że stalker istnieje tylko w jej paranoicznej wyobraźni, ale potem stało się jasne, że nagięła prawdę w zupełnie inny sposób.

To on, Sam Berger, przerwał przesłuchanie, zamiast po prostu od razu ustawić kamerę i kontynuować bez przerw. To on, jak idiota, zaproponował „ogłędziny domu”, zanim w ogóle pojawiła się kwestia rysunku długopisem.

Teraz był już nowy rysunek.

I wszystko wskazywało na to, że umieszczono go na odciętym pośladku Jessiki Johnsson.

Ogarnął go ból niemający nic wspólnego z dziko pulsującym bólem głowy. Skulił się, zrozumiał, że jest do niczego, że on i Molly stanowią żałośnie gówniany team. Pokonani przez wariata, niezdolni choćby do podstawowej samoobrony. A do tego uciekający przed sprawiedliwością, która przestała być sprawiedliwa.

Domek powrócił, znów był taki jak dawniej. Pusty. Zupełnie pusty. Mimo że on w nim przebywał.

Zaczął szukać czegoś, co mogłoby go uspokoić. Nie leków, nie alkoholu, niczego takiego. Jedynie czegoś, co mogłoby uporządkować jego zdruzgotany krajobraz wewnętrzny. Chwycił pudełko z sześcioma zegarkami,

które jak gdyby nigdy nic pracowały dalej. Czekał, aż spokojne, niemal synchroniczne tykanie złagodzi nieubłagany czas. Wycieńczony po szalonej wędrówce zimową nocą, cierpiący na wywołane uderzeniem zawroty głowy, unicestwiony eksplozją przemocy, która się na nich zwała, zaczął mimo wszystko nastawiać zegarki jeden po drugim, z wysiłkiem docierał do odpowiedniej daty, upewniał się, że wszystkie dobrze odmierzają czas. A to trwało. I działało na niego kojąco. Żywiołowe zmartwychwstanie małych kółek zębatych – jakby tylko czekały na możliwość dogonienia czasu, na to, by ze zdradziecką łagodnością zaznaczyć tykaniem kolejne kroki przybliżające go do śmierci.

Przyłożył ucho do pudełka z zegarkami i zaczął rozróżniać dźwięki: dwa iwc, dwa roleksy, jeden jaeger-lecoultre, jeden patek philippe. Miał wrażenie, że czas, który odmierzają, jest bardziej przyjazny.

Mimo to nie udało im się go całkowicie uspokoić. Do tego potrzeba było silniejszych narzędzi.

Wziął do ręki telefon komórkowy. Otworzył album ze zdjęciami i zaczął je przeglądać, wyświetlając coraz starsze. W końcu znalazł to, czego szukał. Zdjęcia bliźniaków w zagłębieniu porośniętym podbiałem. Mieli osiem lat i byli trochę zbyt grubo ubrani. Oscar był uśmiechnięty, Marcus roześmiany. Ostatnie zdjęcie, punkt centralny. Wtedy nie mieli na nazwisko Babineaux, nie mieszkali w Paryżu, a ich prawdziwy ojciec nie pogrążył się jeszcze w bezwzględnych odmętach niepamięci. Jednak dla Sama Bergera to wciąż była Gwiazda Polarna, *the still point of the turning world*.

Byli jak niebo, którego nigdy nie sięgnie.

Biegun niedostępności, przyszło mu na myśl. Właśnie tam się znajdował. Tak daleko od innych, jak tylko można dotrzeć. Dno. Dwa metry mułu. Punkt zero.

Punkt bólu.



Właśnie tam się znajdował.

Wyjrzał przez okno, zobaczył wielką białą przestrzeń. Pustkę, świat bez właściwości. To był on jako ojciec. Marcus i Oscar mieli już innego ojca, Francuza. Najwyraźniej Sama Bergera wyjątkowo łatwo zastąpić.

Rola ojca, tak różna od roli policjanta, jedyna, której nigdy nie grał. Sam Berger jako policjant był sensowniejszym ojcem niż Sam Berger jako człowiek.

Wiedział, że musi znów zostać policjantem – to jego jedyny sposób, aby znów być człowiekiem. Tęsknota za synami była tak silna, że aż sprawiała ból, znacznie silniejszy niż wstrząśnienie mózgu czy poczucie zawodowej klęski. Tęsknił za nimi, za ich uśmiechami, gadaniną, za ich energią. Nie był już częścią życia kogoś innego. Był samotnikiem, nieudolnym samotnikiem.

Uratowanym przez Molly Blom. Udało jej się trzymać ich z dala od Säpo, od wszystkich tych niejasnych okoliczności, które ich tu sprowadziły. Ufał jej. Bezgranicznie. Choć odkąd zobaczył martwą Strzałę wszystko było kompletnie rozmyte. Przez ponad dwa tygodnie był praktycznie nieprzytomny. Czy to w ogóle możliwe?

A jednak musiał jej ufać. Była jego ostatnią deską ratunku.

Wstał, narzucił ubranie, włożył zegarek patek philippe, nieznajome buty i spojrzał na swoje odbicie w lepiącym się lustrze w łazience. Z całym szacunkiem dla brody szaleńca, czy nie zmieniła mu się fryzura? Wyglądała na tak asymetryczną, że aż musiał uciec od niej wzrokiem. Najwyraźniej podczas snu obficie się pocił.

Otworzył drzwi i spojrzał na zimowy krajobraz.

W głębi lądu było tak pusto.

Zobaczył świat bez właściwości.

Owinął się szczelniej dziwaczną, białą kurtką i ruszył ścieżką w dół. Przynajmniej nie napadało więcej śniegu przez tych kilka godzin, które

minęły od czasu, kiedy półżywy wtoczył się do domku. Wkrótce z białej pokrywy wyłonił się domek Blom. Wyglądał na kompletnie opuszczony.

Do chwili aż z pewnej odległości dostrzegł białą postać szybkim krokiem brnącą przez śnieg. Na chwilę dał się zaskoczyć szarpanym ruchom, ale zaraz potem zrozumiał, że postać po prostu jedzie na nartach.

Zbliżali się do domku z obu stron, mniej więcej równocześnie. Kiedy Blom odpinała narty, otaczała ją para oddechu przypominająca skupisko chmur.

– No proszę – powiedział Berger.

– Musiałam się czymś zająć, kiedy na ciebie czekałam – wysapała Blom. – Satelita nie wykrywa śladów nart.

– Wczoraj ich nie widziałem.

– Nie widzisz wszystkiego, co ma związek ze mną.

– Mam tego pełną świadomość – odparł Berger, starając się, żeby w jego słowach nie pobrzmiwały podteksty.

Blom otworzyła niewielkie drzwi obok tych właściwych. Skrywały pomieszczenie na tyle małe, że najwyraźniej przeznaczone jedynie do przechowywania nart.

– Ty masz podobny składzik – oznajmiła Blom, zamknęła małe drzwi i otworzyła duże.

– Z nartami czy bez? – spytał Berger.

– Z nartami – odparła Blom z przelotnym uśmiechem i weszła do swojej nory.

Komputer był włączony, na ekranie tańczyły dziwne wzory wygaszająca ekranu. Berger zwrócił uwagę na połączenie z siecią za pośrednictwem telefonu satelitarnego Deer.

– Jeździsz na nartach – rzekł Berger. – A więc z głową wszystko w porządku?

Blom pogładziła się po białej czapce narciarskiej.

– Trochę się bałam urazów. Pęknięć czaszki.

– I w ramach reakcji na ten strach wyjechałaś na nartach na pustkowie? A gdybyś straciła przytomność? Zamarzłabyś na śmierć. Satelita o wpół do jedenastej namierzyłby twoje zwłoki.

– Musiałam się trochę poruszać – odparła Blom. Miała sine usta.

Berger pokręcił głową, wskazał komputer i powiedział na próbę:

– Deer kazała nam się trzymać z dala od tej sprawy.

Blom nie odpowiedziała. Zdjęła tylko grubą rękawicę narciarską i przeciągnęła spoconym palcem po touchpadzie. Zawijasy na ekranie zostały zastąpione przez człowieka.

Jessicę Johnsson.

To było jak siedzieć twarzą w twarz z trupem.

A jednak niecałą dobę wcześniej właśnie tak było. Siedziała naprzeciwko niej, choć wtedy jak najbardziej żywej. I z takim samym wyrazem twarzy. Nieoczekiwanie bystre, choć nerwowe spojrzenie, cień uśmiechu w kącikach ust. A jednocześnie upór i nieustępliwość.

– Widzę wielkie dziury w biografii Jessiki Johnsson – oznajmiła Blom, ściągnęła białą kurtkę i usiadła.

Berger wysunął drugie krzesło i usiadł obok. Przez ekran przelatywały dane.

– Urodzona w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym – powiedziała Blom i wskazała. – Z pozoru to wszystko wygląda jak normalne dorastanie w Rågsved. Nigdy nie była notowana przez policję. Liceum medyczne, wykształcenie pielęgniarские. Letnie praktyki w szpitalu przez cały okres nauki. Nocne dyżury na oddziale psychiatrycznym i opieki długoterminowej.

– Żadnych dziur przed tym, jak skończyła dwadzieścia pięć lat?

– Wygląda na to, że w wieku osiemnastu, dziewiętnastu lat przez rok była

w Stanach. Nie wiadomo, gdzie dokładnie i w jakim celu. Ale to był zwyczajny roczny urlop od nauki. Po powrocie zaczęła się uczyć na pielęgniarkę. Potem kilka lat przepracowała w szpitalu Świętego Jerzego, w jakimś związku pielęgniarskim. Dalej mamy wydarzenie, które udało mi się wygrzebać, kiedy ty sobie spałeś dla urody.

– Sądzę, że nawet moja mama nie nazwałaby tego snem dla urody – wymamrotał Berger. – Jakie wydarzenie?

– Nie było go w materiałach, w które zaopatrzyła nas Rosenkvist. Musiałam pójść inną drogą. W wieku dwudziestu pięciu lat Jessica Johnsson poznaje mężczyznę, którego można by określić mianem „niewłaściwego”. Nazywa się Eddy Karlsson i wygląda na stuprocentowego ćpuna i psychopatę. Jessica zgłasza pobicie. To sprawa sprzed dziesięciu lat. Sąd wydaje zakaz zbliżania się. Mają miejsce kolejne incydenty. Wpływa zgłoszenie gwałtu, policja z Söderort postanawia zatrzymać Eddy’ego Karlssona. Potem wszystko zdycha.

– Zdycha?

– Kartoteka policyjna Karlssona sięga aż do okolic Mory, ale dziesięć lat temu nie trafił za kratki. Po prostu zniknął. Policja twierdzi, że prawdopodobnie wyjechał za granicę pod przybranym nazwiskiem.

– Podejrzewam, że właśnie wtedy pojawiają się dziury w biografii Jessiki Johnsson?

– Tak – odparła Blom. – Klasyczny przypadek nowej tożsamości.

– Ale potem zaczęła znowu używać własnego nazwiska. To musi oznaczać, że Eddy Karlsson umarł i że wreszcie się odważyła wrócić do prawdziwego życia. A więc to nie Eddy Karlsson zaatakował nas polanem. To nie jego boi się Jessica od czasu przeprowadzki do Porjus i izolacji w odludnym domku w Laponii.

Blom obserwowała go przez chwilę, marszcząc brwi. W końcu się

odezwała:

– Fajnie, że doszedłeś do siebie.

– Żadne z nas nie doszło do siebie! – krzyknął Berger. – Nie po tej cholernej piwnicy. Jak mogliśmy tego nie przewidzieć? Jak mogliśmy być tak kompletnie nieprzygotowani?

– Nie przyszło ci do głowy, że to twoja Desiré Rosenkvist sprawiła, że byliśmy nieprzygotowani? Że nas „odprzygotowała”?

Tym razem to Berger się zawahał. Patrzył na Blom.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał w końcu.

– Säpo nas ściga – odparła Blom. – Musimy się liczyć z nieco nieortodoksyjnymi strategiami z ich strony. Przecież gdyby zadanie zostało nam przedstawione w neutralny sposób, gdyby nam nie wmówiono, że Jessica to wariatka, bylibyśmy bardziej czujni w piwnicy, nie uważasz?

– Ale gdyby Deer pracowała dla Säpo, nigdy nie dostalibyśmy tego zadania. Po prostu zgarnęliby nas w Kvikkjokk. Deer nawet by się tam nie zjawiała, byliby tylko *fucking* Kent i *fucking* Roy.

– No to wróćmy do Eddy’ego Karlssona – powiedziała Blom i przesunęła palcem po touchpadzie. – Zgadłeś, Eddy Karlsson nie żyje. Cztery lata temu śmiertelnie przedawkował narkotyki. Nikt nawet nie wiedział, że wrócił do Szwecji, wygląda na to, że z Tajlandii.

– I zaraz potem zmartwychwstała Jessica Johnsson?

– Tak. Zaginiony numer identyfikacyjny powrócił. Ale nie dochody. Kiedy się z nią spotkaliśmy, nie miała pracy. Nie bardzo rozumiem, jak była w stanie się utrzymać. Nie widzę żadnych świadczeń społecznych, żadnego zasiłku dla bezrobotnych. Wygląda jednak na to, że pierwszą aktywnością zmartwychwstałego numeru był zakup domu. Za gotówkę.

– W Porjus? – zawołał Berger.

– Tak.

– Zagrożenie znika, a ona w tej samej chwili zaczyna się izolować? Czy to nie prawdziwy paradoks?

– Może mówiła prawdę – odparła Blom. – Może naprawdę chciała się schronić przed „ludźmi jako takimi”?

– A jednak podczas przesłuchania nie odnieśliśmy takiego wrażenia, prawda?

– Zgadza się. Poznała kogoś nowego. Prawdopodobnie w czasie kiedy miała chronioną tożsamość, więc namierzenie go będzie trudniejsze.

– Ale nie niemożliwe?

– Nie, jeśli będziemy mieli odwagę zaufać temu. – Blom wskazała telefon satelitarny.

– To znaczy, jeśli Deer nas „odprzygotowała”? – głos Bergera brzmiał ponuro. – Jakkolwiek patrzę na tę sprawę, nie potrafię znaleźć żadnego powodu. Wszystko się tak nieprawdopodobnie komplikuje. Säpo nas ściga, udaje im się urobić Deer, być może kupują ją obietnicą awansu i przeniesienia do NWO, a potem każą jej przekazać nam fikcyjne zadanie i „odprzygotować” nas, żebyśmy zginęli z rąk jakiegoś bandyty w pieprzonym Porjus. Trochę tego za wiele.

Blom wzruszyła ramionami.

– Ja tylko czuję, że nic nie jest takie, jak się wydaje. – Berger ugryzł się w język, pokręcił głową.

Blom mówiła dalej:

– Jeśli możemy zaufać telefonowi satelitarnemu, to wciąż mam dojścia do archiwum. Sięgają czasów, gdy zajmowałam się szpiegostwem, i są dobrze zabezpieczone. Ustawimy twój komputer po drugiej stronie tego stołu i ciebie też połączymy. A potem gruntownie zbadamy tę sprawę. Umowa stoi?

Berger wziął się w garść, na ile potrafił.

Skinął głową.

## 12

*Czwartek 19 listopada, godz. 13:47*

Obraz drży. Przez ekran przelatuje zabałaganiony pokój. W końcu obraz zatrzymuje się na dziecku, małym chłopcu, kilka metrów dalej. Ma na sobie małe džinsy i żółtą bluzę z wizerunkiem banana, a kiedy wstaje, przytrzymując się stosu książek, jego ruchy są bardzo ostrożne. Stoi dalej, drży. W ręku trzyma książkę z obrazkami. Spogląda na nią ponagłajaco, uśmiecha się, jakby miał jakąś tajemnicę. Kobieta pyta z lekkim akcentem z Dalarny: „Chcesz poczytać o zwierzętach, Rasmus?”. Chłopiec stawia krok, potem jeszcze jeden, książka nadal zwisa mu z ręki. Chłopiec chwieje się na nogach, ale utrzymuje równowagę. Po pięciu krokach rzuca się do przodu, ku kanapie, która w tej samej chwili wchodzi w kadr. Łapią go kobiece ręce, rozlega się radosny głos: „To twoje pierwsze kroki, Rasmus. Zdolniacha z ciebie”. Kobieta sadza chłopca na kolanach, a on otwiera książkę i mówi: „Poczytaj zwierzęta”. Wtedy po raz pierwszy ukazuje się twarz kobiety, która z szerokim uśmiechem ociera kąt oka. Jest dość krótko ostrzyżona, ma brązowe oczy i zaróżowione policzki. Otwiera książkę. Chłopiec patrzy na nią wyczekująco i powtarza: „Poczytaj zwierzęta”, ale kobieta cały czas spogląda mu w oczy. Pochyla się, czule go przytula, jego mała ręka odrywa się od książki i spoczywa na włosach kobiety. Kobieta wybucha serdecznym

śmiechem z głębi serca, co sprawia, że chłopiec też się śmieje. Ich śmiechy przeplatają się ze sobą. Całuje go w policzek, bardzo czule, i wszystko nieruchomieje.

– Jesteś gotowa na następny? – zapytał Berger.

– Właściwie nie – odparła Blom.

Obraz ust matki na okrągłym policzku dziecka zostaje gwałtownie zastąpiony przez inny. Zielone zagłębienie, ciemne i wilgotne, ciało kobiety i przewrócony wózek dziecięcy, matka nadal trzymająca w ręku uchwyt. Mała bluza z niewyraźnym wizerunkiem banana nie jest już raczej żółta.

– O mój Boże – jęknęła Blom i przeniosła wzrok na Bergera.

Kiedy robił zbliżenie, po jego lewym policzku powoli spływała łza. Nie ocierał jej.

– To była pierwsza wspólna sprawa Deer i moja – oznajmił stłumionym głosem. – Odgrywaliśmy marginalną rolę. Jednym z trzech śledczych prowadzących sprawę był Allan Gudmundsson, podlegał prokuratorowi generalnemu Ragnarowi Lingowi. Akurat ten kontrast pamiętam najwyraźniej: przejście od chwili, kiedy Rasmus Gradén w wieku czternastu miesięcy stawiał pierwsze samodzielne kroki, od bezgranicznej radości Heleny, nieskrywanej miłości aż do momentu, gdy oboje leżą zmasakrowani w rowie. Chyba nadal się z tym nie uporałem.

– Czy ustalono narzędzie zbrodni? – spytała Blom i sama zajęła się robieniem zbliżeń.

– Nie, nigdy go nie znaleziono – odparł Berger i wskazał ekran. – Ale w tej mazi odkryto wióry. Brzoza.

– Brzoza? Jak to... polano?

– Możliwe. Kolejne wióry były w szałasie.

– Opowiedz o tym szałasie – poprosiła Blom.

– Nowo wybudowany, niezbyt profesjonalnie, dobrze zamaskowany



w najgłębszych zakamarkach lasów Orsy. Pomiedzy miejscem znalezienia zwłok a chatą, w której wraz z grupą z ośrodka przebywał Karl Hedblom. W szalasię były ślady krwi Heleny i Rasmusa Gradénów. DNA Hedbloma odkryto również we fragmentach skóry. W tej sytuacji nie było żadnych wątpliwości. Znaleźliśmy sprawcę.

– Przeczytam wszystkie materiały ze śledztwa. Ale zrób mi szybkie podsumowanie. Dlaczego podejrzewano ojca?

– Emmanuela Gradéna, rzeczywiście. – Berger pokiwał głową. – Pojawiły się wątpliwości co do tego, jak to właściwie było, kiedy matka i syn poszli na spacer do supermarketu. Jego samego nie obchodziło, czy jest podejrzany, czy nie. Jego życie się skończyło.

– Naprawdę?

– Chyba tak. Popęłnił samobójstwo pół roku później, kiedy Karl Hedblom został już skazany. Wywiercił dziurę w lodzie na jeziorze Orsa i wpadł tam z pięćdziesięcioma kilogramami ołowiu na ciele.

– Ołów na ciele?

– Dwa tygodnie wcześniej był z wizytą u brata w Skellefteå. W tamtejszej hucie kupił ołów, który przymocował do ciała. Wszystko zostało skrupulatnie zaplanowane.

– Czyli znaleziono ciało? Nie było wątpliwości, że to on?

– Rozumiem twoje pytanie. Tak, to było pewne. DNA.

– Można oczywiście sobie wyobrazić, że zaczął od własnej rodziny, rozsmakował się w tym, kontynuował, a osiem lat później zamienił się w mordercę Jessiki Johnsson. Człowieka z pokoju z bojlerem. Ale dobrze. Masz jakieś wątpliwości co do tego spaceru?

– Kłócili się – odparł Berger. – Owego jesiennego dnia, kiedy Helena Gradén wyszła z Rasmusem w wózku, małżonkowie mieli ostrą sprzeczkę. Ona zadzwoniła do koleżanki i powiedziała, że Emmanuel wykrzyczał jej, iż

Rasmus nie jest jego synem.

– Aż tak? – odparła Blom. – Musiał być głównym podejrzanym od pierwszego dnia.

– Przyjaciółka nie pojawiła się przez kilka pierwszych dni, miała jakieś problemy z telefonem. Ale później tak. Mniej więcej w ciągu tygodnia.

– Wiemy, czy to prawda? Czy Emmanuel Gradén był ojcem Rasmusa?

– Kiedy się pojawiło podejrzenie, przeprowadzono test na ojcostwo. Oczywiście był ojcem. A to, że tak poważne i niesprawiedliwe oskarżenie było ostatnim, co wykrzyczał do żony, stanowiło pewnie ostatni gwóźdź do jego trumny.

Blom przez chwilę kiwała głową.

– Co wiemy o przebiegu zdarzeń?

Berger westchnął.

– To było osiem lat temu... Helena Gradén wyszła o trzynastej piętnaście osiemnastego października, a została znaleziona kilka minut po dziewiątej rano dwudziestego przez członków ekipy poszukiwawczej, która właśnie skończyła pracę. Sześć godzin wcześniej, w środku nocy, ekipa mijiała to miejsce, ale wtedy w rowie nikogo nie było. Nie zginęli tam, lecz prawdopodobnie w szałasie. Podczas sekcji zwłok u obu ofiar znaleziono rany wskazujące na powolne tortury, prawie czterdzieści godzin..

– Ekipa poszukiwawcza? – odparła Blom. – Kiedy zaczęła działać? Jak mogli nie zauważyć szałasu?

– To było przed Missing People i innymi zorganizowanymi grupami – odparł Berger. – Wszystko wskazuje na to, że działali na pół gwizdka, no i trzeba wziąć pod uwagę, jak rozległe są lasy Orsy.

– Znowu w głębi lądu... – Blom skinęła głową. – Jak zatem znaleziono Karla Hedbloma?

– Za pośrednictwem psychologów – odparł Berger. – Nikt nie wiedział, że

w okolicy przebywał pensjonariusz ośrodka z Falun. Wszyscy oni wyjechali, zanim w ogóle zaczęto podejrzewać kogoś poza Emmanuelem Gradénem, i dopiero później zostali wezwani ponownie i przesłuchani. Szukano konkretnego schematu zaburzeń: nienawiści i wcześniejszych przypadków przemocy wobec matek z małymi dziećmi. Jeden z najbardziej oczywistych profili w Szwecji należał do dwudziestoczteroletniego Karla Hedbloma. Kiedy wyszło na jaw, że w czasie morderstwa znajdował się w okolicach Orsy, pobrano od niego materiał genetyczny. Nieznane DNA z szalasu okazało się zgodne z DNA Hedbloma. Potem pozostały już tylko przesłuchania.

Blom skinęła głową.

– Czy byli jeszcze inni podejrzani oprócz ojca?

– Właściwie nie – odparł Berger. – Ale przeprowadzono bardzo wiele przesłuchań.

– Sporo przeprowadziłeś osobiście wraz z Rosenkvist. Nic nie rzuciło ci się w oczy?

– Zastanawiam się, czy policja nie przesłuchiwała w sumie połowy ludności Orsy. Deer i ja przesłuchaliśmy dwadzieścia, może trzydzieści osób. Okolicznych mieszkańców, sąsiadów, kolegów z pracy państwa Gradénów, innych pensjonariuszy, ludzi, którzy rano tamtędy przejeżdżali, kierowców ciężarówek i tak dalej.

– Wkroczyliście do śledztwa, kiedy Emmanuel Gradén już nie był uznawany za podejrzanego?

– O ile pamiętam, tak. Zadaliśmy bardzo niewiele pytań o niego. Deer najczęściej skupiała się na rysunku długopisem na pośladku, a ja próbowałem się zbliżyć do szalasu. Ustalić, kto go zbudował i czy ta zbrodnia była długo przygotowywana.

– W teczce są protokoły wszystkich przesłuchań?

– Powinny być. Ale z czasem wszystko się uspokajało. Tak jak mówiłem, byłem obecny, kiedy Allan przeprowadzał rozstrzygające przesłuchanie, w czasie którego Karl Hedblom przyznał się do winy. Siedziałem obok Allana, ale chyba nie powiedziałem ani jednego słowa.

Przez chwilę milczeli. Potem Berger znów się odezwał:

– Znalazłaś coś jeszcze na temat Lisy Widstrand?

– Była prostytutką w Göteborgu. Pięć lat temu została brutalnie pobita, znaleziono ją martwą w Gothia Towers tuż przed targami książki, w opłaconym gotówką pokoju zarezerwowanym na jej nazwisko. Nie miała żadnych krewnych. W takiej sytuacji nikt nie był zainteresowany złą prasą i prawdopodobnie dlatego zabójstwo przeszło mediom koło nosa. Czterolistna koniczyna na pośladku jest jednak dobrze udokumentowana. Nie mogę jedynie znaleźć artykułu z lokalnej gazety, do którego w swoim liście odwoływała się Jessica Johnsson. Z drugiej strony, wiele lokalnych gazet upadło i nie mam dostępu do ich archiwów. Może ta akurat już nie istnieje.

– Mimo wszystko możliwe, że to naśladowca – stwierdził Berger. – Ktoś, kto wyczytał w wyroku Karla Hedbloma o czterolistnej koniczynie narysowanej długopisem na pośladku.

– Możliwe, jak najbardziej – zgodziła się Blom.

– Czy są też inne podobieństwa?

– Tak, kilka zewnętrznych. Poza tym, rzecz jasna, nic. W czysto społecznym sensie nauczycielce młodszych klas i matce dwójki dzieci z Orsy daleko do dającej sobie w żyłę narkomanki z Göteborga.

– A sam czyn? – zapytał Berger. – Przyczyna śmierci?

– Bardzo podobnie. Brutalna siła, rany miażdżone na ciele, głównie na twarzy, rany cięte. Ale na szczęście żadnego dziecka.

– Czy Lisa Widstrand miała dzieci?

– Z tego co udało mi się ustalić, nie – odparła Blom. – Jessica Johnsson

też jest bezdzielna. A raczej była.

– Była – potwierdził Berger. – Wszystko naprawdę wskazuje na to, że pozwoliliśmy, żeby ją zamordowano, kiedy nadal przebywaliśmy w domu.

– Musimy myśleć do przodu – twierdziła Blom. – Wyrzuty sumienia prowadzą jedynie do stagnacji. Rosenkvist zawiadomiła, że chce nas odsunąć od dochodzenia, ale nie zdziwiłoby mnie, gdyby przymknęła oko na tajne równoległe śledztwo. Ona ci ufa.

– Jako jedyna na świecie – mruknął Berger.

Blom posłała mu krzywe spojrzenie.

– Jest czternasta, technicy na pewno już skończyli pracę w Porjus. Odważymy się do niej zadzwonić?

Berger obserwował Blom. Nie dostrzegał niczego poza policyjną pasją – naprawdę chciała rozwiązać tę sprawę, dorwać człowieka, który zdzielił ją w głowę polanem i zamordował kobietę, którą mieli chronić. Nie potrafił uchwycić żadnego dodatkowego zamiaru, innego celu.

Z drugiej strony Molly Blom była ekspertką w ukrywaniu takich rzeczy.

Skinął głową. Oczywiście również chciał nawiązać kontakt z Deer i zapytać o postępy. Z całą pewnością zależało mu też na złapaniu człowieka, który zadał mu cios polanem. Ale przede wszystkim chciał znowu być policjantem, pochłoniętym sprawą, która mogłaby wypełnić jego puste wnętrze.

– Najlepiej ty się tym zajmij – powiedziała Blom i wyciągnęła ku niemu słuchawkę telefonu satelitarnego.

To było jak mały przełom w ich relacjach.

# 13

*Czwartek 19 listopada, godz. 14:09*

Po dziesięciu sygnałach, kiedy Berger już miał odłożyć słuchawkę, rozległ się ryk:

– Co mówiłam o was i o tym śledztwie?

– Że mamy się do niego nie zbliżać – odparł Berger. – Zbliżyliśmy się? Znalazłaś jakieś nasze ślady?

Deer głęboko westchnęła.

– Jeszcze nie. Dobrze posprzątaście. Ale już wcześniej było dobrze posprzątane.

Blom nachyliła się do słuchawki. Berger trzymał ją pod kątem, w taki sposób, żeby głos Deer był słyszalny w całym pomieszczeniu. Blom skinęła głową, Berger zrozumiał.

– Częstowała herbatą – powiedział. – Ale filiżanki zostały później pozmywane. Już wcześniej panował porządek, to prawda. Sprawdziliśmy też zakamarki w kuchni. A co z łazienką? To tam znajduje się najwięcej śladów DNA.

– Przekażę twoje fachowe kryminologiczne porady Robinowi – odparła cierpko Deer. – Wstępne wyniki wskazują, że DNA jest tylko w toalecie, między innymi na szczoteczce do zębów i szczotce do włosów.

Najprawdopodobniej zgadza się z krwią. DNA Jessiki Johnsson nie ma w żadnych rejestrach, ale zgodność wydaje się pewna.

– A pokój z bojlerem? Ten, w którym siedział przyuczajony sprawca?

– Robin właśnie zaczął go badać – odparła Deer. – Jego pierwsza reakcja była taka, że zwykle w takich pomieszczeniach panuje znacznie większy syf.

– Jessica Johnsson twierdziła, że nie było jej w piwnicy od dwóch lat – powiedział Berger.

– Być może kłamała, próbowała ukryć, że jest hiperpedantką, co mogłoby się zgadzać z paranooidalnymi cechami jej osobowości, ale bardziej prawdopodobne jest, że sprawca sam posprzątał.

– Jeśli tak, to zapewne przed samym morderstwem. Miał zamiar popełnić straszny czyn przy dwójce policjantów związanych w piwnicy. Nie sądzę, żeby po czymś takim czyścił całe pomieszczenie z bojlerem.

Deer westchnęła jeszcze głośniej, o ile to było możliwe, i wykrzyknęła:

– Kurwa, patrzcie, do czego mnie zmusiliście! Siedzę teraz w cholernym równoległym śledztwie, wiem znacznie więcej niż wszyscy inni zaangażowani w sprawę policjanci i nie mogę nawet powiedzieć, że morderca czekał w pomieszczeniu z bojlerem. Tak samo jak z tobą i sprawą Ellen Saviger, Sam. To tak naprawdę stała się twoja sprawa.

– Tyle że tak jak ja sama sobie ukłęciłaś ten bicz, Deer. To ty się zwróciłaś do nas, a nie my do ciebie. Wykorzystaj to, nadal bądź o krok przed śledztwem. Wtedy damy radę dorwać tego skubańca, a zasługi przypadną tobie.

– Taaak. Jak do tej pory bardzo się przydaliście...

– Jeżeli wysprzątał pomieszczenie z bojlerem, prawdopodobnie posprzątał też w całym domu – rzekł Berger. – Musiał to zrobić w taki sposób, że Jessica Johnsson niczego nie zauważyła, kiedy przyszła do domu. Akcja została niewiarygodnie dobrze zaplanowana. I w tym wszystkim cholerne

polano jako narzędzie zbrodni. Brzmi jak przeciwieństwo dobrego planowania.

– To również mógł być element dobrego planu. Konsekwentna metoda.

– Myślisz o...

– Ty też o tym myślałeś, Sam. Tak, mam na myśli Orsę, Helenę Gradén, Karla Hedbloma i przesłuchanie prowadzone przez Allana Gudmundssona.

– Możemy go odwiedzić?

– Allana? Tak, okazało się, że jego turniej brydżowy nie odbywa się na Tahiti, tylko na Frösön, więc pewnie to będzie możliwe.

– Nie chodziło mi o Allana – westchnął Berger. – Czy możemy odwiedzić Karla Hedbloma i powiedzieć, że jesteśmy z NWO?

– Przebywa w jednej z największych klinik psychiatrii sądowej w kraju. Nie wiem, gdzie dokładnie się znajdujecie, ale na pewno daleko.

– Ponad tysiąc kilometrów w linii prostej w dół – powiedział Berger. – Możemy go odwiedzić jutro z samego rana.

Rzucił Blom szybkie spojrzenie. Ku jego zdziwieniu nie próbowała protestować.

– Poza tym nie wiemy, czy polano było narzędziem zbrodni – mruknęła Deer. – Wiemy, że użyto też czegoś w rodzaju bardzo ostrego noża. Żeby odkroić pośladek. Według wstępnych oględzin zdarzyło się to *post mortem*. Jednak ilość krwi na tym płótnie wskazuje, że nóż był w użyciu, kiedy Jessica Johnsson nadal żyła.

– Czyli to był pośladek? O cholera...

– Noża nie znaleziono. Polana też nie. Powinniście podziękować za to waszej szczęśliwej gwiazdzie. Ono na pewno byłoby skąpane w DNA dwójki słynnych eksgliniarzy.

– Wiecie, kiedy tu przyszedł?

– Ponieważ śledztwo jeszcze jest w powijakach, nie można stwierdzić, że



to „on”. Wiemy, że Jessica Johnsson odwiedziła wczoraj trzy różne sklepy i wypła kawe w Porjus w przybliżeniu pomiędzy dziesiątą a trzynastą.

– A my zjawiliśmy się w jej domu tuż przed piętnastą...

– Ale my tego nie wiemy. Wiecie to tylko wy.

– Trudno teraz uważać na słowa, Deer. Uwierz mi, wiem coś o tym.

– Dom jest oddalony od Porjus mniej więcej o dziesięć kilometrów – odparła Deer – więc prawdopodobnie wyszła z domu za dwadzieścia dziesiątą i wróciła dwadzieścia po trzynastej. Przez ponad trzy i pół godziny dom stał pusty. Oświetlony słabym dziennym światłem, które wpada tu na górę. Przez półtorej godziny chodziła po odkurczonym z DNA domu i nie zauważyła, że w pokoju z bojlerem czai się bandyta.

– Jeździła samochodem? – zapytał Berger. – Czy w ogóle go miała?

– Tak. Garaż jest podwójny. Jej ford fiesta nadal w nim stoi. Jednak ciekawsze jest drugie miejsce. Gdybyście po wejściu do domu wykonali choć odrobinę policyjnej roboty, zauważylibyście, że stoi tam inny samochód. Wówczas może wzięlibyście ze sobą nielegalną broń, bo wiem, że taką macie. I być może dałoby się tego wszystkiego uniknąć. A Jessica Johnsson nadal by żyła.

– Oczywiście powinniśmy byli zajrzeć do garażu – zgodził się Berger. – Widocznie wyszliśmy z formy.

– Do diabła, nie jesteście policjantami! – wybuchnęła Deer. – Dla was to tylko narzędzie nostalgii i... temat łóżkowych rozmów. Nie mam dla was żadnego zastosowania, Sam. Schowajcie się z powrotem pod kołdrę.

– A ten drugi samochód?

– Ślady krwi na śniegu prowadzące z domu, tak jak mówiliście. Poza tym ślady kufra w kilku miejscach drogi do garażu, jakby był tak ciężki, że co jakiś czas trzeba go było postawić na ziemi. Za każdym razem w połączeniu ze śladami krwi. Rozmiar zgadza się z trzema kufkami, które pozostały

w pomieszczeniu pod dachem, zresztą pustymi. Ostatni ślad krwi widnieje na betonowej posadzce garażu i jest ucięty, jakby kufer został wniesiony do samochodu. Auto zostawiło ślady, które wskazują na mniejszy samochód dostawczy, coś jak volkswagen caddy, a także drobne ślady lakieru, jakby samochód musnął ścianę garażu przy cofaniu. Co gorsza, całą sytuację gmatwiają ślady kół. Na ich widok Robin wykrzyknął: „Jeżeli to nie jest jeep, to przez pół roku będę wcinał toksynę botulinową”. Nie mam pojęcia, co to jest toksyna botulinowa, ale zastanawiam się, czy wy, drodzy państwo, przypadkiem nie macie jeepa.

– To jedna z najsilniejszych trucizn znanych człowiekowi – odparł Berger i rzucił okiem w kierunku Blom. – Szczypta wystarczyłaby do wybicia wszystkich mieszkańców Szwecji. Rozcieńczony wariant to botoks.

– Pytam, czy macie jeepa.

– Znasz odpowiedź – odparł Berger. – Widziałas nas w Kvikkjokk, zauważyłem lornetkę.

– Ale nie znam odpowiedzi na pytanie, jak miałabym zamieść pod dywan jeepa w śledztwie. To kolejny punkt na mojej liście rzeczy, za które muszę podziękować szanownym państwu. Nie mogliście jechać trochę ostrożniej?

– Chyba nie rozumiesz, w jakim wówczas byliśmy stanie – powiedział Berger. – Usunęliśmy wszystkie ślady z wnętrza domu, ty nadal jesteś w policji, nikt nie wie, że wysłałaś dwójkę rebeliantów. Twoja wdzięczność jest uzasadniona i bardzo mnie cieszy.

– O wpół do piątej rano skontaktowałam się z jednym z naszych dawnych informatorów, podstawionych „słupów”. Zadzwoił anonimowo pod numer alarmowy, zgodnie ze scenariuszem. Policja z Jokkmokk była na miejscu godzinę później, zgłoszenie zostało przekazane dalej do NWO. Poleciliśmy pierwszym samolotem: czwórka śledczych pod przewodnictwem komisarza Conny’ego Landina i cała bateria techników kryminalistyki, którzy podlegali

Robinowi. To wielka machina, nie tylko jak na te tereny, a ja chciałam przede wszystkim trzymać was od tego z daleka. Tak więc doceniłabym trochę wdzięczności.

– Masz ją, Deer. Tak czy nie?

W słuchawce rozległy się trzaski. W oddali, a jednak wyraźnie, słychać było męczyznę krzyczącego:

– Z kim, do cholery, rozmawiasz, Desiré? Skończ to w tej chwili, potrzebujemy cię tutaj.

Deer odkrzyknęła:

– Problemy z opiekunką do dzieci. Sorry, Conny. Już idę. – A do słuchawki dodała półszepcetem: – Muszę już kończyć.

– Tak czy nie, Deer? Säter czy nie?

Deer zmarszczyła czoło i spojrzała w zachmurzone niebo. Śnieg zaczął przeciekać jej do butów na średnim obcasie, czuła, że ma mokre łydki. Słońce pokonało już niezły kawałek w dół nieboskłonu, wierzchołki drzew w zagajniku otaczającym działkę, na której stał dom Jessiki Johnsson, świeciły własnym światłem. Nie uważała za przypadek, że wewnątrz kraju w Norrlandii było jednym z ostatnich obszarów Europy, z których ustąpił lądolód.

Kiedy w końcu dotarła na miejsce i postawiła nogę na stopniu, odparła:

– Tak.

A potem się rozłączyła i przestąpiła próg samotnie położonego domu dziesięć kilometrów od Porjus. Skrzynka z niebieskimi ochraniaczami na buty została ustawiona tak, aby przyciągała uwagę policjantów. Deer zdjęła buty, postawiła je w sposób pozwalający na w miarę szybkie wyschnięcie, włożyła ochraniacze na ociekające wodą skarpetki i pokonała kilka kroków dzielących korytarz od dużego pokoju.

Po lewej, na podłodze przy kanapie, technicy ustawili dwa mocne

reflektory. Dwóch z nich klęczało w białych strojach ochronnych i grzebało pęsetami w kałuży całkiem już zakrzepłej krwi. Deer przyjrzała się trzem śladom stóp i stanęła przy schodach. Światło i dźwięki sączyły się też z góry, technicy Robina pracowali również tam. Obejrzała ślady prowadzące na górę – naprawdę wyglądały, jakby ten, kogo ciągnięto, miał na nogach grube skarpety. Jessica nie mogła być wtedy przytomna. Pytanie brzmiało, czy w ogóle żyła.

Deer skręciła przy intensywnie oświetlonym kawałku podłogi i podeszła do stołu. Spostrzegła, że stojący obok komisarz Conny Landin ją obserwuje. Był to szeroki w barkach mężczyzna z jeszcze szerszym wąsem.

– Chciałbym wiedzieć, czym szorowano ten blat – oznajmił.

Deer weszła w rolę mniej wiedzącej podwładnej i czekając, aż wujek Conny objaśni jej wszystko jako mężczyzna, odpłynęła myślami.

Myślała o Bergerze i Blom. Wbrew rozsądkowi wsadziła głowę do ula i – ze względu na przeszłość – pozwoliła sobie na zaufanie im. A konkretnie Bergerowi. Blom co prawda wydawała się zrównoważona, ale ich spotkania nie sprawiły, że zaczęła jej ufać.

Dlaczego byli na północ od koła podbiegunowego? Dostali wystarczająco wysokie odprawy i gdyby połączyli siły, naprawdę mogliby rozpocząć coś w rodzaju prywatnej działalności śledczej. Takie były czasy. Trudno sobie wyobrazić kogoś bardziej odpowiedniego do tej roboty, ale dlaczego tutaj? – zastanawiała się. Dlaczego w Norrlandii, w głębi kraju? W tych bezludnych okolicach? Przecież w Sztokholmie, Göteborgu czy Malmö możliwości na pewno były znacznie większe.

Czy chodziło o coś innego? Czy naprawdę – tak, jak się domyślała – uciekali? Czy próbowali się ukryć, zniknąć na jakiś czas? Czy miało to coś wspólnego z nagłą śmiercią Strzały? Blom dawała do zrozumienia, że Berger nie jest w zbyt dobrej formie. Co prawda grypa żołądkowa musiałaby być

ciężkim przypadkiem dyzenterii, żeby powstrzymać Sama, którego znała, ale kiedy zobaczyła go z rozrośniętą siwą brodą, zrozumiała, że coś się zmieniło. I to nie na żarty.

A przecież od ich poprzedniego spotkania minęło nie więcej niż trzy tygodnie. Próbowała sobie przypomnieć, jak dokładnie wyglądał chaotyczny koniec sprawy Ellen Saviger. Säpo to wyciszyła, ale Berger i Blom odegrali w niej decydującą rolę. Pytanie brzmiało tylko jaką.

No i jeszcze śmierć Strzały i to, jak na nią podziałała, jak ją powaliła. Czy nastąpiła z przyczyn naturalnych?

W głębi duszy Deer absolutnie nie chciała wracać do sprawy Gradén. Przed ośmiu laty przeżyła ją stanowczo zbyt mocno. Czy da radę wrócić do swojego młodszego, bardziej neurotycznego ja i przypomnieć sobie, co dokładnie tak silnie na nią wpłynęło? Próbowała sobie przypomnieć pierwszą wspólną sprawę z Samem – mimo że oboje odgrywali w niej marginalną rolę. To, jak bardzo do siebie pasowali, jak szybko wymyślił przywisko Deer (które, choć nie chciała tego przyznać, zawsze lubiła), jak dobrze im się zawsze współpracowało.

Chodziło o mamę. Mamę, która tak mocno kochała swoje dziecko.

I o czterolistną koniczynę. Weszła po schodach w dającym poczucie bezpieczeństwa towarzystwie Robina, więc jej szok był mniejszy niż powinien. Zobaczyła odcięty kobiecy pośladek. I dokładnie tę samą czterolistną koniczynę, ten sam rysunek długopisem. Już wtedy, przed ośmiu laty, utkwił jej w głowie. Wydawał się tak konkretny, tak intensywny. Jakby naprawdę coś znaczył. Ale potem Karl Hedblom do wszystkiego się przyznał i jak wszyscy inni zobaczyła światło. Wszystkie elementy trafiły na swoje miejsce, stało się oczywiste, że to Karl jest winny.

Jednak nigdy nie potrafił porządnie wyjaśnić tej koniczyny.

Od początku nie było wątpliwości. Komisarz Desiré Rosenkvist chciała,

żeby jej dawny szef Sam Berger odwiedził Karla Hedbloma w klinice psychiatrii sądowej w Säter. Zamierzała skłonić go do takiej rozmowy z Hedblomem, jaka nie byłaby możliwa przed ośmiu laty. Sama mogła w ten sposób pozostać poza zasięgiem wszelkiej krytyki, wszelkich pretensji ze strony przełożonych.

Pozostawało tylko się do tego przyznać. Tak jak Sam zaledwie kilka tygodni wcześniej, pracowała pełną parą nad tajnym równoległym śledztwem.

Przez mury jej myśli zaczął się przebijać głos. Nie po raz pierwszy zapytał:

– Desiré, do jasnej cholery, kto zadzwonił?

– Słucham? – odparła Deer. – Ten cały bajzel trochę mną wstrząsnął.

– To przestań być wstrząśnięta! – ryknął Conny Landin. – Dzwoni mężczyzna bez norrlandzkiego akcentu i mówi, że w tym domu zostało popełnione morderstwo. Ale przecież nikt nie mógł tego widzieć, chyba że stał przed tym cholernym domem. A wiemy, że nie stał, bo jest tam gruba warstwa śniegu.

– Myślisz, że dzwonił sam morderca? – zapytała Deer i skupiła na nim spojrzenie swoich sarnich oczu.

Conny Landin zamrugnął zdziwiony, zawahał się, po czym szybko ukradł jej tok myślenia i uczynił z niego własny.

– Zaczynam się zastanawiać, czy tak nie było. Poza tym wszystko jest tak cholernie dobrze wysprzątane. Chciał uwagi, podziwu. Czy nie tworzy sceny, na której wszystko ma się dziać? Czy nie jesteśmy jego publicznością? Jak sądzisz?

– To przypomina pewną wcześniejszą sprawę – oznajmiła spokojnie Deer.

Conny Landin pomału pogładził wąs i wskazał gestem białe drzwi nieopodal.

– Poza tym tamten chce, żebyś zeszła.

Deer skinęła głową i ruszyła. Otworzyła białe drzwi. Stała przed schodami prowadzącymi do piwnicy – znała je z filmu, który poprzedniego wieczoru obejrzała w urzędowej w garażu pracowni w Skogås na przedmieściach Sztokholmu. Wcześniej nie miała tu dostępu. Teraz u podnóża schodów czekał na nią barczysty mężczyzna w białym ubraniu ochronnym. Światło było inne – z powodu reflektorów – ale i tak wszystko wyglądało znajomo.

Berger miał rację.

Nadeszła jej kolej na tajne śledztwo.

Spodziewała się, że ciężko będzie to udźwignąć.

Kiedy schodziła po schodach, towarzyszył jej monumentalny pomruk. Widziała, jak imponujący potężną sylwetką szef operacyjny Narodowego Centrum Kryminalistycznego przestępuje z nogi na nogę.

– Nie potrafię rozmawiać z tym cholernym Ronnym Lundénem – wydyszał Robin.

– Connym Landinem – poprawiła go surowo Deer.

– Ty i ja zawsze dobrze się dogadywaliśmy, Deer. Chyba zostaniesz moim oficerem łącznikowym w sprawie Porjus.

– Czuję się zaszczycona – odparła. – Co mam przekazać?

Robin wskazał uchylone drzwi do pomieszczenia z ryczącym bojlerem.

– Wszystko jest wyczyszczone, praktycznie nie mam się czego chwycić. Mamy tu do czynienia z kimś, kto wie, jak się pozbyć śladów DNA. Kimś, kto, jak widzieliśmy na górze, ma numer buta czterdzieści pięć i robił to już wcześniej.

– A jednak powiedziałaś „praktycznie”?

– Naprawdę nie mam żadnych konkretów. Jeszcze nie... Ale czuję, że to pomieszczenie z bojlerem jest... sam nie wiem...

- Czujesz?
- Wiem, wiem. Ale intuicja to po prostu...
- Skoncentrowane doświadczenie, wiem.
- Skąd?
- Musisz po prostu przyjąć, że też mam trochę doświadczenia, Robin.
- Przepraszam, jasne – odparł Robin. – Chodzi tylko o to, że...
- Do rzeczy.

Robin wypełnił swoje imponujące płuca powietrzem, wskazał pomieszczenie z bojlerem i oznajmił:

- Jakiś skurwiel tam mieszkał.



# 14

*Piątek, 20 listopada, godz. 8:27*

Droga powoli się wyłaniała z ciemności. W którymś momencie w nocy minęli granicę śniegu i długa trasa E45 wydawała się jesiennie jałowa i szarobrunatna. Berger zapomniał już, ile pór roku mieści się w tym kraju o podłużnym kształcie.

Prowadzili na zmianę. Głównym problemem nie była sama jazda, lecz znajdowanie stacji benzynowych bez kamer. Pilnowali, żeby za każdym razem mieć inną tablicę rejestracyjną i starannie naciągać kaptur, a poza tym korzystali z wiedzy, że stacje benzynowe nie przechowują zbyt długo plików z monitoringu.

Kiedy minęli Orsę, Berger po raz pierwszy tej nocy spostrzegł, że Blom śpi na siedzeniu pasażera. Zobaczył przelatujący za oknem zjazd do poprzedniego miejsca znalezienia zwłok. Nie zamierzał jej budzić – za kilka godzin czekała ich równie długa droga powrotna i wolał, żeby kierowca miał za sobą przynajmniej godzinę snu. Poza tym sytuacja nie sprzyjała odwiedzeniu miejsca zbrodni sprzed ośmiu lat. Postanowił odłożyć to na powrót.

Zaczął się zastanawiać, czy szalas nadal tam stoi.

Sen trwał krócej niż godzinę. Kiedy dotarli do Mory, w końcu skręcili

z E45 i jechali wzdłuż północnego brzegu jeziora Siljan, Blom się obudziła i posłała mu przytomne spojrzenie.

– Jeszcze sto dwadzieścia kilometrów – powiedział. – Trochę ponad godzinę. Śpij dalej.

Blom otworzyła grubą teczkę, która leżała jej na kolanach, i czytała dalej, jak gdyby nigdy nic. Po chwili coś jej przyszło do głowy.

– A jeśli on cię rozpozna? – spytała i wlepiała wzrok w Bergera.

– To znaczy?

– Jedziesz tam jako C. Lindbergh z NWO. Taki celny żarcik twojej Desiré. Ale co, jeśli Karl Hedblom pamięta cię jako Sama Bergera?

Berger skinął głową i mruknął:

– Możemy to określić mianem wkalkulowanego ryzyka. To wszystko działo się osiem lat temu, Karl już wtedy miał słaby kontakt z rzeczywistością. Może mimo brody jest w stanie mnie rozpoznać, ale prawdopodobieństwo, że skojarzy moje nazwisko, jest minimalne.

Blom odparła tylko:

– Musimy coś zrobić z tą brodą.

Nieco ponad godzinę później zajechali pod główne drzwi żółtego kolosa – kliniki psychiatrii sądowej w Säter. Siedem spośród dziesięciu oddziałów było oddziałami pod specjalnym nadzorem. Mieli nadzieję, że to, co się kryje za murami w maślanym kolorze, nie odzwierciedla zbiorowej choroby psychicznej całego kraju.

– Rozgrzeję go – oznajmił Berger. – Kiedy sytuacja się zaostrzy, ty wkroczysz do akcji.

– Jako kobieta. – Blom skinęła głową. – W dodatku w odpowiednim wieku.

Deer najwyraźniej dobrze przygotowała ich przyjazd. Strażnik prowadził ich przez kolejne stanowiska kontroli bezpieczeństwa, aż w końcu trafili do

znajomego pustego pokoju przesłuchań po tej samej stronie trochę zbyt mocno zagryzmołonego biurka. Siedzieli i czekali.

Po kilkunastu minutach otworzyły się drzwi i dwóch potężnych strażników wprowadziło mężczyznę. Posiwiął i nabawił się zmarszczek, ale mimo wszystko wyglądał na nie więcej niż trzydzieści dwa lata, a jego chłopięce rysy pozostały nietknięte. Lekko się zawahał, przez chwilę obserwował Bergera i dopiero kiedy przeskoczył spojrzeniem na Blom, zobaczyli jego twarz bez żadnego wyrazu i oboje pomyśleli o narkotykach.

Szmugłowanie noży, broni palnej, narkotyków, a nawet benzyny czy dronów to utarty paragraf 22 w regionalnych klinikach psychiatrii sądowej. Wszystko działo się za pośrednictwem zwyczajnej poczty, a ponieważ ordynator musiał osobiście podejmować decyzję w sprawie każdej przesyłki, którą chciano skontrolować, niebezpieczne artykuły dosłownie spływały na oddział psychiatryczny, do rąk najbardziej niebezpiecznych i nieobliczalnych przestępców w Szwecji. Bez zmiany przepisów nikt nie mógł nic na to poradzić.

Nie tylko czas i nie tylko legalne leki odcisnęły piętno na twarzy Karla Hedbloma. Z dużym prawdopodobieństwem można było stwierdzić, że była to również metamfetamina.

– Poznajesz mnie, Karl? – zapytał Berger.

Prawa powieka Hedbloma drgnęła, bez przerwy drapał się w lewy kącik ust, duże źrenice wędrowały tam i z powrotem otoczone przez tęczęwki, które dawniej były błękitne. Ten człowiek zdecydowanie nie był na drodze do wyzdrowienia.

– Nie – wyszeptał w końcu.

Berger skinął głową.

– Jesteśmy policjantami – oznajmił. – Chcemy zadać kilka pytań.

– Wszyscy zadają pytania – odparł Hedblom i krzywo się uśmiechnął.

Brakowało mu zębów.

- Pamiętasz, za co jesteś skazany, Karl?
- Skazują mnie każdego dnia, jak słowo daję.
- Kto cię skazuje?
- Wszyscy, którzy wiedzą.
- Codzienne przypominanie tego, co zrobiłeś? Które każdego dnia sprawia

ból?

- Już nie – odparł Karl Hedblom i szarpnął kącik ust.
- Znajdujesz pocieszenie w listach? Skąd masz na to pieniądze?
- To nic nie kosztuje.
- Płacisz w naturze?
- Co?
- Co musisz zrobić, żeby dostać te listy?
- Nic. Po prostu przychodzą.
- Został ci jeszcze jakiś list, Karl?
- Nie wolno mi. Bo nic więcej nie przyjdzie.
- Skąd wiesz?
- Tak napisano w pierwszym.

Berger i Blom wymienili szybkie spojrzenie. Blom skinęła głową i Berger kontynuował:

- Pamiętasz, co dokładnie było tam napisane?
- Niczego już nie pamiętam i to jest piękne.
- A jednak pamiętasz pierwszy list.
- Nie tak dokładnie. Tylko... ogólny sens.
- Możesz opisać?
- Nie wolno mi.
- Tak, nie wolno ci pokazać listów, ale możesz je opisać.
- No nie wiem...

– To chyba nie są kryształki. Czy to proszek? Mieści się w zwykłym złożonym papierze? Czy na papierze jest coś napisane?

– Chcę stąd wyjść.

– Karl, czy jest tam napisane nazwisko nadawcy?

– To zwykłe białe koperty. Bez żadnych napisów. Chcę już iść.

– Przecież możesz to sobie przypomnieć, Karl, teraz odpowiedziałeś mądrze. Pamiętasz też, za co zostałeś skazany?

– Krzyczą mi o tym każdego dnia.

– Kto krzyczy?

– Kretyni. Idioci z pokoju dziennego. Ślinotokowcy.

– Ślinotokowcy?

– Stefan, który jako dziecko zamordował swoich braci. Åke, który sprął dwanaście osób metalową rurą w metrze. Kjell, który zjadł swoją matkę.

– Ale wszyscy ślinotokowcy uważają, że to, co ty zrobiłeś, było gorsze?

– Chodzi o tamto dziecko...

– To też pamiętasz? Co się stało?

– Nie wiem...

– Przyznałeś się do tego, Karl. Widziałem i słyszałem. Opowiedz o szalasiu.

– O szalasiu? Chyba najwięcej mówiłem o mojej mamie.

– No to opowiedz jeszcze raz.

– Człowiek się rodzi. Nic nie wie. Ktoś musi się nim zajmować. Ale ten ktoś ciągle go krzywdzi. Gdyby nie to, że już nie żyła, zabiłbym ją.

– Ile miałeś lat, kiedy umarła?

– Osiem. Ale kiedy wskoczyła pod pociąg, było już za późno. Nic nie mogło się poprawić.

– Ale chyba jednak się poprawiło? Stabilny, przyjazny dom zastępczy w Falun, normalna szkoła. Tylko rany nadal zostały, co?

– O tym cały czas nawija Andreas.  
– Andreas?  
– Jasne, że znacie Andreasa. Nowego doktora.  
– Jasne, że znamy, Karl. Kiedy zacząłeś nienawidzić mam z wózkami?  
– To był najgorszy okres. Andreas mówi, że moje pierwsze wspomnienie pochodzi z dziecięcego wózka, z chwili, kiedy pada cios. Polanem.  
– To zawsze było polano?  
– Często...  
– A potem miało miejsce parę incydentów, które sprawiły, że trafiłeś do ośrodka, prawda?  
– Nie wiem...  
– Oczywiście, że wiesz, Karl. Parę incydentów z matkami i dziećmi.  
– Nikogo nie skrzywdziłem.  
– Tylko dlatego, że zostałeś powstrzymany, prawda? Miałeś szesnaście lat, strach zaczął się zmieniać w gniew. A więc zostałeś przyjęty do ośrodka, choć pewnie powinieneś być się znaleźć w innego rodzaju zakładzie. Takim jak ten. W ośrodku byłeś wolny, mogłeś przychodzić i wychodzić, kiedy chciałeś. Po paru latach pobytu w ośrodku pojechałeś z nimi na wycieczkę do Orsy, mieszkałeś w dużej chacie i zbudowałeś szałas w lesie, było bardzo fajnie, ale któregoś dnia zobaczyłeś w oddali matkę spacerującą z dzieckiem w wózku...

Beger odchylił się na oparcie. Odezwała się Blom:

– Co się wtedy stało, Karl? Kiedy ich zobaczyłeś? Co wtedy poczułeś?  
– Nie wiem, nie pamiętam – odparł Karl Hedblom, dziwnie na nią patrząc.  
– Właśnie zbudowałeś szałas, byłeś szczęśliwy. I wtedy zobaczyłeś mamę z wózkiem. Co się wtedy działo w twoim wnętrzu?  
– Masz dzieci?

Berger dostrzegł, że pytanie zbiło Blom z tropu, ale szybko się opanowała

i odparła:

– A jak ci się wydaje, Karl?

– Nie. – Karl Hedblom pokręcił głową. – Ty jesteś bardziej jak mężczyzna.

W innej sytuacji Berger głośno by się roześmiał, ale teraz nie mógł sobie na to pozwolić. Blom posłała mu szybkie spojrzenie i kontynuowała:

– Jesteś w lesie, Karl. Skończyłeś budować szałas. Widzisz kobietę z wózkiem. Co się dzieje potem?

– Już odpowiadałem na to pytanie.

– Mówiłeś wtedy prawdę?

– Myślę, że tak. Coś się ze mną dzieje, kiedy to widzę. Dobrze, że tu siedzę. Andreas uważa, że tak jest najlepiej.

– Często to widzisz, Karl?

– Siedzę tutaj, nie widuję niczego. Czasem widzę to w telewizji.

– Denerwujesz się, kiedy widzisz w telewizji mamę z wózkiem?

– Nie wiem...

– Musimy teraz wrócić do lasu. Jest jesień i w lesie panuje chłód. Czujesz zapach lasu? Żółte liście pokrywają ziemię. Rosły tam grzyby, Karl? Trwał sezon na grzyby?

– Grzyb był zmurszały. To on tak śmierdział.

– Co robiłeś w lesie, Karl?

– Mogłem pobyć sam. To było cudowne.

– Zbudowanie szałasu nie może być proste. Kto cię tego nauczył?

– Nie zbudowałem żadnego szałasu.

– Po prostu znalazłeś go w lesie? Kiedy byłeś w nim sam?

– Nie wiem...

– Osiem lat temu mówiłeś, że sam go zbudowałeś, Karl. Co się działo, kiedy był już ukończony? Co się działo w środku?

– Chcę stąd wyjść.

– To były prawie dwie doby, Karl. Musiało się dużo dziać.

Hedblom już nie odpowiadał. Kręcił głową, patrząc w stół, i szarpał kącik ust. Blom podjęła jeszcze jedną próbę:

– Czy od początku planowałeś, że użyjesz polana? Jak twoja mama?

Nagle otworzyły się drzwi. Dwóch potężnych pielęgniarzy weszło do środka. Potem lekko się rozstąpili i zrobili miejsce mężczyźnie koło czterdziestki. Ten spojrzął znad iPada i nasunął okulary do czytania na czoło.

– Teraz przestało już być dobrze – oznajmił. – Chodźcie ze mną.

Nie pozostawiono im wyboru. Strażnicy aktywnie współpracowali przy wyprowadzaniu ich na korytarz. Berger posłał ostatnie spojrzenie w kierunku pokoju przesłuchań, a potem drzwi się zamknęły. Strażnicy podeszli do Karla Hedbloma. Nadal siedział i kręcił głową.

Mężczyzna był swobodnie ubrany po cywilnemu – miał dżinsy i koszulę wypuszczoną na spodnie. Kiedy pokonywali pokaźny odcinek korytarzami kliniki, nie powiedział ani słowa. Po przejściu przez dwa stanowiska kontroli bezpieczeństwa dotarli do drzwi opatrzonej tabliczką z napisem „Andreas Hamlin”, bez tytułu. Otworzył je kodem i kartą i wskazał parę krzeseł. Okrążył biurko i usiadł. Wskazał swojego iPada.

– Przekroczyliście tam kilka granic.

– Zastanawiam się, czy pan też ich nie przekroczył – odparła Blom – pozwalając nam na to.

Andreas Hamlin wzruszył ramionami.

– Karl już dawno nie rozmawiał z nikim z zewnątrz. Myślałem, że może odkryjecie jakąś wcześniej przeoczoną perspektywę. Niestety, tak się nie stało.

– Przez cały czas pan obserwował? – zapytał Berger.

– Myślę, że chyba się tego domyślaliście – odparł Hamlin z równie



krótkim co smutnym uśmiechem.

– Jakie granice ma pan na myśli? – spytała Blom.

– Granice, za którymi on się zamyka. Zналиście je. Szałas, mama, te dwa dni. Polano. Ale opis atmosfery jesiennego lasu był ładny, może dałoby się to pociągnąć.

– Opis atmosfery jesiennego lasu? – zawołał Berger i poczuł dłoń Blom na udzie.

– Kontrolowaliście listy? – zapytała.

Andreas Hamlin ponownie wzruszył ramionami.

– Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że zażywa nie tylko lofepraminę i nortryptylinę, ale trudno powiedzieć, skąd to bierze.

– Dlaczego mam wrażenie, że nie widuje się pan z Karlem zbyt często? – zapytał Berger.

– Prawdopodobnie dlatego, że to prawda – odparł Hamlin tym samym lekko flegmatycznym tonem. – W zasadzie są to pacjenci potrzebujący wysoce intensywnej psychoanalizy, a my mamy takie braki personelu, że oprócz podawania leków robimy niewiele więcej. Kiedy jednak trzy lata temu podjąłem tu pracę, zacząłem od nowa spotkania z Karlem. Od samego początku. W każdym razie nie zbudował żadnego szałasu, ma dwie lewe ręce.

– A poza tym?

– Ciężko ocenić – odparł Hamlin. – Wyłącza się w określonych przypadkach. Myślę, że naprawdę nie pamięta. Ale byłem przy tym, jak się denerwował, i wiem, że z nim nie ma żartów. W ogóle trudno sobie wyobrazić mocniejszy sposób wyrażania uczuć.

– W stosunku do jego mamy czy mam jako takich?

Andreas Hamlin przez chwilę kiwał głową. Po raz pierwszy wyglądał jak lekarz.

– Głównie w stosunku do jego mamy – odparł. – Ale, jak wiadomo,

w przeszłości atakował matki.

– Dwukrotnie w wieku szesnastu lat – rzekł Berger.

– Od tamtego czasu miał jedną szansę – dodał Hamlin. – I ją wykorzystał.

– To pana zawodowa opinia?

– To zawodowa opinia policji i wymiaru sprawiedliwości. Ja tylko na niej bazuję.

– Więc niech pan przestanie – odparł Berger.

Andreas Hamlin posłał mu zawodowe spojrzenie.

– To dopiero byłoby ciekawe do zbadania – stwierdził.

Berger zagłuszył niespodziewany chichot Blom:

– Nie zadowoliliby mnie nic poniżej „wysokiej intensywnej psychoanalizy”. Jest winny czy nie?

– Nie wiem – odparł Hamlin. – Naprawdę nie wiem. Ma w sobie gniew... brutalność jest ewidentna i lepiej dla wszystkich, żeby tu przebywał... Ale to są impulsy, eksplodujące fajerwerki. Przetrzymany kogoś przez dwie doby w szalasi to inna sprawa. Zupełnie inny mechanizm psychologiczny.

– Uważa pan, że jest niewinny?

– Nigdy mnie pan nie skłoni do powiedzenia tego.

– Tak myślałem.

– Jednak zastanawiam się nad inną kwestią – rzekł spokojnie Hamlin. – Jakkolwiek przeszukuję materiały ze śledztwa w sprawie podwójnego morderstwa Heleny i Rasmusa Gradénów, nie znajduję jednego.

– A mianowicie? – spytał Berger, czując, że lekko przyśpieszył mu puls.

– Nie ma tam policjanta o nazwisku Lindbergh.

– Słucham?

– Jakkolwiek bym szukał, nie znajduję w materiałach policjanta C. Lindbergha. A pan, siedząc tam, wyraźnie powiedział, że był na miejscu, widział i słyszał, jak Karl Hedblom przyznaje się do podwójnego

morderstwa. Choć przecież pana tam nie było, prawda?

– Działalem na obrzeżach – odparł Berger i zmarszczył brwi.

– Zastanawiam się, czy nie poruszyć tego tematu z pańską szefową. Jak ona się nazywała? Komisarz Rosenkvist? Może pójde nawet wyżej. Co oznacza C?

– Charles – wydukał Berger.

– Charles Lindbergh? Przez h? Poważnie?

Molly Blom ścisnęła udo Bergera tak, że aż podskoczył, i powiedziała:

– Mam inne pytanie. Dlaczego Karl był maltretowany w wózku spacerowym? Czy akty przemocy w rodzinie nie mają zwykle miejsca w czterech ścianach? Tutaj jest na odwrót.

– To działo się wtedy, kiedy jego mamie Ulli nikt nie przeszkadzał – mruknął Andreas Hamlin.

– Nie przeszkadzał maltretować synka w wózku? W czasie spacerów w Falun? Przy użyciu...

– Polana, tak, wszystko na to wskazuje. Zdaje się, że cały czas leżało w koszu wózka, dobrze wmyte. Ale oczywiście nie da się tego potwierdzić, jeśli się go nie znajdzie.

– Go?

– Tak jak mówiłem, zacząłem się zajmować tą sprawą trzy lata temu. Dopiero wtedy odkryto ten fakt. Najwyraźniej nikomu nie chciało się szukać.

– O czym my tu rozmawiamy? – zapytała Blom.

Doktor Andreas Hamlin oparł się na krześle i uważnie ich obserwował. W końcu powiedział:

– Był jeszcze ojciec. I brat.

# 15

*Piątek 20 listopada, godz. 12:08*

Osiem lat to niezbyt długi okres, ale z perspektywy domu może stanowić różnicę między rozwojem a upadkiem. W tym przypadku z całą pewnością w grę wchodził upadek.

Stali przy dużym zapuszczonym budynku i patrzyli na coś, co kiedyś było działką. Pochłonał ją las, żarłoczny i bezwzględny, a Berger nie był nawet pewien, w którym kierunku pójść.

– A więc mieszkańcy ośrodka przyjechali z Falun? – zapytała Blom.

– Jesienna wycieczka – odparł Berger i zaczął iść. – Było dziewięć osób, piętnaście razem z opiekunami. Spędzili tu ponad dwa jesienne tygodnie.

Kiedy wchodzili w gęsty las, zaczął padać śnieg. Płatki powoli wirowały i wpadały w nieliczne szczeliny pomiędzy wierzchołkami drzew, a gałęzie wokół Bergera i Blom z każdym krokiem były bielsze. Nie ulegało wątpliwości, że granica śniegu w kraju się przesuwa.

– A więc ojciec i brat?

– Nie byli ujęci w śledztwie – odparł Berger. – Musieli wcześniej zniknąć.

– Ale przecież lekarze psychiatrii sądowej nie mogli tego przeoczyć?

– Ich ustalenia dotarły do nas jedynie w formie streszczenia. Możliwe, że nie uznali tego za znaczące.

Szli dalej. Śnieg bezgłośnie spadał z nieba. Las jeszcze bardziej zgęstniał, zalegała cisza.

– Matka biła Karla, kiedy leżał w wózku – powiedziała w końcu Blom. – Czy dlatego, że nie mogła tego robić w domu? Dlatego, że tam była rodzina?

– Jego ojciec i starszy brat. – Berger skinął głową. – Po śmierci matki Karl Hedblom od razu wylądował u rodziny zastępczej. A więc ojciec nie mógł objąć nad nim opieki. Dlaczego?

– Musimy poczytać więcej na ten temat – oznajmiła Blom. – Jedno jest w każdym razie jasne.

– Co takiego?

– Karl Hedblom raczej nie jest przestępcą, który mógłby się doczekać naśladowcy.

– To prawda – zgodził się Berger. – Teraz jest bardziej zniszczony, to ćpun pełną gębą i tak dalej, ale wtedy był co najmniej równie nieszczęsnym wrakiem psychicznym. Morderca musi być w miarę charyzmatyczny, żeby się doczekać naśladowcy.

– W takim razie bardziej prawdopodobne, że to rodzinne – odparła Blom. – Mają to we krwi. Brat, który doświadczał tego samego gówna. Tatuńcio, jeszcze gorszy od mamuśki.

– Który bez wahania wrobiłby brata lub syna w morderstwo? No nie wiem...

Pozwoliła tym słowom wybrzmieć. Oni sami brnęli coraz głębiej w las. Berger sprawdził kompas w telefonie i skorygował kierunek.

– W każdym razie to wyjaśniałoby polano – oznajmiła Blom po jakimś czasie.

– No nie wiem... – powtórzył Berger.

– Jeśli Karl jest niewinny, to kto mógłby wiedzieć o polanie, jeśli nie rodzina?

Berger głęboko westchnął i wskazał ręką zarośniętą w większości polankę.

– Może być i tak, że Karl Hedblom pokonywał dokładnie ten odcinek każdego dnia przez cały tydzień: najpierw, żeby zbudować szałas, a potem codziennie wracać i się znęcać nad swoimi uwięzionymi ofiarami, Heleną i Rasmusem Gradénami. W końcu ich zabił i przeciągnął na drogę.

Przy odrobinie wyobraźni można było pomyśleć, że to, co wystawało spod ciężkich, całkowicie zaśnieżonych gałęzi drzew iglastych, było kiedyś szałasem. Pojedyncze pnie drzew liściastych i iglastych były chaotycznie rozrzucone, jak bierki dla olbrzymów.

Berger podszedł, dotknął śladu po cięciu piłą, przesunął dłonią po zbutwiałym sznurze.

– Ściął drzewo, odrzucił gałęzie, związał pnie i zbudował wytrzymałą konstrukcję, w której przez dwa dni w tajemnicy przed wszystkimi przetrzymywał matkę i dziecko. Potrafiłabyś to zrobić? Czy ja bym potrafił?

– Może ten szałas był tu już wcześniej? Może on go tylko znalazł?

– Po pierwsze, szałas był wtedy nowy, po drugie żaden inny budowniczy się nie ujawnił. Ale to oczywiście jest możliwe. I w zasadzie nie musieli siedzieć przez dwie doby akurat tutaj. Tyle że ich krew i DNA Karla znaleziono właśnie w tym miejscu, nie gdzie indziej.

Blom skinęła głową i przez chwilę przechadzała się w wirujących płatkach śniegu. Berger odsuwał grubą gałąź świerku, aż rozległ się głuchy trzask. W połowie złamana gałąź odsłoniła wnętrze, teraz bardziej niż wcześniej przypominające pokój.

– Gdyby ściany mogły mówić... – odezwał się Berger.

– Do mnie mówią – odparła Blom z naciskiem. – Mówią: inny sprawca, inne miejsce zbrodni. Mówią: dowody zostały podłożone. Był październik, czternastomiesięczny chłopczyk nie przeżyłby w tym szałasie, nawet bardzo grubo ubrany. Zamarzłby, na długo zanim sprawca by go zatłukł. Mama

pewnie też. O ile wcześniej nie umarłaby z żalu.

– Oznaki zamarznięcia były widoczne...

– Dopiero teraz – ciągnęła niestrudzenie Blom – kiedy wiemy, że morderstwo w takiej czy innej formie trwało nadal, możemy zobaczyć Karla Hedbloma w wyraźnym świetle. Ktoś wysyła mu narkotyki do psychiatryka. Ktoś próbuje maksymalnie utrudnić nawiązywanie z nim kontaktu. Czy może to być ktokolwiek inny niż prawdziwy sprawca? Karl nie był w stanie tego zbudować, nie dałby rady związać i uciszyć dwóch nieprzewidywalnych istot w tym szalasie. To zupełnie inny typ, jego wybuchy agresji były spontaniczne. Policja jest do dupy, wyrok jest do dupy.

Berger znieruchomiał i się jej przyjrzał. Jasne włosy były pokryte warstwą płatków śniegu, tak lekkich, że zdawały się unosić nad jej głową, niczym mgławica w mikrokosmosie. Był wściekły, że nie może jej w pełni zaufać.

– Naprawdę się do tego palisz – powiedział, żeby ją sprawdzić.

Blom wlepiała w niego wzrok. Pokręciła głową.

– Żadne z nas nie polubiło Jessiki Johnsson, nasze spotkanie trwało tylko kilka minut, a była nieprzyjemna, opryskliwa. Ale wszystko wskazuje na to, że została zabita we własnym domu, podczas gdy my tam byliśmy. Byliśmy tam i pozwoliliśmy, żeby to się stało. Człowiek, który zmasakrował Helenę i Rasmusa w tym szalasie działał dalej przez osiem lat, osiem długich lat. Idę o zakład, że ofiara z Göteborga, Lisa Widstrand, to tylko wierzchołek góry lodowej.

Berger spojrzał jej w oczy, nie dostrzegł w nich śladów kłamstwa ani gry. To, co się stało po wydarzeniach w hangarze, było osobną kwestią. Tak właśnie musiał o tym myśleć, podzielić umysł na dwie części. Jedną ufającą Molly i drugą podejrzliwą wobec niej. Skinął głową.

– Robiłem, co mogłem, żeby nie myśleć o seryjnym mordercy...

Blom wyjęła z kieszeni telefon i pokazała go Bergerowi. Na zdjęciu

ciemna twarz odznaczała się na tle dwóch źródeł światła znajdujących się u podnóża schodów. To była kominiarka i wyzierająca z niej para oczu, świecących jakby własnym światłem. Blom zrobiła zbliżenie – były błękitne.

– Co widziały tamte oczy – powiedziała.

– Masz na myśli oczy Karla Hedbloma? – zapytał Berger.

– Teraz są w ciemności – rzekła Blom, skinąwszy głową. – Ale też były błękitne.

– Hedblom ojciec miałby teraz około sześćdziesiątki. Czy ten człowiek może mieć sześćdziesiątkę?

– Może. Ale wydaje się młodszy. Ciosy wskazywały na kogoś młodszego.

– A brat? – zapytał Berger. – Choć teraz to poruszamy się po omacku.

– Musimy wniknąć w historię rodziny.

– Ta historia wydaje się straszna.

Blom oddaliła na wyświetlaczu mężczyznę w kominiarce.

– Nie chcę już tu dłużej być – powiedziała.

\* \* \*

Pod Brunflo, tuż przed tym jak E45 przez kilkadziesiąt kilometrów łączy się z E14, Berger zobaczył tablicę. Wówczas nie zrobiła na nim wrażenia, ale mimo wszystko w jakiś sposób musiała się zagnieździć w jego wnętrzu, bo kiedy to samo słowo powróciło na tablicy dziesięć kilometrów dalej, po prostu powiedział:

– Frösön.

Blom przerwała lekturę i spojrzała znad teczki, ale nic nie odrzekła. Berger kontynuował:

– Dlaczego na widok nazwy Frösön dzwoni mi w głowie mnóstwo dzwonek ostrzegawczych?

Blom zamknęła teczkę i zmarszczyła brwi.



– Teraz, kiedy to mówisz... – zaczęła i umilkła.

Najdłuższa droga Europy – Inlandsvägen – wkrótce miała odbić w prawo i zostawić tymczasową towarzyszkę za sobą. Po lewej było Östersund. I Frösön.

– Nie Tahiti – powiedziała Blom.

– Ach to – rzekł Berger.

\* \* \*

Sala, która zwykle stanowiła miejsce zebrań albo parkiet, była teraz pełna stolików. W kilkanaście kwadratowych blatów niestrudzenie trzaskały karty do gry. Przy każdym stoliku stały cztery krzesła, na krzesłach siedzieli ludzie, prawie wszyscy mieli szare lub białe włosy.

Berger prawie go nie poznał. Zapuścił brodę i miał na sobie luźno wiszącą hawajską koszulę. Podniósł rękę w geście zwycięstwa, wstał od stolika, objął ramieniem kobietę i ruszył w ich stronę.

Emerytowany komisarz policji kryminalnej Allan Gudmundsson zrobił wielkie oczy.

– Sam – powiedział ponuro.

– Pamiętasz pewnie Molly Blom? – odparł Berger.

Allan wyszeptał kilka słów do kobiety, która najprawdopodobniej była jego żoną. Ta wolnym krokiem poszła do kawiarnianego stolika. Allan odciągnął ich na bok.

– Roczna odprawa. Doskonała okazja do nauczenia się gry w brydża. Cudowny sport.

– Możemy gdzieś spokojnie porozmawiać? – zapytał Berger.

– Wolałbym nie – odparł Allan. – Żadne z nas nie jest już funkcjonariuszem policji. Nie mamy żadnych spraw służbowych do przedyskutowania.

Berger tylko na niego patrzył. W końcu Allan dał za wygraną, wzruszył ramionami i rzekł:

– Chodź ze mną.

Znaleźli się w małej salce zebrań i usiedli przy kwadratowym stole, mocno przypominającym stolik do brydża.

– A ja myślałem, że pojedziesz do Paryża – powiedział Allan.

– Pamiętasz Karla Hedbloma? – spytał Berger.

Allan Gudmundsson się skrzywił.

– Nie mam powodu pamiętać ani jego, ani ciebie, Sam. Zawiodłeś mnie. Okłamałeś.

– Wiesz dlaczego, Allan. Wiesz, że to było konieczne.

– Tak mówisz. Dlaczego ty, wywalony z roboty były gliniarz, miałbyś okazywać zainteresowanie jednemu z najokropniejszych morderców w dziejach Szwecji?

– Pojawiło się kilka nowych faktów...

– Gdyby tak było, miałbym tu policję, a nie ciebie.

– Próbuje się jako prywatni śledczy. Mamy za zadanie sprawdzić te nowe informacje.

– Kto wam to zlecił?

Berger posłał szybkie spojrzenie Blom.

– Ojciec Karla Hedbloma.

– Rune? – zawołał Allan. – Co, do cholery?

– Rune Hedblom, zgadza się – odparł Berger uprzejmie.

– On żyje?

– Dziwił się, że nie został włączony w śledztwo.

– Wylądował w koszu, nie było sensu dalej się mu przyglądać. To ma być wasze nowe odkrycie?

– Jasne, że nie. Dlaczego nie było sensu sprawdzać Runego Hedbloma?

– Zaawansowany alkoholik. Kloszard z Borlänge. Rozumiem, że się ogarnął?

– Tak. Ale już wtedy musiał powiedzieć coś, co sprawiło, że go wykreśliliście.

– Wyprowadził się, kiedy Karl miał siedem lat. Chciał uciec. Wylądował na ulicy.

– A drugi syn?

– Anders. – Allan skinął głową. – Trzy lata starszy. Zniknął jeszcze wcześniej, trafił do ciotki w Skanii. Coś mi się kojarzy, że ktoś rozmawiał z nim przez telefon i wykluczył go ze śledztwa. To również wylądowało w koszu. Leży pewnie teraz w policyjnym magazynie w Sztokholmie.

– Powiedział coś wartego zapamiętania?

– Nie przypominam sobie. Wątpię.

– Postaraj się.

– Odkąd się wyprowadził, nigdy nie był w okolicach Dalarny. Mieszkał w Malmö, pracował gdzieś jako handlowiec. Kojarzę jak przez mgłę, że powiedział coś jeszcze, ale to nie miało związku ze sprawą, więc nie wyciągaliśmy go z kosza. A teraz powiedz mi, co kombinujecie.

– Mówisz, że powiedział coś więcej. Co takiego?

– Coś, co wydawało mi się trochę dziwne, ale teraz nie pamiętam.

– Na pewno pamiętasz, Allan. Kierowałeś śledztwem, miałeś nad wszystkim pełną kontrolę.

– Nie byłem sam. Ten wariat Ling krążył nad wszystkim jak helikopter, który lada chwila się rozbije, był wysoko nade mną. A pamiętasz Robertssona? To dopiero był kawał pajaca.

Na ustach Bergera pojawił się uśmiech – jakby wyszedł z kryjówki.

– Katalog – powiedział Berger.

– Agencje towarzyskie z całego kraju – odparł Allan. – Podczas przerwy

obiadowej, niech mnie diabli.

– Zastanawiam się, co taki facet robi dzisiaj, osiem lat później.

– I jeszcze filmował z ukrycia przesłuchania innych – dodał ze śmiechem Allan. – Starą kamerą VHS, przez okno w tym zwariowanym hotelu w Orsie.

Berger tego właśnie szukał. Krótkiej chwili porozumienia, która być może wystarczy do przełamania lodów. Potrzebował Allana niespiętego jak agrafka.

– Co to za nowe informacje wyszły na jaw? – spytał Allan, kiedy już opuścili ciepłe wody wspomnień.

– Ktoś przesyła Karlowi Hedblomowi narkotyki do Säter.

– Jakie narkotyki?

– Nie wiadomo. W każdym razie w ich skład na pewno wchodzi metamfetamina. Komuś zależy na osłabieniu jego pamięci i zdolności kojarzenia.

Allan wlepił w niego wzrok.

– Sam, byłeś przy tym, jak Karl się przyznał. Siedziałeś obok mnie, byłeś tam. Naprawdę choć przez sekundę wątpiłeś, że znaleźliśmy winnego?

– Nie – przyznał Berger. – Wtedy nie.

– To znaczy, że coś się zmieniło? Najbardziej jednoznacznie winny przestępca w kraju nagle stał się niewinny jak baranek? Jesteś pewien, że teraz nic ci nie zaciemnia obrazu?

– Z każdą chwilą coraz bardziej.

Allan kręcił głową. Długo i powoli. W końcu zadał pytanie:

– Wiesz, na czym zawsze polegała różnica między policjantami a prywatnymi detektywami? – Berger czekał, więc Allan mówił dalej: – Na zleceniodawcy. Policjant służy obywatelom, a prywatny detektyw jest kupiony. A kiedy ciebie kupił Rune Hedblom, syn nagle jest niewinny. Uczesz się. I natychmiast zgól tę pieprzoną brodę.

Berger pogładził się po wspomnianej brodzie, jak zwykle zdumiony jej istnieniem, i rzucił:

– Czterolistna koniczyna.

Przez pewien czas, który nie dawał się zmierzyć, Allan patrzył w pustkę. Potem w głowie wyraźnie zaświeciła mu się żarówka.

– Ale to był tylko cholerny rysunek długopisem. Pieprzyliście o nim jak najęci, ale okazał się zupełnie nieznaczący. Widziałeś w ogóle obrażenia? I wy gładziliście o jakimś rysunku na tyłku?

– Przecież ten sam rysunek pojawił się kilka lat później na ciele ofiary z Göteborga...

– I znów to pierdzielenie! – wykrzyknął Allan.

– Znów?

– Jakaś zwariowana maniaczka przez całe lata wałkowała temat tej zdziry z targów książki, tak jakby mały rysuneczek na tyłku wskazywał na seryjnego mordercę. Wiesz bardzo dobrze, że w tym kraju nie mamy seryjnych morderców. W końcu musieliśmy ją zablokować.

– Twoja maniaczka gadała tylko o tym? Nie miała żadnych innych teorii spiskowych?

– Było też parę innych, zablokowaliśmy ją.

– Pamiętasz, jak się nazywała?

– Johanna czy Josefin i jakieś podobne nazwisko.

– Mogła się nazywać Jessica Johnsson?

Allan przez jakiś czas kiwał głową.

– Tak, właśnie tak. Choć wszystko zaczęło się jakiś rok później.

– No to od wczoraj mamy nową koniczynę narysowaną długopisem na nowym pośladku, i co na to odpowiesz?

Allan umilkł, zmarszczył brwi.

– Wciąż jeszcze mam w sobie trochę z policjanta. Starego psa nie tak

łatwo nauczyć nowych sztuczek. W dzisiejszej gazecie czytałem artykuł, który wręcz śmierdział utajnianiem informacji. Norrbotten?

– Ofiarą była Jessica Johnsson – powiedział Berger. – Ciało zniknęło, ale pośladek został.

Allan wpatrywał się w niego kompletnie jawnie.

– O cholera – wyrzucił z siebie w końcu.

– Jak to wpływa na twój pogląd na winę Karla Hedbloma?

Były komisarz Allan Gudmundsson opadł na oparcie krzesła i lekko pociągnął za hawajską koszulę. W końcu się odezwał:

– Teraz mi się przypomniało.

– Co ci się przypomniało?

– To, co Anders Hedblom powiedział przez telefon.

– Co powiedział?

– Że Karl odziedziczył ten wózek po nim.

\* \* \*

Zapadał zmierzch. Berger nadal siedział za kierownicą.

– Brydź nie wydaje się szczególnie sprzyjać bystrości umysłu – powiedziała Blom.

Berger się roześmiał i jechał dalej Inlandsvägen.

– Ale nauczyliśmy się paru innych rzeczy.

– Że twój Robertsson potajemnie filmował przesłuchania – odparła Blom.

– Czy nie wszystkie należało sfilmować?

– Było ich zbyt wiele – Berger pokręcił głową. – Rutynowe przesłuchania.

Szczerze mówiąc, myślę, że Robertsson filmował przede wszystkim dekolty.

Ale spróbuję go znaleźć. Co jeszcze?

– Ojciec nazywa się Rune Hedblom, jest kloszardem w Borlänge.

– Brat Anders Hedblom jest handlowcem w Malmö.

– Mniej lub bardziej spontanicznie powiedział, że Karl „odziedziczył po nim wózek”. Prawdopodobnie chciał też przez to powiedzieć, że odziedziczył ciosy polanem.

– Do Malmö jest bardzo daleko – oznajmił Berger.

– Mieszkał tam osiem lat temu – odparła Blom. – Handlowcy mają tendencję do przemieszczania się po całym kraju. Musimy go sprawdzić. Coś jeszcze?

– Kiedy zobaczyliśmy pisane na maszynie listy Jessiki, uznaliśmy, że wzmianka o winie Karla to mało istotny szczegół. Ale zdaje się, że często pisała o tym i otwarcie wspominała o czterolistnej koniczynie.

– Ale zaczęła to robić dopiero rok po zabójstwie Lisy Widstrand. Co się wtedy wydarzyło?

– Zmarł Eddy Karlsson, jej prześladowca. Dopiero kiedy Jessica mogła odzyskać prawdziwą tożsamość, zaczęła się upierać przy przedstawianiu swoich teorii policji. Opowiadaniu o czterolistnej koniczynie, która łączy wszystkie przypadki.

– Chciała powiedzieć, że morderca nadal jest na wolności. Nie mogła tego zrobić wprost, bo pozostawała z nim w jakiejś relacji. Inaczej mówiąc, znowu jesteśmy na polu startowym.

– Ja mimo wszystko tak nie uważam – mruknął Berger.

– Za to Allan powiedział inną ciekawą rzecz – oznajmiła Blom.

– Co takiego?

– Że ty i Desiré marudziliście o czterolistnej koniczynie.

## 16

*Sobota 21 listopada, godz. 9:01*

Kiedy się obudził, zobaczył go na stole. Nie kładł go tam.

Choć „obudził” nie było właściwym określeniem. Granica między snem a jawą przestała istnieć. Wszystko się ze sobą zlewało.

Wrócili w środku nocy. Kiedy w końcu Kåbtåjaure przełamało pagórkowaty teren swoją czystą i płaską ciemną powierzchnią, oboje byli tak zmęczeni, że nie zamienili ze sobą ani słowa.

Berger runął na łóżko jak zabity, nie zdejmując nawet kurtki. Rzucił tylko komórkę na stół i zaraz potem osunął się w czystą, płaską ciemność. Ciemność, która prawdopodobnie przypominała śmierć.

Po pewnym czasie z ciemnością zaczynają się dziać różne rzeczy. Wynurza się z niej para błękitnych oczu. Na ich tle widać szybkie, fragmentaryczne ruchy w połowie oświetlonego polana, pojawia się biel, ale środek pozostaje czarny. Czerń nabiera konturów, to kontury człowieka, krwawy odcisk na płótnie. Potem widać odbicie księżyca w ostrzu noża, a raczej w klindze, która wchodzi w skórę, rozrywa ją. Pojawia się rysunek. Jego kontury są rozżarzone, to koniczyna, jej cztery liście przechodzą w cztery koła dziecięcego wózka na tle jasnych prześwitów pomiędzy luźno złączonymi kłocami drewna. Kiedy w coraz ostrzejszym świetle znika para



związanych rąk, ukazuje się odwrócona kobieta przy stole. W jej ustach tkwi skarpetka, czarna jak czysty mrok.

W świecie niczym pomiędzy snem a jawą gadzi mózg wysłał rękę w stronę nocnego stolika. Jednak to, co pod nią wyczuł, miało zupełnie inną strukturę niż zimny telefon komórkowy. Wystarczająco odmienną, żeby usiadł wyprostowany jak struna na prymitywnym posłaniu, zapalił lampkę i oszołomiony dostrzegł na nocnym stoliku rozciągniętą czarną skarpetkę.

Leżała tam niczym kawałek śmierci.

Miał wysuszone podniebienie – spał z otwartymi ustami. Wystarczyłoby wsadzić tam skarpetkę. Nawet by się nie obudził, żeby stawić opór.

Próbował myśleć racjonalnie. Czyżby sam ją zgubił? Kiedy w ogóle po raz ostatni miał w ręku czarną skarpetkę tego typu?

Z drugiej strony przed długą podróżą po Inlandsvägen porządnie przegrzebał stopy ubrań, a i Molly w drodze powrotnej kupowała różne dziwne ciuchy.

Tak czy inaczej, skarpetka tam leżała. Rozciągnięta jak chorągiew nad trumną poległego wojownika.

Nie, tylko to sobie wmawiał. Nikogo nie było w jego domku na szwedzkim biegunie niedostępności. Nikt nie mógł tu się pojawić.

Nikt oprócz Molly Blom.

Berger wstał. Zaczął myśleć o tym, w jakim świecie żyje. Niczego nie można być pewnym. Nic nie jest takie, jakim się wydawało, a już najmniej on sam. Przed oczami zaczęły mu stawać obrazy – zapomniane, wyparte. Chłopcy, bliźniaki. Jego była partnerka Freja z długimi, bujnymi włosami. Wyjazd do Francji, który coraz bardziej przypominał ucieczkę z kraju. Przerazająca postać, która goniła ich na lotnisku Arlanda i w której dopiero znacznie później rozpoznał siebie. Ojca, który poniósł klęskę.

Tak, jakby był dwiema różnymi osobami.

Jakby miał dwa zupełnie różne życia.

Wstał, zachwiał się na nogach i poczuł to jakby z dziwnego dystansu.

Czy sam położył tam tę skarpetkę zeszłej nocy?

W innym stanie, jako inny człowiek?

Po ponaddwutygodniowym braku przytomności w wyniku czystego szoku psychicznego?

Oczywiście miał ogromne poczucie winy z powodu śmierci Strzały, ale czy tak potężny szok w ogóle jest możliwy? Czy naprawdę przez cały ten czas był nieprzytomny?

Powlókł się do toalety i włączył słabą lampkę na baterie. Pomieszczenie było małe, ciasne, z toalety kompostującej unosił się stęchły zapach, do połowy pełna butelka wody stała na krawędzi zapuszczonej umywalki, obok mydła, które nie dało rady usunąć całego brudu. Leżało niczym wysepka w częściowo zamrożonej brudnej wodzie. Nad tą żalosną sceną wisiało lustro, tak brudne, że ledwo był w stanie rozpoznać własną dziwną twarz i szarą brodę.

Co się wydarzyło? Jego zaufanie do Molly Blom pozwoliło mu zaakceptować wszystko – tygodnie braku przytomności, szaloną ucieczkę przez cały kraj, jej status bohaterki – ale teraz to wszystko drżało w posadach.

Spojrzał na siebie w lustrze, po raz pierwszy udało mu się przebić przez brud. Broda rzeczywiście wyglądała dziwnie. Czy mogła aż tak urosnąć przez dwa tygodnie? Fryzura w dalszym ciągu była naprawdę osobliwa. Pociągnął za włosy nad uszami i stwierdził, że niewątpliwie są krótsze po lewej stronie. Był chudszy niż kiedykolwiek, przez co stare nieszczęsne ugryzienie na przedramieniu było wyraźniej widoczne niż zwykle. Zza brody wyzierały zapadnięte policzki.

Nie, pomyślał. Uderzył w lustro i wyszedł z łazienki. Nie. Już czas

przywrócić porządek. Jednocześnie wiedział, że jedynym znanym mu sposobem na przywrócenie porządku jest praca. Prowadzenie śledztwa, wykonywanie obowiązków policjanta kryminalnego, zagłębianie się w absorbującą sprawę.

I teraz dostał drugą szansę.

Wyrzął przez okno. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale jego promienie oddzielały szczyty gór od nieba i sprawiały, że pokryta lodem powierzchnia jeziora Kåbtåjaure połyskiwała. Na widok różowego poblasku zgasił lampkę.

Szybko się skonsultował z wiszącym na ścianie schematem godzinowym dla poszczególnych satelitów. Stwierdził, że nic nie przypada na godzinę wskazaną przez zegarek, który właśnie włożył na rękę. Po raz ostatni rzucił okiem na groteskową skarpetkę i wyszedł.

Świt nastawał szybko. Berger wyszedł z domku w półmroku, a kiedy dotarł do kolejnego, było już zupełnie jasno. Zapukał do drzwi. Nikt się nie odezwał, nikt nie zareagował. Otworzył drzwiczki, te drugie, wąskie. Zajrzał do środka i zobaczył, że nie ma nart. Otworzył główne drzwi i wszedł do środka.

Starannie rozłożony śpiwór leżał na pościeli, perfekcyjnie uklepana poduszka była oparta o ścianę i wyglądała na świeżo wypraną. Naprzeciwko znajdował się zastępnik białej tablicy – po prostu sosnowa ściana wypełniona poprzipinаныmi kartkami. Było tam wszystko, co wiedzieli. Berger odniósł wrażenie, że od poprzedniego dnia ta przestrzeń się rozrosła.

Od jak dawna Blom nie śpi? – zastanawiał się.

Podszedł bliżej. Zobaczył linię czasu obrazującą życie Jessiki Johnsson, projekt znajomej willi w Porjus, listę przesłuchanych w sprawie Heleny Gradén, dobrze dobrane fotografie z tej samej teczki, wyjątkowo żywy portret nieżywej Lisy Widstrand i fotografię mężczyzny w kominiarce wbiegającego po schodach do piwnicy. Obok dobrze znanego zdjęcia

młodego Karla Hedbloma tkwiło nowe, na którym był o osiem lat starszy i pod znacznie mocniejszym wpływem narkotyków. To nie było jedyne nowe zdjęcie. Berger spostrzegł też fotografię nadgryzionej zębem czasu chaty, trzy zdjęcia w połowie ośnieżonego szałas, a nawet wysoce aktualny portret Allana w hawajskiej koszuli.

Molly Blom była coraz lepsza w robieniu zdjęć z ukrycia.

Berger odsunął się lekko od ściany, wyjrzał przez okno i zobaczył słońce wspinające się ponad góry. Nie miał pojęcia, jak długo Blom jest na dworze. Mogła wrócić w każdej chwili. Tak czy inaczej, ogarnęło go to samo uczucie co w jego własnym domku – że należy przywrócić porządek.

Stał tam, w identycznym domku, i widział w wyobraźni czarną skarpetkę, tak samo rozciągniętą jak śpiwór Blom. Zaczął się śpieszyć. Wszedł do łazienki, w której oczywiście panował znacznie bardziej pedantyczny ład niż u niego. Opukiwał ściany, sufit, podłogę, opadł na kolana i badał wszystkie możliwe miejsca wokół i wewnątrz toalety kompostującej. Dopiero kiedy miał zupełną pewność, że nic nie może się ukryć na tej minimalnej przestrzeni, wszedł do głównego pomieszczenia. Grzebał głęboko w szafie, niczego nie znalazł, powtórzył procedurę z łazienki. W ścianach niczego nie było, stukając w sufit nie uchwycił żadnych wyraźnych różnic dźwięku, nie znalazł niczego pod materacem, została mu tylko podłoga. Opadł na kolana, przyłożył ucho do parkietu i zaczął opukiwać niezbyt okazałą powierzchnię – gorączkowo, lecz z coraz większą rezygnacją.

Aż w końcu zabrzmiało inaczej.

Tuż pod wezglowiem łóżka, daleko w rogu. Znieruchomiał, nadstawił uszu, odsunął się od łóżka, wyjrzał przez okno, otworzył drzwi i wyostrzył wzrok. Świat był zimny, biały, cichy, nie istniało nic innego. Wrócił do środka, wysunął łóżko, wślizgnął się za nie, precyzyjnymi puknięciami zlokalizował pole w rogu, zaczął szukać szczelin, ale widział tylko te

naturalne pomiędzy klepkami, otworzył scyzoryk, zagłębił ostrze w jednej ze szczelin, zaczął ją rozszerzać. Ostrze wyglądało, jakby zaraz miało wystrzelić mu w oko. Nagle coś się poruszyło, lekko przesunęło w bok. Przycisnął jeszcze trochę, zamknął oczy, jakby powieki mogły stanowić jakąś ochronę przed wirującym ostrzem. Udało mu się wcisnąć palec w szczelinę, chwycił przeciwną stronę i uniósł nieregularny fragment sosnowego parkietu, liczący nie więcej niż trzydzieści centymetrów kwadratowych.

Poniżej ukazał się mrok, ale także jakaś struktura. Berger włożył ręce do szczeliny i chwycił. Wyciągnął coś nieforemnego.

Na stole, pomiędzy ich laptopami, stał telefon satelitarny, który dostali od Deer. Obok niego było trochę miejsca. Właśnie tam postawił kolejny, w zasadzie identyczny, ale trochę bardziej nowoczesny telefon satelitarny.

Już go miała.

Molly Blom miała ze sobą telefon satelitarny, kiedy tu się zjawili. Przez dwa tygodnie, kiedy on odstawiał Śpiącą Królową, miała pełny dostęp do telefonu i internetu. To było jej pierwsze ewidentne kłamstwo.

Nagle usłyszał głucho szuranie dobiegające od strony sosnowych schodów. Zesztywniał, drzwi się otworzyły.

Ale nie te. Mniejsze drzwiczki do schowka na narty. Miał jeszcze chwilę. Wziął do ręki telefon satelitarny i, najciszej jak potrafił, włożył go do skrytki w podłodze. Usłyszał, jak mniejsze drzwi z powrotem się zamykają, wcisnął drewnianą klepkę na miejsce, tak bezgłośnie jak się dało wsunął łóżko i wtedy usłyszał dźwięk naciskanej klamki. Otworzył laptop i stanął przy ścianie w zamysłonej pozie, ze wzrokiem utkwionym w skupisku kartek i zdjęć. Kiedy Blom weszła do domku, wskazał pokrytą papierami ścianę.

– Nie próżnowałaś – oznajmił. Miał nadzieję, że nie z przesadnym entuzjazmem.

– A ty długo spałeś – odparła Blom i zaczęła zdejmować buty narciarskie.

– Próbuję zrozumieć, co znalazłaś – oznajmił i podszedł bliżej do ściany, starając się kontrolować bicie serca. Nie był urodzonym tajniakiem.

– Tam nie ma najważniejszego – powiedziała Blom, kiedy już zdjęła buty.

– Tylko...

– Ważne jest to, czego nie znalazłam.

– A mianowicie?

– Anders Hedblom – powiedziała Blom i otworzyła laptop.

– Brat Karla Hedbloma? – odparł Berger.

– Znalazłam ojca. Zmarł dwa lata temu w noclegowni w Borlänge, zapisał się na śmierć. Anders Hedblom, handlowiec z Malmö, chyba nie istnieje. W całym kraju jest za to około dwudziestu innych Andersów Hedblomów, jeden z nich może oczywiście być tym, którego szukamy. Niestety, nie znalazłam daty urodzenia.

– Czyli czeka nas trochę klasycznej policyjnej roboty przy biurku?

– O ile nie zaplanowałeś jeszcze jednej wycieczki autem – odparła Blom, wzięła ze stołu plik mniejszych kartek i stanęła obok niego przed ścianą pokrytą materiałami ze śledztwa.

Opuścił wzrok i na nią spojrzał. Jej policzki były zaróżowione, jakby długo przebywała na słońcu.

– Słońce weszło jakieś dwadzieścia minut temu – powiedział. – A więc to nie od niego jesteś tak stylowo różowa na twarzy. Musiałaś długo jeździć po śladach. Wyszłaś o zmroku?

– Satelity nie pojawiają się przed świtem – odparła. – I nie martw się, w schowku na narty mam latarkę czołową. Od jakiegoś czasu nie padał śnieg, więc ślady były nietknięte. Jeszcze jakieś pytania?

– Kiedy weźmiesz prysznic?

– Kiedy skończę się pocić – odparła obojętnie Blom i zaczęła przypinać szpilkami do ściany małe karteczki z cyframi. – Po pierwsze, musimy zbadać

tajemnicze lata z życia Jessiki Johnsson. Po drugie, zdobyć od NWO więcej wyników analiz laboratoryjnych domu w Porjus. Po trzecie, wrócić do sprawy Heleny Gradén, przeczytać wszystkie protokoły przesłuchań sprzed ośmiu lat. Po czwarte, skontaktować się z doktorem Andreasem Hamlinem z Säter, żeby monitorował koperty wysyłane do Karla Hedbloma. Po piąte, dalej pracować nad Göteborgiem i Lisą Widstrand. Po szóste, przeczesać wszystkie krajowe rejestry policyjne w poszukiwaniu czterolistnej koniczyny narysowanej na ciele, w jakiegokolwiek formie. Po siódme, znaleźć Andersa Hedbloma. Co wybierasz?

Berger westchnął.

– Co będzie lepsze, jeśli chodzi o sprawę Gradén? Jeśli ty spojrzysz na to świeżym okiem, czy ja świeżo-nieświeżym?

– Myślę że mimo wszystko ty świeżo-nieświeżym. Obchodzenie się z przeszłością zawsze przychodziło ci z trudem. Jeśli będziesz zmuszony do ponownych odwiedzin, być może objawią się wyparte elementy.

– To jest jedno z wielkich zadań – oznajmił Berger. – Drugie polega na zbadaniu tajemniczych lat z życia Jessiki Johnsson. To mi wygląda bardziej na robotę dla Säpo. Rozumiem, że nadal masz tam kontakty...

Miał nadzieję, że zadał to pytanie swobodnym tonem.

– Można uznać, że tak – Blom poprzestała na zdawkowej odpowiedzi. – Ty zajmiesz się punktem drugim, trzecim, czwartym i szóstym. Jeżeli będę kontynuowała pracę nad Widstrand, ty poszukasz czterolistnej koniczyny. Okej?

– Okej – odparł Berger.

\* \* \*

Nad drżącą, chwilowo pofałdowaną powierzchnią unosiła się delikatna para. Berger ostrożnie doniósł wiadro do winkła i podał. Zza rogu wysunęła się

ręka, chwyciła wiadro.

– Ciepła woda? Poważnie? – odezwał się głos.

– Trochę podgrzałem – odparł Berger.

Zamiast podziękowania usłyszał chlupot i prychnie. Wiadro pojawiło się znowu, puste. Wziął je do ręki i zaczął mieszać zawartość rondla ze śniegiem.

– Punkt pierwszy?

Jednoznaczny plaskający dźwięk szybkiego namydlenia zyskał akompaniament w postaci dość niewyraźnego głosu:

– Jak dotąd brak postępów. Tajemnicze lata z życia Jessiki Johnsson pozostają tajemnicze. Nie znalazłam żadnego porządnego dojścia do Säpo. W grę wchodzi klauzula tajności, stopień pierwszy. Numer dwa?

– W Porjus nie było żadnego innego DNA – odparł Berger i wystawił wiadro za róg. – Z kolei Robin, szef techników kryminalistyki, znalazł dowody na to, że ktoś rzeczywiście mieszkał w pokoju z bojlerem. Odkurzył to głośne pomieszczenie supernowoczesnym precyzyjnym sprzętem wypożyczonym od FBI. Deer twierdzi, że odpowiedź w sprawie lakieru samochodowego może nadejść w ciągu dnia.

– A numer trzy? – spytał głos, który podążył za pustym wiadrem.

– Bardzo dokładnie się zapoznałem z aktami sprawy Heleny Gradén – odparł Berger, mieszając wodę. – Masz zupełną rację, że to budzi mnóstwo starych wspomnień. Deer i ja nigdy nie pracowaliśmy w centrum, mieliśmy się zająć wszystkimi peryferyjnymi postaciami, które tylko muskały sprawę, przelatując obok. Byliśmy na peryferiach śledztwa. Może tylko uderzyło mnie, jak dobry był kiedyś Allan. Zadaje same właściwe pytania, i we właściwy sposób. Z kolei jego kolega Robertsson popełnia sporo fundamentalnych błędów.

– Skontaktowałaś się z nim? – zapytała Blom zza rogu.



– W każdym razie go namierzyłem. Jak się można było spodziewać, Richard Robertsson został mocno zdegradowany, jest teraz urzędnikiem niższego szczebla w policyjnym magazynie. Zadzwońię do niego. Tymczasem zapoznam się z przeprowadzonymi przez niego przesłuchaniami, kilka wygląda obiecująco.

– Kogo właściwie przesłuchiwałeś?

– Nie sądzę, żebyś naprawdę chciała poznać nazwiska, ale udało mi się zapamiętać całkiem sporo.

– Chcę poznać nazwiska. I powody, dla których ci ludzie byli przesłuchiwani.

– Były w zasadzie cztery kategorie. Wymienię te nazwiska, które pamiętam. Potencjalni konstruktorzy szalasu, stolarze i tak dalej: Lennart Olsson, Magnus Bladh, Peter Öberg. Pensjonariusze ośrodka: Linnéa i Elin Sjögren, Reine Danielsson, Johan Nordberg i oczywiście Karl Hedblom. Opiekunowie z ośrodka: szef Sven-Olof Lindholm, Juana Galvez, Lena Nilsson, Sofia Trikoupis. Sąsiedzi, przyjaciele i tak dalej: Per Eriksson, Göras Egil Eriksson, Elisabeth Hellström, Grop Åke Ek, Olars Fredrik Alexandersson...

– Nie chodziło mi o aż takie szczegóły...

– Ale, szczerze mówiąc, co jest grane z tymi imionami z Dalarny? Göras, Grop, Olars...

– Zaczyna tu być trochę zimno...

– Ach – odparł Berger i ponownie podał wiadro. Ukazała się dłuższa część nagiej kobiecej ręki. – No to punkt czwarty – kontynuował z własnej inicjatywy. – Tak, doktor Andreas Hamlin z Säter dopilnuje, żeby przesyłki przychodzące do Karla Hedbloma były monitorowane. Oprócz tego zleci analizę krwi Karla. Pięć?

– Chodzi o gospodarstwa – powiedziała Blom.

– Co takiego? – odparł Berger.

– Typowe dla Dalarny było to, że przed normalnym nazwiskiem umieszczano nazwę gospodarstwa. Całkiem sporo osób wróciło do tego dawnego zwyczaju.

– No proszę. – Berger był naprawdę zaskoczony.

– A więc punkt piąty – kontynuowała Blom zza rogu. – Lisa Widstrand. Nawiązałam kontakt z niejakim komisarzem Sjölundem z Göteborga, który przyznał, że śledztwo było prowadzone niedbale. Nikogo nie obchodziła czterolistna koniczyna na pośladku ofiary, bo nikogo nie obchodziła ofiara. To miało miejsce kilka dni przed targami książki, rozkaz zamiecienia pod dywan sprawy zamordowanej dziwki był niewypowiedziany, lecz wyraźnie wyczuwalny. Za kilka minut mam odbyć zaplanowane spotkanie z Sjölundem na Skypie.

– W takim razie spróbuj dokończyć kąpiel – odparł Berger.

– Podaj mi ręcznik i przedstaw punkt szósty.

– Sześć – kontynuował Berger, wysuwając dłoń z ręcznikiem zza rogu domku. – Czterolistna koniczyna. Przede wszystkim należało spróbować zróżnicować parametry wyszukiwania. Nie tylko „czterolistna koniczyna”, ale również „koniczyna”, „rysunek długopisem”, „rysunek na ciele”, „szkic tuszem”, „pośladek”, „półdupek”, „tyłek” i tak dalej. Tu również mam parę obiecujących wyników. Mogę wyjść zza rogu?

Mamrotanie dobiegające z drugiej strony domku można było chyba uznać za potwierdzenie. Berger wyszedł zza rogu. Jasne włosy Blom stały dęba, była owinięta ręcznikiem, miała na nogach błękitne crocsy. Zapatrzył się na nie.

– Najbardziej marznie się od nóg – powiedziała Blom.

– Stare syberyjskie przysłowie – odparł.

– Mów dalej.

– Poszukiwania trwają – oznajmił Berger. – Mam parę wyników wyszukiwania koniczyny, o których nie wiem, dokąd zaprowadzą. Już miałem je sprawdzić, kiedy zostałem asystentem prysznicowym.

Weszli do domku. Kaloryfer sapał i emitował ciepło – rzadko kiedy było milej widziane. Termometr w oknie wskazywał minus osiemnaście stopni, w głębi kraju na dobre zagościł mróz.

Blom kucnęła przy kaloryferze i wyciągnęła rękę, tak, że prawie dotykała gorącej powierzchni.

– Kim on jest? Czego chce?

– Nie dowiemy się, kim jest – odparł Berger – dopóki nie poznamy przeszłości Jessiki Johnsson. On jest właśnie tam. A czego chce? Wydaje mi się, że mamy do czynienia z mordercą z lubieżności. Wątpię, czy ten motyw zgadza się z motywem Karla – nienawiścią do matek, zemstą za krzywdy z przeszłości. Nie, to jest zbyt usystematyzowane, za dobrze zaplanowane. Tu chodzi o przyjemne doznania. Przemoc i zabijanie dają mu kopa. Wiele wskazuje na to, że mamy do czynienia z czystej wody sadystą seksualnym. Jesteśmy pewni, że w żadnym z miejsc znalezienia zwłok nie było śladów spermy?

– O ile wiem, nie, nawet w Göteborgu, a przecież tamta ofiara była prostytutką.

– Dziwne – stwierdził Berger. – Coraz więcej wskazuje na to, że chodzi tu tylko o jedno. O seks.

Blom przez chwilę kiwała głową. Potem kontynuowała raportowanie:

– Punkt siódmy. Myślę, że znalazłam starszego brata Karla, Andersa Hedbloma. Jako jedyny jest w odpowiednim wieku. Według moich informacji mieszka niedaleko. Ale jeszcze się z nim nie skontaktowałam.

– Niedaleko? Czy każdy skurczybyk mieszka na odludziu, z dala od wybrzeża?

– Dokładnie w Sorsele. Wyobraźmy sobie zasadniczy przebieg zdarzeń. Osiem lat temu Anders Hedblom mieszka w Malmö. Jedzie do Orsy odwiedzić brata, widzi, jak leśną drogą idzie kobieta z dziecięcym wózkiem, i to budzi w nim żądzę mordu. Przez jakiś czas układa plan, buduje szałas w lesie... jest wykwalifikowanym stolarzem, który zajął się handlem narzędziami... a następnie porywa matkę i dziecko. Po dokonaniu podwójnego morderstwa usuwa z szałasu ślady DNA, ale pozostawia ślady brata i ofiar. Potem w jakiś sposób kontaktuje się z Jessicą Johnsson, która mieszka pod przybranym nazwiskiem w Porjus i ma tendencję do wybierania niewłaściwych mężczyzn. Wiążą się ze sobą, on się przeprowadza do sąsiedniego Sorsele i w końcu wyznaje, co zrobił, być może opowiada o czterolistnej koniczynie. Zaczyna być groźny. Jessica z nim zrywa, ale nie chce zgłaszać go na policję. Zamiast tego wysyła policji aluzje w formie teorii spiskowych. Aż w końcu przeszłość ją dogania. Akurat w chwili, kiedy my tam jesteśmy.

Berger skinął głową.

– Nie jest to całkiem nieprawdopodobne. Ale to nie wyjaśnia, dlaczego Jessica wysłała list akurat do Deer. Nie do końca kupuję jej wyjaśnienie, że zobaczyła Deer w telewizji i uznała ją za godną zaufania.

– Też o tym myślałam – odparła Blom. – Powinniśmy odszukać ten materiał telewizyjny. Pamiętasz może datę emisji?

Berger powoli pokręcił głową.

– Na początku było duże zainteresowanie mediów, potem ustało. Mogę spróbować to sprawdzić. Choć mimo wszystko uważam, że twoja teoria o Andersie Hedblomie uzasadnia wyjazd do Sorsele.

Blom skinęła głową.

– Ale najpierw czeka mnie rozmowa na Skypie.

– Usiądziesz twarzą w twarz z göteborgskim komisarzem Sjölundem

w takim stroju? – zapytał Berger i wskazał ręcznik, którym była owinięta.

– Nie, nie miałam takiego zamiaru – odparła Molly Blom i pozwoliła ręcznikowi opaść.

# 17

*Sobota 21 listopada, godz. 14:13*

*Mężczyzna i kobieta długo przebywają w środku. Na dolnym ekranie widać bliższy domek, ale, prawdę mówiąc, to niewiele. Jak zwykle, kiedy czeka, jego uwaga zaczyna się skupiać na czymś innym. Na obrazach oczekiwania. Tym obrazom udaje się odeprzeć nawet przeraźliwy chłód panujący w małym pokoju.*

*Zmierzch osnuwa wielki taras, zapach pinii miesza się z wonią ziół – tymianku i rozmarynu – porastających strome zbocza, które opadają do morza i wznoszą się ku góróm. Delikatna nuta lawendy również jest wyczuwalna w powietrzu, które pozostanie ciepłe przez całą noc. Mogą wybrać, czy chcą spać na zewnątrz, czy w środku. Tutaj wszystko jest możliwe i dozwolone, wszystko jest tak niewiarygodnie żywe. Będą przeżywać to samo, korzystając z tych samych, jakby wzmocnionych, podwojonych aparatów zmysłowych.*

*Kiedy jeszcze mogą się widzieć.*

*Kontrakt przez chwilę leży u adwokata, na biurku przy balkonie Europy. Nazwisko błyszczy jak srebrne. Adwokat wraca z datą wpłaty potwierdzoną przez bank, podpisuje kontrakt na przerywanej linii. Podpis błyszczy jak złoty.*

*Kiedy drzwi ośnieżonego domku zostają otwarte, natychmiast wkrada się mróz. Drzwi z powrotem się zamykają, ale śródziemnomorskie ciepło nie powraca. Obserwator jest znowu w swoim ascetycznym pokoju.*

*Cienka skóra rękawiczki jest napięta, kiedy dłoń robi zbliżenie na drzwi domku, które znowu się otwierają. Mężczyzna wychodzi pierwszy, jest grubo ubrany i trzyma w ręku kuchenkę polową. Kuca przy rogu domku. Potem wychodzi kobieta owinięta ręcznikiem. Trzyma w ręku wiadro, stawia je na ziemi i wchodzi za róg. Mężczyzna zapala kuchenkę, wsypuje śnieg do rondla, widać unoszącą się parę. Kobieta za rogiem oczekuje chwilę. Obserwator robi zbliżenie na jej twarz, wyraźnie widzi, jak mróz zaczyna się w nią wgryzać.*

*Mogę cię ogrzać, przychodzi mu nagle do głowy. Jest takie miejsce, w którym możemy się ogrzać nawzajem.*

*Kobieta zdejmuje ręcznik i wiesza go na gwoździu w ścianie. Mężczyzna przelewa zawartość parującego rondla do wiadra i dorzuca śnieg, sprawdza wodę i podaje wiadro. Kobieta je bierze i unosi nad głowę, a kiedy polewa się wodą, obserwator dostrzega, że tuż pod prawą piersią ma znamię, trochę przypominające gwiazdę.*

*Wówczas zaczyna grzebać w szufladzie biurka i wyciąga coś czarnego. To coś jest wykonane z elastycznego materiału. Rozciąga przedmiot na stole. Dopiero wtedy widać, że to gruba skarpetka.*

*Czarna gruba skarpetka.*

*Pistolet Sig Sauer P226 leży przed obserwatorem na biurku. Dłoń w rękawiczce wprawia go w ruch – to jego własna wersja gry w prawdę czy wyzwanie. Lufa zwalnia i w końcu zatrzymuje się na nim, wycelowana prosto w mostek. Obserwator zawsze wybiera wyzwanie – prawda jest zbyt skomplikowana, także prawda o chorobie.*

*Profanacja.*

*Prawa dłoń pisze: „14:24. Po wielogodzinnym wspólnym pobycie w domku należącym do ♀ odbywają się zabiegi higieniczne. ♂ asystuje ♀. Żadnych widocznych skutków wspólnego pobytu”. Obserwator na tym poprzestaje. Na wykonaniu swojego zadania.*

*Jednego z zadań.*



# 18

*Sobota, 21 listopada, godz. 14:24*

Postawny, ubrany na biało mężczyzna poruszał się niczym w zwolnionym tempie w wyraźnie ograniczonej przestrzeni. Niebiesko-fioletowe światło upodabniało go do samotnego bojownika syjamskiego pływającego w akwarium. W normalnej sytuacji te ruchy wzbudziłyby jej zainteresowanie. Teraz myślała tylko o meczu piłki nożnej, który miał się rozpocząć o trzeciej. Mecz drużyny dziewczynek.

Była sobota.

Najpierw musiała wrócić do domu z komisariatu, potem wpaść do szeregowca w Skogås, zgarnąć Lykke (miała nadzieję, że ubraną i gotową) i pruć, ile fabryka dała, do Nytorps Mosse IP. Dziewięciolatki z drużyny Skogås-Trångsunds FF czekały na spotkanie z lokalnymi rywalkami – Boo FF.

Zamiast tego stała w ciasnym laboratorium i przyglądała się osobliwej choreografii.

– To tkwiło w ścianie – powiedział Robin, pochylając się nad czymś na stole, który wyglądał na całkowicie sterylny.

– To? – odparła Deer i poprawiła wciąż tak samo niewygodny biały strój.  
– A dlaczego „to” nie jest w Linköpingu?

Narodowe Centrum Kryminalistyczne, NFC, dawniej znane jako Szwedzkie Laboratorium Techniki Kryminalistycznej, SKL, wciąż miało główną siedzibę w Linköpingu, choć istniała też filia przy Polhemsgatan, w budynku sztokholmskiego komisariatu.

Robin spojrział na nią z urażoną miną.

– Przecież jest sobota.

Deer nie starała się nawet zrozumieć sensu odpowiedzi.

– Co „to” jest? – spytała.

Robin się wyprostował.

– Można powiedzieć, że nitka.

– A dlaczego ta nitka była tak ważna, że musiałam natychmiast tu przybiec?

– Nie była – odparł Robin i wrócił do niewidzialnej nitki. – Przynajmniej jak dotąd. Ale nie wyczerpałem wszystkich możliwości.

– Chcesz, abym zadawała pytania – stwierdziła Deer. – No więc ta nitka tkwiła w ścianie. Mam rozumieć, że chodzi ci o ścianę pomieszczenia z bojlerem w domu w Porjus?

– Tylko to tam było. A więc nie mogę udowodnić, że ktoś tam mieszkał. To znaczy, że nie mogę porozmawiać z Bennym Lundinem, najbardziej ciasnogłowym komisarzem w długiej i bohaterskiej historii szwedzkiej policji.

– Connym Landinem – poprawiła cierpliwie Deer. – Dlaczego nie masz pewności, czy można nazwać tę nitkę nitką?

– Bo jest taka mała – odparł Robin. – To raczej fragment nitki, włókno. Zaczepiło się o chropowatą betonową ścianę, na wysokości głowy stosunkowo wysokiego mężczyzny siedzącego na podłodze.

Deer zobaczyła przed oczami film. Film z mężczyzną w czarnej kominiarce. Na ułamek sekundy zapomniała o niedawno podjętej podwójnej

grze i prawie wykrzyknęła: „czarna?”, ale zdążyła się ugryźć w język.

– Jakiego koloru? – zapytała tylko.

– Białego – odparł Robin.

Patrzyła na niego odrobinę za długo, aż w końcu zapytała:

– Co to za nitka?

– Właśnie dlatego muszę się jej przyjrzeć o wiele bliżej – odparł Robin. –

Wcale nie musi o to chodzić, ale takiego materiału używa się do produkcji gazy.

– Gaza? Z krwią?

Robin skinął głową.

– To dlatego rozmawiam z tobą, a nie z Sonnym Landénem. Odpowiedź brzmi: nie. Pierwsza analiza nie wykazała obecności krwi, ale to nie znaczy, że jej tam nie ma. Należy przejść na poziom molekularny, więc musiałem się tu znaleźć.

– I wezwać mnie? Żeby oznajmić, że nie znalazłeś krwi?

– Nie dlatego cię wezwałem. To jest powód.

Robin podniósł mały foliowy woreczek, który wydawał się równie pusty jak blat. Deer podeszła bliżej i uważnie mu się przyjrzała. Niebiesko-fioletowe światło odbijało się od znajdujących się w środku drobin.

– Tym razem mamy trochę szczęścia – oznajmił Robin i potrząsnął woreczkiem.

– To z samochodu?

Robin skinął głową.

– Zdrapane z samochodu, którym odjechał. Znasz pojęcie *car wrapping*?

– Nie, nic mi to nie mówi.

– Po prostu oblepia się samochód cienką folią, którą można dostać w najróżniejszych kolorach. Wśród drobin w tym woreczku jest błękitna folia z serii o nazwie oracal 970 premium, a kolor został zidentyfikowany jako

fjord blue. Poza tym mamy ślady oryginalnego lakieru, swoisty kremowy kolor, którego jeszcze nie zidentyfikowaliśmy. Trzeba będzie wykonać analizę chemiczną, a to wymaga czasu.

– Kremowy samochód pokryty błękitną folią?

– Jeżeli robota została wykonana legalnie i zarejestrowana, ambitny pracujący w sobotę policjant powinien być w stanie to namierzyć – odparł Robin i odwrócił się z powrotem do niewidzialnej nitki. Odwrócony do Deer zgarbionymi plecami dodał: – Nie stój tu i nie zajmuj mi całego dnia.

Deer przez moment wpatrywała się w pulchnego szefa techników. W końcu się odezwała:

– Dzięki, Robin.

Ten, nie podnosząc wzroku, odparł:

– Dokumentacja jest w teczce przy wyjściu.

Reszta soboty przybrała dziwną formę. Deer zdjęła ubrania ochronne, zbiegła do policyjnego garażu i wyjechała na beznadziejną europejską listopadową mgłę, nieruchomą mżawkę, która drastycznie się różniła od tego, co widziała podczas stanowczo zbyt wielu wizyt na norrlandzkich pustkowiach. Mknąc nedorzecznie ostro po Nynäsvägen, poczuła, że tęskni za czystym, świeżym, bezwzględny powietrzem – może też dlatego, że wszystko przez cały czas wylaniało się z mgły. Z dzierganej czarnej kominiarki wyłoniła się nie tylko para błękitnych oczu, ale też mikroskopijne białe włókno pokryte krwią. Błękitny samochód dostawczy w typie volkswagena caddy wyjechał tyłem z garażu i dorobił się kremowej rysy na boku. A ona wydała radosny okrzyk co najmniej o dwie sekundy za późno, po tym jak Lykke po raz pierwszy w swoim dziewięcioletnim życiu strzeliła gola z główki, dając swojej drużynie prowadzenie w meczu z Boo FF. Te sekundy odbiły się w oczach córki. Deer dostrzegła jej rozczarowanie, przypomniała sobie własny bezbrzeżny smutek, kiedy ojciec nie przyszedł na

pokaz tańca.

Za cholerę nie wolno jej było się zmienić w Sturego Rosenkvista – człowieka, który nie chciał ustąpić, kiedy cała robotnicza rodzina protestowała przeciwko nadaniu nowo narodzonej córce arystokratycznego imienia Desiré.

Już w okresie baletowym, do którego nie do końca się przyznawała, skwapliwie pozwoliła się przechrzcić na Dessan. Dopiero kiedy przydzielono jej nowego partnera służbowego, akurat w chwili, kiedy skończyła się kształcić na funkcjonariuszkę policji kryminalnej, imię zabrzmiało, jak trzeba. Z żadnym imieniem nie było jej tak dobrze jak z Deer – tym, które teraz umierało. Czar prysł, w NWO z całą stanowczością wróciła do Desiré, traktując to jako zmianę tożsamości.

Sam, co ty, do diabła, wyrabiasz w Laponii?

W głębi duszy Deer rozumiała więcej, niż była gotowa przyznać. Dostała długo wyczekiwaną pracę w NWO, więc odpuściła, ale chętnie zbadalaby związek pomiędzy nagłą śmiercią Strzały a zniknięciem Sama i Molly. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że się tam chowali, unikali wszystkiego, co mogło mieć związek z Säpo. Po namyśle Deer stwierdziła, że w jej podwójnej grze jest mniej przypadku, niż by chciała. Mogła upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: ponownie ożywić pytanie o winę Karla Hedbloma oraz ustalić, co tak naprawdę stało się ze Strzałą, z Samem i Molly.

A tymczasem cały syf wystrzelił jej w twarz.

Ze zdziwieniem zorientowała się, że siedzi za kierownicą i patrzy na swoje znacznie młodsze lustrzane odbicie. Te same brązowe oczy – „oczy sarny”, jak mawiał ten cholerny Sam – te same gładkie spłaszczone brązowe włosy, nawet ta sama fryzura, trochę przypominająca pazia. Kiedy patrzyła na Lykke, często wydawało jej się, że widzi siebie w lustrze czasu.

Wyobraziła sobie lustro, które potrafi pokazywać wiek każdego człowieka. Teraz Desiré miała dziewięć lat i właśnie się zmieniała w Dessan. Jednak ta dziewięciolatka nie tańczyła w balecie, tylko grała w piłkę, a teraz imponująco ubłocona siedziała na fotelu pasażera i patrzyła na nią badawczo.

– Zdolniacha z ciebie – wykrztusiła Deer i pogładziła córkę po policzku z brązowymi plamami.

– Wiesz chociaż, jaki był wynik? – spytała Lykke.

Wyraz jej twarzy otworzył we wspomnieniach Deer jeszcze jedną ojcowską przepaść. Wiedziała, że nie może w nią wpaść. Nie teraz.

– Nie osiem do czterech? – odparła.

Rysy twarzy Lykke się wygładziły, uśmiech stał się szerszy.

– Strzeliłam trzy bramki – powiedziała z dumą.

– Jestem z ciebie bardzo dumna, Lykke – zapewniła Deer, bardziej uroczyście niż zamierzała.

Uśmiech córki świadczył o tym, że jej wybaczyła. Ale Deer wiedziała, że w tę sobotę nie dostanie drugiej szansy.

Przytulny wieczór. Nigdy nie mogła się przekonać do tego najbardziej typowego przejawu drobnomieszczaństwa. Jednak w miarę jak Lykke dorastała, zdała sobie sprawę, że czas jest policzony i może już za rok córka będzie wolała spędzać sobotnie wieczory u koleżanek. Deer obiecała sobie pielęgnować te prawdziwe przytulne chwile sam na sam, których być może zostało już nie więcej niż kilkanaście.

Kiedy czekały na otwarcie obu skrzydeł drzwi podwójnego garażu, przyglądała się domowi w dawno zapadłym zmierzchu. Anonimowy szeregowiec na przedmieściach nie do końca był tym, o czym marzyła, choć z drugiej strony nie miała żadnych konkretnych planów. Oprócz tego, że chciała być naprawdę dobrą mamą, żoną, policjantką, mieć dobre życie.

Rzeczywiście znacznie lepiej niż kolegom wychodziło jej nieprzynoszenie

pracy do domu. Ale teraz było inaczej. Rozpoznawała to zjawisko. Coś ją gryzło. Nie chodziło tylko o to, że miała konkretne zadanie do wykonania – które oczywiście powinno się tak naprawdę włączyć do trwającego śledztwa – ale też, że sama się zapędziła w kozi róg. I za wszelką cenę musiała znaleźć wyjście z tego rogu. Nigdy wcześniej nie złamała przepisów i nie musiała niczego zatajać przed kolegami.

Nagle zaczęła prowadzić podwójne życie.

Wysłała Lykke pod prysznic i w tej samej chwili, kiedy w głowie pojawiło jej się określenie „podwójne życie” i wyjęła ostatnie składniki z lodówki, otworzyły się drzwi i do środka wszedł Johnny – z wyciągniętymi rękoma, nadal ubrany w strój z karetki. Przytulili się. Johnny potargał jej włosy na swój zwyczajowy, irytujący i cudowny sposób.

– Jak było, do diabła? Wygrali?

– Osiem do czterech – odparła Deer i włączyła piekarnik. – Strzeliła trzy gole. Jeden główką.

– Główką? O cholera. Mówiłem przecież, że odrobina treningu indywidualnego załatwi sprawę.

– Kilka rzutów plastikową piłką w ogrodzie uznajesz za trening indywidualny?

– Trening ilościowy – odparł Johnny i zaczął zdejmować robocze ciuchy.

– Trening ilościowy jest kluczem.

Deer obserwowała męża, kiedy wolnym krokiem szedł w stronę dużego pokoju. Nawet jemu nie mogła o niczym powiedzieć.

Podwójne życie...

Obiad upłynął na długich referatach z meczu. W międzyczasie obserwowała swoją małą rodzinę. Oczywiście chcieli mieć więcej dzieci, ale się nie złożyło. Lykke w zupełności wystarczyła. Deer nie przypominała sobie, żeby sama w wieku dziewięciu lat miała tyle energii. Z drugiej strony

Johnny nie był Sturem, tylko kimś o wiele, wiele lepszym. Prawdopodobnie niesamowita energia Lykke była jego wkładem. Jeśli chodziło o wygląd, zlokalizowała tylko zaokrąglenie małżowiny usznej przypominające to, które miał Johnny. Pod wszystkimi innymi względami córka pozostawała jej kopią.

Lepszą kopią.

Taką, która nie prowadziła podwójnego życia.

Obiad dobiegł końca. Deer jeszcze raz napełniła winem dwa kieliszki, wyłowila ostatni kawałek spaghetti i odczekała z pewnymi nie całkiem czystymi nadziejami. W końcu Lykke zapytała rozradowana:

– Nie moglibyśmy pooglądać Liverpoolu? Tatusiu, prooszę.

Deer właśnie na to liczyła. Klasyczna klęska Liverpoolu w meczu z Manchesterem w marcu dwa tysiące dziewiątego roku. Cztery do jednego. Jeden z rarytasów w absurdalnie obszernej kolekcji meczów Liverpoolu Johnny’ego. Deer wiedziała, że nie oczekują od niej udziału. Zyskała dziewięćdziesięciminutową przerwę. Potem przytulny wieczór będzie wymagał jej niepodzielnej uwagi.

Lykke też to wiedziała. Podbiegła w podskokach do mamy, przytuliła ją przepraszająco i powiedziała:

– Do zobaczenia później.

Deer pogłaskała córkę po policzku i patrzyła, jak podskakuje, biegnąc do dużego pokoju. Johnny dał jej buziaka i się odwrócił.

– Posprzątam tutaj – powiedziała Deer. – A potem na chwileczkę skoczę do garażu.

Johnny na moment się zawahał.

– W sobotę wieczorem?

– Tylko na chwileczkę – skłamała.

Prawie udało jej się przekonać samą siebie, że to białe kłamstwo.

Białe jak mikroskopijne włókno z pomieszczenia z bojlerem w Porjus.



Jak tylko jej mała rodzina zasiadła przed telewizorem, wymknęła się. Przeszła przez część garażu i dotarła do swojej świątyni. Tak, to była jej świątynia. Albo też, ujmując rzecz nieco mniej sakralnie, jej pracownia.

Urządziła ją bardzo ascetycznie. Na wystrój składały się biurko, krzesło, komputer i okazała biała tablica z najróżniejszymi materiałami. Wszystkie kartki miały jedno wspólne ogniwo: każda z nich dotyczyła ostatnich dni. Byli tam Jessica Johnsson, Helena Gradén, Lisa Widstrand, Karl Hedblom. A także Sam Berger i Molly Blom.

Może i była pracoholiczką...

Przy komputerze leżała teczka Robina. Otworzyła ją i spojrzała na zegarek. Zostało jeszcze osiemdziesiąt minut.

Seria szybkich wyszukiwań w Google ujawniła, że usługę oklejania samochodów wykonuje wiele firm lakierniczych na terenie całej Szwecji i że większość z nich posiada serię oracal 970 premium i kolor fjord blue, więc raczej nie jest to właściwa droga, zwłaszcza w sobotę wieczorem. W takim razie pozostawał rejestr samochodów i wymyślne kryteria wyszukiwania: samochody, które kiedyś zostały zarejestrowane jako kremowe, o ile w ogóle istniał taki kolor – dodała kilka sensownych synonimów w wyszukiwarce – i które w ciągu roku były zmieniane na błękitne. Możliwe, że w typie volkswagena caddy, choć niekoniecznie.

Kiedy wielkie wyszukiwanie się zaczęło, sprawiając, że komputer – wyraźnie nowocześniejszy niż jej oficjalny na komisariacie – prawie dyszał z wysiłku, przeglądała dalej teczkę Robina.

Nie dała rady się przebić przez sprawozdania z podstawowych analiz chemicznych. Towarzyszył im kilkustronicowy szkic domu w Porjus z wyszczególnieniem wszystkich znalezisk. Deer zwróciła uwagę, że wciąż brakuje białej nici. Uznała, że Robin nie chce jej włączyć do sprawozdania, dopóki nie wyssie z niej ostatniej molekuly. Przebieg wydarzeń ukazany

w reszcie szkicu nie był kompletny. Uzupełniła go o wiedzę z nowego, mrocznego, tajemniczego świata.

Jessica Johnsson schodzi po schodach do piwnicy, a za nią idą Berger i Blom. Panuje gęsty mrok, mają latarki. Gdyby w pokoju z bojlerem paliło się światło, sączyłoby się przez szczeliny przy futrynie – to zostało udowodnione. W wypełnionym rykiem mroku czeka niebieskooki mężczyzna w czarnej kominiarce – według jej szacunków około metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, numer buta czterdzieści pięć – który od jakiegoś czasu tam mieszkał (w tym punkcie zdawała się na rozwiniętą intuicję Robina). Mężczyzna stoi z polanem w gotowości i przystępuje do ataku, jeszcze zanim Berger zdąży nacisnąć klamkę. Działa ze zdumiewającą skutecznością, Berger i Blom nie mają szans. Jessica najprawdopodobniej głośno krzyczy, on przywiązuje ją do poręczy schodów opaską zaciskową, zaciąga Bergera i Blom do ściany i przywiązuje każde z nieruchomych ciał do innego kaloryfera. Potem przecina więzy Jessiki i wciąga ją po schodach. Prawdopodobnie idzie z nią do kanap przed telewizorem w salonie i bije do nieprzytomności polanem. Ilość krwi wskazuje na naprawdę brutalne maltretowanie – możliwe, że już wtedy wyciągnął ostrze, najprawdopodobniej bardzo ostry skalpel albo nóż myśliwski, i zaczął ciąć. Co gorsza, śmierć nie nastąpiła w salonie, tortury trwały dalej piętro wyżej. Oprawca robi kilka kroków po zakrwawionej podłodze. Jeśli wziąć pod uwagę, jak dokładnie wcześniej wysprzątał dom, można się dziwić, że zostawił po sobie ślady na parkiecie. Są tam również ślady grubych skarpet ciągniętej po podłodze Jessiki Johnsson. Prowadzą na górę, gdzie tortury nożem trwają dalej. Ciało jest tak zakrwawione, że na białym prześcieradle zostaje odbicie czerwonej sylwetki. Jessica umiera, a zabójca rysuje jej na pośladku czterolistną koniczynę, odcina kawałek pośladka i zostawia go. Dlaczego to robi? Jest ekstremalnie skrupulatny, kiedy pilnuje, żeby nie pozostawić śladów DNA, ale bez wahania zostawia

zarówno ślady stóp, jak i coś tak fundamentalnego jak czterolistna koniczyna. Deer miała wrażenie, że dostrzega kontury „dobrze dobranych śladów”, świadomie pozostawionych niczym wiadomość dla kogoś.

Kogoś, kto kiedyś „marudził” o czterolistnej koniczynie na pośladku.

Dlaczego, do diabła, zamordowana Jessica Johnsson zaadresowała swój dziwny list akurat do niej?

Odpędziła tę myśl i przeglądała dalej: po dokonaniu morderstwa sprawca wyciąga kufer z pomieszczenia pod dachem i wciska do niego zwłoki. Ściąga go po schodach, wychodzi na zewnątrz i kiedy musi postawić kufer na śniegu, ten zaczyna przeciekać. W końcu dociera do garażu. Na jego szczęście jeep Bergera i Blom nie blokuje drogi. W krótkim czasie sprawcy udaje się ulokować kufer w małym samochodzie dostawczym. Wyjeżdżając na wstecznym biegu z garażu, ociera się o ścianę i zostawia po sobie ślad lakieru.

Do głowy przychodzi jej straszna myśl. A jeśli Berger i Blom w ferworze usuwania swoich śladów DNA usunęli też ślady mordercy? Znaczyłoby to, że ona sama nie tylko utrudniała śledztwo, ale wręcz je sabotowała. Gdyby jej równoległa działalność została odkryta, nie dość że wyrzucono by ją z pracy, to pewnie też postawiono przed sądem. To byłby koniec jej dotychczasowego życia.

Na szczęście te rozmyślania przerwał dźwięk. Przywrócił ją do rzeczywistości. Dźwięk pochodził z komputera.

Wyszukiwanie dobiegło końca. Na ekranie ukazała się lista.

Potencjalne samochody z całej Szwecji. Samochody mniej lub bardziej przypominające dostawcze, w mniej lub bardziej kremowym kolorze, pokryte mniej lub bardziej błękitną folią.

Było ich dziewięć.

Z Örebro, Helsingborga, Lund, Fittji, Umeå, Sorsele, Borås, Karlstadu

i Halmstadu.

Przyglądała się liście i myślała. Z początku były to myśli bez słów.  
W końcu pojawiły się słowa.

W głębi kraju.

W głębi kraju, w Norrlandii.

W Sorsele.

Wyjęła telefon i zobaczyła, że jest dziewiętnasta szesnaście. Miała jeszcze osiem minut meczu Liverpoolu.

Wykonała telefon.

W głąb podwójnego życia.

# 19

*Sobota 21 listopada, godz. 18:03*

Sorsele leżało przy Inlandsvägen – wciąż im towarzyszącej trasie E45 – ale dla mieszkańca Norrbotten owe prawie trzysta kilometrów dzielących małą kościelną wioskę od Porjus musiało oznaczać dość spore rozciągnięcie terminu „sąsiednie”. Z bieguna niedostępności było jeszcze dalej, ale jeep, jadący w dawno już zapadłym zmroku, w końcu dojeżdżał na miejsce. Delikatna poświata unosiła się nad horyzontem, zwiastując cywilizację. Wyjątkowo wiele łośi dotrzymywało im towarzystwa. Biegły wzdłuż siatki, która w każdej chwili mogła się skończyć, jakby wszystkie naraz chciały popełnić samobójstwo. Na szczęście siatka była nietknięta i przynajmniej na razie para w jeepie nie została zaatakowana przez dziką, niezrozumiałą przyrodę w głębi kraju.

Co nie znaczy, że przyroda nie miała na nich wpływu.

Blom prowadziła, Berger ukradkiem ją obserwował. Może to zauważyła, może nie. Jej skupiona twarz spoczywała w słabej niebieskawej poświacie sączącej się z deski rozdzielczej. Nic nie dało się z niej wyczytać, tajemnice były gdzie indziej. O ile w ogóle istniały.

– Bikini mnie zaskoczyło – powiedział w końcu. – Tego nie przewidziałem.

Molly Blom ze słabym, krzywym uśmiechem odparła:

– To nie było bikini. Sportowy top i sportowe majtki, po prostu.

– Nie rozumiem tylko, jak mogłem tak długo być nieprzytomny – Berger zmienił temat.

– Nie byłeś nieprzytomny przez cały czas, ale dość mocno naćpany.

Przykro mi, ale nie miałam innego sposobu. Chciałeś się zabić.

Berger utkwiał w niej wzrok.

– Naprawdę? – zawołał.

– Jak tylko trochę odpuściłam z lekami. Dwa razy byłam zmuszona powalić cię na ziemię. Musisz zrozumieć, że to była normalna psychoza. I musisz spróbować zrozumieć, jak się z tobą męczyłam. To był emocjonalny rollercoaster. Tak, usypiałam cię, faszzerowałam lekami. Nie było innego wyjścia. Tak się cieszyłam, kiedy wreszcie... zaczęłam cię poznawać...

Berger milczał. Wpatrywał się w mrok. Tablica, która przemknęła za oknem, obwieściła, że właśnie minęli granicę regionu Västerbotten. Jakby to robiło jakąś różnicę – przecież nadal byli w Laponii. Wszędzie tylko las. Las i góry.

Nieprzeniknione i niedostępne.

– Nie rozumiem, jak mogłem być tak niesubordynowany – powiedział tylko.

Blom pokręciła głową.

– Psychozy nie da się pojąć, to niemożliwe. Rzeczywistość i ego ulegają roztopieniu. To zupełnie inny stan świadomości. Wszystko, co przypomina superego, znika.

– Brzmi, jakbyś miała z tym do czynienia już wcześniej – odparł Berger. –

Najwyraźniej wyszedłem z tego bez poważniejszych obrażeń, znalazłaś idealne lekarstwa i terapię. Obrabowałaś aptekę?

– Tak, miałam już z tym do czynienia. Mam młodszego brata...

– O cholera.

– Można to nazwać psychozą pourazową albo ostrą psychozą reaktywną. Tak, już to kiedyś widziałam. I leczyłam. To była część mojego dorastania.

– Ale czy można się tego nabawić tak po prostu?

Blom posłała mu smutny uśmiech.

– Występuje tylko u osób, które już mają dysocjacyjny sposób załatwiania problemów życiowych.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– O ludziach, którzy mają problemy ze zintegrowaniem poszczególnych części swojej osobowości. Możesz mi uwierzyć na słowo.

Berger znowu umilkł. Wierzył jej na słowo. Wniknął w siebie – w niezintegrowanego, dysocjacyjnego siebie. Już wcześniej czuł, że ma różne osobowości, wiedzie równoległe życia. Jednak superego się obudziło, Berger kontrolował samego siebie, a wewnętrzny głos mówił: „Teraz właśnie trwa chwila świadomości własnej choroby”.

Nie był pewien, czy ten głos go przekonał.

– Nie wiedziałem, że masz młodszego brata – oznajmił.

Blom tylko się skrzywiła.

– Kupiłaś coś jeszcze, kiedy kupowałaś sportowy top i majtki? – spytał Berger.

– To znaczy?

– Czy kupiłaś jakiś inny sprzęt sportowy.

– Trochę tak. Narty, buty narciarskie, latarkę czołową. W Intersporcie nieopodal Sundsvall, jeśli musisz wiedzieć. Monitoring tam nie działał.

– Kupiłaś skarpety?

Blom nie patrzyła już na drogę, choć ta meandrowała tak bardzo, że żaden kierowca raczej nie powinien sobie na to pozwalać. Przyjrzała się Bergerowi i odparła:

– Tak, kupiłam. Czarne skarpety. Proste i dobre do prawie każdej aktywności fizycznej. Choć nie do wszystkich.

– Hm – mruknął jedynie Berger.

– Posłuchaj mnie teraz, Sam. Wiem, że Sylvia Andersson, twoja dawna kumpela jeszcze ze szczęśliwych czasów szkoły policyjnej, twoja Strzała, umarła, bo ktoś jej wcisnął czarną skarpetę do gardła. Ja też tam byłam, jeśli pamiętasz. To nie oznacza, że wszystkie czarne skarpety zmieniły się w narzędzia zbrodni. Co z tobą?

– Położyłaś czarną skarpetę w nocy przy moim łóżku?

– No żesz kurwa mać!

– Myślałem, że nie przeklinasz.

– Kto z kim przestaje, takim się staje – prychnęła Blom. – Co też ci przyszło do głowy?

Berger pokręcił głową.

– Ostatnim, co zrobiłem, zanim zasnąłem dziś w nocy jak kłoda, w ubraniu, było rzucenie telefonu komórkowego na stolik. Obudziłem się dokładnie w tej samej pozycji, a na telefonie leżała precyzyjnie rozciągnięta czarna skarpetka.

Blom nadal go obserwowała. W końcu pokręciła głową i bardzo wyraźnie powiedziała:

– Ja jej tam nie położyłam, od dawna nie było mnie w twoim domku. Widocznie chodziłeś przez sen. Nadal doświadczasz skutków psychozy, a poza tym dostałeś polanem w głowę. Nic dziwnego, że twój mózg zajmuje się rzeczami, nad którymi nie masz pełnej kontroli. Generuje niewyraźne podejrzenia wobec twoich bliskich.

Berger się skrzywił. Samochód jechał dalej w stronę zbliżającego się światła, które nie miało już kształtu kopuły wzdłuż horyzontu, tylko unosiło się nad sklepieniem nieba. Za oknami zaczęły przelatywać pojedyncze domy.



– Dowiedziałaś się jeszcze czegoś na temat Andersa Hedbloma? – zapytał Berger.

– Coś tam jeszcze mam – odparła Blom. – O trzy lata starszy od Karla, stolarz, który zajął się handlem narzędziami, co już wiemy. Kupił za gotówkę dom pod Sorsele cztery lata temu, w tym samym czasie, kiedy firma narzędziowa z Malmö zbankrutowała. Od tamtego czasu utrzymywał się z zasiłku dla bezrobotnych. Nie są znane żadne jego aktywności w okolicy, poza tym, że miał karnet na siłownię. Nawiązałam kontakt z przedstawicielem tej siłowni i dowiedziałam się, że Anders jest jednym z najbardziej wysportowanych mieszkańców Sorsele, choć już od dłuższego czasu nie było go na siłowni. Ponadto oszacował jego wzrost na około metr osiemdziesiąt pięć.

– Mówił o nim coś jeszcze?

– Tylko to, że chętnie trzyma się na uboczu. I nikt tak naprawdę go nie zna.

– Deer miała rację?

– Kiedy?

– Kiedy mówiła, że posiadamy „nielegalną broń”? Za cholerę nie chcę powtarzać błędu z Porjus. Jeśli wysportowany Anders Hedblom jeszcze raz podbiegnie do mnie z polanem, mam zamiar go zastrzelić.

Blom nachyliła się w kierunku Bergera i otworzyła schowek. Był pusty.

– To jest jak twoje pudełko na zegarki – powiedziała Blom.

Berger poczuł, że spojrzenie, którym ją obrzucił, jest równie puste jak schowek. W końcu skojarzył. Chwycił za dwie krawędzie i pociągnął do góry. Pod pustą przestrzenią leżały dwa pistolety. Wyjął jeden z nich i zważył w dłoni.

– No, no – powiedział tylko.

– Jesteśmy prawie na miejscu – odparła Blom.

Samochód zwolnił, skręcił w małą drogę i jechał w mroku, dopóki przez gęsty las iglasty nie zaczęła prześwitywać para słabych świateł. Blom natychmiast się zatrzymała, wyłączyła reflektory.

– Chyba już nas usłyszał – powiedział Berger.

– Niekoniecznie – odparła Blom, otworzyła drzwi samochodu i spod przymkniętych powiek patrzyła na światła w lesie.

Wzięła swój pistolet, sprawdziła magazynek, odbezpieczyła i zaczęła się skradać wąską drogą. Berger ruszył za nią. Majstrował przy broni, w końcu się z nią uporał w ciemnościach. Światła zniknęły i pojawiły się znowu, tym razem na tyle silne, że mogły padać z dość zapuszczonego małego domku. Dwa okna świeciły przytłumionym światłem, które jednak było wystarczające, aby z morza ciemności wyłoniły się schody na werandę i drzwi. Malutka droga meandrowała przez ogródek i przechodziła w dwie odnogi – jedna prowadziła do domu, druga do garażu. Nie było widać żadnego samochodu.

Wybrali drogę do domu, podchodzili coraz bliżej. Zaczął padać śnieg. Przyjemny łagodny puch przypudrował ponurą rzeczywistość.

Stanęli po obu stronach schodów na werandę, z bronią gotową do strzału. Nadstawili uszu. Nie było jednak słyhać żadnego dźwięku. Powietrze było kompletnie nieruchome. Poruszały się tylko płatki śniegu, w ciszy kołujące ku ziemi.

Berger zrobił pierwszy krok, tak bezgłośnie, jak tylko się dało. Poczł Blom tuż za sobą i zrozumiał, że go osłania, ubezpiecza z tyłu. Doszli do drzwi, Blom kucnęła i patrzyła na zamek. Wyciągnęła rękę do klamki, spojrzła na Bergera. Berger uniósł broń i skinął głową.

Blom nacisnęła klamkę, uniosła pistolet i pociągnęła za drzwi. Podmuch z najgłębszych otchłani piekieł przemknął im nad głowami. Jakby w całym domu panowało zbyt duże ciśnienie, jak gdyby po raz pierwszy pozwolono

mu wydmuchać całe paskudne powietrze. To było jak otwarcie puszek kiszonych śledzi, choć na zupełnie innym poziomie.

Nie ulegało żadnej wątpliwości.

W domu był trup.

Blom pociągnęła nosem, Bergerowi na krótko pociemniało w oczach, ale wiedział, że musi nad tym zapanować. Obecność zwłok nie oznaczała, że dom jest bezpieczny. Mogło być jeszcze gorzej. Ktoś mógł nadal tu być i się z nimi zabawiać. Może też nie były to jedne zwłoki, ale całe cmentarzysko, a na dokładkę pajac, który jest za to wszystko odpowiedzialny.

Ponadprzeciętnie inteligentny szaleniec z polanem w rękę.

Wzięli się w garść. Tłumiąc węch, wyostrzyli pozostałe zmysły, posuwali się naprzód. Zaniedbanie mieszkania było imponujące – mieli do czynienia z typową pozbawioną dobrego smaku kawalerską norą. Przedpokój, kuchnia, nikogo w środku. Na razie żadnych dźwięków. Duży pokój wyjątkowo skromnie umeblowany. Nic.

Tylko nieprzerwane, bolesne trudności z oddychaniem.

Schody na górę, za uchylonymi drzwiami schody na dół. Nie mieli żadnych planów rozdzielenia się, oboje posłuchali dobrze wyćwiczonego instynktu i ruszyli do drzwi piwnicy. Berger otworzył je na oścież, trzymał pistolet równolegle do ciemnych schodów. Blom znalazła bardzo stary włącznik światła, pstryknęła nim kilka razy. Nadal było ciemno. Wyjęła swoją latarkę, a Berger swoją. Dwie plamy światła przesunęły się po niskim suficie, nad położonymi blisko siebie ścianami.

Jeszcze jedno schody do piwnicy.

Tym razem ich czujność miała zupełnie inny charakter.

Krok za krokiem. Nie dało się rozstrzygnąć, czy woń się wzmogła, czy osłabła, ich zmysły powonienia były już mocno przytępione. Zielone plamy na suficie i ścianach wskazywały, że powinni raczej czuć zapach pleśni. Ten

dom był jej siedliskiem, ale pleśń nie miała szans.

Schody wiły się spiralnie w dół, widoczność nie przekraczała metra. Berger zauważył, że światło latarki czołowej Blom drży tak samo jak jego. Po chwili weszli do otwartego piwnicznego pomieszczenia. Było ciemne, puste, wilgotne.

Najpierw poświecili po ścianach, żeby zabezpieczyć ewentualne kryjówki i zakamarki, a dopiero potem stożki światła wróciły na środek podłogi.

Tam właśnie leżał. Poświecili na niego, znieruchomieli, nasłuchiwali. Dźwięk, który słyszeli, nie był już głuchym pomrukiem z pomieszczenia z bojlerem, lecz wyższym brzęczeniem wentylatora.

Twarz pozostawała niewidoczna, była przyciśnięta do podłogi, skołtunione włosy opadały na uszy i okalały głowę. Solidne żelazne krzesło pótleżało na ciele, a kiedy się przyjrzelik dokładniej, zauważyli, że golenie mężczyzny są przywiązane do grubych nóg krzesła opaskami zaciskowymi. Ramiona leżały pod masywnym tułowiem, jakby ofiara runęła na podłogę z dłońmi złożonymi do modlitwy.

W swoim czasie było to bardzo wysportowane ciało.

Krew, która je otaczała, nie tylko zakrzepła, ale też dawno wsiąkła w betonową podłogę i zostawiła po sobie tylko wyblakły kolor.

Berger popatrzył na przewrócone krzesło. Przy lewym podłokietniku wisiały resztki opaski. Rozerwanej opaski.

Blom odchrząknęła i udało jej się odzyskać przynajmniej cień głosu.

– Torturowano go na siedząco – oznajmiła. – Ręce i nogi są przywiązane do krzesła. Ale Anders Hedblom był silny. Nie umarł. Ostatkiem sił rozerwał opaskę na nadgarstkach. Próbował wstać, upadł i już nie wstał, umarł przewrócony do przodu, z twarzą na betonie.

– Sprawca musiał uznać, że umarł – wychrypiał Berger. – Ale kiedy wyszedł, Anders Hedblom miał jeszcze siłę na ostatni czyn. Na coś, co za

wszelką cenę musiał zrobić przed śmiercią. Jesteś gotowa na ciężki moment?

Blom powstrzymała go szybkim gestem.

– Musimy teraz pomyśleć – powiedziała. – Czy nie powinniśmy najpierw zabezpieczyć domu? Piętro wyżej?

Berger wskazał ciało.

– On jest pokryty kurzem – oznajmił. – Od tygodni nikogo tu nie było. Po prostu miej pistolet w gotowości.

Blom zatrzymała go raz jeszcze.

– Policja tu dotrze, prędzej czy później. Gdzie zostawiliśmy ślady?

– Drzwi frontowe. – Berger skinął głową. – Dotykałaś czegoś jeszcze?

– To tak jak w Porjus – odparła Blom. – Mogliśmy przeoczyć włos, komórki skóry. I jeśli zrobimy to, co zamierzasz, zostawimy jeszcze więcej śladów.

– Masz lepszą propozycję?

– Nie – odparła Blom i wyjęła jednorazowe rękawiczki z kieszeni kurtki.

Podawała jedną parę Bergerowi. Drżącymi rękoma zaczęła wkładać swoje. Stawiały opór.

Chwycili bok ciała i wyteżyli siły. Udało im się obrócić je, kiedyś tak masywne. Poszło zdumiewająco łatwo – owady, które wirowały wokół nich w nieruchomym powietrzu zdążyły oczyścić je z mięsa, które nie wyschło. Larwy żywiące się zwłokami najwyraźniej opuściły już tonący okręt. To było jak stanie przed egipską mumią, zabalsamowaną i gotową. Doświadczenie Bergera mówiło mu, że Anders Hedblom nie żył przynajmniej od trzech tygodni, może od miesiąca.

Przez ten czas nikomu go nie brakowało.

Z rąk nie zostało wiele więcej niż kości. Obejmowały klatkę piersiową – to w tej pozycji zmarł. Jednak dłonie nie były złączone jak do modlitwy, lecz coś kurczowo trzymały.

Do prawej dłoni przyklejony był długopis, a do lewej kartka. To był rachunek. Rachunek za prąd. Berger ostrożnie podstawił jego pustą odwrotną stronę pod światło latarki. Nie była pusta. Widniało na niej słowo, zapisane wielkimi koślawymi literami przez umierającego człowieka.

„Berger”.

Sam Berger wpatrzył się w kartkę. Blom także.

– Co to ma być, do kurwy nędzy – wykrztusił.

Blom była blada.

– Sprawca zostawił go, żeby umarł. Ale Hedblom miał jeszcze dość siły na ostatnią niezbędną czynność. Zerwał opaskę samą siłą mięśni, co rzeczywiście jest dużym wyczynem. Wyjął z kieszeni długopis i jakiś papier, tylko dlatego, że chęć zapisania tego była tak wielka. Chęć zapisania nazwiska Berger.

– Ale przecież ja nigdy nie byłem w tym cholernym miejscu – powiedział Berger słabym głosem. – Kiedy ten napis powstawał, nadal ścigaliśmy porywacza Ellen Saviger.

– Musimy przewrócić go z powrotem – oznajmiła Blom.

– Nie z tym papierem w dłoni – odparł Berger.

– Nie możemy zabierać materiału dowodowego z miejsca zbrodni. Poza tym Robin z całą pewnością to odkryje, a jeśli odkrycie zostanie połączone z twoim DNA, nie będzie dobrze. Teraz jesteś bezpieczny, masz alibi. W Szwecji jest wielu Bergerów. A jemu może chodziło o coś zupełnie innego. Przewrócimy go z powrotem i postaramy się, żeby wyglądał, jakby nigdy nie był przewracany.

Berger spojrzał na Blom, zlustrował ją wzrokiem. Sytuacja nie sprzyjała niuansom, ale czy w jej reakcji nie było czegoś dziwnego? Czy zanadto się nie śpieszyła, nie nakręcała? Czy jej rozumowanie było spójne?

Postanowił mimo wszystko jej zaufać. Poza tym chciał się wydostać

z tego piekielnego domu co najmniej tak bardzo jak ona. Wspólnie złapali to, co zostało z Andersa Hedbloma, i obrócili. Blom trochę przestawiała, poprawiała i w końcu wszystko wyglądało jak wtedy, kiedy przyjechali.

Wyszli, z uniesionymi pistoletami, osłaniali się nawzajem, zignorowali piętro, znaleźli się na świeżym powietrzu. Nigdy wcześniej nie wydawało im się tak świeże, tak krystaliczne. Berger złapał się na tym, że w narastającej śnieżycy bierze głębokie, bardzo głębokie oddechy. Z każdym wciągniętym płatkem śniegu trochę bardziej rozjaśniało mu się w głowie.

Odwrócił się na werandzie. Blom siedziała w kucki i ścierała odciski palców z klamki. W końcu zeszła, a Berger ruszył za nią. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa.

Dotarli do samochodu, wrzucili pistolety do schowka, skręcili na wąską, coraz bardziej ośnieżoną drogę i dodali gazu. Minęła dobra chwila, zanim którekolwiek z nich było w stanie mówić.

– Co to, do cholery, było? – zapytał Berger, kiedy byli już na trasie.

Blom pokręciła głową.

– Nie jestem w stanie teraz tego przetworzyć. Próbuję jedynie unormować oddech. Ale chyba jest jasne, że Anders Hedblom nie jest mordercą, którego szukamy.

– O ile to nie zombie – odparł Berger. – Nawet tak wyglądał.

Blom pokręciła głową, jakby chciała ją umocować na miejscu.

– Dlaczego zapisał moje nazwisko? – ciągnął Berger. – Zużył na to resztkę sił. To musiało być dla niego wyjątkowo ważne, ostatnia wskazówka dla policji. Czy to jego zabójca mówił o sobie „Berger”? Czy w ogóle na kartce zapisane zostało nazwisko? A może coś zupełnie innego? Początek jakiegoś słowa? Końcówka?

Berger wyraźnie czuł, że Blom jest nieobecna duchem – zupełnie jakby mieli dodatkowego pasażera wciśniętego pomiędzy nich. Bardzo zimną

osobę...

Dzwonek, skądkolwiek dobiegał, był jak wybawienie. Berger się rozejrzył. Zauważył w przelocie, że zegarek w jeepie wskazuje dziewiętnastą szesnaście. I że telefon satelitarny w skrytce pomiędzy siedzeniami świeci. Wyrzucił pasażera na gapę, zerknął na numer dzwoniącego i przełączył na głośnik.

– Tak, Deer?

– Sorsele – powiedziała Deer.

Spojrzenia Bergera i Blom się spotkały.

– Słucham – odezwał się Berger.

– Samochód, który wywiózł zwłoki Jessiki Johnsson, prawdopodobnie jest z Sorsele. Czy nie znajdujecie się właśnie w tej okolicy?

– Tuż tuż – odparł Berger i spostrzegł, że Blom posyła mu elektryzujące spojrzenie. – Opowiedz coś więcej.

– Mam tylko tyle – oznajmiła Deer. – Bardzo wyjątkowy samochód, pozostałych osiem jest w innych zakątkach Szwecji. Właśnie to czytam, kiedy do ciebie mówię. To naprawdę volkswagen caddy, kremowy i pokryty błękitną folią. Numer rejestracyjny to LAM 387.

– Masz może jeszcze nazwisko właściciela?

– Muszę poszukać... chwileczkę... Tak, tutaj jest. Ale czekaj...

– Czekam – odparł Berger.

– Właściciel samochodu to Anders Hedblom. Hedblom?

Berger poczuł szarpnięcie w przód i silny ucisk w klatce piersiowej. Dopiero po chwili zrozumiał, co się stało. Jeep stał przekrzywiony na Inlandsvägen. Berger odruchowo zaczął szukać wzrokiem uciekającego łosia. Ale żadnego nie było. Widział tylko ciemność, płatki śniegu przelatujące przez wiązki światła reflektorów i sztywny, wpatrzony w dal profil Molly Blom, oświetlony od dołu słabym, niebieskawym blaskiem deski



rozdzielczej.

– Co się dzieje, do cholery? – zapytała Deer swoim lekko metalicznym głosem. – Krzyczałeś, Sam. Co się dzieje?

Berger przyglądał się Blom, nadal siedzącej sztywno. W końcu zaczęła cofać i zawróciła. Z początku jechali z powrotem po własnych śladach, a potem zmienili pas.

– Łoś – stwierdził Berger ze spojrzeniem wbitym w Blom. – Nic się nie stało.

– Okej... – odparła Deer i zawiesiła głos. – Hedblom?

– Tak, to brat Karla – odparł Berger. – Namierzyliśmy go i dostaliśmy się do jego domu w Sorsele.

– Cholera jasna, co wam mówiłam na ten temat?

– Zadzwoń do nas, Deer, a nie do twoich kolegów z NWO. Możemy skończyć z udawaniem? Prowadzisz podwójne śledztwo, nie da się już z tego wycofać. Chcesz, abyśmy kontynuowali.

– Dostaliście się do jego domu?

– Obawiam się, że to będzie dla ciebie długi sobotni wieczór.

W jeepie rozległo się donośne westchnienie.

– Mam cztery minuty – powiedziała w końcu Deer. – Potem kończy się mecz Liverpoolu.

– Anders Hedblom nie żyje – oznajmił Berger. – Został zakatowany na śmierć jakiś miesiąc temu. Leży na podłodze w swojej piwnicy.

W tym momencie Blom położyła mu dłoń na udzie, tak po prostu. Odwrócił się i spojrzał na nią. Nie patrzyła na niego, a wyraz jej twarzy był równie nieobecny co wcześniej, tyle że kręciła głową. Berger zrozumiał. Nie mówić nic więcej.

Deer głęboko westchnęła i wyraźnym głosem zapytała:

– Jak wielka stałaby się szkoda, gdybym zaczęła z uruchomieniem

moich „słupów” do jutrzejszego ranka? Czy ten telefon może trochę poczekać? Mam przytulny rodzinny wieczór.

– My nie mamy przytulnego rodzinnego wieczoru – odparł Berger i po chwili dodał: – Nie stanie się żadna szkoda, Deer.

– Dziękuję – powiedziała Deer. – Coś jeszcze?

– Nic więcej – rzekł Berger.

Byli z powrotem. Blom stanęła w tym samym miejscu co poprzednio, ponownie przeszli przez w połowie zarośnięty ogród i energicznie ruszyli w stronę garażu. Blom poświeciła przez okno.

W środku nie było samochodu.

Skinęła głową i popatrzyła na Bergera.

– No to wchodzimy po kartkę – powiedziała.

## 20

*Sobota 21 listopada, godz. 19:46*

W małej miejscowości o nazwie Slagnäs Molly Blom nagle zjechała z Inlandsvägen i ruszyła dalej prosto na północ. Kiedy z ośnieżonej ciemności wyłoniła się tablica z informacją, że do Arjeplog zostało pięćdziesiąt kilometrów, Berger nie mógł już się powstrzymać.

– Teraz musisz mi powiedzieć, co kombinujesz.

Po chwili milczenia Blom odparła:

– Już ci mówiłam, że w Säpo zostało mi kilka godnych zaufania kontaktów, prawda?

Berger obserwował ją uważnie, próbował ocenić każdy najdrobniejszy niuans w jej słowach i wyrazie twarzy.

– Tak, ale nie są w stanie pomóc ci z nową tożsamością Jessiki Johnsson.

– Pewnie są, ale ta możliwość jeszcze się nie objawiła. Muszą pracować w ukryciu dla nieoficjalnie poszukiwanego zdrajcy. Zakładam, że rozumiesz trudność.

– Nieoficjalnie, ale jawnie w ramach instytucji – odparł Berger. – Wszyscy współpracownicy wiedzą, że jesteśmy poszukiwani, tak? Ale nie reszta policji, nie NWO?

– Na to wygląda. A zadanie najwyraźniej ma zasięg, którego się

obawialiśmy. Co najmniej dwa pełne etaty przeznaczono na odszukanie nas i tylko nas. Chodzi o moich dawnych współpracowników z zasobów zewnętrznych: Kenta i Roya, jeśli ich pamiętasz.

– Tak, miałem z nimi bliski kontakt – odparł chłodno Berger.

– Kilka dni temu, zanim doszedłeś do siebie, Kentowi i Royowi najwyraźniej wyskoczyło w komputerze twoje nazwisko.

Sam Berger patrzył na kolana, na odwrotną stronę słabo oświetlonego rachunku za prąd, na ostatnie litery zapisane przez umierającego człowieka, które tworzyły jego nazwisko.

– Wyskoczyło? – zapytał tylko.

– Pewien człowiek został przyjęty do zakładu psychiatrycznego Lindstorp w Laponii, nieopodal Arjeplog. Nazywał się Sam Berger.

Berger nadal milczał. Zatopił się głęboko w sobie, a może raczej gdzieś daleko poza sobą. Pomyślał o sile psychozy pourazowej, o radykalnym usunięciu granic w ostrej psychozie reaktywnej. Ego i rzeczywistość ulegają całkowitemu roztopieniu. Wszystkie normalne granice zanikają.

Jak silna jest psychika?

Nigdy nie wierzył w zjawiska nadprzyrodzone. Zawsze był przekonany, że wszelkie tajemnice można rozwiązać racjonalnymi sposobami. Nagle jednak wydało mu się w pełni prawdopodobne, że jego psychoza była na tyle silna, aby rozsadzić granicę rzeczywistości i zająć miejsce w świecie zewnętrznym. Że stał się dwiema osobami. Że zyskał sobowtóra. Czy to możliwe, że całe drzemające w nim zło, poczucie winy i egoizm zajęły jedno ciało? Pytanie mogło jedynie brzmieć: który jest który?

Może to on sam był sobowtorem.

– Co się stało? – zapytał w końcu.

– Kent i Roy tam pojechali. To nie byłeś ty. Po krótkim dochodzeniu ustalili, że była to zbieżność nazwisk, i nie podejmowali dalszych działań.

Nie było tam żadnych powiązań z tobą.

– Nie podejmowali dalszych działań?

– Kent i Roy przeprowadzili szybkie przesłuchanie i otrzymali rozkaz, żeby jak najszybciej wrócić do Sztokholmu i nie zwracać już na siebie uwagi.

– Szybkie przesłuchanie?

– Prędko zdali sobie sprawę, że siedzi przed nimi stuprocentowy wariat. Nikt nie wiedział, kim tak naprawdę jest. Pobrali od niego odciski palców, nie dały żadnych wyników. Kiedy otrzymałam tę informację, też uznałam całą sprawę za przypadek. Wszystko wskazywało na to, że ten człowiek jest schizofrenikiem, który przybiera i porzuca zmyślane tożsamości. To, że nazywał się akurat Sam Berger, wydawało się czystym zbiegiem okoliczności.

– Aż do czasu...

– Nawet nie do czasu kiedy znaleźliśmy kartkę w ręku mumii – powiedziała Blom z zaciętą miną. – Zareagowałam dopiero wtedy, kiedy Desiré zadzwoniła i powiedziała o samochodzie. Dopiero to połączyło punkty Sorsele, Arjeplog i Porjus. Choć nie wiem, w jaki sposób.

– Ja też nie. Czyli chcesz powiedzieć, że morderca miałby być przypadkiem klinicznym? Który z niejasnych powodów wybrał sobie moje nazwisko?

– W takim wypadku uznałabym, że chodzi tu o ekstremalny przypadek choroby dwubiegunowej. Jasność umysłu, koncentracja, okresowo żąda zabijania, a w międzyczasie psychoza, niepokój, kompletna dezorientacja. Trzeba to jednak zbadać dokładniej. Dlatego teraz pojedziemy do ośrodka Lindstorp w Arjeplog.

– Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem. – Berger potarł czoło. – Jak by to wszystko miało wyglądać?

Blom zmarszczyła brwi, zebrała się w sobie i odparła:

– Z zastrzeżeniem, że część to spekulacje, mniej więcej tak: Jessica Johnsson, w czasie kiedy funkcjonuje pod przybraną tożsamością, spotyka mordercę, mają romans, ale ona po czasie spostrzega, że jest niebezpieczny, i z nim zrywa. On ją prześladowa. Ona spotyka Andersa Hedbloma, może nawiązuje z nim kontakt, bo zdaje sobie sprawę, że jego brat nie zabił Heleny i Rasmusa Gradénów. W końcu zna prawdziwego mordercę. Ten w jakiś sposób się dowiaduje, że Jessica i Anders mają ze sobą kontakt, jedzie do Sorsele i katuje na śmierć Andersa Hedbloma. Morderca wchodzi w fazę psychozy, przedstawia się jako fikcyjny Berger, kradnie samochód Andersa, pełnym gazem jedzie do miejsca, które przypomina pogotowie psychiatryczne, psychoza rozkwita, zostaje przyjęty na oddział i spędza tam kilka tygodni. W końcu zdrowieje, zostaje wypisany albo zwiewa, wszystko jedno, znowu wskakuje w samochód Andersa Hedbloma i jedzie do Porjus, do Jessiki Johnsson. Szpieguje ją i pod jej nieobecność dostaje się do domu. Przeżywa coś w rodzaju fazy maniakalnej, dokładnie sprząta dom, chowa się w pokoju z bojlerem, atakuje. A my akurat tam jesteśmy.

– Jasna cholera – skwitował Berger.

\* \* \*

Nie zauważyli autobusu. Nagle pojawił się na zakręcie i przejechał obok z rykiem grzmotu. Nic nie widzieli, byli kompletnie spowici nieprzenikniętą śnieżną chmurą. Blom zwolniła i bardzo ostrożnie pokonywała zakręt wśród tańczących mas śniegu.

Z chmury śniegu wyłonił się budynek przypominający gospodarstwo. Był jak forpoczta cywilizacji. Przed niesamowitym budynkiem rozciągało się ośnieżone pole.

Jechali dalej, okrążyli pole i gospodarstwo, aż w końcu ich oczom ukazało się coś, co wyglądało jak monumentalne główne wejście. Na werandzie

czekał na nich ubrany w smoking starszy mężczyzna z burzą siwych włosów. Za jego plecami stało dwóch barczystych pielęgniarzy ze skrzyżowanymi rękoma. Była to okazała weranda z kolumnami doryckimi, balustradą, tralkami w kształcie waz, ozdobiona amforami, donicami, a nawet rzeźbą starego Greka, prawdopodobnie ojca medycyny, Hipokratesa, choć i ona nie była w stanie ukryć kamery monitoringu wystającej spod kalenicy.

Wychodząc z jeepa, Berger się zawahał. Przyszła mu do głowy całkowicie irracjonalna myśl: a jeśli go rozpoznają? Jeśli rzeczywiście był tu Sam Berger? Co, jeśli naprawdę miał sobowtóra noszącego jego nazwisko?

Siwowłosa ich obserwował, kiedy wchodzili na schody. Miał ponury wyraz twarzy. Nie było w nim jednak nic, co by świadczyło o tym, że ich rozpoznał.

Blom podała mu rękę. Minęły dwie sekundy, zanim ją schwycił i powiedział:

– Na wieczór zaprosiłem gości na kolację, więc naprawdę mam nadzieję, że uda mi się stąd wyjść o rozsądnej porze.

– To bardzo miłe, panie doktorze Stenbom, że wyszedł pan nam na spotkanie. Jestem inspektor Eva Lundström, a to mój kolega Lindbergh. Mamy nadzieję, że zrobimy to tak sprawnie, jak tylko się da.

– Czymkolwiek „to” jest – mruknął doktor Stenbom i wkroczył głównym wejściem pomiędzy dwoma pielęgniarzami.

Korytarz, w którym się znaleźli, drastycznie kontrastował z okazałym zewnętrzem ośrodka. Nagle zobaczyli całkiem zwyczajną klinikę z plecionymi tapetami i linoleum. Doktor Stenbom zaprowadził ich do znajdującego się w pobliżu biura, którego drzwi zdobiła tabliczka z informacją, że urzęduje tam „ordynator Jacob Stenbom”.

Biuro było wyraźnie spartańsko urządzone, w każdym możliwym miejscu wypełnione książkami i raportami naukowymi. Było godne człowieka, który

żył pracą. Znajdowały się w nim jednak dwa krzesła dla gości. Berger i Blom oczyścili je, najostrożniej jak potrafili, i usiedli.

– NWO, tak? – doktor Stenbom przyjrzał się ich fałszywym wizytówkom.  
– Narodowy Wydział Operacyjny?

– Dawna Krajowa Policja Kryminalna – podsunął pomocnie Berger.

– Dziękuję – odparł kwaśno Stenbom i posunął wizytówkę z powrotem po stole.

– Jesteśmy tu, żeby porozmawiać o pacjencie Samie Bergerze – oznajmiła Blom. – Czy pan doktor go pamięta?

– Zobaczę, co mogę zrobić – powiedział Stenbom tonem, który dobrze nie wróżył. Zaczął przeglądać stos papierów i wyjął jeden z nich. Trochę poczytał, pokiwał głową i oznajmił: – Zgadza się. Nie mogę nic dla was zrobić.

Posunął kartkę po blacie i oboje od razu rozpoznali charakterystyczny nagłówek listu. Szybko przeczytali. Była to klasyczna klauzula poufności.

– A jednak pan tu przyszedł – oznajmił Berger. – Mimo kolacji. W smokingu i w ogóle.

Stenbom wlepił w niego intensywne, badawcze spojrzenie. Przez chwilę Berger miał wrażenie, że ordynator naprawdę już go kiedyś widział.

– Jak by pan to wytłumaczył? – zapytał w końcu Stenbom.

– Ciekawość – odezwała się Blom. – Ciekawość zawodowa. Nie był pan zadowolony z wyjaśnienia Säpo.

– Wyjaśnienia? – zawołał Stenbom z suchym śmiechem.

– Wiem – odparła Blom. – Koledzy potrafią być trochę gburowaci. Obstawiam, że po prostu weszli, wymaglowali pana i poszli bez słowa wyjaśnienia. Pozwolę sobie na strzał: nazywali się Roy Grahn i Kent Döös.

Jacob Stenbom nachylił się nad imponującą powierzchnią biurka i postukał w kartkę.



– Nawet jeśli wszystko, co panna Lundström mówi, jest zgodne z prawdą, to mamy to.

– Nie da się zaprzeczyć – odparła Blom. – Ale nasza dzisiejsza wizyta ma dwa cele. Po pierwsze, uzupełnić zbytnio lakoniczny raport kolegów, a po drugie, udzielić ośrodkowi Lindstorp wyjaśnień, nawet jeśli są one spóźnione. Poza tym my mamy swoją klauzulę tajności. Ten dokument dotyczy przede wszystkim reporterów, nie ludzi z wewnątrz, jak funkcjonariusze policji. My też nie chcemy, żebyście rozmawiali z prasą. Nasze cele są identyczne. Teraz jednak możecie uzyskać wyjaśnienie.

– Na to liczę – przyznał doktor Stenbom i całą uwagę poświęcił godniejszemu partnerowi do rozmowy.

– Bardzo proszę powiedzieć wszystko na temat Sama Bergera – powiedziała Blom z uśmiechem, którym Berger nie był szczególnie zachwycony.

Najwyraźniej jednak ordynator Jacob Stenbom był innego zdania, bo przestał ważyć słowa:

– Kiedy pielęgniarze zabrali go sprzed głównego wejścia, Sam Berger był w opłakanym stanie. Wycieńczony, a jednocześnie agresywny. Nie dało się zrozumieć nic z tego, co mówił, oprócz nazwiska Sam Berger. Od razu stało się jasne, że to psychoza, a brutalne zachowanie sprawiło, że postanowiliśmy go uśpić. Poza tym zastosowaliśmy gruntowną psychofarmakoterapię. W ciągu dwóch tygodni zmniejszaliśmy dawki leków nasennych średnio raz na trzy dni, żeby sprawdzić, czy się uspokoił. Jednak nastąpiło to dopiero po ponad dwóch tygodniach, dwunastego listopada. Kiedy się obudził, prognozy były dobre: miał przytomne spojrzenie i zachowywał spokój, nawet jeśli w jego organizmie wciąż krążyły pokaźne dawki leków uspokajających. Niestety, dyżurna pielęgniarka zawahała się w korytarzu po otwarciu drzwi do sali, w której leżał... dostała pilne wezwanie do innej sali. Berger

zobaczył otwarte drzwi i czmychnął. Dotarł do kuchni, włożył kilka białych fartuchów i za małe chodaki, popędził dalej do palarni na werandzie, wspiął się na balustradę i zeskoczył na pole. Zaczął biec w stronę drogi, najwyraźniej zobaczył przejeżdżający autobus. Autobus naprawdę przejeżdżał, kiedy on z wielkim trudem brnął przez zaśnieżone pole. Berger próbował go chwycić, ale kierowca oczywiście się nie zatrzymał przed ewidentnym pacjentem szpitala psychiatrycznego, więc ten nabawił się obrażeń prawej dłoni i twarzy. Wtedy postanowiłem znowu go uspić, ale wygiął igłę tak, że płyn infuzyjny wyciekł do łóżka, a następnego dnia udało mu się obezwładnić pielęgniarkę i znowu uciec. Co gorsza, stało się to dokładnie w momencie, kiedy przyjechali wasi koledzy, ruszyli więc za nim w pogoń. Jeden z nich dogonił go na polu i obezwładnił. Potem wszystko przebiegało w największej tajemnicy, wyłączono nas z procesu. Grahn i Döös przesłuchali Bergera za zamkniętymi drzwiami i poszli, ale wcześniej zmusili wszystkich zainteresowanych do podpisania klauzuli tajności. Potem sam odbyłem dłuższą rozmowę z Bergerem i nie ulegało wątpliwości, że nie tylko wyraźnie wyzdrowiał, ale też był skłonny opuścić Lindstorp. Zatrzymaliśmy go jeszcze na jednodniową obserwację i wypuściliśmy w niedzielę piętnastego.

– Wypuściliście go? – wykrzyknął Berger.

– Dla nas to mimo wszystko był John Doe, niezidentyfikowany pacjent. Uwierzyliśmy mu na słowo, że nazywa się Sam Berger, on zaś nie był w stanie przedstawić numeru identyfikacyjnego. Nie miał żadnych dokumentów, niczego, co zawierałoby dane osobowe. Wprawdzie jesteśmy ośrodkiem prywatnym, specjalizującym się w leczeniu psychiatrycznym finansowanym ze środków prywatnych, zwłaszcza w terapii uzależnień, ale jeśli mamy wolne miejsca, przyjmujemy również pacjentów publicznej służby zdrowia. W takich przypadkach potrzebujemy jednak numeru

identyfikacyjnego pacjenta.

– Żeby otrzymać pieniądze od samorządu?

– To nieco uproszczony obraz – odparł doktor Stenbom. – Ale on w ciągu ponad dwóch tygodni oznaczał dla nas tylko koszty.

– Innymi słowy, nie mieliście nic przeciwko wypuszczeniu pacjenta, którego leczenie w żadnym wypadku nie zostało zakończone?

– Nie mogliśmy nic więcej dla niego zrobić.

Berger poczuł na udzie dłoń Blom. Wiedział, co to oznacza – po raz kolejny jej dotyk go ostudził. Umilkł. Wszystkie uszczypliwości, które miał na końcu języka, wyparowały. Tymczasem Blom zapytała:

– Czy to prawda, że koledzy z Säpo pobrali odciski palców Bergera?

– Tak. I nic to nie dało. Nic dziwnego, w końcu przycisnął palce do autobusu jadącego z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Tak, prawą dłoń – odparła Blom. – A co z lewą?

– Opuszki palców były zniszczone, więc tej dłoni również nie dało się wykorzystać.

– Zniszczone?

– Miały tyle blizn, że były bezużyteczne.

– Blizn? Jakby celowo usunął sobie odciski palców?

– Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć.

– A DNA? Czy Grahn i Döös pobrali próbki?

– O ile wiem, to nie – odparł Stenbom. – I my też nie.

– Ale został wam po nim materiał biologiczny? Zachowaliście próbki moczu, krwi, skóry?

Stenbom pokręcił głową.

– Niestety nie. Nie został żaden ślad.

– Czy wobec tego możemy się rozejrzeć po ośrodku? – zapytał Berger i wstał.

Ordynator Jacob Stenbom tylko się w niego wpatrywał.

– Chcemy podążać śladami Sama Bergera – powiedział.

Stenbom się skrzywił i spojrzał na zegarek.

– Za niecałą godzinę mam przemawiać przed zarządem Goodyear – poinformował.

– Goodyear? – odparł Berger.

– To ważne dla interesów – odparł Stenbom. – Testują tu opony zimowe. I trzymają swoich alkoholików i chorych psychicznie w izolacji od świata.

Minęli schody, które w przeszłości musiały być imponujące – teraz były wyłożone linoleum – wkroczyli w beżowy korytarz z identycznymi, wyposażonymi w solidne zamki drzwiami. Stenbom podszedł do jednych z nich.

– W tej chwili w sali Bergera syn dyrektora generalnego Audi odbywa detoksykację kokainową. Ale ta sala jest identyczna.

Otworzył drzwi kluczem, weszli do środka. Przy ścianie w głębi pomieszczenia stało łóżko, a obok kroplówka i mały stolik na kółkach. Na przeciwległej ścianie, przy drzwiach, znajdowały się lustro i umywalka, a obok drzwi do łazienki. Okna wychodziły prosto na zaśnieżone pole. Ledwo było je widać, bo śnieżycy zdążyła się rozkręcić na całego.

Berger stanął przy oknie i wyjrzał. Widok wydał mu się znajomy.

– Długo wyglądał przez okno – oznajmił Stenbom.

– Na to pole? – odparł Berger. – Na drogę z autobusem?

– Tak myślę. Instynkt ucieczki był u niego bardzo silny.

– Coś jeszcze?

– Wykonywał pewien gest, widzieliśmy go kilka razy.

– Gest?

– Może pokazywał swoje odbicie. Układał prawą dłoń w kształt pistoletu i strzelał do siebie.

Berger położył rękę na lodowatej szybie.

– Dokąd poszedł potem?

Wyszli razem ze Stenbomem na korytarz, weszli po schodach, znaleźli się w kolejnym korytarzu. Tam poprowadził ich do drzwi bez zamka, ale z większą klamką. Otworzył je i rzekł:

– Kuchnia. Tu spędził jakiś czas. Był na bosaka, szukał obuwia, znalazł w tym schowku parę za małych chodaków. A tutaj, przy stoliku, wiszą białe kuchenne fartuchy w rodzaju tych, które ukradł. To był racjonalizm w braku racjonalizmu, wiedział, że może zamarznąć na śniegu, na drodze ku wolności.

Blom dotknęła białych fartuchów.

– Ale to nie były te? – zapytała.

– Oczywiście od razu poszły do prania. Ale, rzecz jasna, może tu być któryś z nich. Wyprany kilka razy od tamtej pory.

Blom skinęła głową i ruszyła w stronę schowka, rozglądając się. Berger podszedł do okna nad zlewozmywakiem. Tym razem pole było widoczne z większej wysokości, stąd łatwiej było dostrzec w śnieżycy wielką białą powierzchnię.

Pole wolności.

Patrzył uważnie, coraz uważniej, aż perspektywa i widzenie głębi się zmieniły. To było jak dostrzeżenie nagiej kobiety w twarzy Freuda.

– Berger miał zwyczaj stać przy oknie? – zapytał.

– Tak, tyle że w swojej sali – odparł Stenbom i wzruszył ramionami.

Berger uniósł rękę do okna i trzymał ją kawałek od szyby, lekko rozcapierzywszy palce.

– Dotykał okna? – zapytał.

– Zdarzało mu się. Chociaż, tak jak mówiłem, robił to u siebie w sali.

– Zastanawiam się, czy nie zrobił tego też tutaj. Jak często jest sprządana

kuchnia?

– Codziennie... choć jeśli pyta pan o okna, to trudno je myć przy takim mrozie.

Berger skinął głową i włożył jednorazowe rękawiczki. Wyjął z kieszeni scyzoryk i bardzo mały woreczek strunowy. Delikatnie dotknął szyby.

– Stał tutaj, widział pole, przyciskał dłoń do lodowatej szyby. Jego palce musiały być bardzo wilgotne.

– Środki psychofarmakologiczne powodują wzmożoną potliwość dłoni. – Stenbom skinął głową.

– Proszę tu podejść – powiedział Berger. – Widać to pod światło, pod pewnym kątem. Ślad pięciu palców prawej ręki. Zgadza się, nie widać żadnych odcisków palców, nawet prawej dłoni, kiedy jeszcze była nietknięta. Ale na pewno szybko oderwał dłoń. Myślę, że te odciski w dużym stopniu składają się ze skóry.

Zdrapał zmrożone komórki skóry do małego woreczka i go zamknął. Stenbom zmarszczył brwi.

– Jeżeli chcecie, mogę szybko zlecić analizę DNA.

– Ciekawski, co? – skwitował Berger i schował woreczek do kieszeni.

– Nieprzypadkowo jestem psychiatrą – odparł Stenbom. – Wyczuwam walkę o władzę między NWO a Säpo. W tym przypadku zdecydowanie wolę NWO. Nasze analizy wykonujemy prywatnie, nigdy nie korzystamy z oficjalnych kanałów.

Berger i Blom spojrzeli na siebie. Rozegrała się wymiana. Blom skinęła głową i wyjęła z kieszeni kurtki identyczny woreczek. Rozpoczęli ostrożną współpracę: Blom trzymała pusty woreczek, a Berger scyzorykiem przenosił połowę ewentualnych komórek skóry z pierwszego woreczka. Blom podała jeden z woreczków Stenbomowi i powiedziała:

– Ufamy panu... w pewnym stopniu.

Stenbom odparł z krzywym uśmiechem:

– Mogę to zlecić jeszcze dziś wieczorem. Ekspresowo.

– Tylko żeby pan nie przegapił swojej uroczystej przemowy – rzekł Berger.

– Kłamałem – odparł Stenbom spokojnie. – Nie będę wygłaszał żadnej przemowy. Jedyne pił z wysoko postawionymi biznesmenami. A to może poczekać.

Blom ponownie zebrała się w sobie:

– Okej. Sam Berger stał tu przez jakiś czas, trzymał spocone palce na szybie, ubierał się. Potem wybiegł drugimi drzwiami?

– Zgadza się. Wybiegł na dużą werandę. Jest nieodsnieżona, z wyjątkiem małego kwadratu służącego jako palarnia. Był tam wcześniej i palił papierosa, wtedy, kiedy fałszywie założyłem, że już czas go obudzić. Dostał ataku i musieliśmy go uśpić na miejscu. Najwyraźniej jakieś wspomnienie tej werandy pozostało mu w głowie. Pójdziemy tam?

– Chyba nie ma takiej potrzeby – odparła Blom. – Coś innego przyszło mi teraz do głowy. Przy głównych drzwiach widziałam kamerę monitoringu. Może nagrał się moment, kiedy Berger wjechał na parking? Kiedy się tu pojawił?

– Säpo skonfiskowała nagranie. I postarała się, żeby nie zostały żadne kopie.

Blom spostrzegła grymas Bergera.

– Pamięta pan ten film? – zapytała. – Jaki samochód prowadził Sam Berger?

– Nie był w stanie, który pozwalałby na prowadzenie samochodu.

– Jak to?

– Nie prowadził. Został wysadzony.

Berger i Blom wymienili szybkie spojrzenie.

– Czyli ktoś go podwiózł? Widział pan samochód?

– To był mniejszy model samochodu dostawczego. Jasny lakier, może błękitny albo jasnozielony.

– Widział pan człowieka, który go wysadził? – spytała Blom z zapartym tchem.

– Tylko przelotnie – odparł doktor Jacob Stenbom. – To była kobieta.

– Kobieta? – zawołała Blom.

– Z całą pewnością.

– Jak wyglądała?

– Blondynka – oznajmił Stenbom. – Właściwie to trochę przypominała panią, pani inspektor.

Berger poczuł, że cały świat zadrżał. Udało mu się odwrócić wzrok na Blom. Miał wrażenie, że jest w stanie odczytać wyraz jej wytrzeszczonych niebieskich oczu. Wydawało mu się, że myśli: czyżby istniał jakiś równoległy wszechświat?





# 21

*Niedziela 22 listopada, godz. 09:41*

*Byli aktywni na długo przed świtem. Kamera nocna uchwyciła mężczyznę, kiedy bardziej chwiejnym niż zwykle krokiem schodził do domku kobiety. Zniknął w środku i od tego czasu odbywała się nieokreślona aktywność. Obserwator zapisał informację o niemożności, ale nie wspomniał o bólu. Teraz nie pozostaje nic innego jak czekanie.*

*To niemożliwe czekanie.*

*W końcu ekrany przełączają się na kamery dzienne. Czas w ciągu doby, kiedy panuje ciemność, wydłuża się z niespodziewaną szybkością. Kamery dzienne są lepsze ze względu na chorobę. Chorobę, która zagraża przyszłości obserwatora.*

*RP, pieprzona retinopatia barwnikowa, która sprawia, że obserwator musi precyzyjnie ustawiać widoczność ekranu. Ostatnio postępuje tak szybko, że przechowywanie i pielęgnowanie każdego wrażenia wzrokowego wydaje się koniecznością. Obserwator wie, że musi posiedzieć na tarasie w ciepłym zmierzchu i popatrzeć na Skalę Gibraltarską we mgle, zanim będzie za późno.*

*Wspólne spojrzenie. Potem będzie musiał przejść jej wzrok, oglądać piękno i spokój jej oczami.*

*Obserwator pozwala, aby czas płynął, minuty uciekają. Widzi datę na*

*kontrakcie, jakby była złota. Wszystko, co pozostało, wszystko, co musi pasować jak ulał.*

*Wszystkie chwile.*

*Poprzedni dzień wyglądał tak obiecująco. Obserwator myślał, że będzie mógł to zobaczyć ponownie. Ale kiedy pozwoliła, żeby ręcznik opadł, miała na sobie bikini. Widział tylko znamię w kształcie gwiazdy pod jej schowaną prawą piersią. Ma nadzieję, że z jego raportu nie da się wyczytać rozczarowania.*

*Teraz jednak drzwi wreszcie się otwierają i wychodzi ona. Dłoń w cienkiej skórzanej rękawiczce robi zbliżenie na jej twarz, tak piękną. Obserwator znów staje się obserwatorem, pozwala sobie na profanację – lekkie oddalenie obrazu – i zapisuje: „♀ na werandzie, podnosi słuchawkę, telefonuje. Na razie ani śladu ♂”.*

*Nie dopisuje, że to pożądana sytuacja.*

*Ani śladu ♂.*

## 22

*Niedziela 22 listopada, godz. 09:41*

Berger od razu rozpoznał głos. Wprawdzie wiek i pewnie jeszcze parę innych czynników zrobiły swoje, ale bez wątpienia był to ten sam głos, który osiem lat wcześniej gardłował na temat krajowych usług agencji towarzyskich.

– Nie pamiętam żadnego cholernego Bergera – stwierdził niechętnie.

– Myślę, że sobie przypomnisz, Robertsson, jeśli się zastanowisz – powiedział Berger. – Byłem w Orsie i przesłuchiwałem świadków. Ty filmowałeś przez okno kamerą VHS.

– Nadal nie kumam, czemu wszystkiego nie filmowano.

– Ale ty filmowałeś. I pracujesz w policyjnym magazynie. Masz dostęp do tych filmów?

– Po sprawie Karla Hedbloma to jeden wielki syf. Ni cholery nie zamierzam przeszukiwać tego wszystkiego. Poza tym dzwonisz w niedzielę rano.

– Jeżeli po południu się tu dowleczesz i wyjmiesz filmy, zarobisz na tym.

– Dlaczego NWO miałyby mi dawać pieniądze na czarno za coś, co moglibyście mi kazać zrobić w godzinach pracy?

– Śpieszy się nam – oznajmił Berger i się skrzywił. – A poza tym to półoficjalne.

W słuchawce zapadła cisza. W końcu Robertsson powiedział:

– Pięć tysięcy gotówką. Siedemnasta.

Zaraz potem się rozłączył.

Berger skinął głową i wrócił do komputera. Na ekranie zaczęła powstawać lista wyników. Po chwili zniknęła.

Blom stała z kablem w jednej dłoni i telefonem satelitarnym w drugiej.

– Muszę zadzwonić do Stenboma – oznajmiła i wyszła na werandę.

Szczyptał mróz. Słońce pokonało już dobry kawałek w górę na błękitnym nieboskłonie i posyłało ostre, ukośne promienie na kredowobiały teren. Blom znalazła schronienie przed mocnym światłem pod wysuniętym dachem domku i trzymała telefon satelitarny w cieniu, żeby dobrze widzieć. Wybrała numer.

Berger obserwował ją przez szczelinę w drzwiach. Kiedy się połączyła, zamknął je powoli i bezszelestnie. Odwrócił się do ściany. Było tam jeszcze więcej dokumentów, papierów, zdjęć. Pod nową cyfrą osiem znajdowało się kilka zrobionych z ukrycia zdjęć z ośrodka Lindstorp w Arjeplog. Na samej górze tkwił mało pochlebny portret mężczyzny z rozwianą siwą czupryną, ordynatora Jacoba Stenboma. Tego, z którym Blom właśnie rozmawiała.

Spojrzenie Bergera wędrowało po nieco chaotycznym schemacie na ścianie. W to właśnie zawsze niezbitcie wierzył, może bardziej niż w cokolwiek innego w życiu: w policyjną sztukę zaprowadzania porządku w chaosie, znajdowanie nici, za które należy pociągnąć, żeby stworzyć racjonalny, zrozumiały wzór, w ustalanie sprawców, motywów, pobudek, znajdowanie rozwiązań.

Docieranie do prawdy.

Porządkowanie przeszłości.

Jednak nawet najmocniejszym przekonaniem można zachwiać – sam tego doświadczył i po raz pierwszy w życiu nie był już pewien. Czy naprawdę

może istnieć racjonalne rozwiązanie, jeżeli istnieje równoległy wszechświat?

Noc zdominowały koszmary – ostatnio była to norma – ale tym razem pojawił się nowy, niepokojący element. Widział członki, czynności seksualne, ekstremalnie plastyczne sceny, abstrakcyjne ciała w konkretnym ruchu, jakby jego mózg chciał przypomnieć o chorym związku zabijania z seksem.

Zinterpretował to jako znak, że nie wolno mu zapomnieć, iż najwyraźniej mają do czynienia z zabójstwem z lubieżności.

Nie mógł też przestać działać jak policjant.

Potrząsnął głową, odpędził wszystkie zbędne uczucia i znów się zmusił do spojrzenia na ścianę.

Do domku weszła Blom, a wraz z nią obłok pary. Zmarznięta pocierała ręce, wciąż trzymając telefon satelitarny.

– Potrzebuję internetu – oznajmił Berger.

– Tak, tak – odparła Blom i podłączyła telefon satelitarny.

– No i? – zapytał, kiedy usiadła i kliknęła touchpad.

– Próbki zostały wysłane dziś w nocy. Do Wielkiej Brytanii. Najszybszego laboratorium DNA na świecie, jeśli doktor Jacob mówi prawdę.

– Dobrze – stwierdził Berger – Coś jeszcze?

– W zasadzie nie – odparła Blom. – Tylko ciągle myśli. Czego właściwie się dowiedzieliśmy wczoraj? Że „Sam Berger” został podwieszony do szpitala psychiatrycznego przez kobietę. Spróbujmy oczyścić to ze wszystkich nieprzyjemnych konotacji i odniesień do nas. Kim ona była? Widzę dwa możliwe scenariusze. W pierwszym trzymamy się naszej podstawowej tezy: że morderca przebywał sam u Andersa Hedbloma i wkraczał w coś w rodzaju fazy psychotycznej, ale udało mu się ukraść samochód i odjechać, może do dziewczyny albo kogoś w tym rodzaju, a ona

odwiozła go do Lindstorp, bo był coraz bardziej niezrównoważony. Drugi scenariusz jest bardziej kłopotliwy. Kobieta towarzyszyła mu, kiedy zabijał. Była w Sorsele. Jak to wpływa na naszą teorię?

Berger pokręcił głową.

– Nie wiem – odparł. – Ale wydaje się bardzo naciągane. Ona siedzi tam i czeka, podczas gdy on katuje człowieka w piwnicy? Nie sądzę. Jak wygląda sytuacja z Jessicą Johnsson?

– Wczynie rano odbyłam krótką rozmowę z moim informatorem z Säpo – odparła Blom. – Nie udało mu się dotrzeć do rejestru nowych tożsamości, ale dotarł do pracownicy opieki społecznej, która we wczesnej fazie zajmowała się związkiem Jessiki Johnsson i Eddy’ego Karlssona. Nazywa się Laura Enoksson i jest na wcześniejszej emeryturze, wszystko wskazuje na to, że dopadło ją wypalenie zawodowe. Dostałam numer telefonu komórkowego. Spróbuję zadzwonić za jakiś czas.

– Interesujące – stwierdził Berger.

– Jak najbardziej – odparła Blom. – Ale uderzyło mnie to, co wczoraj powiedział komisarz Sjölund z Göteborga. prostytutka Lisa Widstrand była w wyraźnej ciąży.

– O cholera.

– Może mimo wszystko wróciliśmy na trop macierzyński – ciągnęła Blom. – Czy on się wziął akurat na matki?

– Oboje siedzieliśmy naprzeciwko Jessiki Johnsson w Porjus – powiedział Berger. – Za cholerę nie była w ciąży.

– Nie wiemy tego. Miała na sobie gruby sweter i spokojnie mogła pod nim ukryć co najmniej czwarty miesiąc.

– Można to sprawdzić, badając próbkę krwi, prawda? – Berger posłał Blom pytające spojrzenie.

– Przecież jest sobota – Blom wzruszyła ramionami.

Berger uniósł słuchawkę telefonu satelitarnego i wybrał dobrze mu znany numer. Nikt nie odebrał. Zadzwoił raz jeszcze. Po pięciu sygnałach Deer powiedziała metalicznym głosem:

- Nie dzwoń bez potrzeby.
- Nie dzwonię bez potrzeby – odparł Berger. – Czym się zajmujesz?
- Na pewno nie błąhą pogawędką z tobą. Czego chcesz?
- Czy Jessica Johnsson była w ciąży?

W słuchawce zaległa cisza. Potem rozległ się szelest, jakby Deer gorączkowo przeglądała papiery. Które najwyraźniej miała właśnie przed sobą. Co z kolei oznaczało, że po kryjomu pracowała, prawdopodobnie w domu, w pomieszczeniu garażowym, które w przeszłości tak często odwiedzał. W końcu odparła:

- Tak.
- Tak?
- Przeoczyłam ten fakt – przyznała Deer. – Robin napisał drobnym drukiem. Jakie to ma znaczenie dla śledztwa?
- Nie wiem. Ale Lisa Widstrand też była w ciąży. W piątym miesiącu.
- A więc jednak zabija matki? Jesteśmy z powrotem na tym tropie?
- Nie wiem – odparł Berger. – Dzięki, Deer.

Rozłączyli się. Berger i Blom obserwowali się znad jasnych monitorów.

– To wciąż może być Anders Hedblom – powiedziała w końcu Blom. – Polano, nienawiść do matek, wózków dziecięcych. Zabił Helenę i Rasmusa Gradénów i Lisę Widstrand. Potem pojawił się „Sam Berger” i wszystko przejął. Może już byli „wspólnikami zbrodni”, dlatego Anders wiedział, że on mówi o sobie „Berger”. Ale teraz „Berger” chciał pracować sam. Miał dosyć dzielenia się tą przyjemnością z kimś innym.

Sam Berger pokiwał głową.

- Aspołeczny kulturysta Anders Hedblom w twórczej współpracy nie



tylko z tym pajacem, ale i z jego dziewczyną... Pozwól, że będę powątpiewał.

– W każdym razie uznajmy na razie, że Anders mógł nie być wzorem cnót. A skoro mowa o wzorach, przysłyż wyniki badań krwi brata.

– Karla z Säter? – zapytał Berger.

– Tak. Mieliśmy rację co do metamfetaminy. Ale to koktajl, który zawiera też pokażną dawkę fenazepamu.

– Znam to – oznajmił Berger. – Stary radziecki lek?

– Ale dość nowy w Szwecji. Uspokajający i przeciwlękowy, zdaje się, że jest produkowany tylko w Rosji i okolicach. Jednym ze skutków ubocznych jest utrata pamięci.

Berger skinął głową.

– Innymi słowy, ten, kto wysyła narkotyki do Karla Hedbloma, chce, żeby ten stracił pamięć. Poza tym wydaje mi się, że znalazłem więcej ofiar.

Blom wpatrywała się w niego bez słowa.

– Podprowadziłaś mi internet – kontynuował Berger, wskazując telefon satelitarny. – Właśnie miałem otrzymać rozszerzone wyniki wyszukiwania. W tej chwili szuka czterolistnej koniczyny. Niech spojrzę... to odpada... to odpada... tu nie taki rysunek... tu też... Ale może to? Kwiatek narysowany na tylnej części ciała ofiary zabójstwa.

– Kwiatek? – wykrzyknęła Blom.

– Policjant łatwo może pomylić koniczynę z kwiatkiem. Poza tym ten przypadek był odległy w czasie od Orsy, miał miejsce w marcu ubiegłego roku. Nikt nie powiązał jednego z drugim. Niejaka Elisabeth Ström z Växjö, znana policji, związana z gangiem motocyklowym. Znaleziona przywiązana do krzesła opaskami zaciskowymi w domu opuszczonym przez jej towarzyszy po konfrontacji z konkurencyjnym gangiem. W domu nadal były ślady krwi i dziury po kulach w podłodze i suficie. Została zastrzelona

i zmasakrowana nożem. Policjanci uznali to za porachunki gangów i mieli kilku podejrzanych, ale nie udało im się zbierać dowodów. Sprawa wciąż jest otwarta. Kobietę prawdopodobnie zamordowano w szczególnie deszczową wiosenną noc, nie można było zabezpieczyć żadnych śladów na zewnątrz, a w środku roilo się od śladów DNA członków obu gangów.

– Tam też nie znaleziono nasienia? – spytała Blom.

– Z tego streszczenia wynika, że nie. Próbuję się dostać do oryginalnych materiałów. Tak czy inaczej, Elisabeth Ström została znaleziona z „kwiatkiem” na lewym pośladku. Liczę na zdjęcia w materiałach z postępowania przygotowawczego. W chwili śmierci miała trzydzieści pięć lat i czternastoletniego syna.

– Znowu matka – zauważyła Blom. – I syn. Przypomina mi się, że komisarz Sjölund z Göteborga wspomniał coś o nienarodzonym synu Lisy Widstrand.

– A niech mnie – powiedział Berger. – Jeśli roboczo zaliczymy Elisabeth Ström do grona ofiar, będziemy mieli co następuje: wszystkie cztery zamordowane kobiety były albo miały zostać matkami. Trzy matki chłopców i Jessica Johnsson, o której wiemy tylko, że była w ciąży, płeć dziecka jest nieznana.

– Z drugiej strony morderca nie mógł wiedzieć, jakiej płci będzie dziecko Lisy Widstrand czy Jessiki Johnsson...

– To prawda – przyznał Berger. – Dziwię się tylko, że Jessica była w ciąży. Z kim? Z mordercą? To znacząco zaostrza całą sprawę. Czy morderca był ojcem wszystkich dzieci?

– Może powinniśmy trochę przyhamować z wnioskami...

– To nie są wnioski – rzekł Berger. – To burza mózgów, wymiana koncepcji. Bez koncepcji praca policji byłaby czysto mechaniczna.

– Z tą różnicą, że nie jesteśmy policjantami. Mamy coś jeszcze?

– Jestem w ferworze poszukiwań – oznajmił Berger i rzucił się z powrotem do komputera. – Okej, to może być coś: „gryzmoły tuszem na pupie”. Starsza sprawa, zaledwie półtora roku po Orsie, kwiecień dwa tysiące dziewiątego. Dunka z Malmö.

– Malmö, no proszę – odparła Blom.

– Wówczas Anders Heblom nadal tam mieszkał – powiedział Berger. – Może rzeczywiście jesteśmy coraz bliżej teorii o „wspólnikach zbrodni”. Czy Hedblom i ten cały „Berger” współpracują ze sobą? Hedblom jest racjonalny, „Berger” szalony. Czy aż do tego stopnia, że w końcu zabił z lubieżności własnego wspólnika?

– Po narobieniu we własne gniazdo w Malmö Hedblom ucieka, w zasadzie najdalej jak się da bez opuszczania kraju, do Sorsele. Szaleniec mu towarzyszy. Anders nawiązuje kontakt z Jessicą Johnsson, może jest ojcem jej nienarodzonego dziecka. Anders i szaleniec planują kolejny atak, ale szaleniec dostaje amoku i zabija wspólnika. Mimo to nadal jest w stanie wykonać plan zmarłego Andersa.

– To chyba najbardziej niesamowita koncepcja – stwierdził Berger. – Choć wcale niewykluczona.

– Mów dalej o tej Duncie – odparła krótko Blom.

– Mette Hækkerup, czterdzieści cztery lata, pediatra, mieszkała w Malmö z mężem, który pracował w szkole w Kopenhadze, i synem, który do niej chodził. Ona pracowała w szpitalu uniwersyteckim SUS. Dziwne jest to, że przypadek nie został zakwalifikowany jako zabójstwo, lecz jako wypadek drogowy. Wypadek z udziałem jednego pojazdu na trasie E6 w okolicy Tygelsjö. Hækkerup spędzała weekend samotnie i nie miała powodu znajdować się na trasie E6 wiodącej na północ. W środku nocy zjechała z drogi, kontynuowała jazdę wzdłuż barierki i uderzyła w tablicę informacyjną. Kiedy lekarz medycyny sądowej odkrył ślady „gryzmołów

tuszem na pupie”, zaczęto badać alternatywną wersję. Okazało się, że kolega Mette Hækkerup ze szpitala SUS, zamieszkały w Tygelsjö, miał z nią romans. Przyznał się do tego, ale twierdził, że nic nie rysował na jej pośladku. Sprawę uznano za nieszczęśliwy wypadek.

– Hm – mruknęła Blom. – Jeśli się okaże, że to nasz sprawca, będziemy mieli elegancki przypadek wsadzenia za kratki niewinnego w Orsie w październiku dwa tysiące siódmego i równie elegancki przypadek maskowania zabójstwa wypadkiem w Malmö w kwietniu dwa tysiące dziewiątego. Nie mamy tu do czynienia z wesołym czubkiem, który nie wie, jak się nazywa.

– Przynajmniej kiedy jest, że tak to określe, w stanie przytomności – powiedział Berger. – Wówczas jest bystry, niebezpieczny i kompletnie obłąkany. Kiepskie połączenie. Jednak już w następnym roku, we wrześniu dwa tysiące dziewiątego, zwłoki Lisy Widstrand, która niewątpliwie padła ofiarą morderstwa, leżą na widoku w pokoju hotelowym w Göteborgu. Co tu się wydarzyło? Czyżby on z premedytacją rzucał wyzwanie policji?

– Z drugiej strony to prostytutka – powiedziała Blom – no i lada chwila miały się zacząć targi książki. Morderca wiedział, że sprawie nie zostanie nadany najwyższy priorytet. Także ta zbrodnia jest w pewien sposób ukryta.

– Ale nietypowym prywatnym śledczym w rodzaju Jessiki Johnsson udaje się ją odkryć. W końcu zostaliśmy wciągnięci w tę szaloną sprawę, kiedy wspomniała o Lisie Widstrand.

– Z drugiej strony to, że wspominała, iż jakaś „lokalna prasa” pisała na ten temat... co wydaje się nieprawdą... wskazuje, że już o tym wiedziała. Miała informacje z pierwszej ręki. Sądzę, że nasze teorie są całkiem sensowne.

– Naprawdę musimy się dowiedzieć, jakiego nazwiska używała, kiedy przybrała nową tożsamość – powiedział Berger. – Czyli między rokiem dwa tysiące piątym a dwa tysiące jedenastym. Sześć lat z życia, o których

kompletnie nic nie wiemy.

– Mimo wszystko ona jest tylko jedną z ofiar w tym niestety powiększającym się gronie...

– Ale w pewien sposób kluczową – odparł Berger. – Znała mordercę, wiedziała, kim jest. Jak tylko doszedł do siebie w ośrodku, pojechał do niej, dokładnie odkurzył cały dom, zadomowił się w pomieszczeniu z bojlerem i czekał na jej powrót do domu.

– Poczekaj – powiedziała Blom. – Został wypuszczony. Samochód nie czekał na parkingu ośrodka Lindstorp. Blondynka musiała znowu po niego przyjechać. Wiemy zaś, że kiedy doszło do morderstwa, samochód wciąż stał w garażu. Więc jeśli go tam zawiozła, musiała znów być obecna, kiedy mordował.

– Tyle że w domu w Porjus nie było żadnej blondynki, kiedy zostaliśmy zaatakowani. Wszystko obeszlśmy.

– Widzieliśmy wszystko oprócz pomieszczenia z bojlerem – odparła Blom. – Mogła z nim tam być.

– Czy jednak nie jest bardziej prawdopodobne, że po niego przyjechała, a on ją wysadził po drodze? Zdążył wyzdrowieć... o ile to właściwe słowo... i mógł prowadzić samochód. Z Sorsele też wyjechał samochodem. Prawdopodobnie to tylko przyjaciółka, jego dziewczyna.

– Prawdopodobnie... – Blom wzruszyła ramionami.

– Tę kwestię chyba też musimy zostawić otwartą – stwierdził Berger, gotowy do kompromisu. – Zaczekaj, a co to jest?

– Co takiego?

– „Wytatuowane liście”.

– Teraz już w ogóle cię nie rozumiem.

– Pojawiło się tutaj w wynikach mojego zaawansowanego wyszukiwania – wyjaśnił Berger. – Jeszcze jedna możliwa ofiara. Policjanci z Täby uznali

liście na pośladku za tatuaż. Najwyraźniej już była mocno wytatuowana. Ale mam tutaj zdjęcie pośladka... i to bez wątpienia to jest czterolistna koniczyna.

– O czym my rozmawiamy?

– Jednocześnie mówię i czytam. Wybacz, jeśli to trochę nieskładne. Nazywała się Farida Hesari, jej dziewczyna mieszkająca blisko centrum Täby zgłosiła zaginięcie w lipcu trzy lata temu. Farida uciekła od rodziny w Alby i od tamtego czasu przebywała w ukryciu, tymczasowo mieszkała u dziewczyny.

– Jak zginęła?

– Pracuję nad tym – odparł Berger, stukając w klawisze. – Zdaje się, że pewnego ciepłego letniego dnia wyszła po papierosy i nie wróciła. Półtorej doby później...

– Tak? Dlaczego zamilkłeś?

– O cholera.

– Weź się w garść – powiedziała ostro Blom.

– Farida Hesari została znaleziona skąpana we krwi w lesie Stolpa w Täby przez grupę skautów, którzy zamierzali rozbić obóz.

– Polano i nóż?

– Nie wiem – odparł Berger. – Ale przeżyła.

## 23

*Niedziela, 22 listopada, godz. 14:07*

Szły po lesie. Było szaro, mokro i zimno, mniej więcej przez połowę czasu żałowała, że się zdecydowała na niedzielny spacer po Trångsund. Przez drugą połowę akceptowała ten impuls: to mogła być ostatnia szansa, zanim śnieg i mróz na pół roku zawładną przyrodą.

Zależało jej, aby Lykke miała jak najczęstszy kontakt z przyrodą w świecie, który robił się coraz bardziej nierzeczywisty, nienaturalny. Tak, dawało się ją oderwać od Facebooka i Instagrama. Ze Snapchatem nie szło już tak dobrze, co jakiś czas widziała, że córka po kryjomu zerka do kieszeni kurtki.

Johnny nadal pracował w weekendy. Były tylko Deer, Lykke i pozorny bezkres lasu. To sprawiło, że dzwonek komórki zabrzmiał jeszcze bardziej nienaturalnie niż zwykle.

Stały na polanie rozszerzającej się w stronę spektakularnego spadku ku zatoce Drev. Lykke była cała w skowronkach i Deer starała się ją hamować. Córka nie mogła przecież zlecieć ze wzgórza tylko dlatego, że matka odebrała telefon. I z całą pewnością nie z powodu tego kogoś po drugiej stronie, pomyślała po zerknięciu na wyświetlacz. Z pewnym trudem udało jej się zatrzymać Lykke. Westchnęła i odebrała.

– Co mówiliśmy na ten temat, Sam?

– Znaleźliśmy trzy nowe ofiary – oznajmił Berger metalicznym głosem.

– Co? – zawołała Deer.

– Przesłałem ci dokumentację mailem. Szukałaś we wszystkich rejestrach policyjnych różnych synonimów koniczyny na pośladku... Mówię ci, żebyś wiedziała... Wskoczyły ci trzy możliwe ofiary tego samego mordercy. Przyjrzałaś się sprawie dokładnie i stwierdzasz, że wszystkie mają czterolistną koniczynę narysowaną długopisem na pośladku: w Malmö, Växjö i Täby. W wolnych chwilach siedziałaś w garażu i nad tym pracowałaś. To powinno zadowolić NWO.

– Naprawdę działacie tam pełną parą, gdziekolwiek jesteście.

– Czy Robin składał raport z Sorsele?

– Mówił tylko, że wcale go nie cieszy, że musi tam jechać w niedzielę rano. Jego ekipa chyba jeszcze nie dotarła. Prosiłam mojego „słupa”, żeby raportował policji w Arjeplog. Od tamtej pory minęło trochę czasu.

– Trzy ofiary, ale dwa ciała. Jedna z kobiet przeżyła, lecz była ciężko ranna i w szoku po półtorej doby w niewoli. Policyjne przesłuchanie nic nie dało, ledwo mogła mówić. Policjanci z Täby postanowili przeczekać leczenie, a kiedy w końcu podjęto działania na nowo, okazało się, że została wypisana ze szpitala w Danderyd na własną prośbę. Dwa dni później ona i jej dziewczyna znalazły się w rejestrze podróżujących do Manili. Tam ślad się urywa.

– Do Manili na Filipinach?

– Tak. To było w lipcu dwa tysiące dwunastego. Od tamtego czasu Farida Hesari, obecnie lat dwadzieścia sześć, nie dawała znaku życia. Czy możesz ogłosić międzynarodowe poszukiwania?

– Tak, jak tylko ocenię dokumentację. Teraz muszę wędrować dalej przez ten ciemny las.



– Zostało ci znacznie więcej niż pół życia, Deer. A zresztą, czy o czymś nie zapomniałaś?

– Cholerne dzięki.

Po tych słowach się rozłączyła.

– Bardzo dziękowała i prosiła, żebym cię pozdrowił.

Blom posłała mu tylko kose spojrzenie.

– Chodź tu i zaczynamy.

Przeszedł na drugą stronę stołu i usiadł na jej łóżku, nisko, poza zasięgiem kamery laptopa. Blom kliknęła, komputer zaczął wydawać sygnał dzwonka, okienko Skype'a pozostawało puste. Nagle pojawiła się starsza kobieta i zdumiewająco wyraźnie powiedziała:

– Zwykle rozmawiam na Skype z wnukami ze Stanów. Nie musicie pytać, czy się na tym znam.

– Pani Enoksson – zaczęła Blom. – Jestem inspektor Eva Lundström z policji. Rozmawiałyśmy mailowo, jakie pytania chciałabym pani zadać. Czy obie jesteśmy zgodne?

– Proszę mi mówić Laura, to ja będę mówiła Eva – odparła Laura Enoksson.

– Jako pracownik socjalny zajmowałaś się sprawą Jessiki Johnsson i Eddy'ego Karlssona wiosną dwa tysiące piątego. Zgadza się, Lauro? Co możesz mi o tym powiedzieć?

– To było straszne, kiedy się dowiedziałam o Jessice – rzekła Enoksson. – Niestety, nie mogę powiedzieć, że całkiem niespodziewane... Miała skłonność do wybierania niewłaściwych mężczyzn. Niestety. Ale Eddy Karlsson nie żyje, więc nie może być winny. Cztery lata temu wrócił z Tajlandii zniszczony ćpaniem, był tylko cieniem dawnego paskudnego siebie. Zresztą ten cień też był paskudny.

– Spotkałaś się z nim wtedy? Po jego przyjeździe?

– Nie, nadal się ukrywał. Ale widziałam jego zwłoki. Chciałam je zobaczyć. Przez takich jak on całkiem się wypaliłam zawodowo.

– Opowiedz od początku.

Staruszka głęboko westchnęła, jej nieco zniszczona twarz kogoś, kto widział w życiu więcej, niż powinien, lekko stężała.

– Jessica miała dwadzieścia pięć lat, była pielęgniarką, może trochę naiwną. Jak powiedziałam, należała do kobiet z kompleksem ojca, które chętnie wybierają nieodpowiednich mężczyzn. A Eddy Karlsson z całą pewnością był nieodpowiednim mężczyzną.

– Poczekaj chwilę – przerwała Blom. – Kompleks ojca?

– Właściwie nie wiem zbyt wiele o historii Jessiki, ale znam ten typ. Często są to kobiety bez ojca z prawdziwego zdarzenia. Tęsknią za figurą ojca, kimś, kto je dostrzeże i wytyczy im granice. To zwykle źle się kończy.

– Eddy Karlsson na pewno był nieodpowiedni?

– Bez wątplenia – stwierdziła Laura Enoksson. – Nie tylko brutalny i wiecznie napalony, ale też skłonny do manipulacji i paranoi. Śledził każdy jej krok. Po kilku przypadkach pobicia został zatrzymany, ale wypuszczono go z braku dowodów. Poza tym na początku, tak jak wiele innych kobiet w jej sytuacji, Jessica nie chciała zeznawać. Eddy zszedł do podziemia, ale nadal ją prześladował. To wydarzyło się później.

– To?

– Tak, pobicie. Ciężkie. Okropna sprawa. Nie dość że poroniła, to jeszcze odniosła poważne obrażenia. Do tego stopnia, że konieczna była reakcja policji. Już w szpitalu zapewniono jej nową tożsamość i w największej tajemnicy przewieziono w inne miejsce, daleko od Sztokholmu. Wtedy ja wypadłam z gry.

– Czyli nie wiesz, jak brzmiało jej nowe nazwisko?

– W tym cała rzecz, żeby znało je jak najmniej osób – odparła Laura

Eriksson. – Ja na pewno nie byłam jedną z nich.

– Cofnijmy się trochę – powiedziała Blom. – Czy Jessica Johnsson poroniła w wyniku pobicia? Była w ciąży?

– Tak, najprawdopodobniej z Eddym. Zabił własne dziecko.

Blom umilkła i posłała szybkie spojrzenie Bergerowi, choć wcześniej ustalili, że nie będą tego robić. On ją zrozumiał, odwzajemnił spojrzenie, mówił oczami.

– Nie znasz przypadkiem płci dziecka? – spytała Blom.

– Znam – odparła Enoksson. – To był chłopiec.

Znów wymienili spojrzenia. Nie dało się tego uniknąć.

Berger poczuł, że jego wargi układają się w słowa „Eddy Karlsson”.

Gnój nie umarł. Sfingował własną śmierć. To nieprawda, że przez ponad rok był w Tajlandii, a potem wrócił i zaczął zabijać. Zniknął w dwa tysiące piątym i wrócił do Orsy w dwa tysiące siódmym.

Skrzywdził matkę i zabił własnego syna. Teraz zamierzał się poprawić.

Za wszelką cenę zabić matkę.

Najbardziej zwyrodniałe było to, że wszystko się zgadzało. Berger nie dostrzegł żadnego elementu, który nie trafiłby na swoje miejsce.

– To było takie straszne – Laura Enoksson pokręciła głową.

– Zabić własnego nienarodzonego syna... – powiedziała Blom i opuściła głowę.

Enoksson wyglądała na zdziwioną.

– Myślałam bardziej o Jessice – odparła. – O obrażeniach.

– Oobrażeniach?

– Tak. Urazach macicy, których doznała.

– To znaczy?

– Macica została całkiem zniszczona – powiedziała Enoksson. Lekarze musieli ją usunąć. Natychmiast przeprowadzić histerektomię.

Berger obserwował kark Blom, który lekko prześwitywał przez zasłonę jasnych włosów. Karty znów zostały zmieszane, wręcz widział, jak komórki mózgowe Blom wyrabiają nadgodziny. Słyszał jej wymamrotane pożegnanie i prośbę, żeby Laura Enoksson się odezwała, jeśli przypomni sobie coś jeszcze. Po przyjaznym, ale do niczego niezobowiązującym pożegnaniu wyłączyła Skype'a i się odwróciła.

Można się było zastanawiać, czy kiedykolwiek patrzyli sobie w oczy tak długo.

– Słuchaj – powiedział w końcu Berger. – Przez chwilę byłem pewien, że Eddy Karlsson zmartwychwstał. Ale teraz... cholera wie.

– Ona była w ciąży, kiedy spotkaliśmy ją w Porjus, na dowód mamy próbki krwi, bardzo wiele próbek. Tyle że dziesięć lat wcześniej jej zmasakrowana macica została wycięta podczas nagłego zabiegu histerektomii. Innymi słowy, nie mogła być w ciąży.

Spojrzeli na siebie.

– Czy to wszystko nie jest wyjątkowo dziwne? – zapytał w końcu Berger.

Blom pokręciła głową.

– Czy naprawdę rozmawialiśmy z Jessicą Johnsson? Może to był ktoś zupełnie inny? Ktoś, kogo potem zamordowano? Ale jak by to było możliwe? Kobieta w ciąży udawała Jessicę, żeby później ktoś ją zabił, praktycznie na naszych oczach? Jaki w tym sens?

– Naprawdę nie ma żadnych zdjęć Jessiki Johnsson? – zapytał Berger. – Z prawa jazdy czy paszportu? Albo starych zdjęć szkolnych?

– Nic nie znalazłam – odpowiedziała Blom. – Zleć to swojej Desiré.

– Czy czegoś nie dostrzegamy? – zastanawiał się Berger. – Czegoś, co mamy przed oczami i co powinno być jasne jak słońce?

Molly Blom tak mocno pokręciła głową, że telefon satelitarny zaczął dzwonić. Rozpoznała numer, podniosła słuchawkę i powiedziała:

– Doktor Stenbom, *I presume?*

W tej samej chwili Deer i Lykke dotarły do kąpieliska Sjöäng. Nikt nie pływał, ale na brzegu węszyło kilka psów. Lykke do nich podbiegła, co niezbyt się spodobało Deer – właściciele spacerowali daleko, wszystko mogło się zdarzyć. Ale psy wydawały się grzeczne, jeszcze raz beztroska Lykke mogła pozostać nienaruszona. Córka głaskała psy, wszystko było dobrze.

Spojrzenie Deer powędrowało ku zatoce. Jeżeli w tym roku wody skuje lód, wyścig na łyżwach Drevviksrännet będzie mógł się tu rozpocząć w lutym, pomyślała. Mówiono, że ta zatoka ma najlepszy lód na świecie. Deer zamierzała namówić całą rodzinę do udziału. Nawet Johnny zostanie zmuszony do pokonania dwudziestu kilometrów na swoich łyżwach długodystansowych.

Właściciele psów zeszli od strony skraju lasu, ale najbardziej zewnętrzne gałęzie nadal się poruszały, jakby ktoś przycupnął w cieniu. Tę myśl odpędził uporczywy dzwonek telefonu. Deer już chciała wrzasnąć do słuchawki, kiedy spostrzegła, że to nie numer, którego się obawiała.

– Tak, Robin? – powiedziała. – Jakieś wieści z Sorsele?

– Jestem w Linköpingu – odparł Robin.

– O kurwa!

– Nie martw się. Wysłałem ludzi, wiedzą, co robić. Musiałem gruntownie zbadać białe włókno z piwnicy w Porjus, a do tego potrzebowałem naszego najlepszego laboratorium.

– I udało ci się?

– Tak. Tak jak mówiłem, to gaza i rzeczywiście są na niej ślady krwi. Mikroskopijne, to prawda, ale wystarczające do pozyskania DNA.

– Słucham – odparła Deer z uwagą.

– To DNA człowieka, który się nazywa Reine Danielsson.

– Reine Danielsson? – wykrzyknęła Deer, obserwując córkę na brzegu.

Spostrzegła, że jeden z psów kumuluje w sobie agresję, która nie wróży dobrze, jego warkot nabrał innego tonu. Krzyknęła na Lykke. Córka podeszła – chyba sama zauważyła, że pies nie jest już grzeczny. Deer spojrzała ku górze, na skraj lasu. Gałęzie lekko się poruszyły, choć tym razem w innym miejscu, jakby ktoś szedł wzdłuż granicy drzew.

Jednocześnie przyswajała absolutnie fundamentalną informację.

– Tak – odparł Robin. – Reine Danielsson, trzydzieści trzy lata, nic więcej teraz na niego nie mam, zadzwoniłem od razu po otrzymaniu wyników. Prześlę esemesem jego numer identyfikacyjny.

Na tym rozmowa się skończyła. Deer odczytała wspomniany numer i zaczęła pośpiesznie wystukiwać inny, nieobecny w kontaktach. Wtedy słuchawka zadzwoniła. Na wyświetlaczu rozbłysł numer, który zdążyła do połowy wystukać.

– Deer – zaczął energicznie głos. – Ustaliliśmy, kto podawał się za Sama Bergera w ośrodku Lindstorp w Arjeplog.

– Reine Danielsson? – odparła Deer.

Cisza, która zaległa w słuchawce, wydawała się ostateczna. A jednak Deer ani przez chwilę się nie zastanawiała, czy połączenie zostało przerwane. Ktoś mógł dostać zawału, ale linia z całą pewnością działała bez zarzutu.

Nagle wszystko się wyklarowało.

Reine Danielsson. Nieznany. Ale ni mniej, ni więcej tylko czystej wody seryjny morderca.

Cisza tymczasem trwała tak długo, że Deer poczuła, jak coś próbuje się wcisnąć pod powierzchnię tej klarowności, niczym ziarenko piasku pod szkło kontaktowe. Pole widzenia zmętniało, poczuła łaskotanie, swędzenie. Nazwisko Reine Danielsson miało w sobie coś...

– Skąd to wiesz, do diabła? – zapytał w końcu Berger prosto z koła

podbiegunowego.

– Poprawne pytanie brzmi: skąd ty, do diabła, to wiesz – odparła Deer.

– Zleciliśmy analizę DNA fragmentów skóry z Arjeplog.

– Wy zleciliście? Jakim cholernym cudem? Zaczęliście zostawiać za sobą ślady? Które prowadzą do mnie i utną mi głowę?

– Nieoficjalnymi drogami – odparł Berger. – Nie ma się czego obawiać.

– No to już jestem całkiem spokojna.

– Jak się dowiedziałaś o tym nazwisku?

– W pomieszczeniu z bojlerem w Porjus znajdowało się włókno. Białe, nie czarne jak w kominiarce. To była gaza, a Robin znalazł na niej krew. Włókno utknęło na ścianie na wysokości głowy, jeśli ten człowiek miał metr osiemdziesiąt i siedział na podłodze. Czy to możliwe, że wasz „Sam Berger” uszkodził sobie głowę w szpitalu?

– Twarz – uściślił Berger. – Zgodnie z naszymi informacjami wbiegł prosto na autobus.

– To naprawdę brzmi jak nasz wyjątkowo inteligentny seryjny morderca.

– Tylko okresowo działa inteligentnie. Przez resztę czasu najwyraźniej siedzi w wariatkowie i uważa się za kogoś innego.

– Zawsze musicie mi przesyłać wszystko, co wiecie – powiedziała Deer. – To się uda, o ile będziemy całkowicie zsynchronizowani.

– Mamy plik dźwiękowy z rozmowy z ordynatorem Jacobem Stenbomem. Prześlę go. Mamy też trochę dodatkowych informacji o przeszłości Jessiki Johnsson. Na przykład to, że nie mogła być w ciąży, kiedy została zamordowana. Możesz nam pomóc w zdobyciu jej zdjęcia?

– Spróbuję – odparła Deer i zobaczyła, że właściciele psów powoli się wycofują ze skraju plaży. Lykke siedziała na kamieniu i bez ogródek korzystała ze Snapchata, prawdopodobnie w akcie protestu przeciwko jej ciągłym rozmowom przez telefon.

– Znalazłaś coś na temat tego Reinego Danielssona? – spytał Berger.

– Właśnie się o nim dowiedziałam. Ale...

– My też. Ale...?

– Nie zdążyłam jeszcze tego przetrawić – oznajmiła Deer. – Ale coś tu nie gra.

– Wiem – odparł Berger i się rozłączył.

Odwrócił się do Blom.

– Coś tu nie gra – stwierdził.

Blom odpowiedziała grymasem powątpiewania i zaczęła stukać w klawisze. Berger zobaczył w jej oczach odbicie tekstu przesuwającego się po ekranie. Pokręciła głową.

– Nie znajduję Reinego Danielssona. Zwykle wyszukiwanie go nie pokazuje. To może oznaczać, że nie płaci szwedzkich podatków.

– A ktoś, kto nie płaci szwedzkich podatków, albo ma kilka luksusowych statków w Monako, albo żadnych dochodów.

– Jeżeli pominiemy luksusowe statki, dlaczego ktoś może nie mieć żadnych dochodów?

– Bo został wyrzucony z pracy? Albo...

– Tak?

– Jasna cholera – wykrzyknął Berger i rzucił się na okazałe stosy papierów przy komputerze. Otworzył grubą teczkę Heleny Gradén i zaczął ją gorączkowo wertować.

Blom obserwowała te gorączkowe czynności.

– Chyba o tym mówiłeś, kiedy brałam prysznic – zaczęła niepewnie. – Zaczęłeś wymieniać mnóstwo nazwisk, zamiast podać mi ciepłą wodę. Rozmawialiśmy o nazwiskach pochodzących od gospodarstw w Dalarnie.

Berger z niedowierzaniem pokręcił głową i wskazał zawartość teczki.

– No jasne, że tak – powiedział. – Reine Danielsson, jeden z braci



w nieszczęściu Karla Hedbloma z ośrodka w Orsie. Niech to szlag.

Blom potarła kąciki oczu.

– To Reine zbudował szalas. Reine porwał i zabił Helenę i Rasmusa Gradénów. To Reine przetrzymywał ich prawie dwie doby i panował nad sobą w chacie. To jemu udało się oczyścić szalas i ofiary ze śladów DNA. On podłożył materiał genetyczny Karla Hedbloma. Reine nie mógł być całkiem zwyczajnym pacjentem tego ośrodka.

– Przesłuchiwałeś go – powiedział Berger i poczuł, że blednie.

– My? Ty osobiście?

– Ja osobiście – potwierdził Berger. – I Deer. Też osobiście.

Podniósł słuchawkę telefonu satelitarnego i wybrał znajomy numer. Odebrano właściwie natychmiast.

– Orsa – powiedziała Deer metalicznym głosem. – To była Orsa, prawda?

– Tak. Przesłuchiwałeś go, ty i ja przesłuchiwałeś go w prowizorycznej kwaterze głównej policji w Orsie, w tym hotelu, jeśli go pamiętasz. Czytam o tym, ale nie mogę powiedzieć, że bym to pamiętał. Ty pamiętasz?

– Tyle tego było, nieprzerwany potok. Ale może...

– Nie, ja sobie nic nie przypominam.

– Zawsze byłeś kiepski, jeśli chodzi o przeszłość – stwierdziła Deer. – Mnie się wydaje, że pamiętam dużego, powolnego faceta, mógł mieć metr osiemdziesiąt pięć i nosić buty o rozmiarze czterdzieści pięć. Mógł też być w wieku mniej więcej dwudziestu sześciu lat, co by się zgadzało z numerem identyfikacyjnym. Ale co pamiętam z tego przesłuchania? Cholera wie. Zastanowię się i dam znać.

– Mam przed sobą wydruk – oznajmił Berger. – Odezwę się, kiedy go przeczytam, a ty się zastanowisz.

– Powinna być w domu za około pół godziny – oznajmiła Deer. – Tu

nad kąpieliskiem Sjöäng zaczyna się ściemniać. Grałyśmy w klasy.

– No to skaczcie szybko – powiedział Berger. – Musisz być na komisariacie o siedemnastej.

– Co ty mówisz?

– I co gorsza z pięcioma tysiącami gotówką.

– W co ty mnie znowu wciągasz?

– Robertsson – rzekł Berger. – Z policyjnego magazynu. Masz od niego wziąć przesłuchania nagrane na taśmy wideo.

Deer westchnęła bardzo głęboko.

– Jeszcze jedno – powiedział Berger. – Coś, co uderzyło mnie dokładnie w tej chwili.

– Słucham.

– Jeśli zrobiłem tak duże wrażenie na Reinem Danielssonie, że osiem lat później w okresach utraty kontaktu z rzeczywistością nazywał siebie „Samem Bergerem”, istnieje ryzyko, że pamięta także ciebie, Deer. Nie wolno nam zapominać, że list został wysłany bezpośrednio do ciebie.

Deer umilkła. Po chwili zapytała:

– Co chcesz przez to powiedzieć, Sam?

– Tylko jedno. Bądź ostrożna.

– Potrafię się o siebie zatroszczyć – odparła Deer i wyłączyła go kliknięciem.

Jej spojrzenie padło na Lykke. Po niechętnym opanowaniu zasad gry w klasy na piaszczystej plaży wróciła na swój kamień. W nieco zbyt szybko zapadającym zmierzchu jej twarz świeciła niebieskawym światłem telefonu, na którym Snapchat pracował pełną parą. Spokojna, ciemna powierzchnia zatoki Drev była lekko zabarwiona przez szybko obniżające się słońce, różową powłokę zwiastującą ciemność. Psy i ich właściciele zniknęli, matka i córka zostały same w nadciągającym zmierzchu. Dziwnie same. Nie było

słysząc ani jednego dźwięku, panowała absolutna cisza. Różowa powłoka nad wodą robiła się coraz cieńsza, stopniowo zastępowała ją ciemność.

Po kręgosłupie Deer coś spłynęło, aż dogłębnie przeszył ją dreszcz.

Niechętnie odwróciła wzrok, żeby spojrzeć na skraj lasu. Od dobrej chwili był nieruchomy, a ona już dawno uznała ruch gałęzi za skutek jesiennej bryzy, spadających szyszek czy gromadzących orzechy wiewiórek. Samochód stał na parkingu przy kąpielisku, jakieś dwieście metrów dalej. Obserwowała świerki pośród zmierzchu. Nic się nie poruszało, wszędzie panował spokój.

– Lykke? – zawołała i poczuła się, jakby jej głos rozbrzmiewał echem w pustym listopadowym lesie na przedmieściach.

Lykke spojrzała znad telefonu, ale nic nie powiedziała. Jej wciąż jeszcze zupełnie dziecinna twarz świeciła na niebiesko.

– Powoli musimy się zbierać – oznajmiła Deer tak łagodnie, a jednocześnie radośnie, jak tylko potrafiła.

Kątem oka zobaczyła, jak Lykke wstaje, ze wzrokiem w dalszym ciągu utkwionym w otchłaniach telefonu. Kątem drugiego dostrzegła ruch drzew.

Gwałtownie odwróciła wzrok w tamtą stronę. Gałęzie jednego ze świerków lekko drżały, był to jakby ruch wtórny. Nic więcej się nie działo. Posłała szybkie spojrzenie Lykke – ta była kilkanaście metrów dalej, nie podnosiła głowy. Znów popatrzyła na las. Nic więcej. Drgania świerkowej gałęzi ustały. Na kąpielisku Sjöäng, w zatoce Drev, w całym lesie Trångsund na powrót zapanował spokój.

Lykke podeszła, Deer wyciągnęła rękę. Córka ją chwyciła. Dłonie obu były lodowate, żadna nie była w stanie rozgrzać tej drugiej.

Zostały tam zbyt długo.

Zaczęły pomału iść pod górę ścieżką na parking. Zmierzch zapadł z niespodziewaną szybkością. Deer ledwo była w stanie dostrzec skraj lasu.

Jednak ruch był jeszcze wyraźniejszy.

Na początku zadrżała tylko jedna gałąź, potem wszystko się uspokoiło. Deer przystanąła, ścisnęła dłoń Lykke, wpatrywała się w las. Lykke spojrzała znad telefonu z pytającym wyrazem twarzy.

Wtedy pojawił się ruch. Sunął od świerku do świerku, jakby ktoś tam biegł.

Biegł w ich stronę.

Deer kucnęła, chwyciła kamień, po raz pierwszy od dawna pożałowała, że nie ma służbowej broni. Przypomniała sobie, że mówiła Samowi, gdzie przebywają – to była nieoczekiwana pociecha, jakby mogła znaczyć cokolwiek innego niż to, że będzie wiadomo, gdzie można natrafić na ich zwłoki.

Skraj lasu się zbliżał, był najwyżej kilka metrów od ścieżki. Najbliższe drzewo zadrżało. Las się otworzył. Ktoś z niego wybiegł, ze straszliwą prędkością.

Reine Danielssonie, pomyślała Deer i uniosła kamień. Nigdy nie dostaniesz mojej córki. Będę walczyła, dopóki nie zostanie ze mnie już tylko ręka ściskająca kamień.

Gałęzie się rozszerzyły, wszystko poszło wyjątkowo szybko, a i tak jakby w zwolnionym tempie.

Postać, która wybiegła z lasu, podeszła bliżej. Potem się zatrzymała i patrzyła na nią groźnie, ze śmiercią w oczach.

Wokół postaci zgromadziły się młode – cztery małe dziki wokół ogromnej lochy. Obie matki przez chwilę stały i na siebie patrzyły, ich spojrzenia były w klinczu.

Po chwili można było odnieść wrażenie, że każda z nich rozpoznała w drugiej matkę. Matkę, od której zależy wszelkie życie na świecie. Matkę, która zrobi wszystko dla potomstwa.

Locha wydała chrząknięcie na granicy ryku. Gwałtownie się odwróciła i popędziła do lasu. Młode pobiegły za nią, podskakując.

Deer przez chwilę stała nieruchomo. W końcu się zorientowała, że ściska dłoń Lykke zbyt mocno. Zwolniła uścisk.

Nie zamierzała jednak wypuścić kamienia. Przynajmniej dopóki nie będą bezpieczne w samochodzie.

– Ale były słodkie – powiedziała Lykke i kilka razy podskoczyła.

## 24

*Niedziela 22 listopada, godz. 16:58*

Nie była miłośniczką ciemności. W ciemności czaiły się zwierzęta, bestie. Pełzały dookoła niej, niewidzialne, a gałęzie drzew drżały. W każdej chwili nieznany potwór mógł na nią wpaść w ciemnym korytarzu.

Przestępczość nie ustaje nawet w niedzielne popołudnia. Tak więc duże części komisariatu na Kungsholmen były oświetlone i aktywne. Całą drogę z recepcji wypełniały jej światło i pęd. Kiedy jednak wyszła z windy, wszędzie było czarno i cicho, a widoczność w korytarzu sięgała zaledwie kilku metrów. Mimo to w niewyszukiwaniu włącznika lampy tkwiła szczególna logika. Znajdowała się teraz w świetle podwójnej gry, w mroku. Panowała tu ciemność, w której grasują bestie.

Drzwi miały zamek szyfrowy. Wiedziała, że zostawi po sobie ślady, jeśli przeciągnie kartę przez czytnik. Istniało ryzyko, że całe światło zostanie skierowane na nią, że wszystkie reflektory skupią się w jednym miejscu.

Mimo to przeciągnęła kartę i otworzyła drzwi.

W policyjnym magazynie było równie ciemno jak w korytarzu. Długie rzędy półek biegły daleko poza granicę pola widzenia. Zrobiła kilka niepewnych kroków w stronę lady. Dopiero kiedy dzieliło ją od niej kilka metrów, spostrzegła, że ktoś tam siedzi i na nią patrzy.

Kiedy mężczyzna wstał, uderzyło ją, jak wyraźnie opuchnięta od alkoholu jest jego ponadpięćdziesięcioletnia twarz.

– Robertsson? – zapytała Deer, nie poznając własnego głosu.

Mężczyzna długo się w nią wpatrywał, jego twarz była pozbawiona wyrazu. W końcu się odezwał:

– Legitymacja.

Tylko tego brakowało, pomyślała Deer i położyła legitymację policyjną na ladzie. Przeczytał i prychnął.

– NWO, cholera jasna. Komu przeszkadzała policja kryminalna?

– Restrukturyzacja – powiedziała Deer, nie za bardzo wiedząc po co.

– Poznaję cię – rzekł Robertsson, lustrując ją wzrokiem. Jego oczy przypominały czerwone szparki. – Byłaś w Orsie, prawda? Ładna wtedy byłaś, naprawdę seksowna. Co się z tobą stało?

Deer od pierwszej chwili postanowiła, że nic, co powie ten człowiek, nie wpłynie na nią w najmniejszym stopniu. Wybrała stoickie milczenie.

Robertsson mówił dalej:

– Przynajmniej cycki ci się powiększyły. Zawsze to jakieś pocieszenie w tym wszystkim.

Wmawiała sobie, że jej milczenie nadal jest stoickie. Nie nienawistne.

– Masz coś dla mnie, prawda? – zapytał w końcu Robertsson.

– Tylko jeśli ty masz coś dla mnie.

Skinął głową. Potem nią pokręcił, zanurkował pod ladę i wygrzebał z za niej czarny foliowy worek. Był w połowie pełny, wyglądał na ciężki i dziwnie szeleścił, kiedy się nim potrząsnęło.

Deer włożyła rękę za pazuchę, wyjęła kopertę i podała mu.

Robertsson wziął ją do ręki, rozprostował, zaczął liczyć banknoty i w końcu powiedział:

– Cholera, to zaczyna przypominać działalność przemysłową.

Deer go obserwowwała.

– Co masz na myśli?

– A chuj z tym – odparł Robertsson, włożył banknoty z powrotem do koperty i wsunął ją do wewnętrznej kieszeni. Posunął worek po ladzie.

Deer otworzyła go i i zajrzała do środka.

W środku było pełno starych kaset VHS.

Na samej górze leżał film porno, który miał raczej trzydzieści niż dwadzieścia lat. Podniosła ją, obejrzała śmiało zdjęcia i odwróciła się do flejtuchowatego mężczyzny za ladą.

– Film instruktażowy – powiedział Robertsson i wyszczerzył zęby. – Chyba ci się przyda.

W tym momencie Deer postanowiła, że pozostałe dni Richarda Robertssona w policji będzie można policzyć na palcach.



## 25

*Wtorek 30 października 2007, godz. 15:25 (osiem lat wcześniej)*

Odsapnęli w prowizorycznym pokoju „kawowym” w hotelu, który ku zdziwieniu wszystkich nadawał się idealnie na centrum policyjne. Wkrótce znów mieli być z powrotem i spotkać następnego w kolejce. Kawa smakowała śmiercią – ni mniej, ni więcej. Sokami z tygodniowych zwłok.

Młody inspektor kryminalny obserwował swoją nową koleżankę. To był drugi dzień ich wspólnej pracy, daleko od wszelkiej chwały i honoru, a wciąż jeszcze nie mógł się przyzwyczaić do zwinnych ruchów jej drobnego ciała. Czuł się przy niej potwornie niezdarny.

Dopiero kiedy z grymasem niesmaku opróżniła filiżankę i podniosła na niego wzrok, zarazem pytające i napominające spojrzenie, ta myśl przyszła mu do głowy.

Oczy sarny.

– Deer – powiedział. – Od teraz będziesz się nazywała Deer.

– Mam na imię Desiré – powiedziała naburmuszona. – Ty Sam. A teraz jedziemy dalej.

– Tak naprawdę nie mam na imię Sam – odparł. – Nazywam się Samuel. Ale nie możemy się nazywać Samuel i Desiré, to byłaby najgorzej dobrana para gliniarzy w tym stuleciu. Z kolei Sam i Deer brzmi stylowo jak cholera.

– Chcesz do mnie mówić „kochanie”? Jeśli tak, to chyba naprawdę oszalałeś, Sam. Ja mam męża, ty masz żonę, oboje mamy dzieci w wieku przedszkolnym, każde u siebie. Przy tobie ten pieprzony Robertsson jawi się jak mnich. Jakkolwiek nie wymachiwałby tym swoim katalogiem agencji towarzyskich.

– Nie jestem żonaty – odparł Berger. – Żyję w konkubinacie. Freja uważa, że nie ma sensu brać ślubu.

– Chociaż ty masz dwoje dzieci, a ja tylko jedno.

– *Fair enough*. Ale nie chodziło mi o „kochanie”, tylko o „sarnę”. Deer przez dwa e, nie ea. Poruszasz się jak sarna.

– *Fuck off* – odparła Deer i otworzyła drzwi.

I zrobiła to z gracją sarny.

Pomieszczenie nie było zwykłym pokojem przesłuchań. Było podłużne i przypominało raczej coś w rodzaju sali zebrań używanej przez hotel w charakterze biura. Miał wrażenie, że długo wędrują w stronę pary siedzącej przy biurku. Była to kobieta w stroju pielęgniarki i młody mężczyzna. Dwójka świeżo upieczonych inspektorów kryminalnych skierowała uwagę właśnie na niego.

Siedział nieruchomo, i uważnie ich obserwował, gdy szli w jego stronę. Musieli stanowić osobliwą parę, kiedy się tak zbliżali do prowizorycznego stołu przesłuchań. Duży i mała, ponury i dodająca otuchy. Wyraźnie podzielili się rolami.

No i te zdumiewająco bystre niebieskie oczy, które zdawały się wszystko rejestrować.

Mężczyzna był jednym z szeregu pacjentów z ośrodka w Falun, z grupy, która spędziła dwa tragiczne w skutkach tygodnie w lesie nieopodal Orsy. Jak się dowiedzieli, jeden z nielicznych, z którymi mimo wszystko dało się porozmawiać.

– Jesteśmy Sam i Deer – oznajmił Berger. – A ty jesteś Reine Danielsson.

– Inspektor kryminalny Sam Berger i inspektor kryminalna Desiré Rosenkvist – uściśliła Deer. – Mam nadzieję, że czujesz się gotowy, żeby z nami porozmawiać, Reine?

Z całą pewnością ze szczerym, przejrzystym spojrzeniem młodego mężczyzny coś było nie w porządku. Jakby jego oczy widziały coś innego niż to, co było w ich zasięgu, jakby patrzył na dwójkę niewidzialnych postaci siedzących obok niego.

Może na ich sobowtóry.

Doświadczyli tego już wcześniej. Właściwie cały ten długi, niespokojny jesienny wtorek spędzili naprzeciwko ludzi z mniejszymi lub większymi zaburzeniami psychicznymi, z reguły w obecności personelu pielęgniarskiego. Nie ulegało wątpliwości, że w tym świecie istnieje całe mnóstwo rozmaitych zaburzeń psychicznych.

Reine Danielsson był w zasadzie tylko jednym z wielu i niczym się nie wyróżniał. Dość postawny, wyglądał na nadspodziewanie wysportowanego, miał dłuższe włosy w kolorze ciemnego blondu, zaokrągloną twarz, która nadawała mu wiecznie zdziwiony wygląd, i lekko otwarte usta, jakby wciąż musiał wyrównywać ciśnienie. Oprócz tego było jeszcze spojrzenie – sprawiało wrażenie, jakby połykało całą sytuację, chcąc ją zachować na przyszłość.

– A więc, Reine... – zaczęła łagodnie Deer. – Czy zbudowałeś szałas w lesie?

Reine Danielsson pokręcił głową i wyglądał na zdziwionego.

– Nagrywamy to – ciągnęła Deer. – Musisz odpowiadać słownie.

– Będę odpowiadał słownie – rzekł Danielsson słabym głosem. – Nie zbudowałem żadnego szałasu. Nie umiem, ale chciałbym się nauczyć. Choć nikt nie potrafi mnie niczego nauczyć, mówią, że nie potrafię niczego się

nauczyć.

– Czyli nigdy nie byłeś w szałasie, który stoi w lesie?

Młodzieniec pokręcił głową, potem się zreflektował i odparł:

– Nie.

– Ale wiesz, że w lesie jest szałas?

– Tak mówili, ale ja tam nie byłem. Niezbyt dużo przebywałem poza domem.

– Głównie siedziałeś w domu, w chacie? Co tam robiłeś?

Spojrzenie Reinego Danielssona nadal się unosiło pomiędzy nimi, jakby rozmawiał z kimś trzecim. Kimś, kogo tylko on widział.

– Dużo rysuję – powiedział w końcu.

– Co takiego rysujesz, Reine?

– Nie wiem. To, co widzę.

– Czy te rzeczy istnieją? Widziałeś je naprawdę?

– Nie wiem. Może. Zwykle udaję, że jestem kimś innym. Wtedy widzę znacznie więcej.

– Co rysowałaś przez ostatnie dni, Reine? – spytała Deer.

– Raczej niewiele. W domu panował zbyt duży ruch. Nie mogłem się skoncentrować.

– Skoncentrować? – zawołał Berger. – Zbyt duży ruch?

Reine Danielsson błędnym wzrokiem.

– Nie – powiedział Berger i pochylił się do przodu. – Nie patrz nigdzie indziej, Reine. Patrz tutaj, patrz mi w oczy.

W końcu Danielsson odwrócił wzrok i ich spojrzenia się spotkały. Miał strach w oczach. Czyżby się bał jego autorytetu? Berger na to liczył.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie, Reine – powiedział. – Patrz na mnie. Oglądaliśmy twoje prace. Wiemy, co rysujesz. Prawie wszystko wygląda jak sny, nic nie istnieje naprawdę. Ale wiemy też, że już dawno niczego nie

narysowałeś. Ostatni rysunek wykonałeś rankiem osiemnastego października. Tego samego dnia wczesnym popołudniem zaginęła Helena Gradén z synkiem Rasmusem w wózku. Nie rysowałeś od dwunastu dni. To prawie dwa tygodnie, Reine. Przedtem rysowałeś bardzo dużo. My, policjanci, pojawiliśmy się i zaczęliśmy ci przeszkadzać w skupieniu dopiero po kilku dniach. Dlaczego przestałeś rysować akurat tamtego dnia?

Spojrzenie Reinego Danielssona znów zaczęło błędzić.

– Rysowałem od tamtego czasu – odparł i rzucił szybkie spojrzenie na pielęgniarkę, a ona zachęcająco skinęła głową. Mimo to Reine się wzdrygnął, jakby poraził go prąd.

– Gdzie w takim razie się podziały te rysunki? – spytał Berger.

– Wiem, co teraz robicie. Widziałem to w telewizji.

– Po prostu odpowiedz na pytanie.

– Dobry i zły policjant. Widziałem to w telewizji.

– Co zrobiłeś ze swoimi rysunkami, Reine?

– Wyrzuciłem. Nie udały się.

– Gdzie są teraz?

– Nie ma. Spaliłem je.

– Najpierw mówisz, że wyrzuciłeś, teraz, że spaliłeś. To jak w końcu?

Reine Danielsson znowu się wzdrygnął, umilkł i utkwiał wzrok w przerwie między Bergerem a Deer, jakby rzeczywiście ktoś tam siedział. Deer się odchyliła, aby trafić w jego pole widzenia. Kiedy uchwyciła dziwne spojrzenie, spytała:

– Czy kiedykolwiek narysowałeś czterolistną koniczynę, Reine?

Danielsson wpatrywał się w nią bez słowa.

– Wiesz, co to jest czterolistna koniczyna? – pytała dalej Deer.

– Jest nietypowa – odparł Danielsson z szeroko otwartymi oczami.

– W jakim sensie nietypowa?

– Prawie wszystkie mają trzy liście. Kiedy ktoś znajduje taką z czterema, może pomyśleć życzenie.

– Czy dotyczy to także koniczyny, którą się narysuje? Czy wtedy życzenie również się spełni?

– Tego nie wiem... Nie wydaje mi się...

– Jak to było, kiedy rysowałeś swoją czterolistną koniczynkę, Reine? Czy chciałeś spełnić jakieś życzenie?

Po raz kolejny Reine Danielsson się wzdrygnął, jakby rażony prądem, jego spojrzenie błądziło.

– Ja nie...

Deer się nachyliła, a kiedy zaczęła mówić, jej głos był cudem łagodności:

– Czy twoje życzenie się spełniło w szalasi, Reine? Czy to właśnie był twój ostatni rysunek? Koniczynka? Gdzie ją narysowałeś, Reine? Jak to jest rysować na skórze? We krwi?

Reine Danielsson wstał i potrząsnął zaciśniętą pięścią. Reszta jego ciała też się trzęsła. Pielęgniarka wstała i objęła go ramieniem. Pokręciła głową, jakby rozczarowana, i bez słowa zaczęła wyprowadzać wielkiego, lecz niepoczytalnego mężczyznę z pokoju. Drzwi się zamknęły. Berger i Deer na nie patrzyli.

– Jak poszło twoim zdaniem? – zapytał w końcu Berger.

Deer pokręciła głową.

– Nie wiem. A jak ty uważasz?

– W każdym razie chyba musi od nowa przemyśleć kwestię dobrego i złego gliny...

– Byłam za ostra? – spytała Deer.

Berger przez chwilę na nią patrzył, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Potem wzruszył ramionami i odparł:

– Twój głos był w każdym razie bardzo łagodny. Sam nie wiem. Zdaje się,

że w przeciwieństwie do Karla Hedbloma ten tutaj ma całkiem wiarygodne alibi. W tych nielicznych chwilach, kiedy był poza domem, zawsze towarzyszył mu ktoś z personelu. Co zresztą każe mi się zastanawiać, kiedy miał okazję spalić swoje rysunki.

– To wygląda na ślepą uliczkę – odparła Deer i opuściła wzrok na kartkę.  
– On nie ma w sobie wystarczającego chłodu ani złości, żeby to zrobić. Poza tym, na ile potrafię ocenić na podstawie akt, nie ma nic przeciwko kobietom czy matkom. Jego stan jest określany jako niestabilność psychiczna i słabość ego, wyraźna potrzeba wykonywania poleceń innych w połączeniu z silnym niepokojem, dezorientacją i stanami depresyjnymi. Wydaje się najbardziej zadowolony z życia, kiedy może spokojnie siedzieć i rysować.

– A jeśli nie pozwolono mu wtedy rysować? – powiedział Berger. – Jeśli ktoś kazał mu przestać?

– Chodzi ci o Karla? Zajmują sąsiednie pokoje w chacie. Mogli utrzymywać ze sobą kontakt. Ale, jeśli dobrze rozumiem, drzwi są przeważnie zamknięte na klucz.

Berger przez chwilę kiwał głową. W końcu się przeciągnął i powiedział:

– Dochodzi szesnasta. Ilu jeszcze nam zostało?

– Według planu mamy zdążyć jeszcze z dwoma – powiedziała Deer i sprawdziła swój nowusienki iPhone, swoją dumę, prezent ślubny od Johnny’ego.

– Jedziemy dalej? – zapytał Berger i ziewnął.

Deer wciąż patrzyła na małe cudo w dłoni.

– Ale już wyczerpaliśmy temat Reinego Danielssona? – spytała. – Możemy go odłożyć do akt?

Ich spojrzenia się spotkały.

– Oboje wiemy, że on nie ma z tą sprawą nic wspólnego – powiedział Berger. – Miejmy to już z głowy.

Deer powoli pokiwała głową, spojrzała z powrotem na telefon.

– Jeszcze tylko jedna rzecz – powiedziała.

– Tak? – odparł Berger.

– Nie zapominaj, że nie da się zajrzeć do wnętrza innego człowieka.



## 26

*Poniedziałek 23 listopada, godz. 5:18*

Tej nocy w Skogås zagościła zima. Nie bardzo rozumiała, jak ją obudziła, ale obudziła ją za wcześnie. Może zza okna dobiegł trzask, może świeży rysunek mrozu na szybie posłał promienie obnażonego księżycyca w dziwnym kierunku, może zima miała po prostu własny delikatny, kruchy dźwięk, który nagle zadziałał jak tłumik na potok koszmarów sennych. Od razu zdała sobie sprawę, że ta zagadka nigdy nie znajdzie rozwiązania, ale były też inne, które domagały się odpowiedzi.

Johnny oczywiście spał jak zabity, ona całkiem się rozbudziła. Zobaczyła na zegarku, że jest osiemnaście po piątej i jęknęła. Doszła do wniosku, że jej lęk prawdopodobnie wywołało spojrzenie dzika, które nadal tkwiło w niej niczym pozostałość po śnie, uznała się za pokonaną, wstała, włożyła szlafrok i kapcie i przemknęła przez lodowaty garaż do miejsca, które nie było już garażem. Tam było cieplej.

Usiadła i zaczęła czytać. Przeczytała wszystko. Zapoznała się z całą sprawą, jeszcze raz. Przeczytała każdy protokół postępowania przygotowawczego, także materiały na temat wszystkich nowych potencjalnych ofiar. Faridy Hesari, która przeżyła, ale jej poszukiwania wciąż nie przyniosły rezultatu, niewiernej duńskiej lekarki Mette Hækkerup,

rowerzystki Elisabeth Ström z Växjö, utrzymywanej w tajemnicy histerektomii i ciąży Jessiki Johnsson.

W pewnym momencie tego wczesnego ranka wreszcie znalazła zdjęcie Jessiki, mimo braku prawa jazdy i dowodu. To było zdjęcie z lokalnej gazety, zrobione podczas jarmarku bożonarodzeniowego w Porjus trzy lata wcześniej. Jessica właśnie kupowała suszone mięso renifera i wyglądała na nieco zdziwioną. Poza tym najwyraźniej konsekwentnie odwracała się plecami do obiektywów. Deer przesłała zdjęcie mailem Bergerowi i natychmiast otrzymała odpowiedź, jakby czuwał tak samo bezsennie jak ona.

*Tak, zgadza się, to z nią się spotkaliśmy w Porjus. Kobieta, którą przesłuchiwałeś, była prawdziwą Jessicą Johnsson. No to teoria upadła. Znalazłaś coś jeszcze na Reinego Danielssona?*

Deer odpisała:

*Zaledwie kilka miesięcy po wycieczce do Orsy został usunięty z listy pensjonariuszy ośrodka w Falun. Od tamtej pory nie miał stałego miejsca zamieszkania. Prawdopodobnym wytłumaczeniem są oszczędności samorządu w opiece psychiatrycznej. Zadzwoń, zamiast pisać.*

Berger zadzwonił.

– Okej – powiedział. – Ja też zobaczyłem, że go wypisano, już osiem lat temu. Od tamtego czasu był wolnym człowiekiem. Gdzie przebywał? Jak udało mu się przeżyć?

– Żadnych krewnych – oznajmiła Deer. – Z tego co widzę, Reine Danielsson jest zupełnie sam na świecie. A jednak kilka razy wypłynął na powierzchnię. Wtedy, kiedy był przyjmowany do ośrodków, takich jak Lindstorp.

– Lindstorp, który zresztą opuścił incognito, jako Sam Berger, nie mogąc zapłacić. Można chyba przyjąć, że coś podobnego miało miejsce już

wcześniej. Ale w niektórych przypadkach był chyba też zapisany jako on sam? Pod własnym nazwiskiem?

– Tak – odparła Deer. – Próbuję to znaleźć.

– Trzy pytania – oznajmił Berger. – Gdzie? Kiedy? Kto płacił?

– Pracuję nad tym – powiedziała Deer.

– Poczekaj chwilę. Zatrzymajmy się i przemyślmy to. Zastanówmy się, jak wszystko wygląda w obecnej sytuacji.

– Nie zastanawiasz się z Molly Blom?

– Molly jeździ na nartach.

– Co, do cholery? Nie ma jeszcze nawet ósmej. Musi być lodowato i kompletnie ciemno. Nawet w Skogås zima już się rozpoczęła.

– Nie martw się – powiedział Berger oschle. – Ma latarkę czołową.

– Cieszy mnie to – odparła Deer bez radości w głosie.

Berger kontynuował:

– A więc się zastanówmy, ty i ja, jak zupełnie normalni policjanci kryminalni. Udajmy, że znów nas otacza open space komisariatu. To zupełnie zwyczajna sprawa, wszystko wygląda normalnie i spokojnie, nadal podlegamy Allanowi, jesteśmy równorzędnymi partnerami, którzy mają rozwiązać sprawę zabójstwa, kropka. Zachowujemy się tak, jakbyś nie prowadziła podwójnej gry wobec swojego nowego pracodawcy NWO, jakbyś nie zatrudniała w tajemnicy dwójki renegatów, którzy uciekają przed sprawiedliwością, udawajmy, że...

– Dzięki – przerwała Deer.

W słuchawce zapadła cisza, trochę za długa.

W końcu Berger powiedział ponuro:

– Nie ma sprawiedliwości.

– Tylko nie mów, że zabiliście Strzałę – odparła Deer.

– Boże jedyny.

– Udar – stwierdziła Deer. – Z całą pewnością. Strzała umiera, w znikanie. Jak to się ze sobą łączy, Sam?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała, Deer.

– Nie – zaprotestowała wyraźnie Deer. – Zawsze lepiej jest wiedzieć. Dość już zaciemniania sprawy. Robimy to razem albo wcale.

– Wystarczy, jeśli powiem, że to Säpo?

– Nie.

Berger głęboko westchnął.

– Strzała pracowała dla mnie, nieoficjalnie. Wygrzebała mnóstwo dziwnych powiązań między jednym z szefów Säpo a porywaczem Ellen. Szukała dalej, a kiedy miała się podzielić wynikami, została zamordowana. Znaleźliśmy ją w hangarze na łodzie. Ja doznałem czegoś w rodzaju załamania, Molly wywiozła mnie tak daleko, jak to było możliwe. Od tamtego czasu trzymaliśmy się *off the grid*.

– Jasna cholera – zawołała Deer.

– No właśnie – rzekł Berger. – Ale to niczego nie zmienia. Jesteśmy już cholernie blisko. Nie możemy się poddać. Nie teraz. Musisz mi zaufać.

– Ale czy mogę ufać Blom? – odparła Deer. – Uciekacie przed Säpo, a ona jest z Säpo. To pieprzona wtyka, widzieliśmy już wcześniej, jak odgrywa różne role, cholernie biegle. Coś ty narobił, Sam?

– Wszedłem w prawdziwe gniazdo os. I nie mam żadnych szans spojrzeć na to z dystansu.

– Przypuszczałam, że tak właśnie to wygląda – westchnęła Deer. – Bądź teraz bardzo ostrożny.

– Jest tylko jedna osoba, której mogę ufać w stu procentach, tylko jedna. Tą osobą jesteś ty, Deer. Tobie ufam. Kontynuujemy zgodnie z planem? Musimy zgarnąć Reinego Danielssona i nie tylko uratować twoją posadę, ale też dopilnować, żebyś była bohaterką tej sprawy. Możemy to załatwić. Musi

nam się udać mieć w głowie jednocześnie dwie myśli.

– Dwie? – wykrzyknęła Deer. – Czy kontynuowanie ma w ogóle jakiś sens, skoro twoja cholerna Molly gra na dwa fronty? Przecież w każdej chwili może udupić i mnie, i ciebie.

– Nie sądzę – odparł Berger. – To właśnie są moje dwie myśli, które rozrywają mi umysł na pół. Jeśli chodzi o mnie i kwestię Säpo, może i gra na dwa fronty, ale jestem absolutnie pewny, że traktuje tę sprawę i seryjnego mordercę Reinego Danielssona z całkowitą powagą.

– Tak jak kiedyś byłeś absolutnie pewny Nathalie Fredén?

Po raz kolejny w smutnym garażu Deer zapadła cisza. Wydało jej się, że nagle widzi siebie z bardzo, bardzo wysoka, patrzy na swoje skromne życie, swoją małą rodzinę, swój garaż i domek szeregowy jak na wyjątkowo bezbronny mały rezerwat w świecie zdrady, podwójnych gier i zmieniającej się lojalności, małą tratwę, która wciąż jeszcze unosiła się w bulgoczącym kotle czarownic. Wyobraziła sobie, jak Sam Berger wychodzi z cuchnącego wywaru. Nie widziała twarzy, bo miał ich tyle, że nie dało się dostrzec żadnej z osobna.

– Kim, do cholery, jest Reine Danielsson? – zapytała Deer.

– No tak – odparł Berger. – Dzięki. Zapomnijmy na chwilę o przeszłości i zapytajmy, kim on jest teraz. Okresowo wariuje, przyjmują go do psychiatryka i znowu wypisują, prawdopodobnie pod różnymi nazwiskami. Ale staje się niebezpieczny dopiero wtedy, kiedy wychodzi na wolność. Przez mniej więcej rok przebywa w nieznanym miejscu, w jakimś zagrzybionym pustkowiu, bez pieniędzy, i planuje zabójstwa. Prawdopodobnie nastawia się na matki chłopców, jednak bez większych konkretów. Mogą to być zarówno prostytutki w ciąży, jak i uznane lekarki pediatrii z nastoletnimi dziećmi. Długie, długie planowanie, żeby przystąpić do ataku polanem i nożem. Nie zostawia śladów DNA ani spermy, mimo że

najwyraźniej w grę wchodzi mord z lubieżności. Łączy ci się to wszystko w całość, Deer?

Deer omiotła spojrzeniem pozbawioną okien pracownię, w gruncie rzeczy dość przygnębiający przebudowany garaż. Był ciemny, pełen brudnych, nieoświetlonych kątów. Ale czeluście się zamknęły, mimo wszystko po raz kolejny wstawał świt.

– Nie – odparła. – Ale czy nie musimy założyć, że tego nie da się zrozumieć? Mamy do czynienia z psychiką, dla której trudno znaleźć odpowiednik. Z mrokiem, który czasami jest tak nieznośny, że ten człowiek musi się stać kimś innym. A ostatnio, pomiędzy dwoma bestialskimi mordami, stał się tobą, Sam. To nie jest już kwestia przypadkowej zbieżności nazwisk. On się stał tobą. I pomyśleć, że nawet nie pamiętaliśmy, że go przesłuchiwaliśmy. Nie wywarł na nas trwałego wrażenia, ale ty musiałeś zrobić ogromne wrażenie na nim.

– Na to wygląda – powiedział Berger. – Ale ja jestem bezpieczny. Z kolei ty musisz być bardzo ostrożna, Deer. Reine Danielsson z całą pewnością pamięta również ciebie.

– Jak już mówiłam, jestem w stanie się o siebie zatroszczyć – odparła Deer i poczuła, że oczy samicy dzika wpatrują się w nią w półmroku.

– Czytałaś nasz stary protokół przesłuchania Danielssona?

– Czytałam wszystko inne. Godzinami siedziałam w tym garażu i czytałam wszystko oprócz tego. Jakoś zawsze krążyłam wokół tych materiałów.

– Jak kot wokół miski z gorącą kaszą – odparł Berger. – Ja też. Ale teraz musimy to zrobić. Przeczytaj, ale też spróbuj przypomnieć sobie całą sytuację, każdy drobny szczegół, wszystko, co może nam pomóc.

– Postaram się. Poza tym muszę obejrzeć te cholerne kasety Robertssona. Na szczęście mam tu odtwarzacz wideo.

– Molly już idzie. Ona też to przeczyta, ze swojej perspektywy, a później skoordynujemy wrażenia i wspomnienia.

– Okej – odparła Deer.

I zniknęła.

– Co mam czytać? – spytała Blom z ciemności. Po jeździe na nartach jej ciało promieniało ciepłem i chłodem jednocześnie.

– Protokół przesłuchania Reinego Danielssona, które Deer i ja poprowadziliśmy osiem lat temu – odparł Berger i wyciągnął rękę z plikiem papierów nad coraz bardziej zagrożonym biurkiem. Miał nadzieję, że nie spostrzegła, jak drży ów plik.

Blom wzięła go do ręki i przez chwilę obserwowała, jak zamrożona. Potem oddała go Bergerowi i gwałtownie się odwróciła. Pobiegnęła do drzwi, kucnęła i zgięła się wpół tuż za małym tarasem. Potem zasypała wymiociny śniegiem i wróciła do środka.

– Nie możesz w takim stanie wychodzić do śladów – powiedział Berger. – Potrzebuję cię zdrową jak rydz.

– Daj protokół – odparła Blom i posłała mu groźne spojrzenie.

Wzięła papiery i usiadła. Zapaliła lampkę na biurku i natychmiast pogрузyła się w lekturze starego protokołu. Berger wziął swoją kopię, spróbował się skupić, bezskutecznie. Spróbował jeszcze raz i udało mu się to nieco lepiej. Otworzył się przed nim cały świat. Świat, o którym w zdumiewająco dużej mierze zapomniał. Hotel w Orsie, ścisk w gwałtownie rozrastającej się policyjnej kwaterze głównej, napływ dodatkowego personelu, wciąż nowe obiekty przesłuchań. I wreszcie pokój kawowy, nagły spokój. Wówczas spojrział świeżym okiem na Desiré Rosenkvist (świeżym – owszem, łaskawszym – raczej nie) i pozwolił jej się zmienić w Deer. To, jak weszli do szczególnego podłużnego pokoju. Jak spojrzeli w szeroko otwarte błękitne oczy Reinego Danielssona, które zdawały się przyswajać cały

wszechświat.

Czytał, nurkował głęboko w ciepłych wodach pamięci, pływał w kółko, badał, zaglądał we wszystkie kąty i zakamarki i w końcu wypłynął z powrotem na powierzchnię. Tylko po to, żeby zobaczyć inną parę błękitnych oczu. W tym przypadku również nie wiedział, co się za nimi kryje.

– No i? – odezwała się Molly Blom, skupiając na nim wzrok. – Myślisz, że wykonaliście dobrą robotę?

– Dokładnie o to samo spytałem Deer, kiedy było już po wszystkim – odparł Berger.

– Ale tego nie ma w protokole. Dlatego pytam.

– Nie bardzo – przyznał Berger. – Byliśmy opieszali, bez polotu, nie podążaliśmy tropami, które przynajmniej z perspektywy czasu wydają się oczywiste.

– Na przykład?

– Dlaczego pytanie o czterolistną koniczynę tak go wzburzyło? Dlaczego przestał rysować w dniu, kiedy Helena Gradén została porwana?

– Ja myślałam raczej o paru innych rzeczach, które powiedział – oznajmiła Blom, przeglądając papiery. – O, tutaj: „choć nikt nie potrafi mnie niczego nauczyć, mówią, że nie potrafię niczego się nauczyć”.

– Wbito mu do głowy, że nie potrafi się uczyć – rzekł Berger. – Ale ja odniosłem inne wrażenie.

– Drugi fragment jest ciekawszy – stwierdziła Blom. – Pytałeś, czy rysował rzeczy, które widział naprawdę. Odpowiedział: „zwykle udaję, że jestem kimś innym. Wtedy widzę znacznie więcej”.

– Hm – mruknął Berger. Zaczął wertować kartki, aż w końcu znalazł to, czego szukał. – Rzeczywiście tak powiedział. Widzi więcej, kiedy „udaje” kogoś innego. Udaje? Użył tego słowa, czyli wie, że to nie jest naprawdę.



– Myślisz o czymś innym? – Blom mu się przyglądała.

– Była jeszcze jedna rzecz – odparł Berger. – Teczka z aktami. Deer do niej nawiązywała. Nie znaleźliśmy żadnych akt Reinego Danielssona?

– Nie – odparła Blom. – Ośrodek został zlikwidowany, dokumentacja się rozpierzchnęła po świecie, wszystko wskazuje na to, że nie była cyfrowa. To, co zostało, jest zagrzebane w jakiejś komunalnej piwnicy w Falun.

– Pamiętam, że Deer wspominała o diagnozie. Reine Danielsson wydawał się najbardziej zadowolony z życia, kiedy mógł siedzieć w spokoju i rysować. Nie wydawało się, że ma coś przeciwko kobietom albo matkom. Deer mówiła o niestabilności psychicznej i słabości ego w połączeniu z silnym niepokojem, dezorientacją i stanami depresyjnymi.

– To, niestety, brzmi jak dość tradycyjna diagnoza.

– Ale było coś jeszcze – dodał Berger z namysłem. – O właśnie: „wyraźna potrzeba wykonywania poleceń innych”.

– Dość trudne do interpretacji – stwierdziła Blom. – Czyli że łatwo nim sterować?

– Dość trudne, to prawda – zgodził się Berger. – Ale chyba zaczynają się wyłaniać kontury i widać, jaki to typ człowieka. Wielki i silny, ale jednocześnie słaby psychicznie i podatny na kierowanie. Ktoś, kim „można się posłużyć”.

– Chodzi ci o to, że ktoś mógłby siedzieć za kulisami i nim kierować? Że Reine mógłby być zdalnie sterowanym zabójcą?

– Dominacja – rzekł Berger.

– Czy już tego gdzieś nie słyszałam? – spytała Blom. – Pewnego razu, kiedy przesłuchiwałeś podejrzaną, która nazywała się Nathalie Fredén. Była uważana za niewolnicę swojego pana. To coś osobistego? Coś, co cię kręci?

– Ale teraz to rzeczywistość. Nie dostrzegasz konturów, Molly? Ja je widzę, ale nie wiem, jaki kształt tworzą. Zgadza mi się i nie zgadza

jednocześnie.

Blom wzruszyła ramionami i rzuciła protokół przesłuchania na klawiaturę.

– Przykro mi – oznajmiła. – Nie widzę tu nic poza skrajnie niewiarygodnym mordercą. Licho wie, czy nie jesteśmy na kompletnie niewłaściwym tropie. On przebywał w ośrodku Lindstorp z tego prostego powodu, że jest czubkiem. Prawdziwy morderca musiał przypadkiem na niego wpaść gdzieś w głębi kraju i przenieść na sobie mikroskopijne włókno gazy do pomieszczenia z bojlerem.

– A co z samochodem? – zawołał Berger. – Co z volkswagenem caddy, dawniej kremowym, a obecnie, dzięki folii, w kolorze fjord blue? Został ukradziony Andersowi Hedblomowi z Sorsele. Zawiózł Reinego Danielssona do Lindstorp. Został zadrapany w garażu Jessiki Johnsson w Porjus.

– Wiem – jęknęła Blom. – Ale nie rozumiem...

– Taki siurek jak Reine Danielsson ni cholery nie ma prawa jazdy – krzyknął Berger i wstał. – Nie ma mowy. To ona siedzi za kierownicą.

– Ona?

– Ta blondyna spod Lindstorp, która go wysadziła. To ona jest tu pieprzonym mózgiem, szefem, ona przez cały czas mu towarzyszy. Była przy tym, jak mordował Andersa w Sorsele, wysadziła go w psychiatryku i odebrała, kiedy został wypisany na własną prośbę. Pojechała do Porjus, towarzyszyła mu i czyściła dom ze śladów DNA. Jak słowo daję, w tym cholernym pomieszczeniu z bojlerem były dwie osoby. Kazała mu wyjść w samą porę. Twoja ustawiona kamera spadła, kiedy zamknął drzwi piwnicy, po tym, jak popędził po schodach w kominiarce z Jessicą Johnsson pod pachą. Później ona ruszyła za nim. Zabili Jessicę wspólnie, w bestialski sposób. Nie powinniśmy szukać żadnego kochanka z przeszłości Jessiki Johnsson. Tu chodzi o przyjaciółkę, koleżankę z dawnych czasów, kobietę, z którą Jessica była tak mocno związana, że nie chciała jej demaskować.

– Albo nawet kochankę – dodała Blom, zapatrzona w zapadający zmierzch. – To naprawdę możliwe.

– Mord z lubieżności bez spermy – oznajmił Berger. – Kurwa mać.

Zadzwoił telefon satelitarny. Gapili się na niego dobrą chwilę, jak na obiekt nie z tego świata. Wreszcie Berger szarpnął za słuchawkę.

– Deer, czytałaś już protokół przesłuchania? Uporałaś się z taśmami Robertssona?

– Pogadamy o tym później – odparła Deer gorączkowo. – Właśnie dzwonił Robin. Miał cholernie dziwną wiadomość. I to z Serbii. Gdyby to było w Unii, poszłoby znacznie szybciej.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– O krwi – odparła Deer. – Wysłano ją w świat, jak tylko została przeanalizowana, to się dzieje w pewnym sensie automatycznie.

– Wybacz, ale nadal nie rozumiem.

– Sam, do ciężkiej cholery! Obudź się! Krew w Porjus. Krwawa łaźnia.

– Krew Jessiki Johnsson?

– Nie! – wrzasnęła Deer. – Właśnie o to chodzi. To nie była krew Jessiki Johnsson. Mieszki włosowe ze szczotki do włosów znalezionej w łazience też nie były jej. Żadne DNA znalezione w całym tym pierdolonym domu nie pasuje do Jessiki Johnsson. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Berger oniemiał. Kompletnie stracił głos. Rzucił okiem na Blom. Wszystko słyszała. Miał wrażenie, że jej zarumieniona twarz pobladła. Ona także nic nie mówiła.

– Jesteś tam, Sam? – odezwała się w końcu Deer.

– Tak – odparł Berger. – Ale przecież siedzieliśmy naprzeciwko niej, piliśmy herbatę, kilka razy drapała się po głowie. Musiało tam być jej DNA.

– A jednak nie było. To DNA Serbki, która nazywa się, czy raczej nazywała, Jovana Malešević. Podróżowała samotnie po północnej Szwecji

i ostatni raz dała znak życia rankiem w niedzielę piętnastego. Była wtedy w Arjeplog.

– To dzień, w którym Reine Danielsson został zwolniony z ośrodka Lindstorp pod Arjeplog – oznajmił Berger. – Ale czy jesteście tego absolutnie pewni? Serbowie się nie pomylili?

– Mamy też odciski palców – odparła Deer – nawet na starej maszynie do pisania Jessiki Johnsson. One również należą do Jovany Malešević.

– A krew na piętze? Krwawe kontury, które tworzyły ciało na prześcieradle? Odcięty pośladek z czterolistną koniczyną?

– I ślad na śniegu po kufrze – dodała Deer. – To wszystko Jovana Malešević.

– Ale... – wykrztusił jedynie Berger. Czuł się kompletnie bezradny.

– Jeszcze jedno... – powiedziała Deer. – Powód, dla którego znalazła się tak daleko od domu. Miała do podjęcia ważną decyzję. Jovana Malešević potrzebowała czasu i spokoju, żeby zdecydować, czy zachować dziecko, czy nie.

– Jessica Johnsson nie była w ciąży, bo przeszła histerektomię, ale Jovana spodziewała się dziecka – odparł Berger. – I tylko jej DNA znajdowało się w domu.

– Tak, jeśli nie liczyć kilku molekuł krwi Reinego Danielssona.

– Czy znana jest płeć dziecka?

– Jovana Malešević była w piętnastym tygodniu, a tydzień wcześniej w jej rodzinnym mieście Nowy Sad przeszła badanie USG. Wykazało, że to chłopiec.

– Dobry Boże – zawołał Berger.

– Raczej wręcz przeciwnie – odparła Deer. – Przejrzę jeszcze taśmy Robertssona i dam znać, czy coś tam jest.

Po tych słowach znów zniknęła.

Blom wstała w pełnym stroju narciarskim i podeszła do ściany z materiałami. Przyglądała się jej.

– Sporo trzeba tu poprzekładać – stwierdziła przytomnie, choć drżał jej głos.

Berger również się podniósł i stanął obok niej.

– Czy w ogóle da się to zrekonstruować? – zapytał.

– Blond peruka – oznajmiła Blom. – Przebranie dobre jak każde inne.

– Przestępca nie kryje się w przeszłości Jessiki Johnsson. Przestępca jest Jessicą Johnsson. To ona steruje Reinem Danielssonem, trzyma tego słabego człowieka w żelaznym uścisku. Jessica jest jego szefem.

– W każdym razie mieliśmy rację w jednym aspekcie – stwierdziła Blom.

– W pomieszczeniu z bojlerem były dwie osoby. Ale to nie Jessica siedziała tam z Reinem, tylko uprowadzona Serbka, Jovana Malešević.

– Robin był pewny, że ktoś mieszkał w pokoju z bojlerem – rzekł Berger.

– Osobą, która mieszkała tam przez trzy koszmarne doby, zanim została rytualnie zamordowana, była nieszczęsna Jovana.

– Jest więcej... – oznajmiła Blom i szybko się do niego odwróciła. – Jest jeszcze więcej. Oni cię wezwali.

– Co takiego?

– Jessica tak dużo głądziła o czterolistnej koniczynie i niewinności Karla Hedbloma, że policja w końcu przestała jej słuchać. Ona gadała i gadała, ale nikt się na to nie złapał. Musiała mocniej się postarać. Kiedy razem z Reinem z wciąż nieznanymi powodami zamordowali Andersa Hedbloma w Sorsele, pozostawiła kartkę z napisem „Berger”. Zawiozła cierpiącego na coraz silniejszą psychozę do ośrodka Lindstorp i dopilnowała, żeby się wpisał jako Sam Berger. Potem napisała ten fałszywy list i zaadresowała go bezpośrednio do twojej byłej partnerki Desiré Rosenkvist. Jessica Johnsson cię wezwała, Sam. Ona rzuca ci wyzwanie.

– Przecież ja nigdy nawet nie spotkałem tej kobiety.

– Tego nie wiesz. Wydaje się dobra w przebierankach, a poza tym przez wiele lat miała nową tożsamość. Ale może wystarczy, że twoje przesłuchanie Reinego zrobiło na niej takie wrażenie, może ona cię przywołuje ze względu na Reinego.

– Nie przesadzasz trochę?

– Ta kobieta chce, żebyś ją ścigał, Sam. I przeforsowała swoją wolę. Teraz już wie, że ją ścigasz.

– Siedzieliśmy naprzeciwko niej, Molly. Przesłuchiwalismy ją. Kompletnie nic nie wskazywało na to, że mnie rozpoznała.

– Bo się ciebie spodziewała, była dobrze przygotowana – odparła Blom. – Porozsiewała tropy i wystarczyło tylko na ciebie poczekać. Prawdopodobnie poszło szybciej, niż się spodziewała, ale kiedy Desiré zadzwoniła i powiedziała, że jesteś w drodze, musieli przyśpieszyć sprzątanie śladów DNA. Potem, kiedy się z tym uporali, sprzątali dalej. Pozmywali filiżanki po herbacie, odkurzyli stół w dużym pokoju.

– Ale przecież Deer nie zadzwoniła z informacją, że przyjadę – rzekł Berger. – Mówiła tylko, że przyśle dwóch policjantów. A kiedy się zjawiliśmy, byliśmy Lindbergiem i Lundström, nikim innym.

– Kiedy usłyszała, że dzwoni Desiré Rosenkvist, osiem lat temu twoja partnerka, z pewnością się domyśliła, że jedzie do niej nie kto inny jak Sam Berger. Szczyt jej marzeń. Przewidziała dla ciebie bardzo aktywną rolę w tej serii zabójstw. Miała kazać Reinemu popełnić zabójstwo, kiedy ty byłeś unieszkodliwiony w piwnicy. To miało cię doprowadzić do szaleństwa. Wiedziała, że nie spoczniesz, dopóki jej nie dopadniesz.

– Mimo wszystko nie rozumiem, dlaczego miałyby się tak zafiksować akurat na mnie. Jedną z moich niezbyt licznych zalet jest dobra pamięć do twarzy. Naprawdę nie spotkałem jej wcześniej.

– Prawdopodobnie spotkałeś. W taki czy inny sposób. To zapewne dobra aktorka.

– Tak jak ty?

Blom dobrą chwilę patrzyła mu w oczy, aż w końcu powiedziała:

– Teraz nie powinniśmy się denerwować.

Berger głęboko westchnął, odwrócił się i odparł:

– Teraz naprawdę musimy się dowiedzieć, jak brzmiało przybrane nazwisko Jessiki Johnsson.

*Poniedziałek 23 listopada, godz. 9:46*

Zima wtargnęła przez szczelinę w drzwiach. W czasie, którego potrzebował, żeby jak najbardziej bezszelestnie otworzyć drzwi, zdążyły zeszywnieć mu palce. Ledwo udało mu się uruchomić telefon.

Mimo to słońce świeciło co najmniej równie intensywnie jak poprzedniego dnia. Ostre niczym brzytwa promienie próbowały się dostać do oczu Molly Blom, kiedy stała odwrócona na śniegu. Było widać, że w świetle padającym i odbijającym się ze wszystkich stron nie do końca potrafi rozróżnić przyciski telefonu satelitarnego. Po raz kolejny znalazła schronienie przed mocnym światłem pod wysuniętym dachem domku i trzymała telefon w cieniu, żeby go widzieć. Wybrała numer.

Berger zrobił zbliżenie. Kiedy głos Blom zaczął się nieść po bezkresnym błękitnie bieguna niedostępności, ostrożnie zamknął drzwi, położył zmarzniętą komórkę na stole i wyciągnął ręce do kaloryfera. Choć wiedział, co się znajduje pod czerwonym płótnem najbliższej okna, uniósł je i przez chwilę obserwował dwa pistolety z jeepa. Kojarzyły się zarówno z bezpieczeństwem, jak i z zagrożeniem.

Czekał.

Czas płynął. Krwiobieg przyśpieszył w jego dłoniach i pompował ból do



ciała. Tchnęło to w niego życie.

W czasach zdrady i gry na dwa fronty mógł przynajmniej liczyć na ból. Ból należał do niego i do nikogo więcej.

Wszystko trwało niespodziewanie długo. Jakby Blom po raz pierwszy nawiązała kontakt. Czyżby jej anonimowy informator z Säpo wreszcie stanął na wysokości zadania?

W miarę jak czekał, rosła zarówno frustracja, jak i nadzieja.

W końcu Blom weszła do środka, a kolor jej twarzy, jakby zwiastujący przemarznięcie, prawdopodobnie wynikał nie tylko z zimna.

– Mam to – oznajmiła. – W końcu.

Berger odczekał chwilę. Nowa fala ciepła zaczęła towarzyszyć bólowi, który wciąż przepływał przez ciało. Blom kontynuowała:

– Przybrane nazwisko Jessiki Johnsson brzmiało Lena Nilsson.

Berger poczuł, że marszczy brwi – jakby mięśnie twarzy były poza jego kontrolą. Coś nie większego niż pojedyncza komórka mózgowa wybrało się na wycieczkę po zmrożonej czaszce.

– Typowe nazwisko kobiety z nową tożsamością – kontynuowała Blom, rozcierając ręce. – Tak zwyczajne i nic niemówiące nazwisko, jak to tylko możliwe. Tyle że mam jej nowy numer identyfikacyjny...

– Jasna cholera – odezwał się Berger. – Lena Nilsson.

– A co? Znasz...

Berger nie czekał na ciąg dalszy. Rzucił się na ponaddziesięciocentymetrowy stos dokumentów ze śledztwa w sprawie podwójnego morderstwa w Orsie sprzed ośmiu lat. Papiery fruwały w powietrzu. W końcu stanął z jednym z nich w ręku.

– Niech mnie diabli, jesteśmy znowu w Orsie – powiedział i wskazał papier. – Personel ośrodka. Jedna z pielęgniarek nazywała się Lena Nilsson. To rzeczywiście mogła być ona. Opiekowała się zarówno Karlem

Hedblomem, jak i Reinem Danielssonem. Można sobie wyobrazić, że skłoniła Reinego do zabicia zamieszkałej w okolicy Heleny Gradén i jej czternastomiesięcznego syna Rasmusa. W zabójstwo zaś wrobiła innego swojego pacjenta, Karla.

Blom zgarnęła papiery. Czytała, kiwając głową.

– Numer identyfikacyjny się zgadza.

Berger podszedł do ściany z coraz bardziej obszernymi materiałami ze śledztwa i patrzył na jedyne znane zdjęcie Jessiki Johnsson – to znalezione przez Deer, zrobione podczas jarmarku bożonarodzeniowego w Porjus.

– A jeśli była tam przez cały czas? – zastanawiał się Berger. – Może krążyła po Orsie, zupełnie anonimowo. Jeśli tak, to musiałem ją widzieć. Ale jej nie pamiętam. Lena Nilsson.

Blom siedziała przy komputerze, stukając w klawisze.

– Jessica Johnsson może sobie nie mieć prawa jazdy, ale Lena Nilsson ma. Możliwe, że stało się nieważne, kiedy Eddy Karlsson zmarł i Jessica mogła wrócić do swojej prawdziwej tożsamości, ale formalnie nie zostało zniszczone.

– Nowy pomysł – odezwał się Berger. – Czy zabili też Eddy’ego Karlssona?

– Musimy zbadać okoliczności jego śmierci – odparła Blom.

– Prawo jazdy – powiedział powoli Berger. – To przecież ona prowadziła samochód, kiedy jechali z Sorsele po zamordowaniu Andersa Hedbloma?

– Kto ją przesłuchiwał osiem lat temu w Orsie? – spytała Blom.

– Robertsson – Berger skinął głową. – To było cholernie gówniane przesłuchanie. Może jest nagrane na wideo...

– Musimy się z nim dokładnie zapoznać.

– Tak zrobimy – odparł Berger i odkleił wzrok od ściany. – Potrzebujemy szczegółów, mnóstwa szczegółów. Ale przede wszystkim potrzebujemy

całościowego oglądu. Czy nie musimy zacząć od nowa? Co takiego mamy? Kim jest Jessica Johnsson? Kim jest Reine Danielsson? Z jakim przeciwnikiem mamy do czynienia?

– Para – powiedziała Blom. – Czy oni są parą? Parą zakochanych?

– Cholera, to mi się nie zgadza – wykrzyknął Berger. – Przypomnij sobie piwnicę w Porjus. Ustawiłaś komórkę, żadne z nich nie miało o niej pojęcia, więc nie odgrywali żadnego teatrzyku na potrzeby kamery. Reine wypadł z pomieszczenia z bojlerem i powalił nas na ziemię. Potem zaciągnął Jessicę do poręczy schodów i przywiązał jej ręce. Siedziała tam przywiązana, kiedy ciągnął nas do kaloryfera. Potem ją uwolnił i wniósł po schodach tak gwałtownie, że aż twój ustawiony telefon się przewrócił. Nie wyglądało mi to na twórczą współpracę.

– Ale może to być rytuał – odparła Blom. – Coś w rodzaju perwersyjnej gry wstępnej.

– A potem morderstwo i seks? Tylko że bez spermy...

– Oczywiście sprzątaję po sobie, usuwają ślady DNA. Ale dziwne jest to, że do krwi nie dostaje się sperma...

– Popieprzone – zawołał Berger i pokręcił głową. – Jasne, widzieliśmy prawie wszystko i jako stare gliny wiemy, że nic, co potrafilibyśmy wymyślić, nawet wyteżając wyobraźnię do granic, nie może się równać z tym, co ma do zaoferowania rzeczywistość. A mimo to...

– W naszym rozumowaniu musimy wyjść poza granice zwyczajnej psychiki – oznajmiła Blom i podeszła do ściany z materiałami. – I poza granice zwyczajnych wyobrażeń. Kobiety po prostu nie popełniają zabójstw na tle seksualnym. Ale co jeśli w pewnych konkretnych okolicznościach jednak to robią? W okolicznościach daleko wykraczających poza to, co można by uznać za normalne. Musimy dotrzeć do głębi duszy, która nie przypomina niczego, z czym do tej pory mieliśmy do czynienia.

– W głąb kraju – dodał Berger.

– Siedzieliśmy naprzeciwko niej, Sam. Żadne z nas nie miało bladego pojęcia, co się dzieje w jej głowie. Nie robiła wielkiego wrażenia, i to zarówno ostatnio, jak i najprawdopodobniej osiem lat temu. Jeśli się pomyśli o tym wszystkim, co się wówczas działo przy tym stole w Porjus... jak długi i złożony plan miał się urzeczywistnić... należy powiedzieć, że była zimna jak lód. Jak nieczłowiek.

– Zimna jak te bezdroża w głębi kraju – odparł Berger. – Spróbujmy omówić cały ten bajzel od początku. Gdzie to się zaczęło? Kiedy Jessica Johnsson aż tak się rozchorowała? W jej przeszłości nie ma niczego, co by na to wskazywało.

– Chyba jednak coś jest – stwierdziła Blom i niewyraźnym gestem wskazała ścianę. – Eddy Karlsson na to wskazuje. Jessica była dziewczyną, która wybiera brutalnych mężczyzn. Samo w sobie nie jest to nietypowe, przeciwnie: aż nazbyt często spotykane. Możliwe, że to znak, iż już w młodym wieku lubiła niebezpieczeństwo, trzymała się z dala od tego, co bezpieczne i normalne. Wyjątkowo paskudny mężczyzna zrobił jej dziecko, wielokrotnie ją bił i któregoś razu pobił tak dotkliwie, że poroniła. Straciła syna, a wraz z nim macicę i tożsamość. Musiała się wówczas w niej zrodzić wielka nienawiść.

– Jeśli tak, to nienawiść do Eddy’ego Karlssona lub mężczyzn jako takich. Ale w tym przypadku mordowane są kobiety.

– Kobiety z synami – skorygowała Blom. – Jej nie było dane zostać jedną z nich. Czy z pomocą Reinego nie próbuje ona zrekonstruować, odtworzyć brutalnych poczynań Eddy’ego Karlssona?

– Ale ona nie umarła. Kobiety, na które napuszcza Reinego, umierają, choć ich synowie niekoniecznie. Wobec tego należałoby to uznać za coś w rodzaju zastępczego samobójstwa. To znaczy, że ona też powinna była

umrzeć.

– Tyle że wówczas byłoby to depresyjne – odparła Blom – skierowane przeciwko życiu. A tymczasem oboje widzimy coś innego: pierwiastek seksualny, wręcz maniackalny element. Groteskowe potwierdzenie. Ekstatyczny rytuał. Jednym z jego elementów jest to, że Reine ma ją zaatakować, pociągnąć za sobą. Tak jak wtedy na schodach w Porjus.

– A potem zabójstwa kobiet? Nie wiem, czy...

– Masz klapki na oczach, Sam, zawsze je miałeś. Idealizujesz kobiety. My też jesteśmy zdolne do groteskowo złych uczynków. Im bardziej jesteśmy wolne, tym niebezpieczniejsze się stajemy.

Berger powoli pokiwał głową. To rzeczywiście była prawda.

Nagle zadzwonił telefon. Berger przełączył na głośnik i powiedział:

– Tak?

– To ja – rozległ się głos Deer. – To naprawdę tam było.

– Co było?

– Nagranie wideo naszego przesłuchania Reinego Danielssona. Popołudnie trzydziestego października dwa tysiące siódmego roku. Nagrałam ekran telewizora komórką, jakość jest do przyjęcia. Potem wyślę cały film, ale teraz przesłałam to, co jest ważne. Końcówkę przesłuchania. Dostaliście?

Berger sprawdził pocztę. Rzeczywiście był tam plik.

– Tak – odparł.

– Obejrzyj – powiedziała Deer. – Zostanę na linii.

Blom wstała i przeszła na drugą stronę stołu, do Bergera. Ten kliknął plik. Rozpoczął się film, Berger go zatrzymał, żeby się zorientować w sytuacji i perspektywie.

Pamięć nie do końca go zawodziła. Zobaczył cztery osoby siedzące przy stole w podłużnym biurze w hotelu w Orsie. Kamera wydawała się być nad ramionami jego i Deer, widać było głównie ich plecy. Po drugiej stronie,

z twarzą zwróconą do kamery, siedział dwudziestopięcioletni Reine Danielsson. Został uchwycony w chwili wzburzenia. Obok niego siedziała anonimowa pielęgniarka ze wzrokiem utkwionym w blacie stołu.

– *Tego nie wiem... Nie wydaje mi się...*

– *Jak to było, kiedy rysowałeś swoją czterolistną koniczynkę, Reine? Czy chciałeś spełnić jakieś życzenie?*

*Po raz kolejny Reine Danielsson się wzdrygnął, jakby rażony prądem, błędnym wzrokiem.*

– *Ja nie...*

*Deer się nachyliła, a kiedy zaczęła mówić, jej głos był cudem łagodności:*

– *Czy twoje życzenie się spełniło w szalasiu, Reine? Czy to właśnie był twój ostatni rysunek? Koniczynka? Gdzie ją narysowałeś, Reine? Jak to jest rysować na skórze? We krwi?*

*Reine Danielsson wstał, drżąc ze wzburzenia. Pielęgniarka także się podniosła i go objęła. Reine wyraźnie nie mógł wykrztusić ani słowa. Był blady, wszystko się w nim zablokowało.*

*Berger wstał. Podniósł prawą rękę, wyprostował palce wskazujący i środkowy, przez co dłoń wyglądała jak dwulufowy rewolwer. Wymierzył tę udawaną broń w Reinego i wydał odgłos wystrzału. Ręka podskoczyła do góry, jak pod wpływem odrzutu.*

*Pielęgniarka pokręciła głową i podniosła wzrok na Bergera.*

– *To było niepotrzebne – powiedziała.*

– *Lepiej mów o rzeczach, które potrafisz zrozumieć – odparł Berger.*

*Deer zarechotała. Na chwilę spojrzenie pielęgniarki pociemniało. To było niespodziewanie mocne spojrzenie.*

*Chwyciła Reinego za rękę i bez słowa go wyprowadziła. Berger opadł z powrotem na krzesło.*

– *I jak poszło? – zapytał.*

Film dobiegł końca. Berger gorączkowo włączył go jeszcze raz i ponownie obejrzał krótką sekwencję. Zatrzymał tuż przed tym, jak surowe spojrzenie pielęgniarki padło na niego. Pierwszy raz tak naprawdę zobaczył jej twarz.

– O ja pierdole – powiedział i poczuł, że blednie.

– Czy to... – zaczęła Blom.

– Jak cholera – odparł Berger. – To Lena Nilsson.

– Jesteś pewien?

– Jak cholera. To młoda Jessica Johnsson. Wtedy jej nie widziałem. Tak naprawdę.

Rozległ się trzask telefonu satelitarnego i dobiegł z niego głos Deer:

– To ona, prawda?

Blom zrobiła zbliżenie na zatrzymaną twarz pielęgniarki.

– Jest coś w tych oczach – stwierdziła.

– Tak – odparła Deer. – Nie była zachwycona tym, co powiedziałeś, Sam. Ani moim przeklętym rechotem. Jeśli na to spojrzeć z dystansu, widać, że rzeczywiście nie okazaliśmy mu szacunku.

– Uch... – odparł Berger. – Pamięć jest dobra w wybielaniu.

– Ja w ogóle nie pamiętałam tego pistoletowego gestu – przyznała Deer.

– Ja też – dodał Berger.

– Przesłuchiwaliliśmy morderców – powiedziała Deer. – I pozwoliliśmy im odejść.

– Ale oni was zapamiętali – oznajmiła Blom. – Popatrzcie na to spojrzenie. Ona w tej chwili notuje cię w pamięci, Sam. Osiem lat później Reine został przyjęty do psychiatryka jako Sam Berger, a Jessica wysłała list bezpośrednio do ciebie, Desiré. Mieli was długo na celowniku.

– Ale czego oni chcą, do cholery? – zawołał Berger. – Czego chce ode mnie Jessica?

– Nie wiem. Może zależy jej na publiczności, na silnym ojcu, na kimś, kto

wytyczy granice i ją zatrzyma. A może tylko chce się pochwalić. Nie wiem. Ale to ciebie przyszpiliła, Sam.

– Muszę to przemyśleć – oznajmiła Deer i zniknęła.

– Jeszcze raz – powiedziała Blom.

Puścili film ponownie. Bloom zatrzymała w połowie pytania Deer: „Jak to było, kiedy rysowałeś swoją czterolistną koniczynkę, Reine? Czy chciałeś spełnić jakieś życzenie?”.

– Przyjrzyj się teraz dokładnie Reinemu – powiedziała i uruchomiła film.

Reine Danielsson się wzdrygnął, potężnie, jakby go poraził prąd. Blom znów zatrzymała.

– Co się tutaj dzieje? – spytała.

Stół w sali przesłuchań zakrywał dolną część tułowia Jessiki i Reinego. A mimo to Berger odniósł wrażenie, że coś dostrzega.

– Masz w zwyczaju kłaść mi rękę na udzie, kiedy wiesz, że zaraz wybuchnę albo coś chlapnę.

– To się dzieje dość często – stwierdziła Blom. – Ale rozumiem, do czego zmierzasz.

– Podczas przesłuchania Reine od czasu do czasu się wzdrygał. Lena Nilsson nie tylko położyła mu rękę na udzie niepostrzeżenie dla nas, ale też go uszczypnęła. To powstrzymało Reinego w idealnej chwili. Wytresowała go, ale nie miała odwagi zostawić bez nadzoru. Siedziała tam, szara i niewidoczna, i dyrygowała nim.

– Sterowała rozmową z ukrycia? Wtedy miała już długi staż pracy z ludźmi z zaburzeniami psychicznymi i najwyraźniej potrafiła kierować niektórymi. Ale musimy się cofnąć jeszcze bardziej. Co wiemy o jej okresie dorastania w Rågsved?

– Nic – odparł Berger. – Tak naprawdę to nic.

– Była jedynaczką – oznajmiła Blom. – Ukończyła liceum w Huddinge.



Zaraz potem z nieznanых powodów wyjechała na rok do Stanów. Wróciła, zaczęła się kształcić na pielęgniarkę w Czerwonym Krzyżu, pracowała dorywczo na nocnych zmianach na oddziałach psychiatrycznych i opieki długoterminowej. Potem egzamin, praca w związku pielęgniarskim w szpitalu Świętego Jerzego, głównie na oddziale psychiatrycznym. Właśnie kiedy tam pracowała, poznała Eddy'ego Karlssona.

– Czy to było w szpitalu Świętego Jerzego? – spytał Berger. – Eddy był pacjentem?

Blom pokręciła głową.

– Być może Laura Enoksson z opieki społecznej wie więcej na ten temat, powinniśmy się z nią ponownie skontaktować. W każdym razie to wiosną dwa tysiące piątego Jessica Johnsson stała się Leną Nilsson. Dwa lata później nadeszła pora na Orsę. Pozwól mi trochę posurfować.

Berger pozwolił.

– Są tu dwa puste lata, które trzeba zbadać dokładniej – powiedziała Blom, dziko stukając w klawisze. – Tak, kiedy otrzymuje nową tożsamość, przenosi się do Falun i zaczyna pracować w ośrodku, w którym już są Karl Hedblom i Reine Danielsson. Owija sobie słabego Reinego wokół palca. Zna historię Karla z mamą i polanem, podkrada pomysł. Niedługo po Orsie w październiku dwa tysiące siódmego składa wymówienie. A mniej więcej miesiąc później Reine opuszcza ośrodek. Niewykluczone, że Reine zamieszkał u Leny Nilsson.

– Czy ona nadal mieszka w Falun? Jest bezrobotna? Ma nową pracę?

– Hm – mruknęła Blom, wpatrując się w komputer. – Teraz robi się ciekawie. Wkrótce dostała nową pracę, na oddziale psychiatrycznym w Skańskim Szpitalu Uniwersyteckim w Malmö. Pracowała tam, kiedy koleżanka Mette Hækkerup miała wypadek na E6. Jakies pół roku później dostała nową pracę w szpitalu uniwersyteckim Sahlgrenska...

– ... w Göteborgu – dodał Berger. – A więc mieszkała a Göteborgu, kiedy Lisa Widstrand została zamordowana w pokoju hotelowym w Gothia Towers?

– Tak. Kilka miesięcy później w tym samym dwa tysiące dziesiątym roku Lena Nilsson kupiła dom w Porjus i wygląda na to, że się do niego wprowadziła. Kiedy już mogła ponownie obrać swoją prawdziwą tożsamość, dom automatycznie przeszedł w posiadanie Jessiki Johnsson. Z tą chwilą z transakcji zniknęły wszystkie ślady Leny Nilsson.

– Czyli Reine mieszkał z nią w domu w Porjus? – spytał Berger.

– Pewnie mieszkał z nią też w Falun, Malmö i Göteborgu, choć nigdy go nie widziano. Mam tu nieco więcej na temat Eddy’ego Karlssona. Policja nie wiedziała, że wrócił z Tajlandii do Szwecji, bo zostałby aresztowany. To, co zrobił Jessice, zakwalifikowano jako ciężkie pobicie, a tego typu przestępstwa ulegają przedawnieniu po piętnastu latach. Dopiero po potężnym przedawkowaniu w piwnicy w Bagarmossen jesienią dwa tysiące jedenastego został zidentyfikowany jako Eddy Karlsson, włącznie z DNA. Zgadniesz, o jaki narkotyk chodziło?

– Zaczynam podejrzewać, że mogło chodzić o koktajl...

– Zgadza się – odparła Blom. – Koktajl metamfetaminy i fenazepamu. Eddy wstrzyknął sobie pięciokrotność dawki śmiertelnej. W czasie przesłuchania jego kolegi ćpuna wyszło na jaw, że Eddy przemycił spory ładunek tej mieszanki z Tajlandii. Według zeznań świadka powiedział: „Tym razem żadna cholera niczego mi nie podpieprzy”. Reszty zapasu nie odnaleziono.

– Ale dostarczano porcjami do Karla Hedbloma w Säter – powiedział Berger. – W końcu Eddy trochę się przydał Jessice...

– Mam przez to rozumieć, że już wcześniej kradła mu narkotyki? „Tym razem żadna cholera niczego mi nie podpieprzy”. Robiła to już wcześniej.

Może właśnie otrzymaliśmy odpowiedź na pytanie, z czego utrzymywała siebie i Reinego przez ten czas.

– Nie jest to niemożliwe...

– Nie wiadomo, jak znalazła Eddy'ego – powiedziała Blom i nachyliła się do monitora. – Informacja od lekarza medycyny sądowej: Eddy został wykastrowany.

– Wykastrowany?

– I to nie byle jak. Usunięto cały organ, wraz z przyległościami.

– Wariactwo. Ale to przecież powinno zaalarmować policję, prawda? Przecież w takim razie powinno być wyraźnie widać, że to morderstwo. Jessica powinna być podejrzana.

– Tylko że rany były zagojone, wszystko zdążyło się zabiżnić. Jediną przyczyną śmierci było przedawkowanie. Przyjęto, że wydarzył się jakiś wypadek podczas szalonych lat w Tajlandii. Można też dodać, że koledzy ćpuni nie widzieli Eddy'ego od paru miesięcy, a piwnica, w której go znaleziono, mieściła się w opuszczonym domu, w którym nigdy wcześniej nie byli.

– Czekaj – odezwał się Berger. – Od paru miesięcy?

Blom jęknęła.

– Wyobrażam sobie scenariusz zgodny z naszymi założeniami dotyczącymi natury Jessiki Johnsson...

Berger poczuł, że blednie.

– Ona i Reine porywają Eddy'ego, zaciągają go do opuszczonej piwnicy, przywiązują i powoli odcinają mu fiuta. To była tortura, ale przeprowadzona w kontrolowanych warunkach. Z pewnością nie obyło się bez transfuzji krwi, płynu infuzyjnego i antybiotyków, pewnie wszystkiego z wyjątkiem środków przeciwbólowych. Eddy'emu udaje się przeżyć, ale ból, który odczuwa, jest nieziemski, do tego dochodzi zespół abstynencyjny po odstawieniu

narkotyków. Jessica trzyma go przy życiu tak długo, by nie tylko rany zdołały się zagoić, ale też by powstały konkretne blizny. Dopiero wtedy podaje mu śmiertelną dawkę.

– Uch – wzdrygnęła się Blom. – Ostateczna zemsta.

– Jasna cholera – powiedział Berger wpatrzony w oba zdjęcia Jessiki Johnsson. W spokojną powierzchnię, pod którą szalało piekło.

– Można dodać, że to był jeden z momentów, kiedy Reine Danielsson wypłynął na powierzchnię. Zamknięty oddział psychiatryczny szpitala Löwenströmska. Ostra psychoza. Przyjęty pod własnym nazwiskiem.

– Z pewnością w piwnicy w Bagarmossen przeżył poważne załamanie – stwierdził Berger.

– Co się dzieje dalej, po Eddym? – kontynuowała Blom. – Wracają do Porjus, a w następnym roku przed nastaniem lata atakują Faridę Hesari w Täby. Faridzie jakimś sposobem udaje się uciec. Mijają kolejne dwa lata i mamy Växjö i rowerzystkę Elisabeth Ström. Tym razem udaje im się zadziałać z dużą precyzją. To było w ubiegłym roku. Tu zaczyna się eskalacja. Jessica od wielu lat próbowała cię wezwać, Sam. Musiała się wysilić nieco bardziej. Ponad miesiąc temu Jessica i Reine wybrali się do Sorsele, aby załatwić Andersa i zostawić kartkę z nazwiskiem „Berger”. W czasie tortur Reine doznał kolejnego załamania psychicznego i został przyjęty na oddział. Następuje kilka tygodni precyzyjnego planowania. W tym okresie Jessica pisze na maszynie jeszcze jeden list, choć tym razem adresuje go bezpośrednio do Desiré. Jednocześnie lokalizuje brzemiennej Serbkę Jovanę Malešević w Arjeplog. Jessica odbiera Reinego z ośrodka i korzystając z okazji, porywa Jovanę. Desiré dzwoni rankiem osiemnastego listopada i mówi, że wysyła dwójkę policjantów z NWO. Jessica podejrzewa, że jednym z nich możesz być ty. Musi zaznaczyć swoją obecność w Porjus, aby stworzyć wrażenie, że przez kilka godzin nie było jej w domu. Wszystko

ma wyglądać tak, jakby to ona zginęła, zaatakowana przez nieznanego sprawcę: jej DNA należy wszędzie zastąpić materiałem genetycznym Jovany. Szczotka do włosów, szczoteczka do zębów, odciski palców Jovany muszą być na jej maszynie do pisania. I wtedy o piętnastej pojawia się my. Jessica urządza końcowe przedstawienie i za wszelką cenę chce cię do niego wciągnąć, Sam.

– Kurwa mać – zaklął Berger.

– Po wszystkim wkładają zwłoki Jovany Malešević do kufra, zaciągają go do samochodu Andersa Hedbloma i znikają. Puff. Nie ma.

– Puff w rzeczy samej – odparł Berger. – Gdzie oni są? I jakie mają plany na najbliższą przyszłość?

Blom go obserwowała:

– Podejrzewam, że stawka ekscytująco wzrosła, kiedy się przedstawiłeś fałszywym nazwiskiem C. Lindbergh. Jessica zrozumiała, że nie jesteś już policjantem, ale nadal masz kontakt z Desiré. To sprawiło, że zabawa zrobiła się jeszcze ciekawsza. Ona naprawdę chce, żebyś ją ścigał.

– Mimo wszystko nadal nie rozumiem, co mam z tym wspólnego – odparł Berger. – Dlaczego ja?

– Przez to, co zobaczyliśmy na filmie – odparła Blom. – Bo tak ostro potraktowaliście Reinego.

– I tak nie bardzo rozumiem.

– Jessica Johnsson chce, abyś ją powstrzymał – odparła Molly Blom.

*Poniedziałek 23 listopada, godz. 13:27*

*Obserwator siedzi jak na szpilkach. Nie powinien – w końcu przez całe swoje dorosłe życie spędzał beznadziejnie rozwlekłe godziny na obserwacji. To dla niego codzienność. Wie o tym, zawsze w ten sposób zarabiał na życie.*

*Raz za razem obraca się sauera P226, nie pozwalając mu się zatrzymać. Nie wypada ani na prawdę, ani na wyzwanie.*

*A czas płynie.*

*Ma wrażenie, że z każdą chwilą jest gorzej. Jakby każda sekunda miażdżyła jeden czopek, odcinała jeden pręcik w gałce ocznej. Jakby nagle zaczęło mu się śpieszyć, dokładnie w chwili gdy jedynym wymaganiem jest zimna krew. Czuje, że naprawdę musi jeszcze raz zobaczyć Skalę Gibraltarską, z własnego tarasu we własnym domu, i naprawdę musi przestać być sam. Już ma dość samotności.*

*Domki widnieją na obu monitorach jak skamieniałe, zaklęte w czasie, zamienione w lód, a potem w kamień. Nic się nie porusza. Nic z wyjątkiem pistoletu na stole. Pistoletu, który nigdy się nie zatrzymuje.*

*Życie w absolutnej lojalności, wierności. Życie zbudowane na zasadzie, aby nigdy nie kwestionować rozkazów.*

*W pokoju jest bardzo zimno. Jakby był wbity bezpośrednio w oblodzoną*

*górze. Obserwator czuje się jak we wnętrzu góry na biegunie niedostępności i jest gotów w każdej chwili wybiec.*

*Niech czas płynie. On traci nad nim kontrolę. Nie da się już go mierzyć, liczyć. On zaś siedzi jak na szpilkach. Cały czas na szpilkach.*

*Coś musi się wydarzyć.*

*Jeśli nie, sam musi sprowokować jakieś wydarzenie.*

*Tak dłużej być nie może. Obserwator wystarczająco długo czekał.*

*Kiedy sig sauer p226 się kręci, on porządnie dopasowuje do dłoni cienkie skórzane rękawiczki. Przyciska. Pistolet nieruchomieje. Wskazuje monitory, kłujące w oczy nieobecnością mężczyzny i kobiety.*

*Tego dnia obserwator nic nie zapisuje.*

*Zamiast tego bierze pistolet i rusza do drzwi.*

## 29

*Poniedziałek 23 listopada, godz. 13:42*

Berger spojrział na zegarek. Siedzieli prawie w zupełnym bezruchu, czekali na odpowiedni moment. Zwyczajowe pełne napięcia aktywności się skończyły. Niemal wszystko rozgrywało się teraz we wnętrzu.

Nagle z dworu zaczęło dobiegać drapanie. Ich spojrzenia na chwilę się spotkały. Czekali, w pełnej gotowości. To był dziwny dźwięk, jakby coś się poruszało w ścianie.

A potem tylko cisza.

Blom zrobiła mały krok w bok, w stronę stołu. Byli teraz dwiema parami uszu, niczym więcej.

Dźwięk rozległ się znowu. Nagły, przeciągły, biegnący wzdłuż ściany, niewątpliwie bliżej drzwi.

Blom nabrała rozpędu, rzuciła się na stół, odgarnęła czerwony obrus i rzuciła Bergerowi pistolet. Kiedy dziwnie powoli obracał się w powietrzu, myśli Bergera przeszły zapisane na maszynie słowa Jessiki Johnsson: „Teraz znów słyszę ten odgłos. Szybkie szuranie, energiczne drapanie. Nigdy nie był tak blisko”.

Jak tylko Berger złapał broń, szuranie przeszło w wyraźne kroki na werandzie. Blom zdążyła już popędzić przodem, z uniesionym pistoletem.



Oboje wypadli na werandę, gotowi do strzału.

Nikogo tam nie zastali.

Weranda była zupełnie pusta.

Stojąc na prawie trzydziestostopniowym mrozie, przeczesywali wzrokiem cały teren. Jak okiem sięgnąć tylko biel. Czysta biel. Nic się nie działo, nie dało się wykryć żadnych właściwości.

Berger wybiegł na śnieg, minął miejsce, w którym brali prysznic. Słyszał za sobą Blom, słyszał, jak w każdej chwili go osłania. Był teraz za domkiem, a ona dotrzymywała mu kroku. Ani śladu. Okrążyli ostatnią ścianę – tam również nic nie było.

Wrócili, zatoczyli koło. Ciężko oddychali. Blom przyglądała się śniegowi przy nieforemnych śladach Bergera. Podeszła bliżej, przykucnęła.

Wskazała pistoletem. Berger nie widział kompletnie nic. Podeszedł bliżej, kucnął obok.

Wtedy dostrzegł ślad. Małe okręgi zbudowane z mniejszych, jak kwiaty na śniegu.

– Lis polarny – oznajmiła Blom. – Są prawie niewidoczne, maskują się na biało.

Berger nie był w stanie mówić. Patrzył na odległe przestrzenie. Wzrok nadal miał nieobecny.

Wrócili do domku, próbowali się pozbierać. W środku rozprzestrzeniało się ciepło, wyjątkowo ożywcze.

Nagle z komputera zaczęło dobiegać uporczywe, dudniące dzwonięcie. Spojrzenie Blom się zmieniło, coś przyszło jej do głowy. Na ekranie ukazała się starsza kobieta.

– Przecież mówiłam, że potrafię korzystać ze Skype'a – oznajmiła Laura Enoksson.

Berger usiadł obok Blom, poza zasięgiem kamery. Czuł, że się trzęsie.

– Ani przez chwilę w to nie wątpiłam – odparła Blom, starając się opanować drżenie szczęki. – Dziękuję, że zechciałaś ponownie się połączyć, Lauro. Mam jeszcze kilka pytań.

– Domyśliłam się – odparła Enoksson. – Strzelaj.

Berger spostrzegł, że Blom na sekundę zamyka oczy – wszystko wskazywało na to, że porządkuje chaotyczne myśli, rozważa. Głęboko. I szybko.

– Co wiesz o przeszłości Jessiki Johnsson? – zadała pytanie komputerowi.

– Niewiele – odparła Laura Enoksson. – To jedynaczka z Rågsved. Nigdy nie rozmawialiśmy o jej rodzicach, ale zauważyłam, że to delikatny rozdział.

– Kiedy jeszcze była nastolatką, na rok wyjechała do Stanów.

– O tej podróży także nie wspominała.

– Ani razu? Przecież byłaś przy niej, kiedy została pobita przez Eddy’ego Karlssona, musiałaś wielokrotnie siedzieć z nią oko w oko. W bardzo delikatnych momentach.

– Zgadza się – odparła Enoksson. – Mała Jessica. Biedna dziewczynka. Czasami miałam wrażenie, że musi wziąć na siebie całe zło, jakie ma do zaoferowania patriarchalne społeczeństwo. Nie było tego mało.

– Była zła?

– Zacięta. Jakby czekała na właściwy moment.

– Na właściwy moment? – odparła Blom.

– Nie potrafię tego dokładnie wyjaśnić – powiedziała Enoksson z ociąganiem. – Skierowała wszystko do środka, skumulowała w sobie. Ebba na pewno wie więcej na ten temat.

– Ebba?

– Musieliście przecież rozmawiać z Ebbą. Jej ciotką z Gällivare.

– Nie, nie znamy żadnej ciotki z Gällivare.

– Nazywa się Ebba Hult – poinformowała Laura Enoksson.

\* \* \*

Ogień w kominku nadawał baśniowy blask salonowi w małej kawalerce. Przez okno dało się dostrzec oświetlone białe kontury kościoła w Gällivare. Przed nimi na stoliku stały trzy parujące filiżanki gotowanej kawy i taca z siedmioma rodzajami ciastek.

Berger zamieszał kawę i podniósł wzrok na kobietę. Choć była po sześćdziesiątce i zupełnie posiwiiała, niektóre rysy jej twarzy przypominały Jessikę Johnsson. Tak samo jak uciekające spojrzenie i surowe oblicze.

– No więc, Ebbo – zaczął. – Opowiedz, co cię łączyło z Jessicą.

– Była moją siostrzenicą – odparła Ebba Hult. – Ale od jakiegoś czasu nie miałyśmy kontaktu. Nawet nie wiedziałam, iż mieszka w Porjus. Dopóki nie usłyszałam, co się stało.

– Ale dorastała u ciebie, w Rågsved?

– Tak, od ósmego do osiemnastego roku życia.

– Dlaczego nie mieszkała z rodzicami?

Ebba Hult się skrzywiła i wypila trochę kawy.

– Częstoście się – powiedziała i wskazała uginającą się tacę. – Nie mam zbyt wielu gości.

– Dziękuję – odparł Berger i wziął ciastko. Smakowało, jakby przez wiele lat było głęboko zamrożone.

Ebba Hult skinęła głową.

– Ja i moja siostra Eva przeniosłyśmy się razem do Sztokholmu na studia, to musiał być tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty trzeci. Ona została nauczycielką w przedszkolu, a ja logopedą. Poznała Ovego Johnssona i wyszła za niego w siedemdziesiątym ósmym. Dwa lata później urodziła im się Jessica.

– Ale ty nigdy nie wyszłaś za mąż?

– Przyznam się, że wolę towarzystwo kobiet – oznajmiła Ebba Hult

z lekkim uśmiechem. – Zwłaszcza jeśli alternatywą miałyby być taki Ove Johnsson.

– Czyli nie przepadałaś za mężem Evy?

Ebba rozłożyła ręce.

– Właściwie za bardzo nie było się do czego przyczepić. Ove był bardzo inteligentny, prowadził jakieś badania. Ale w zasadzie zawsze był nieobecny. I nigdy nie udało mu się zbliżyć do córki. A po katastrofie zniknął. Uciekł najdalej, jak się dało. Dostał posadę na uniwersytecie w Dunedin.

– Gdzie to jest?

– Na Wyspie Południowej w Nowej Zelandii – odparła Eva Hult z krzywym uśmiechem. – Naprawdę najdalej jak tylko można.

– W takim razie opowiedz o „katastrofie”.

Ebba Hult dobrą chwilę kiwała głową, a potem nią pokręciła.

– Wszystko wyglądało tak dobrze – powiedziała w końcu. – Żaden z wyników nie odbiegał od normy. Po ośmiu latach Jessica miała się doczekać braciszka. Eva szalała ze szczęścia... Tak długo się starali. Co o tym myślał Ove... to oczywiście pozostało tajemnicą. Nigdy nie rozmawiałam o tym z Jessicą, ale nic nie wskazywało na to, że poroni.

– Co się stało?

– Krwotok – odparła Ebba Hult. – Całkowite odklejenie łożyska, coś w tym rodzaju. Eva była sama w domu, nie miała szans zdążyć do telefonu. Znalazła ją Jessica. Miała osiem lat, chodziła z kluczem na szyi, wróciła ze szkoły i znalazła martwą matkę i martwego nienarodzonego brata pośród krwawej łaźni. Zaopiekowałam się nią, Ove zwiął do Dunedin, chyba nawet się nie pożegnał z córką. Wkrótce przyznano mi prawo do opieki.

Berger i Blom spojrzeli na siebie. Blom zamknęła oczy i skinęła głową, odezwał się Berger:

– Jak zareagowała na to Jessica? Pewnie odbyła terapię u psychiatry

dziecięcego?

– Tak – odparła Ebba Hult. – Oczywiście. Chodziła do terapeuty przez jakiś rok. Przy mnie była dziwnie zrównoważona.

– A później? Sprawowałaś nad nią opiekę przez dziesięć lat...

– Była spokojna – odparła Hult. – Nawet w okresie dojrzewania. Ale trzymała dystans. Coraz bardziej mnie odsuwała, aż nagle, w dniu osiemnastych urodzin, oznajmiła, że jedzie do Stanów Zjednoczonych. Była pełnoletnia, nie mogłam protestować. Poza tym sama zaczęłam się zastanawiać nad przeprowadzką z powrotem do Gällivare.

– Nie brzmi, jakbyście były sobie szczególnie bliskie.

– Myślę, że tak bliskie jak to możliwe w przypadku takich ludzi jak my. Ja miałam swoje tajemnice, ona pewnie miała swoje. Każda z nas trzymała się własnego terytorium, byłyśmy dość zamknięte. Na przykład nigdy jej nie powiedziałam, że jestem lesbijką.

– Ale czymś przecież musiała się interesować – stwierdził Berger. – Co robiła jako nastolatka?

– Interesował ją internet – powiedziała Ebba Hult. – W latach dziewięćdziesiątych dużo czasu spędzała w różnych *communities*. To chyba tam poznała kogoś, kto zwabił ją do Stanów.

– A przyjaciele? – spytał Berger. – Chyba musiała mieć wielu przyjaciół?

– Mówiła, że ma, ale w domu nigdy nikogo nie widziałam.

– A chłopcy? Partnerzy?

– Nikogo nie widziałam. Próbowałam kiedyś poruszyć ten temat, ale po prostu mnie zbyła.

– A potem Stany – rzekł Berger. – Dlaczego myślisz, że to miało coś wspólnego z internetowymi *communities*?

– To była jedna z nielicznych rzeczy, o których mówiła. Sposób, w jaki internet dał jej możliwość rozmowy z ludźmi takimi jak ona. Także z tymi ze

Stanów.

Molly Blom się pochyliła i po raz pierwszy zabrała głos:

– Co to za „ludzie tacy jak ona”? Czuła się wyjątkowa? W przeciwnym razie tak by nie powiedziała... W jaki sposób była wyjątkowa? Co to znaczy „ludzie tacy jak ona”?

– Szczerze mówiąc, w żaden sposób nie potrafimy wyczuć, kim była – wtrącił Berger. – Naprawdę spędziłaś z Jessicą dziesięć lat, dziesięć najbardziej kształtujących osobowość lat w życiu człowieka?

– Ona nie żyje – powiedziała cicho Ebba Hult. – Jakie to ma teraz znaczenie? Dajcie jej spoczywać w spokoju.

– Przeżyła coś nieprawdopodobnego – oznajmił Berger. – Jako ośmiolatka zupełnie niespodziewanie znalazła własną matkę martwą, skapaną we krwi. To na pewno zostawiło ślady, głębokie ślady. Musisz nam powiedzieć więcej, Ebbo. Ona nie spocznie spokojnie, jeśli będzie spoczywała w kłamstwie.

– Wasze rozstanie nie sprawia wrażenie szczególnie harmonijnego – stwierdziła Blom. – Jessica czeka do urodzin z ogłoszeniem, że zamierza jechać do Stanów. Sama, jako osiemnastolatka.

– Na pewno powiedziała, dlaczego chce jechać do Stanów – rzekł Berger. – Czy chciała tam spotkać „ludzi takich jak ona”?

– Tak przypuszczam – odparła Ebba Hult, patrząc w stół. – Mówiła, że chce zobaczyć rzeczywistość, nagą rzeczywistość. Nie ten warsztat pracy chronionej, w którym ją zamknęłam.

– Warsztat pracy chronionej?

– Jasne, że próbowałam jej bronić. Przeżyła coś, czego nie powinna przeżyć żadna ośmiolatka.

– Dałaś jej poczucie bezpieczeństwa, Ebbo? – spytała Blom. – Czy jedynie pustkę i ciszę?

Na pancerzu Ebby Hult nagle pojawiło się pęknięcie. Berger i Blom spostrzegli, jak pod metalową powłokę dostaje się przeszłość. A może to powłoka się topiła.

– Próbowałam! – krzyknęła i załamał jej się głos. – Naprawdę próbowałam. Nagle zostałam matką. Nie chciałam nią być, nigdy tego nie planowałam. Nie wiedziałam, co robić. Myślałam, że potrzeba jej spokoju.

– Nie mogłaś z nią porozmawiać? – spytała Blom.

– To było niemożliwe. Jakbyśmy mówiły w dwóch różnych językach.

– Mimo to musiałaś się dowiadywać, czego chce, prawda? Mimo wszystko czułaś, że to twój obowiązek jako opiekunki. Jaką „nagą rzeczywistość” chciała zobaczyć? Cóż to za „ludzi takich jak ona” musiała poznać? Na pewno zaglądałaś do jej komputera, kiedy nie było jej w domu. Przeszukiwałaś historię przeglądarki, żeby sprawdzić, do jakich *communities* należy. Co takiego, gdybyś miała to nazwać, nie pozwala jej spoczywać w spokoju?

– Naprawdę chciałabym, żebyście już poszli – powiedziała Ebba Hult łamiącym się głosem.

– Ale nie pójdziemy – odparł Berger – dopóki się nie dowiemy tego, czego musimy się dowiedzieć. I co, na szczęście, jest tożsame z tym, co musisz nam powiedzieć.

Ebba zaczęła kręcić głową. Łzy skapywały na stół, obok siedmiu rodzajów ciastek. Blom nachyliła się do niej, pogładziła ją po ramieniu i głośno, wyraźnie zapytała:

– Dlaczego Jessica pojechała do Stanów Zjednoczonych?

– Musiała poznać innych ludzi takich jak ona... którzy przeżyli poważną rodzinną traumę. Należała do *community* zrzeszającej ludzi, którzy w nadmiarze oglądali krew, krew z krwi... *blood from blood...* i do jeszcze jednego... o nazwie Absent Father. Stworzyła listę nazwisk i adresów

z całych Stanów.

– To brzmi wręcz... zdrowo – przyznała Blom. – Chciała spotkać innych ludzi w tej samej sytuacji, zobaczyć, jakie strategie przetrwania wypracowali. Z terapeutycznego punktu widzenia to się wydaje rozsądne. A więc nie to cię powstrzymuje. Co jeszcze zobaczyłaś w komputerze Jessiki?

Starsza kobieta nadal kręciła głową. Nic nie mówiła. Blom kontynuowała, bardzo łagodnie:

– Przez dziesięć lat Jessica żyła z koszmarami. Ogromnie się cieszę, że miała pozytywne plany działania, że... wobec braku rozmów w domu... znalazła innych ludzi w tej samej sytuacji, z którymi mogła porozmawiać. Ale było też coś destrukcyjnego, prawda, Ebbo? Może autodestrukcyjnego?

Ebba Hult wzięła kostkę cukru, włożyła ją między zęby i sięgnęła po filiżankę kawy. Powoli wylała trochę kawy na spodek, chwyciła go i zaczęła chłeptać ostygłą cieczą przez kostkę w ustach.

– Kawa na spodku – powiedziała z uśmiechem Blom. – Moja babcia też tak robiła. Czuję się wtedy bezpieczniej.

Ebba Hult przełknęła słodką kawę i posłała jej krótki uśmiech.

– Jessica była taka spokojna – powiedziała. – Prawie nic nie mówiła. Kiedy zobaczyłam jej historię przeglądania, zdałam sobie sprawę, jak wiele się działo za tą spokojną fasadą. W spokojnych wodach...

– Co takiego zobaczyłaś, Ebbo? – zapytała Blom spokojnie. – Co takiego dostrzegłaś w tych spokojnych wodach?

– Seks – odparła Ebba Hult.

– Ale nie taki zwyczajny, prawda?

– Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś podobnego. Ja też się ukrywałam, oglądałam po kryjomu lesbijskie porno. Ale to było coś zupełnie innego...

– Co takiego, Ebbo?



– Ona miała siedemnaście lat! – wybuchnęła Hult. – Nie powinna oglądać takich rzeczy. Nie powinna rozmawiać z tego typu ludźmi.

– Co to było?

– Nie wiem, jak to określić. Może słowem „dominacja”. Ostry seks, przemoc, podporządkowanie i dominacja.

Blom rzuciła szybkie spojrzenie Bergerowi. Był zupełnie neutralny, nie okazywał żadnych emocji.

– Czyli porno? – odezwała się w końcu. – Ale nie tylko? Także rozmawiała z ludźmi tego typu?

– To było *community*...

– Sado-maso?

– Można tak to nazwać... Szczególnie dużo rozmawiała z dziewczyną o imieniu Joy. A potem, kiedy wypełniała te skomplikowane formularze pozwolenia na przyjazd, na pracę i takie tam, wpisała Joy jako swoją osobę kontaktową w Stanach. Kiedy sobie pomyślę, o czym rozmawiały...

– Jessica starała się o pozwolenie na pracę?

– W czasach licealnych nie pracowała – oznajmiła Hult. – Ja zaś nie mogłam jej dać zbyt dużej kwoty. Zamierzała pracować w Stanach, to było raczej jasne.

– Skonfrontowałaś się z nią w tej sprawie?

– Tak... Nakrzyczałam na nią. Zapytałam, czy zamierza pracować w Stanach jako kurwa. Wstydzę się teraz za to, tak strasznie się wstydzę...

– Zamierzała pracować w Stanach jako kurwa?

– Nie sądzę, to po prostu mi się wyrwało. Joy miała kogoś, dla kogo mogłaby pracować. Sama pracowała tam przez jakiś czas. Nie wiem, co było potem.

– Jessica podała Joy jako osobę kontaktową w Stanach – powiedziała Blom. – A więc potajemnie oglądałaś jej formularze. Znalazłaś tam nazwisko

Joy?

- Nazywała się Joy Wiankowska i mieszkała w Hollywood.
- Hollywood w Los Angeles? W tym prawdziwym Hollywood?
- Tak, było tam napisane „Kalifornia”.

Blom demonstracyjnie odwróciła się do Bergera, ale kiedy spostrzegła, że ten już googluje na całego, pytała dalej:

– Jessica na pewno dzwoniła ze Stanów i prosiła o pieniądze, prawda? Czy wspominała wtedy o Joy?

– Tak, były *roommates*, współlokatorkami, w Hollywood. Potem minęło kilka miesięcy i odezwała się do mnie dopiero pod koniec pobytu. A wtedy już się tu wprowadziłam. Z Eleną.

– Z Eleną?

– Żyłyśmy w konkubinacie przez cztery lata – powiedziała Ebba Hult z lekkim uśmiechem. – Potem zachorowała na raka i umarła. Tam leży. – Ebba nikłym gestem wskazała kościół za oknem. – Na zimnie – dodała Hult. – Na mrozie. Podejrzewam, że Jessica spoczywa w podobnym miejscu.

– Tam, gdzie spoczywa, jest pewnie jeszcze zimniej – odparła Blom i zerknęła na Bergera.

Podniósł trzy palce.

Trzy Joy Wiankowskie. W Stanach? W Los Angeles? Sytuacja nie sprzyjała pytaniu. Blom skinęła mu zachęcająco głową.

Milczał, uznawszy, że lepiej będzie oddać jej głos. Może mimo wszystko czegoś się nauczył.

– Dziękuję, Ebbo – powiedziała Blom i nachyliła się do siwowłosej postaci. Szybko się uścisnęły.

– Mieliście rację – powiedziała Ebba Hult, a po policzkach spływały jej łzy. – Musiałam to powiedzieć. Musiałam to usłyszeć.

– Jeżeli masz wyrzuty sumienia z powodu Jessiki, Ebbo, to możesz

przestać. Mówię ci, że nie warto.

– Może chcecie zobaczyć zdjęcia? – zawołała Hult i osuszyła łzy. – Sama nigdy nie byłam szczególnie zainteresowana fotografowaniem, mam zaledwie jedno zdjęcie Eleny, ale Ove był, sama nie wiem, jak to określić, klinicznie zainteresowany robieniem zdjęć.

Wstała – wydawała się znacznie lżejsza, niż kiedy wpuszczała ich do środka – i pobiegła do drzwi w przedpokoju. Kiedy je otworzyła, ukazała się imponująca garderoba. Zniknęła w środku. Słyszeli, jak tam buszuje.

– Trzy Joy Wiankowskie w całych Stanach. Przy odrobinie szczęścia może nam się udać nawiązać z nimi kontakt już dziś w nocy.

Ebba Hult wyszła z garderoby z kartonem po butach w gotowości. Z hukiem spuściła go na stół, aż siedem rodzajów ciastek wzleciało w powietrze. Zdjęła pokrywę.

Zdjęcia w kartonie były klasyczne. Żadne nawet nie stało w pobliżu obróbki cyfrowej – wszystkie były pozółkłe i z całą pewnością wywołane w ciemni, leżały w kompletnym nieładzie.

Berger i Blom westchnęli, a jednocześnie wydali w duchu okrzyk radości. Berger wyjął prawie wszystkie i rozdzielił szaleńczo asymetryczny stos na dwie części. W międzyczasie Ebba Hult wzięła sobie jeszcze jedną starodawną kostkę cukru i włożyła pomiędzy wargi. Wypełniła spodek i rozpuściła kostkę cukru w mniej więcej stu mililitrach gotowanej kawy.

Berger przeglądał zdjęcia i widział, że Blom robi to samo. To były głównie zdjęcia noworodka, jakby po tym okresie fotograficzna pasja Owego Jonssona zanikła. Czasami pojawiały się zdjęcia starszego dziecka, bez wątplenia Jessiki Johnson w różnym wieku, w tradycyjnej scenerii. Midsommar, Boże Narodzenie, narty, słońce, kąpiele, piaszczyste plaże i rzadko ktoś inny niż Ove, Eva czy Jessica. Kilka razy, zawsze w tle, młoda Ebba Hult. Berger poczuł, że przegląda coraz szybciej, jakby coraz wyraźniej

widział, że w tym stosie nie będzie nic przydatnego. Spostrzegł, że Blom przyśpiesza w tym samym tempie. Mało brakowało, a przegapiłby to zdjęcie.

Przerwał i się cofnął. Patrzył.

Spostrzegł, że Blom znieruchomiała i go obserwuje. Odłożyła swój stos.

Przyjrzał się dokładniej zdjęciu. Lato było w pełni, słońce odbijało się w tle w czymś, co wyglądało jak jezioro karowe. Na pierwszym planie siedziało mniej więcej ośmioletnie dziecko. Z szerokim, choć nieco wymuszonym uśmiechem wyciągało coś do obiektywu.

Dziewczynka pokazywała czterolistną koniczynę.

Trzymała ją blisko, więc koniczyna wydawała się duża, prawie tej samej wielkości co uśmiechnięta twarz młodej Jessiki.

Berger pokazał zdjęcie Blom, a potem podał je Ebbie Hult. Ta wzięła je do ręki, obejrzała, pokręciła głową, obróciła.

– Nie wiem, kiedy i gdzie zostało zrobione. Ale coś jest napisane na odwrocie.

Chwyliła leżący na stole futerał na okulary, przez chwilę się z nimi zmagając, w końcu założyła na nos.

– Dziecięcy charakter pisma – oznajmiła. – Na pewno sama Jessica to napisała.

Przysunęła zdjęcie nieco bliżej twarzy.

– Litery są bardzo małe – oznajmiła Ebba Hult. – Trudno odczytać.

– Spróbuj – powiedział Berger, obserwując Jessicę i koniczynę.

Ebba podjęła próbę i w końcu przeczytała:

– „Kiedy ktoś znajdzie czterolistną koniczynkę, może pomyśleć życzenie... – Berger skinął głową, Blom skinęła głową i Ebba Hult dokończyła: – ...Nie chcę mieć żadnego młodszego brata”.

## 30

Wtorek 24 listopada, godz. 02:44

Zupa mięsno-warzywna – prawdopodobnie stanowiąca zagrożenie dla życia – została już dawno zastąpiona przez kawę. Czarną siekierę w rodzaju tych, które sprawiają, że człowiek nie może uniknąć czuwania przez całą noc. Siedzieli w domku Blom z oczami jak spodki i gapili się na pusty ekran komputera.

Śmiercionośna zupa mięsno-warzywna została poprzedzona postojem na stacji benzynowej pod Gällivare i kilkoma – o ile to możliwe – jeszcze bardziej śmiercionośnymi kiełbaskami, które smakowały jednak bosko. Potem Blom skoczyła do toalety, a Berger pośpiesznie wrócił na mróz. Trzymał się przy świeżo zatankowanym jeepie, odwrócony od kamery monitoringu, i oglądał film na komórce. Bardzo krótki film, na którym palec wskazujący tańczył po zestawie przycisków telefonu satelitarnego. Po chwili zadzwonił z tego samego telefonu.

- Tak, Sam? – odezwała się Deer w słuchawce.
- Pośpiech i *top secret* – oznajmił Berger. – Masz dostęp do „słupa”?
- Znowu to samo – westchnęła Deer. – Kolejne zwłoki?
- Co ty sobie o mnie myślisz? – zawołał Berger z nie do końca szczerym oburzeniem.

– Wszystko po kolei – odparła Deer. – O co chodzi?

– Potrzebuję kogoś, kto zadzwoni na komórkę i kogo nie można powiązać ani z tobą, ani ze mną. Chcę, aby ten ktoś uważnie słuchał, kto odbierze. Prawdopodobnie ta osoba się przedstawi. Jeśli to nastąpi, „słup” może coś po pijacku wybełkotać do słuchawki, żeby wyszło na to, że wybrał zły numer. Da się to załatwić?

– A ja oczywiście się nie dowiem, o co w tym wszystkim chodzi? – odparła Deer.

– Właśnie tak, dla twojego bezpieczeństwa – odparł Berger. – Da się to załatwić?

– Nie od razu.

– Kiedy tylko będzie można – rzekł Berger. – Odpowiedz mailem, nie inaczej. Poleć naszym starym szyfrem.

– Aha – odparła Deer. – A więc?

Berger podyktował wszystkie cyfry numeru telefonu i się rozłączył.

Berger i Blom siedzieli i szeroko otwartymi oczami patrzyli na monitor, który sprawiał wrażenie martwego.

– Już piętnaście minut po czasie – oznajmił Berger.

Patrzył na nią w ciemności, ale nie mówił nic więcej.

Czas płynął. Dwanaście minut, trzynaście. Czternaście.

Berger wypił jeszcze jeden łyk zimnej, czarnej jak smoła kawy. Płynęła do gardła równie ciężko i powoli jak sekundy w ciemnym domku.

– Ojciec – oznajmił Berger. – Ove Johnsson z Nowej Zelandii. Profesor neuroendokrynologii. Warto nawiązać kontakt?

Blom tylko pokręciła głową.

– Nie chcesz chociażby się dowiedzieć, co to jest neuroendokrynologia?

Jeszcze raz pokręciła głową, tym razem bardziej zdecydowanie.

Osiemnaście minut po czasie, dziewiętnaście.

– Miała osiem lat i była przyzwyczajona do życia jedynaczki – powiedział Berger. – Jej mama zaszła w ciążę, spodziewała się synka. Jessica znalazła czterolistną koniczynę. Mogła sobie życzyć czegokolwiek, a chciała nie mieć młodszego braciszka. Niedługo potem jej życzenie się spełniło, w najbardziej koszmarny z możliwych sposobów. Czterolistna koniczyna to znak, symbol zakłóconej przez Jessicę relacji matki i syna.

– Nie możesz być cicho? – odparła Blom.

Berger umilkł. Zgadzał się z nią.

Powinien być cicho.

Dwadzieścia dwie minuty po drugiej komputer zaczął uparcie dzwonić. Z pozoru martwy ekran rozświetliło okienko Skype'a, na razie złożone tylko z zakłóceń. Rozległ się głos:

– *Hello. Did I call the right number? Ms Blom?*

– *Yes* – odparła Blom. – *This is Molly Blom. We have a slight problem with the image. Is this Ms Wiankowska? Joy Wiankowska from Los Angeles?*

– *That's about right* – odparły paski i zaczęły pomału przybierać formę ludzkiej postaci.

Nagle pojawił się obraz. Pomarańczowy zmierzch rozświetlił pogrążony w mroku domek i pokazał, jak potrafi czasem wyglądać słońce. Sylwetka zaczęła się powoli rozjaśniać od środka. W końcu nabrała ostrości – zobaczyli kobietę trochę po czterdziestce, o nieco słowiańskich rysach. Przed nią stał wielobarwny drink o kilku warstwach. Pasował do tła – morza i zatapiającego się w nim słońca. Z lekko przesadzonym kalifornijskim akcentem Joy Wiankowska powiedziała:

– Jeśli dobrze zrozumiałam, gwarantuje pani, że nie będzie to oficjalne zeznanie na policji?

– Jestem prywatnym detektywem – odparła Blom z zupełnie nieoczekiwanym oksfordzkim akcentem. – Ani jedno słowo nie wyjdzie poza

mój gabinet.

– Nie żebym miała coś do ukrycia... – dodała kobieta.

– Tu nie chodzi o panią, *miss* Wiankowska. Interesuje mnie pani dawna przyjaciółka. Nie ma ryzyka, że cokolwiek z tego, o czym rozmawiamy, postawi panią w złym świetle.

– Dawna przyjaciółka? Szwedka? Przyjaciółka? Chodzi o Jessicę?

– *Exquisite deduction* – pochwalił Oksfordzki Głos. – O ile dobrze rozumiem, pani i Jessica Johnsson dzieliłyście pokój w Hollywood przez jakiś czas w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku. Czy to prawda? Obie byłyście młode, nawiązałyście kontakt przez internet, a pani pomogła Jessice w znalezieniu pracy?

– To było naprawdę dawno – odparła Joy Wiankowska, marszcząc czoło.

– Wiodłam wtedy inne życie. Otaczałam się niewłaściwymi ludźmi.

– Tak samo jak Jessica, miała pani dość trudną przeszłość – kontynuowała Blom. – Nie jestem odpowiednią osobą do potępienia moralnego, nie taki mam też cel. Jednak kiedy Jessica wyjechała ze Szwecji, podała panią jako osobę kontaktową w Stanach.

– O Boże, zgadza się. Sporo rozmawialiśmy w ramach *community*. W tamtych czasach nie potrafiłam znaleźć sposobu na poradzenie sobie z przeszłością. Rozmawiamy o czasach, od których dzieli nas ekstremalnie dużo godzin terapii.

– Proszę po prostu powiedzieć, co pani pamięta. Mogę do pani mówić po imieniu?

– Pewnie nie potrafi pani wymówić nazwiska Wiankowska – odparła ze śmiechem. – Nic nie szkodzi, Molly, sama już ledwo to potrafię. Wkrótce na szczęście będę się nazywała Cabot. Joy Cabot. Wtedy transformacja się dokona. Właśnie nad tym teraz pracuję na jednym z czterech balkonów Cabot Estate w Santa Barbara.



– Ty i Jessica Johnsson nawiązałyście kontakt przez internet?

– Tak jest – odparła Wiankowska. – Dzieliłyśmy pewne... zainteresowanie.

– Zainteresowanie?

– Czułyśmy się tak, jakby zwykła porządna seksualność nie była dla ludzi o naszej przeszłości.

– Traumatycznej przeszłości?

– Skąpanej we krwi, zgadza się. Wprawdzie miałam wrażenie, że Jessica jest raczej pozerką niż kimś, kto naprawdę szuka rozwiązania swoich problemów, ale i tak się zbliżyłyśmy w cyberprzestrzeni. Wtedy akurat zrezygnowałam z posady prywatnej sekretarki madame Newhouse i zaproponowałam, żeby Jessica zajęła moje miejsce.

– Kim była madame Newhouse?

– Od kilku lat nie żyje, ale pozostawała na obrzeżach jednego z najbogatszych rodów w Stanach. Znano ją jako organizatorkę najbardziej ekstrawaganckich przyjęć w Hollywood. Okazało się, że madame Newhouse doceniła Jessicę. To była spokojna, opanowana i zrównoważona dziewczyna. Jak powiedziałam, miała w sobie coś z ekshibicjonistki. Dostała pracę.

– Na czym polegała ta praca?

– Jak wspomniałam, była prywatną sekretarką madame Newhouse. Z wielką dokładnością dbała o jej prywatną działalność. Tą oficjalną zajmowała się duża agencja PR z Bel Air.

– Na czym polegała ta działalność?

– Prywatne imprezy – odparła Joy Wiankowska. – Nieoficjalne. Nie zawsze czyste.

– Muszę prosić, żebyś mówiła jaśniej, Joy – oznajmiła Blom.

Wiankowska się odwróciła i spojrzała na coraz intensywniej czerwony Pacyfik. Kiedy znów spojrzała w stronę monitora, jej mina była zupełnie

inna. Poważniejsza.

– Zapraszała ludzi na imprezy. Działała w nagraniach wideo, które z kolei działały jako zaproszenia.

– A co to znaczy „działała”?

– Sama spróbuj sobie wyobrazić, Molly.

– Ale chodziło o imprezy sado-maso?

Joy Wiankowska ponownie się odwróciła do ogromnego oceanu i śledziła ostatni fragment słonecznej tarczy znikającej za horyzontem.

– Można je tak nazwać – stwierdziła. – Jeśli chcemy ułatwić sobie życie.

– Musisz mówić jasno, Joy. Zaledwie kilka dni temu Jessica Johnson w szczególnie bestialski sposób zamordowała z lubieżności młodą ciężarną kobietę. Muszę ją odnaleźć. Ty możesz mi pomóc ją zrozumieć.

Na twarzy Joy Wiankowskiej nie zmieniło się wiele. Patrzyła prosto w ciemniejące niebo. Nie odwracała wzroku. W końcu wolno pokiwała głową.

– Czy to możliwe, że Jessica wykorzystwała... niewolnika?

– Niewolnika?

– Silnego, ale nieszczególnie bystrego mężczyznę, którym rządzi i kieruje? Czysto hipotetycznie?

Berger spostrzegł, jak twarz Blom zbliża się do monitora.

– Czysto hipotetycznie byłoby to bardzo możliwe.

Joy Wiankowska się skrzywiła.

– W czasie nieoficjalnych imprez madame Newhouse była sobą. Występowała jako najlepsza domina w Hollywood. Miała domowego niewolnika, Roba: bardzo silnego, ale cierpiącego na poważne zaburzenia człowieka, który reagował na jej najmniejszy kaprys.

– Kaprys?

– Zaproszeni wiedzieli, że obecność na nieoficjalnych imprezach madame

Newhouse wiąże się z ryzykiem, to była część tego dreszczyku. Każdy mógł ucierpieć z ręki Roba, mężczyźni i kobiety.

– Przemoc? Seks? Gwałty?

– Odpowiedź brzmi: tak – odparła Wiankowska. – Na *all of the above*. Wszystko, co tylko było w stanie przekroczyć wysoki próg apatii madame Newhouse.

– Próg apatii?

– Ogarnij się, Molly, nie jesteś dzieckiem. Co tylko mogło ją podjarać. W zasadzie przez cały czas była apatyczna i rozkręcenie jej wymagało sporo pracy. A wraz z nią rozkręcała się cała impreza.

– Prywatna sekretarka, powiadasz?

– Bez dwóch zdań. Ludzie, którzy tam przychodzili, mieli szczególne wymagania, wykraczające poza zwykły, konwencjonalny seks. Ale niekiedy człowiek widział zbyt wiele.

– Dotyczyło to również Jessiki?

Joy Wiankowska opadła na oparcie i zmarszczyła brwi.

– Właściwie to nie wiem. Wróć do słowa „pozerka” na określenie Jessiki. Chodzi o dystans, który sprawiał, że wszystko po niej spływało. Zastanawiam się, czy nie była bardziej zainteresowana wrażeniem, jakie robi, niż tym, czego właściwie doświadcza. Cały czas chodziło jej o bycie widzianą.

– Przez kogo?

– Każdego, kto mógł jej dać potwierdzenie. Dla większości z nas sadomasochistyczna gra była cholernie poważną sprawą. Nie jestem pewna, czy można to powiedzieć o Jessice. I nie jestem pewna, czy skończyła z tym, bo dla niej było za ostro. Raczej wyeksploatowała ten świat i była gotowa przejść do następnego, w którym otrzyma potwierdzenie w postaci figury ojca, który będzie ją potępiał moralnie i być może próbował powstrzymać.

– Figura ojca, powiadasz?

– Tak, miała silny kompleks na tym punkcie. Jakby zawsze jej brakowało kogoś, przeciwko komu mogłaby się buntować. O, słyszę niedający się pomylić z niczym innym rumor na schodach. To znaczy, że Grumpy, Happy, Sleepy i Bashful, moje dogi niemieckie, są w drodze na balkon. Kiedy już się skąpię w ślinie tych cudownych istot, na scenę wkroczy sam książę we własnej osobie, Barron Cabot. Żegnam, Molly. Mam nadzieję, że złapiesz swojego mordercę.

– Ostatnie pytanie – powiedziała Blom. – Jesteś szczęśliwa?

Joy Wiankowska głośno się roześmiała.

– Można chyba powiedzieć, że mój próg apatii jest dość wysoki.

Okienko Skype'a pociemniało. Tylko słabe, bardzo słabe światełko sączyło się do domku Molly Blom na szwedzkim biegunie niedostępności.

Siedzieli w milczeniu. W końcu na siebie spojrzeli. Z obu twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.

– Niech to szlag – powiedział w końcu Berger.

– Puzzle – odparła Blom. – W pewnym sensie nie cierpię, kiedy lądują na swoich miejscach.

– Rob – rzekł Berger. – I madame Newhouse.

– I figura ojca – dodała Blom. – Tatuś Sam Berger strzelający z ręki.

Nagle światło w domku przybrało na sile. Oboje spojrzeli na monitor, ale nic się na nim nie zmieniło. Berger wstał i podszedł do swojego komputera – on też był zgaszony. Blom razem z krzesłem przysunęła się do okna i spojrzała w nocne niebo.

Potem wstała i chwyciła Bergera za rękę. Pociągnęła go do drzwi. Otworzyła je i wyszli na małą werandę.

Niebo płonęło. Żółto-zielona wstęga sunęła szybko po nieboskłonie, jak ogromna zasłona drżąca na dzikim wietrze. Rozdzielała się, tańcząc, wkraczała w bardziej niebieską paletę kolorów, która potem przechodziła

w czerwień i wyginała się w ogromny łuk. Dało się słyszeć ciche trzaski, jeszcze słabsze zawrozenie i w końcu wstęga rozdzieliła się na promienie, zajmujące cały widzialny fragment nieba.

– Zorza polarna – wyszeptała Blom nabożnie. – *Aurora borealis*. Nigdy nie myślałam, że ją zobaczę.

Berger objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Także go objęła.

Stali tam przez okres niemożliwy do zmierzenia.

W końcu Berger spytał:

– W jakim my świecie wylądowaliśmy, Molly?

# 31

*Wtorek 24 listopada, godz. 10:07*

Najgorzej, że wyczuwała to w powietrzu.

Deer siedziała w swoim gabinecie w korytarzu NWO na komisariacie i czuła wyraźnie, że panujący spokój to cisza przed burzą.

A jednak nie mogła przypuszczać, jak wiele się wydarzy. Jednocześnie.

Komisarz Conny Landin, w tym krótkim okresie kiedy był jej szefem, robił zawsze zabawne wrażenie. Jednak kiedy otworzył drzwi, jego szeroka twarz sygnalizowała powagę, której nie spodziewałaby się znaleźć w jego katalogu uczuć.

Landin przeszedł od razu do rzeczy.

– Pracowałaś już wcześniej z Samem Bergerem, prawda?

Człowiek, który prowadzi podwójne życie jest w ciągłej gotowości. Kiedy w końcu zostaje zdemaskowany, pierwszą reakcją jest paradoksalna ulga. Dopiero druga fala uczuć niesie ze sobą myśl o konsekwencjach. Deer akurat była w trakcie drugiej fali, uświadamiała sobie, że jej rodziny pewnie nie będzie stać na dalsze mieszkanie w szeregowcu, kiedy dostrzegła, że wyraz twarzy Conny'ego Landina jest inny. Nie było w nim oskarżenia, lecz coś innego. Chodziło o Sama, ale nie o nią. Po raz kolejny poczuła dreszcz ulgi.

– Tak – odparła.

– A więc... – Landin podrapał się po głowie. – Jeśli chodzi o wcześniejsze ofiary z czterolistną koniczyną na pośladku, nad którymi pracowałam... Mette Hækkerup, Faridę Hesari, Elisabeth Ström... Dostałem informację...

– Co się stało, Conny?

– Dostałem anonimową wiadomość, jakoby w koszu miały się znajdować zaniedbane dowody. Materiały w sprawie Hækkerup są w Malmö, w sprawie Ström w Växjö, ale Hesari mamy w naszym magazynie. Zszedłem, zacząłem w tym grzebać i rzeczywiście znalazłem niezarejestrowany woreczek z dowodami... materiał biologiczny. Wysłałem go do analizy.

– Do analizy?

– DNA – odparł Landin. – DNA Sama Bergera.

– Czekał – przerwała Deer. – Co ty mówisz? Jaki materiał?

– Włosy – oznajmił Landin. – We krwi zmasakrowanej Faridy Hesari były włosy twojego dawnego kolegi. Policja z Täby nigdy nie włączyła tego do śledztwa. Moja teoria jest taka, że Sam Berger w jakiś sposób do nich dotarł i sprawił, że pominęli ten wątek. – Deer tylko się na niego gapiała, więc kontynuował: – Poprosiłem Malmö i Växjö, żeby się zapoznali ze starymi materiałami z postępowań przygotowawczych, i mam nadzieję, że wkrótce otrzymam odpowiedzi. Nie ulega jednak wątpliwości, że mamy do czynienia ze zgniłym eksglinierzem, w najgorszym przypadku z mordercą. Cholernie pięknie by to wyglądało: gliniarz seryjny morderca. A nam nie udaje się go schwytać. Jestem o krok od zawiadomienia jednostek w całym kraju. Desiré, jeśli wiesz, gdzie przebywa Berger, teraz jest dobry moment, aby to wyjawić.

– Nie mam pojęcia – odparła Deer. Czowała, że mięśnie jej twarzy nie są w odpowiednich miejscach.

Conny Landin poszedł. Deer siedziała w miejscu, nie mogła się ruszyć. Co to było? Musiała sobie poradzić z tymi informacjami, przetworzyć je. Jak bystra była tak naprawdę Jessica Johnsson? Nagle pomyślała o policyjnym

magazynie i o wyjątkowo nieprzyjemnym Robertssonie. „To zaczyna przypominać działalność przemysłową”, powiedział. Zamierzali ponownie otworzyć stare śledztwa. Czy Jessice udało się dołączyć do nich DNA Sama? A może prawda była prostsza? Czyżby Sam Berger był seryjnym mordercą?

Gówno prawda. Wiedziała, że musi go ostrzec. Nie miała jednak odwagi zadzwonić, to nie był dobry moment. Zaczęła pisać mail do zaszyfrowania: „Sam, musimy jak najszybciej porozmawiać. To ważne”.

Nie zdążyła napisać nic więcej, bo zaczął dzwonić jej nieoficjalny telefon. Spojrzała na wyświetlacz. Dzwonił Tompa, jej „słup”. Musiała odebrać, ale najpierw nacisnęła przycisk nagrywania.

Kilka minut później była już po rozmowie, która w każdej innej sytuacji wywołałaby u niej głęboki szok. Obecnie była tylko jak kilka małych fal zaburzających powierzchnię wody. Zapisała plik dźwiękowy, załączyła go do maila, który miał zostać zaszyfrowany, i pisała dalej: „Bardziej niż kiedykolwiek jest konieczne, abyś się przyznał. Ogólnokrajowe poszukiwania w toku, wyjaśnię potem. Poza tym dzwonił do mnie jeden z naszych wspólnych «słupów», rozpoznasz głos. Załączam plik dźwiękowy. O tym też porozmawiamy na spokojnie”.

Kiedy pisała, przyszedł mail. Przyciągnął jej uwagę. Był w nim numer telefonu. Zadzwoniła natychmiast. Czekać na odpowiedź, usunęła wiadomość.

– Tak? – odezwał się głos po kilku sygnałach.

– Mówi komisarz Desiré Rosenkvist z Narodowego Wydziału Operacyjnego policji. Właśnie dostałam mail. Dobrze się dodzwoniłam?

– Tak, dobrze – odparł przytłumiony kobiecy głos. – Fabryka dwutlenku węgla za kwadrans. Nie szukaj mnie, ja znajdę ciebie.

I tyle.

Deer spojrzała na telefon. Przez chwilę wpatrywała się w pustkę. Co



takiego mówił Sam? „Znowu jest za dużo pytań. Wyłączam się”. Deer poczuła, że bardzo niewiele brakuje, a sama się wyłączy. Wstała i poszła do drzwi. W połowie drogi w korytarzu zawahała się, wróciła, dokończyła mail, zaszyfrowała go i wysłała do Bergera. Następnie usunęła wszystkie ślady.

Wsiadła do samochodu.

Fabryka dwutlenku węgla, pomyślała. Wiedziała, że mieści się w starym okręgu przemysłowym Lövholmen, na obrzeżach Liljeholmen, w pobliżu Färgfabriken – fabryki farb, która od kilkudziesięciu lat była galerią sztuki. Minęła kilka mostów. Västerbron, Liljeholmsbron. W miarę jak się zbliżała do wody, industrialne wrażenia przybierały na sile. Właściwie dopiero fabryka dwutlenku węgla przełamała serię odnowionych przemysłowych fasad Lövholmsbrinken.

Mieściła się naprzeciwko Färgfabriken, właściwie nad samą zatoką Liljeholm. Na tle metalicznie szarego listopadowego nieba podupadłe budynki przypominały scenę z filmu postapokaliptycznego.

Zwykle wejście było zablokowane. Szła wzdłuż płotu, który wydawał się nie mieć końca, aż wreszcie znalazła dziurę, przez którą się przedostała. Odruchowo dotknęła palcami lewej części klatki piersiowej i wyczuła służbową broń, kołającą niczym dodatkowe serce.

Choć pewnie to jej własne serce kołatało tak mocno, że aż wprawiało w drgania broń.

Przy wejściu nagryzmołono *enter but beware*, a wszystko wokół pokryte było całym mnóstwem rupieci, aż wydawało się to wręcz estetycznie zaaranżowane. Jakby włączyła się w to Färgfabriken. Stara elektronika, igły, puszki farby, materace, zbutwiałe pisma pornograficzne. I nagle betonowy mur z drutem kolczastym.

Z coraz większą rezygnacją szła wzdłuż muru i nagle natknęła się na opartą o niego drabinę. Weszła, zeskoczyła po drugiej stronie i dotarła do

czegoś, co wyglądało jak główny budynek. Wskoczyła przez okno bez szyby.

W pierwszym pomieszczeniu na częściowo zbutwiałym stole stała do połowy spalona świeca, a obok leżał materac z kołdrą zeszywniałą w dziwnej pozycji – jakaś zaschnięta ciecz sprawiła, że częściowo przyrosła do ściany. Deer włączyła nagrywanie w komórce – uznała, że już na to czas. Dokładnie w chwili, kiedy uniknęła wpadnięcia do wielkiej dziury w podłodze, w drzwiach pojawiła się postać.

Deer wpatrywała się w nią przez chwilę, opuściła zamek błyskawiczny kurtki, nic więcej. W końcu ją rozpoznała.

– Farida? – rzekła. – Farida Hesari?

Krótko ostrzyżona kobieca postać puściła się biegiem. Deer popędziła za nią przez zaśmieczone korytarze i w końcu trafiła do bardziej otwartego pomieszczenia. Wiązki metalicznego listopadowego światła sączyły się przez szczeliny w dachu i oświetlały pustą przestrzeń, która wyglądała na niedawno oczyszczoną. Stały tam dwa krzesła. Farida Hesari usiadła na jednym, a Deer na tym naprzeciwno.

– Wyglądasz rześko, Farido – stwierdziła.

Farida Hesari prychnęła. Może to był śmiech.

– Naprawdę – kontynuowała Deer. – Wyglądasz na wysportowaną.

– Nigdy więcej nie będę się czuła bezbronna, tyle mogę powiedzieć. Jestem tu, aby opowiedzieć o tym, co się stało w lipcu cztery lata temu, i tylko po to. Chcesz posłuchać?

– Chcę – oznajmiła Deer.

– Słyszałam, że mnie szukasz. Czyżbyście przestali mieć w dupie to, że te chore skurwysyny są na wolności?

– Naprawdę nie mamy tego w dupie – zapewniła Deer. – Ale trudno było się z tobą skontaktować. Cztery lata temu czmychnęłaś na Filipiny i ślad po tobie zaginął.

– Mam opowiadać czy nie? – odparła Farida Hesari.

– Najpierw pytanie – rzekła Deer. – Byłaś w ciąży, kiedy to się stało?

– Robisz sobie ze mnie jaja, glino? Wykazały to próbki ze szpitala Danderyd i ty też o tym wiesz. Jestem tu po to, aby powiedzieć ci prawdę. Dlaczego próbujesz mnie oszukać?

– Przepraszam – odparła szczerze Deer. – Zastanawiałam się, czy tobie albo twojej dziewczynie udało się to jakoś ukryć. W tym przypadku ma to bowiem wielkie znaczenie. Ci dwoje atakują najwyraźniej tylko matki synów, aktualne lub przyszłe.

– Ja już miałam syna – oznajmiła Farida Hesari. – Chociażby tylko dla José Marii byłam zmuszona przetrwać to gównno.

– Nazywa się José Maria? – spytała Deer z uśmiechem.

– Na cześć José Marii Sisona – odparła Farida i niewykluczone, że na jej twarzy również zagościł cień uśmiechu.

– Rewolucjonisty z Filipin, zgadza się?

– Mądra glina – odparła Farida. – NDF to jedyna realnie działająca organizacja paramilitarna na świecie. Teraz, kiedy rządy terroru sprawuje ten wieprz Duterte, sytuacja na Filipinach jest gówniana.

– Twój syn José Maria nie został zarejestrowany w Szwecji, prawda? Nie ma chociażby szwedzkiego numeru identyfikacyjnego. Czy to znaczy, że przyszedł na świat poza szwedzkim systemem? Jak w takim razie Jessica się dowiedziała, że masz syna?

– Jessica? Tak miał na imię ten potwór?

– Myślałam, że to Reine jest potworem.

– Reine to gównno, nie potwór. Ten wielkolud był tylko przedłużeniem jej ramienia. Albo innej części ciała, którą sobie wybierzesz.

– Zaraz do tego przejdziemy. Mieszkaliście w centrum Täby, prawda? W jednym z tych wielkich półkolistych bloków?

– Tak, w Grindtorp. Na Meteorvägen.

– Ukrywałaś się przed rodziną, prawda? Byłaś zagrożona?

– Religia jest opium dla ludu – oznajmiła Farida Hesari. – Moja rodzina wyznaje złą wiarę. Patriarchat i religijność w wybuchowej mieszance.

– Mimo wszystko chodziłaś w ciągu dnia po Grindtorp z José Marią? Pokazywałaś się publicznie?

– Tak cholernie długo się ukrywałam. Miałam osiemnaście lat, kiedy Ritva i ja postanowiłyśmy mieć dziecko. Rewolucyjny towarzysz, zresztą adoptowany z Filipin, dał nam nasienie. Oprócz towarzyszy nikt nie znał Ritvy. Ukrywałam się w jej mieszkaniu w Grindtorp. Przez cały rok siedziałam w domu. Urodziłyśmy dziecko same, siłami natury. Potem rzeczywiście zaczęłam chodzić z wózkiem po dworze. Nikt mnie nie znał – nie ma lepszego miejsca w Szwecji, jeśli komuś zależy na anonimowości.

– Jessica musiała cię wtedy zobaczyć – powiedziała Deer. – Całe szczęście, że nie wzięłaś ze sobą José Marii, kiedy tego lipcowego poranka poszłaś kupić papierosy.

– Teraz to rozumiem. – Farida pokręciła głową. – Uważam, że moja rodzina jest chora, ale to naprawdę nic w porównaniu z tymi perwersyjnymi kapitalistycznymi świniami. Klasyczne pieprzone podporządkowanie.

– Czy to się wydarzyło w niedzielę rano, Farido?

– Tak, w Grindtorp było zupełnie pusto. Wiedziałam, że będę musiała długo szukać otwartego sklepu. Ale nie zaszłam daleko. Ona siedziała na ławce kilka klatek dalej. Miała długie jasne włosy, uśmiechnęła się do mnie i spytała, która godzina. Usłyszałam za plecami jakiś dźwięk, coś w rodzaju gwizdu, ale było już za późno. Przez sekundę czułam cholerny ból głowy, a potem wszystko zrobiło się czarne.

– Dostałaś w głowę – powiedziała Deer. – Wiesz, czym?

– Polanem – odparła Farida. – Wkrótce miałam je poznać lepiej.

– Mów dalej, jeśli możesz, Farido.

– To dlatego tu jestem. Jessica i Reine? Klasyczne ładne szwedzkie imiona...

– Prosto z ulicy – odparła Deer z krzywym uśmiechem.

– Obudziłam się w piwnicy – kontynuowała Farida. – Siedziałam przypięta takimi plastikowymi taśmami, które się zaciska, na krześle, które musiało być przytwierdzone do podłogi. Byłam goła. Ściany i sufit pokrywało coś w rodzaju wełny z włókna szklanego, ale było też okno z bardzo grubą szybą. Na poziome gruntu, wychodzące na coś, co wyglądało jak las. Pokryto je jakby grubą zasłoną, ale do środka wpadało trochę światła. I było widać drzewa.

– Co się działo, kiedy się ocknęłaś?

– Tam był stolik. Na stoliku leżały duży nóż i polano. Była też kanapa. Siedzieli oboje na kanapie. Ledwo widoczni w ciemności.

Farida umilkła. Spojrzała na pęknięcia w suficie. Światło sączące się do fabryki dwutlenku węgla było lodowato neutralne. Nie oceniało ani żywych, ani umarłych.

– Siedzieli spokojnie – ciągnęła Farida. – Zaczęło się dopiero po moim obudzeniu. Jakby w tym momencie kurtyna poszła w górę. Najpierw zobaczyłam ją, zrywającą sobie włosy z głowy.

– Zrywającą włosy?

– To była peruka, blond peruka. Pod nią miała brązowe włosy, ostrzyżone jakby na pazia. Potem opadła do tyłu na kanapie, z powrotem w ciemność.

– W ciemność? To znaczy, że było tam oświetlenie?

– Kiedy się nachyliła, zobaczyłam ją, a kiedy się odchyliła, zniknęła. Myślę, że to miało związek z zasłoną w oknie. Oświetlenie? Tak, myślę, że było. Krew spływała mi do oka, widziałam ich jakby przez czerwoną mgłę.

– Co robili?

– Nie wiem dokładnie. Byli nadzy. Sofę pokrywała folia, po jakimś czasie spostrzegłam, że podłogę też. Pamiętam odgłos ich pośladków ocierających się o folię...

Deer głęboko westchnęła. Chciała już przestać. Chciała cieszyć się życiem, zrezygnować, pomyśleć o rodzinie, o swojej cudownej córce Lykke, poświęcić trochę czasu na ponowną próbę pojednania się z nieskończonym szaleństwem świata. Tak jak to robiła wiele razy wcześniej. Zamiast tego zapytała:

– Co się stało potem?

– Rozmyte ruchy – oznajmiła Farida Hesari. – Wyglądało jak seks, ale nie wiem.

– Reine miał erekcję?

– Całe wariactwo polega na tym, że nie wiem. Wszystko przebiegało jakby za ekranem.

– Musiała chyba coś mówić?

– Nigdy ze mną nie rozmawiała. Ale jemu mówiła, co ma ze mną zrobić...

– Chodzi o czynności seksualne?

– Nie. To znaczy, myślę, że był impotentem... Mówiła mu, jak ma mnie bić, na przemian traciłam i odzyskiwałam przytomność. Cholernie bolało.

– Mówiła mu, że ma cię bić?

– I jak. Mówiła jak. To pamiętam. Za którymś razem naprawdę odpłynęłam. Myślałam, że umieram. Pamiętam, że wykrzykiwałam imię Ritvy i José Marii. Byłam szczęśliwa, że to ostatnie, co pada z moich ust w tym zgniłym, zasranym życiu. Dało mi to coś w rodzaju pojednania z tym głównym.

– Ale znów się obudziłaś?

– Obudziłam się i poczułam, że jestem wolna, tymczasowo wolna. Nogi były swobodne i uniesione ku górze. Co dziwne, to ona je uniosła. On robił

wtedy coś zupełnie innego.

– Trudno o tym mówić?

– O wszystkim trudno mówić. Rysował mi na tyłku długopisem.

– To on rysował? Nie ona?

– On. Ten jeden raz wydawał się zadowolony. Ale nie mam pojęcia, co takiego rysował.

– Czterolistną koniczynę – odparła Deer lekko zdumiona. – Co było potem?

– Ona powiedziała coś o nożu. Uniosła go, wymierzyła we mnie. Zobaczyłam ostrze zagłębiające się w moim ramieniu. Po kilku sekundach poczułam ból. Tymczasem w ciemności działy się różne rzeczy, znów widziałam te ruchy. Widziałam, jak płynie moja krew. Jeszcze raz uniósł nóż. Ważne było to, abym zobaczyła, jak to robi. Gdyby była jeszcze jakaś szansa.

– Mów, dopóki dasz radę, Farido – powiedziała Deer. Czuła, jak jej dłoń drży na kolanie.

– Znów się obudziłam – rzekła Farida. – Nie wiem, ile czasu minęło tym razem, ale zobaczyłam, że na dworze jest ciemno. Znowu. Widziałam swoje ciało i to, jak bardzo jest zakrwawione, być może do środka wpadało światło księżyca. Odjeżdżałam. Ona spała na kanapie, słyszałam, jak chrapie, ale on czuwał, gapił się na mnie. Zaczęłam go prosić, pamiętam, jak prosiłam ze wszystkich sił, aby mnie uwolnił, prosiłam i błagałam. I on rzeczywiście wstał, nie budząc jej, podszedł, spojrzałam mu w oczy, a one nie były tak martwe, jak myślałam, coś w nich się tliło, życie, może nawet jakaś cholerna życzliwość pośród tego całego szaleństwa, no i chwycił nóż, ale nie w taki sam sposób jak wcześniej, nie żeby mnie zranić czy zabić, tylko żeby... nie wiem, może mi się to śniło... raczej żeby mnie uwolnić, a nie ugodzić, ale wtedy ona się obudziła, usiadła gwałtownym zrywem i ryknęła coś, co dopiero teraz rozumiem jako jego imię... wrzasnęła „Reine”, a on się cofnął,

przygarbił plecy i zmienił ułożenie noża w ręce: narzędzie znów było agresywne, jakby ukierunkowane na atak, a ja to rozpoznałam... w końcu od cięży sporo trenowałam sporty walki... i wiedziałam, że mam jedną jedyną szansę i to w momencie, kiedy będzie trzymał go tuż nad nadgarstkiem... no i ten moment nastąpił, nóż dotarł w to miejsce, rzuciłam się do przodu ze wszystkich sił, opuściłam to cholerne ostrze sobie na nadgarstek... pamiętam, że odciął kawałek mięsa, ale też przeciął tę cholerną plastikową opaskę, udało mi się złapać nóż, zabrałam mu go prawą ręką, uniosłam i bardzo mocno uderzyłam go rękojeścią w szyję, poleciał do przodu, na mnie, ja błyskawicznie przecięłam także drugą opaskę i uderzyłam go jeszcze raz w kark, rozległ się trzask, Reine poleciał dalej, jakby spłynął mi po nogach i leżał, ona wstała, zaczęła się wydzierać, a ja się pochyliłam, czułam, że wszystko ze mnie wypływa, ale sięgnęłam do stóp i rozciąłam również tamte opaski, wstałam, uderzyłam go piętą w kark, wcisnęłam piętą w to plastikowe gówno, a ona ruszyła na mnie... ale miałam nóż i pobiegłam na piętro. Syczała na mnie jak oszalałe zwierzę, jakby się zgrywała. W drzwiach do piwnicy był klucz. Przekręciłam go i zabrałam. Rzuciłam nożem prosto w nią, wybiegłam i zamknęłam za sobą drzwi. Przeszukiwałam pogrążony w ciemności dom i znalazłam główne drzwi. Tuż za nimi był las. Biegłam, dopóki nie upadłam, a pomiędzy gałęzie drzew spływały pierwsze promienie lipcowego słońca. Popatrzyłam na siebie, byłam czerwona od krwi. Nawet kiedy ten mały chłopak w śmiesznym uniformie, z bielszą twarzą niż kiedykolwiek widziałam, gapił się na mnie i obiema rękami zasłaniał usta, nie sądziłam, że przeżyję.

Farida Hesari umilkła. Była w pozycji stojącej – wstała w pewnym momencie w czasie opowiadania, choć Deer tego nie zauważyła. Wszystko zeszywniało, cały obraz z wnętrza fabryki dwutlenku węgla zamarznął.

Deer wstała. Trochę nieporadnie wyciągnęła ręce do Faridy. Stały tak



przez pewien czas. Deer czuła, jak łzy spływają jej po policzkach, i nie miała najmniejszego zamiaru ich ocierać.

Po chwili Farida Hesari wpadła jej w ramiona. Były przytulone bardzo długo. Otoczone światłem, pokonały jego lodowatą obojętność. Nie chciały się od siebie oderwać.

Kiedy już miały się rozdzielić, Farida wyszeptała:

– Kłamałam.

Deer nadal trzymała ją w ramionach, czule, patrzyła na nią. Znow się przytuliły, tym razem jakby bardziej praktycznie.

– Kiedy kłamałaś, Farido?

– To on mnie odciął – wyszeptała Farida. – Uwolnił i wypuścił. Ona przez cały czas spała.

Deer zamknęła oczy.

Tak było.

Żadna aktywność ninja nie byłaby możliwa w stanie, w którym się ocknęła. Okłamała samą siebie. Deer wyszeptała:

– Powiedział coś? Wydarzyło się coś wartego zapamiętania?

– Nie – odszepnęła Farida. – Milczał. Chyba przez cały czas. Ale miał w oczach coś przyjaznego.

Deer lekko się cofnęła.

– Farido, mam nadzieję i czuję, że mimo wszystko masz już to za sobą. Że po drugiej stronie jest życie.

– Ale nie tu – odparła Farida. – Nie w Szwecji. José Maria został w Manili. To tam toczy się teraz nasze życie. Choć niedługo pewnie się przeprowadzimy na jedną z wysp. Wróciłam tylko dla tej sprawy.

Deer podniosła wzrok na sufit.

– Sama trafię do wyjścia.

Zostawiła Faridę w trzewiach fabryki. Farida wydawała się naprawdę

malutka. A mimo to świeciła jakby wewnętrznym światłem.

Deer ruszyła do drzwi zaniedbanymi korytarzami. Kiedy zobaczyła stół z do połowy wypaloną świecą i materac z zeszywniałą kołdrą, doszła do wniosku, że okno, przez które weszła do środka, jest niedaleko. Szarawe światło, które przez nie wpadało, było jak pocieszenie.

Deer zrobiła jeszcze kilka kroków. Nagle usłyszała za plecami stukot i gwizd.

A potem wszystko zrobiło się czarne.

*Wtorek, 24 listopada, godz. 12:47*

Gdzie byli Jessica Johnsson i Reine Danielsson?

To było wszystko, co musieli wiedzieć.

Wszystko.

Berger, najintensywniej jak potrafił, wczytywał się we wszystkie dostępne materiały z postępowania przygotowawczego. Prędzej czy później coś się pojawi, myślał, wkrótce usłyszy znajomy dźwięk zapalającej się żarówki w głowie.

Blom zajęła się czymś bardziej konkretnym. Drukowała zdjęcia. Wycinała je, kleiła, podchodziła do ściany i przypinała.

– Co robisz? – zapytał Berger.

– Gromadzę zdjęcia ofiar – odparła Blom, przyczepiając niedawno wydrukowaną fotografię. – Z czasów, kiedy zostały zaatakowane. Chyba się zbliżam do wniosku końcowego.

– Poinformuj mnie, kiedy już tam dotrzesz – powiedział Berger.

Czytał nieprzerwanie co najmniej od kilku godzin. Tęsknił nawet za śmiercionośną zupą mięsno-warzywną. Komputer wydał dźwięk – był to mail opóźniony z jakiegoś powodu, wysłany już o dziesiątej dwadzieścia cztery. To go zdenerwowało.

Otworzył. Nadawca był zaszyfrowany. Mail też. Odszyfrował go, zobaczył, że nadawcą jest Deer, i zaczął czytać:

*Sam, musimy jak najszybciej porozmawiać. To ważne. Bardziej niż kiedykolwiek jest konieczne, abyś się przyczaił. Ogólnokrajowe poszukiwania w toku, wyjaśnię potem. Poza tym dzwonił do mnie jeden z naszych wspólnych „słupów”, rozpoznasz głos, załączam plik dźwiękowy. O tym też porozmawiamy na spokojnie. Teraz muszę odwiedzić jedno miejsce, dam znać, jak poszło. // Deer.*

Berger wpatrywał się w wiadomość. „Ogólnokrajowe poszukiwania”, pomyślał. Kogo? Jego? Sama Bergera? Jeśli tak, to po jaką cholere? Co tu się wyprawiało?

Musiał odłożyć pytanie na później, nie dało się tego pojąć. Zamiast tego przyjrzał się załączonemu plikowi dźwiękowemu. Wyjął słuchawki, włożył je do uszu i uruchomił nagranie.

Rozległ się głos Deer:

– Tompa, wykonałeś telefon?

– Tak, do cholery – odparł zniszczony głos. – Sten?

– Jaki Sten?

– Stentegowany Sten. Stentor, do diabła. Wiesz w ogóle, kto to był Stentor? Stary Grek. Mówiła mi o nim sąsiadka, chyba jest profesorką. Coś takiego. „Herold Greków w wojnie trojańskiej miał tak mocny głos, że potrafił przekrzyczeć pięćdziesięciu mężów”. To ty, Desiréééééééé. Stentorowy głos jak jasna cholera.

– Nic z tego co mówisz, nie jest zrozumiałe, Tompa.

– Zadzwońłem pod ten jebany numer. Ten, który odebrał, powiedział: „Sten”. A ja na to: „Jaki Sten?”. To ze Stentorem przyszło mi do głowy później. Myślałaś kiedyś o tym, że najmądrzejsze rzeczy zawsze przychodzą do głowy za późno?

– Okej, no i?

– Odchrząknął i powiedział: „Mówi Ooogust Sten, z kim rozmawiam?”. A ja zaśpiewałem na całe gardło piosenkę klubową Hammarby, tak, że ten główniany telefon prawie się rozsypał.

Plik dźwiękowy dobiegł końca.

Berger zamknął oczy i przesłuchał go jeszcze raz.

Stentor, pomyślał. Sten.

Nie Ooogust Sten.

Tylko August Steen.

Szef wywiadu w Säpo.

Siedział w kompletnym bezruchu. Przepływał przez niego rozżarzony smutek.

Osobą kontaktową Molly w Säpo był August Steen.

Szycha stojąca za śmiercią Strzały.

Zadzwoniła do niego dopiero wczoraj. I otrzymała dostęp do nowej tożsamości Jessiki Johnsson.

Najwyraźniej była mu bardzo bliska.

Całe ich życie w tym miejscu było zbudowane na kłamstwie.

Jakkolwiek nie miał na to ochoty, przyszedł czas na konfrontację.

Wyjął słuchawki, wyciągnął komórkę i włączył krótki filmik, na którym palec Blom tańczył na przyciskach telefonu satelitarnego. Nie próbował nawet tego ukryć. Nawet wyciągnął do niej rękę.

W tej samej chwili zadzwonił leżący pomiędzy nimi telefon stacjonarny. Berger cofnął rękę z komórką, a Blom kliknęła głośnik i odebrała.

– Tak?

– Tak, halo – rozbrzmiał męski głos. – Nie wiem, czy dobrze się dodzwoniłem. Czy rozmawiam z inspektor Evą Lundström?

– Tak jest – odparła Blom.

– Mówi doktor Andreas Hamlin z kliniki psychiatrii sądowej w Säter. Nie wiem, czy mnie pamiętasz.

– Tak, tak – odparła Blom. – Człowiek z iPadem z Säter. W czym sprawa?

– Prosziliście, abym się odezwał, kiedy się pojawią nowe przesyłki dla Karla Hedbloma. Dzisiaj jedna przyszła.

– Otworzyliście ją? – spytała Blom bliżej telefonu.

– Tak, z wielką ostrożnością – odparł Andreas Hamlin. – W pustej złożonej kartce A4 był biały proszek, wysłaliśmy go do analizy. Myślę, że oboje wiemy, co to jest.

– Mieszanka metamfetaminy i fenazepamu – odparła Blom. – Ważne, aby potraktować to z najwyższą kryminalistyczną ostrożnością i natychmiast wysłać do NCK.

– Zaraz nadam przesyłkę ekspresową – oznajmił Hamlin.

– Czekał – odparł Berger. – Mówi Lindbergh, drugi policjant, z którym się spotkałeś w Säter. Czy na kopercie jest stempel pocztowy?

Rozległ się wyraźny dźwięk odwracanej koperty.

– Tak – powiedział Andreas Hamlin. – Zwykle znaczki i stempel. Ale nie ma nadawcy.

– Na stemplu widnieje data?

– Trochę nieczytelna, ale jest. Dwudziesty trzeci listopada. Czyli wczoraj. Berger i Blom wymienili spojrzenia.

– Czy jest informacja, skąd nadano przesyłkę? Na tym stemplu? Nazwa miasta?

– Tak, widzę jakiś napis. Zobaczmy. Skogås. Nawet nie wiem, gdzie to jest.

– Ale ja wiem – oznajmił Berger i przerwał kliknięciem połączenie z Säter. Wstał i wskazał Blom. – Deer mieszka w Skogås – powiedział. – Kurwa mać. Ta pieprzona Jessica Johnsson zawiadamia, że zamierza

sprzątnąć Deer.

Blom wyglądała na przejętą. Podeszła do ściany i patrzyła na rząd portretów. Zdjęła trzech mężczyzn: Rasmusa Gradéna, Eddy'ego Karlssona i Andersa Hedbloma. Została seria kobiet. W jej skład wchodziły Helena Gradén, Mette Hækkerup, Lena Widstrand, Farida Hesari, Elisabeth Ström i Jovana Malešević. Wszystkie miały ciemne średniej długości włosy, a fryzury były różnymi wariantami pazia.

Blom wróciła do stołu i zaczęła grzebać w pudełku po butach. Wyciągnęła poźółkłą fotografię, wróciła do ściany i wskazała zdjęcie przedstawiające ośmioletnią Jessicę Johnsson z czterolistną koniczyną. Tuż pod nim przypięła zdjęcie tej samej dziewczynki, nieco młodszej i siedzącej na kolanach swojej mamy Evy.

Mama Jessiki – Eva Johnsson z domu Hult – w chwili śmierci miała ciemne, półdługie włosy i była ostrzyżona na pazia.

Berger wyciągnął komórkę i drżącą ręką wyświetlił zdjęcie, na którym gawędził z byłą koleżanką. Ta koleżanka nazywała się Desiré Rosenkvist i miała ciemne półdługie włosy.

Ostrzyżone na pazia.

– A jeśli im nie zależy na tobie, Sam? – powiedziała Blom ochrypłym głosem. – Jeśli Desiré zrobiła w Orsie równie mocne wrażenie?

Cisza panowała jeszcze przez kilka sekund.

Cisza wywołana tą przerażającą myślą.

Potem aktywność nabrała rozpędu.

– Maile i esemesy do wszystkich kolegów, jacy tylko przychodzą nam do głowy! – ryknął Berger. – Znaleźć sąsiadów, rodzinę, bliskich, babcię, dziadka. Upewnić się, że Lykke i Johnny są bezpieczni.

Berger osobiście zadzwonił do Deer, na oficjalną i nieoficjalną komórkę. Telefon satelitarny był niestrudzenie, ale nikt nie odbierał. Berger nagrywał

wiadomości wszędzie, gdzie dzwonił. W NWO nadział się na cholerną centralę, rzucił słuchawkę i zaczął szaleńczo stukać w klawisze. Blom przejęła słuchawkę, po chwili Berger usłyszał, jak z kimś rozmawia – być może z szefem NWO, pełniącym obowiązki komendanta głównego. Próbował sobie przypomnieć nazwisko bezpośredniego przełożonego Deer, przedzierał się przez wszystkie ślepe uliczki: Ronny Lundén, Benny Lundin, Conny Landin. Wziął do ręki telefon, zadzwonił. Nikt nie odbierał. Spróbował ponownie, wciąż bez rezultatu. Co takiego robiła ta żałosna kreatura? Zadzwonił do Robina, lecz ten stwierdził tylko ze zdziwieniem, że Deer nie kontaktowała się z nim od dłuższego czasu. Blom oderwała wzrok od komputera, wzięła słuchawkę, wybrała numer.

– Sąsiad na linii – powiedziała, osłaniając dłonią słuchawkę.

Kilka wiadomości spłynęło do komputera – żaden kolega nie miał pojęcia, gdzie jest Deer.

– A szef? – ryknął Berger. – Rozmawiałaś z szefem NWO, prawda?

– Nie wiedział, co powiedzieć – odparła Blom. Jednocześnie udało jej się parsknąć do słuchawki: – Okej, dzięki za pomoc.

– E-mail od Conny’ego Landina – zawołał Berger i kliknął.

– Sąsiad widział, jak wychodziła z domu tuż przed siódmą rano – oznajmiła Blom. – Wyglądała jak zwykle, poszła do pracy, ale chyba miała torbę ze strojem treningowym. Sam, musisz chyba znać jakąś jej przyjaciółkę? Koleżankę z siłowni? Partnerkę tenisową, kogokolwiek?

– Nie – rzekł Berger. – A Johnny nie odbiera. Conny Landin pisze tylko, że zarządzono ogólnokrajowe poszukiwania mnie. Olewa Deer.

– Ogólnokrajowe poszukiwania? – zawołała Blom.

– Po prostu mów dalej – odparł Berger, próbując sformułować przekonującą odpowiedź dla Conny’ego Landina.

– A wasze „słupy”? – spytała Blom. – Może jest na spotkaniu z którymś



z nich?

– Sprawdzę ich – powiedział Berger. – Podaj telefon.

– Mamy tylko jeden – odparła Blom. – Musimy załatwić wszystko na nim.

– Gówno prawda! – wrzasnął Berger i ją odepchnął.

Odsunął łóżko od ściany, otworzył lukę w podłodze i wyjął drugi telefon satelitarny. Postawił go z hukiem na stole przed bladą Molly Blom.

– Dzwonź, do cholery! – krzyknął. – Dzwonź do swojego kurewskiego informatora z Säpo i szukajcie jej, szukajcie jej samochodu. Napuść na nią pieprzonego Steena, Roya i Rogera.

Blom, milcząca, oniemiała, podniosła słuchawkę. Wybrała numer.

Berger dodzwonił się do Johnny’ego. Był w pracy. W karetce, którą ponoć prowadził, był beznadziejny zasięg i Johnny brzmiał jak robot. Berger spróbował zadzwonić ponownie, ale nikt nie odebrał. Odnalazł imię mamy Deer, zadzwonił, udawał spokój i wesołość, dostał numer do Lykke, wybrał go. Włączyła się automatyczna sekretarka. Trzy razy, cztery. Oczywiście była teraz w szkole, miała wyłączony telefon. O ile nikt jej nie porwał, nie pobił, nie zamordował...

Jeszcze raz wybrał numer Conny’ego Landina. Dodzwonił się. Kazał mu pójść do biura Deer i przejrzeć jej komputer. Nic, nic, nic.

– Zadzwoniłam do szkoły jej córki – oznajmiła Blom, zasłaniając ręką słuchawkę. – Sekretarka właśnie idzie do odpowiedniej sali.

Berger znieruchomiał, obserwował ją, czekał. Kolory nie wróciły jeszcze na jej twarz, wyglądała jak ktoś z bardzo dużymi wyrzutami sumienia.

– Stoi za drzwiami – powiedziała. – A teraz wchodzi do klasy. Halo? Tak? Czy to Lykke, Lykke Rosenkvist? To dobrze. Mogłabyś pójść z panią, która przyszła do klasy? Na chwilę, do pokoju nauczycielskiego. Rozmawiam z panią Lindh? Dobrze, proszę zabrać Lykke w bezpieczne miejsce, zadzwonić na policję i poprosić o natychmiastową ochronę. Tak, wuefista

i nauczyciel techniki jak najbardziej mogą pomóc. Świetnie, dziękuję!

– A więc Lykke jest bezpieczna? – zapytał Berger. Wciąż gadał do telefonu. – Landin, do jasnej cholery, olej teraz te poszukiwania. Tu chodzi o nią, a ty jesteś jej szefem, musisz wiedzieć, gdzie jest. Naprawdę nic nie mówiła?

– Wygląda na to, że Lykke jest bezpieczna – stwierdziła Blom. – Na razie. Radiowóz będzie czekał w gotowości.

Berger odrzucił słuchawkę z nieznośnym Connym Landinem i zaczął dziko stukać w klawisze.

– Teraz przynajmniej samochód jest poszukiwany – oznajmiła Blom. – Co robisz?

– Nie zamierzam siedzieć na pieprzonych peryferiach wszechświata, podczas gdy dwoje niezrównoważonych psychicznie psychopatów zasadza się na moją partnerkę. Nie ma mowy. Dwa bilety zamówione.

– Coś ty zrobił?

– Lot z Gällivare do Sztokholmu o szesnastej – powiedział Berger i naciągnął ubranie. – Zdążymy, jedzie się tam dwie godziny. Potem, cholera jasna, wszystko dokładnie zbadam.

– Ale my...

– Ukrywamy się przed Säpo? – zawołał Berger. – Podczas gdy ty nieprzerwanie zdajesz raporty ze stanu zdrowia twojego odurzanego partnera szefowi wywiadu Säpo? A my nadal udajemy, że się ukrywamy? Podczas gdy ty przekonujesz mnie, że miałem psychozę? Do ciężkiej cholery, Molly, czy to ty zabiłaś Strzałę?

– Co ty opowiadasz?

– Że pieprzony glina-tajniak to wielka ściema. Twoja ściema. Przed nikim się nie ukrywamy, to tylko wymysł. Säpo przez cały czas ma nas, mnie, na oku. Bilety na samolot już zamówione, ubieraj się, do cholery.

– Nie rozumiem.

– Nie ma teraz czasu na to gówno! – ryknął Berger i po chwili był już na dworze.

Rzucił jej dużą puchową kurtkę i właściwie popychał przed sobą w czasie długiego biegu przełajowego w kierunku jeepa.

Berger prowadził. Blom siedziała obok. Jechał jak szaleniec przez śnieżne, oblodzone pustkowia. Poza tym w Kvikkjokk zaczął padać śnieg. Berger podał Blom telefon odtwarzający filmik, na którym jej palec wybiera numer nieoficjalnej komórki Augusta Steena. Oddała mu telefon bez słowa. Siedziała sztywno i patrzyła prosto przed siebie.

– Później o tym porozmawiamy – powiedział jedynie Berger.

Śnieg sypał z nieba, wirował wokół samochodu jak wewnątrz straszliwego przewróconego tornada, tunel aerodynamiczny z narciarzami na dopingu. Jechał jak opętany, kompletnie opętany. Blom bez przerwy próbowała się dodzwonić na jeden z telefonów Deer.

Nie było odpowiedzi.

Jakiegokolwiek.

Mniej więcej po godzinie Blom powiedziała:

– Desiré nie ma syna.

– To też był cholerny ślepy trop – odparł Berger z zaciętym wyrazem twarzy. – Jessica to pieprzona aktorka, tak samo jak ty. To wszystko tylko jakaś perwersyjna inscenizacja infantylnego, narcystycznego dużego dziecka z żalonym kompleksem ojca. Do diabła z nią.

Cisza trwała jeszcze dobrą chwilę.

– Nie masz żadnego młodszego brata, prawda? – zapytał w końcu Berger.

Blom opuściła wzrok i patrzyła na swoje kolana. Potem spojrzała na niego. W jej oczach rzadko kiedy można było dostrzec tyle rodzajów smutku.

– Nie – odparła. – Nie mam młodszego brata.

Ślizgając się, wjechali na Lotnisko Lapland w Gällivare, niestarannie zaparkowali na miejscu dla niepełnosprawnych, popędzili małą halą odlotów, znaleźli właściwą bramkę, spostrzegli na zegarku, że jest mniej więcej minuta po szesnastej, i usłyszeli swoje nazwiska wyczytywane przez megafon.

Ostatnie wezwanie.

Berger pobiegł do stanowiska odlotów i pomachał elektronicznym biletem na ekranie komórki. Kiedy jego wzrok padł na telefon, znieruchomiał i po raz setny zadzwonił do Deer.

Ktoś odebrał.

Skuł go lód. Pracownicy lotniska gderali, ale nic sobie z tego nie robił.

– Kto mówi? – zapytał skupiony.

Kobięcy głos, zupełnie nieprzypominający głosu Deer, powiedział coś niesłyszalnego, metalicznego.

– Kto mówi, do diabła? To ty, Jessico?

Brzmiało to tak, jakby naprawdę nawiązał kontakt z królestwem śmierci. Piekielne płomienie zdawały się lizać telefon od środka.

Nagle głos zaczął brzmieć normalnie.

– Halo? – brzmienie kobiecego głosu było teraz bardziej naturalne.

– Kto mówi? – powtórzył Berger, ale jakaś jego część już zareagowała.

– To ja – odparła Deer. – Jestem w szpitalu.

Berger nie mógł się poruszyć. To było fizycznie niemożliwe.

– Szpital? – odparł. – Co się stało?

– Wpadłam do dziury w podłodze – oznajmiła Deer. – W fabryce dwutlenku węgla w Liljeholmen. Leżałam nieprzytomna przez kilka godzin. Ale już wszystko okej.

Westchnienie, które w tej chwili wydał Sam Berger, było najgłębsze w jego życiu. Opróżniło nie tylko płuca, ale i całe ciało, a potem tchnęło w nie nowe życie. Czuł, jak jego twarz wygładza się pod zarostem,

rozpromienia w uśmiechu. Odwrócił się do Blom.

– Z Deer wszystko w porządku – powiedział.

Ale Blom tam nie było.

Patrzył na wszystkie strony, szukał, ale bez rezultatu. W małej hali odlotów nie było wielu ludzi w ruchu, łatwo dało się ogarnąć wszystko spojrzeniem. Zaczął krzyczeć i nawoływać, pobiegł do damskiej toalety, szarpnął drzwi, otwierał każdą kabinę po kolei. Nic. W męskiej toalecie obok sytuacja się powtórzyła.

Biegł od lady do lady, w końcu otrzymał informację, że ani Sam Berger, ani Molly Blom nie wsiedli do samolotu do Sztokholmu. Biegał jeszcze godzinę po lotnisku w Gällivare. Rozmawiał ze wszystkimi, z każdym napotkanym człowiekiem, ale nikt nie widział jasnowłosej kobiety w puchowej kurtce.

Ani jedna osoba.

W końcu został tylko on.

Kiedy wyszedł na parking, było tam dziwnie pusto. Kompletnie biała powierzchnia. Nic się nie działo, świat nie miał żadnych właściwości.

Był tylko obojętnie padający śnieg.

Jego dusza powoli zanikała. Słyszał jedynie śnieg, który delikatnie i powoli, powoli i delikatnie padał niczym ostateczny kres wszystkich żywych i umarłych.

Berger wsiadł do jeepa. Był pusty.

Włączył wycieraczki. Gruba warstwa śniegu zniknęła z szyby. A jednak coś zostało.

Nie był zdziwiony.

Wysiadł, wziął do ręki kopertę tkwiącą pod wycieraczką i wsiadł z powrotem.

Otworzył kopertę i wyjął z niej rysunek.

Wiedział, co na nim zobaczy. I nie mylił się.  
Na rysunku była czterolistna koniczyna.

**IV**

## 33

Środa 25 listopada, godz. 10:07

Widzi Marcusa i Oscara w rowie porośniętym podbiałem. Oscar jest uśmiechnięty, a Marcus się śmieje. Stały punkt. *The still point of the turning world.*

Kiedyś zrozumie, gdzie popełnił błąd. Zobaczy wyraźnie, na co naraził Freję. Matkę ich wspólnych dzieci.

Jest zdyskwalifikowany jako ojciec.

Zdyskwalifikowany jako kochanek.

A jednak teraz właśnie to do niego wraca. Wie, że śpi. Widzi tak wiele obrazów samego siebie. Psychoza, narkotyki, środki uspokajające. Leży nieprzytomny całymi tygodniami. A jednak jest na nogach i się rusza, jak zombie. Widzi nagle przebłyski otoczone nieświadomością, schowane za nieświadomością, okryte zapomnieniem. Widzi chwilę w swoim łóżku, dwoje ludzi blisko siebie, przerwę w chaosie. Spojrzenia głęboko w oczy. Wielki smutek, wszechogarniające burze uczuć. Aż w końcu dostrzega akt miłosny, kobiece piersi unoszące się i opadające przed nim, czuje dotyk włosów na twarzy i orientuje się, że jest w kobiecie, ona go ujeżdża i wszystkie okropności nagle zmieniają się w rozkosz, on zaś nie wie, czy śpi, czy też jest przytomny, czy to się dzieje naprawdę, czy też to tylko jego



skumulowane marzenia, materializujące się, aby mógł przetrwać. Teraz rozkosz staje się bowiem prawdziwa – łapie kobietę, pieści, czuje jej głębokie westchnienia, słyszy jęki i piski, których nie da się rozdzielić, czuje stałe, a zarazem falujące wibracje kobiecego szczytowania, jakby trwało i trwało, i sam jest już blisko, dochodzi długo i intensywnie, pozbywa się całego syfu, a kiedy kobieta się nad nim nachyla, dostrzega znamię w kształcie gwiazdy tuż pod prawą piersią.

– Molly!

Budzi się od własnego krzyku. Siada na skraju łóżka i czeka, aż czas go dogoni. Jakby to kiedykolwiek mogło nastąpić. Czuje się tak, jakby wylądował, tak naprawdę wylądował, w tym domku.

Miał pewną sprawę do załatwienia.

Otworzył pudełko na zegarki, wybrał swój skarb, zegarek, który rozwiązał jedną ze spraw, jego patek philippe 2508 calatrava. Spostrzegł, że nadal dobrze chodzi. I że czas być może istnieje.

Ubrał się, jak trzeba, wciągnął zupełnie nieużywane narciarskie buty i zgarnął kluczyk z niedającym się z niczym pomylić znaczkiem jeepa. Wyszedł.

Na tarasie otworzył wąskie drzwiczki schowka na narty.

\* \* \*

W rogu dużego, pozbawionego okien pokoju, w którym trwała gorączkowa komputerowa aktywność, było dwóch rośliwych mężczyzn. Siedzieli naprzeciwko siebie przy biurku, wpatrzeni w monitory. Jeden z nich miał na grubym nadgarstku tani zegarek do nurkowania i z dużą irytacją obserwował drastyczną zmianę poziomu aktywności kolegi.

– Co ty robisz, do cholery? – spytał Roy Grahn.

– Coś tu mamy – odparł Kent Döös.

– Gdzie?

– A bo ja wiem. Pozycja: 67°19.034’N 17°09.867’E.

– Gdzie to, kurde, jest?

– To powinna być Laponia.

– Dlaczego mielibyśmy tam szukać?

– Nie mam pojęcia – odparł Kent – ale czasami może warto przejrzeć schemat monitoringu.

– Połącz mnie – polecił Roy naburmuszonym tonem.

Już po kilku sekundach z ciemności ekranów wyłonił się obraz satelitarny. Był zupełnie biały i Roy dopiero po pewnym czasie pojął, że patrzy na śnieg.

Zrobił zbliżenie. W końcu coś dało się dostrzec pośród bieli. To było jak znak, jak napis na śniegu. Roy przybliżył jeszcze bardziej. Wreszcie mógł odczytać tekst.

„AS! Pilne. M. Point 0. 1630”.

– Co to za cholerstwo? – zawołał.

Jego kolega zdążył już jednak wyszarpnąć arkusz z drukarki i się rozpędzić.

Roy dogonił go przy windach. Kiedy wsiedli, zapytał:

– Dokąd jedziesz, do cholery?

– Nie przeczytałeś? – odparł Kent.

– Ale przecież to były zwykłe brednie. Coś o jakimś asie.

– Może – przyznał Kent. – Ale to teren objęty poszukiwaniami i istnieje pewne ryzyko, że właśnie teraz jesteśmy na drodze do naszego człowieka.

W odróżnieniu od Roya Kent nie był w stanie się denerwować na tę zwyczajową minutę, która minęła, zanim drzwi w głównym korytarzu wydały swój ospały pomruk. Jeśli wszystko poszło jak trzeba, to właśnie wyprzedził Roya na ostatniej prostej wyścigu do służby w charakterze zasobu wewnętrznego. I miał w ręku klucz.

Szef wywiadu Säpo August Steen siedział za biurkiem i obserwował ich swoim charakterystycznym wzrokiem zmrożonego kamienia. Jego krótko ostrzyżone szare włosy przypominały opiłki metalu otaczające magnes.

Kent przeszedł do razu do rzeczy – wyciągnął rękę z wydrukiem i rzekł:

– Zdjęcie satelitarne współrzędnych 67°19.034’N 17°09.867’E. – Dał Steenowi kilka sekund na przeczytanie i interpretację, po czym mówił dalej:  
– Ktoś zrobił napis na śniegu w strefie objętej poszukiwaniami. Wielkie litery. Początek to być może szefa inicjały.

Nie zginając w najmniejszym stopniu prostych jak struna pleców, August Steen zrobił drobny grymas, który być może wyrażał aprobatę. Kent miał ochotę głośno zakrzyknąć na wiwat. Powstrzymał się i zamiast tego kontynuował neutralnie:

– Mam jednak trudności z odczytaniem tego znaku. – Wskazał przekreślone M.

August Steen wolno pokiwał głową.

– Dobrze – powiedział. – Chcę, abyście się na nim skoncentrowali. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie widziałem tego w którymś z azjatyckich alfabetów albo wśród symboli pozajęzykowych. Skupcie na tym całą uwagę, spodziewam się raportu w ciągu dnia.

August Steen nawet za nimi nie patrzył, kiedy odchodzili. Był całkowicie skoncentrowany na wydruku, który miał przed sobą. Tym z napisem: „AS! Pilne. M. Point 0. 1630”.

Tę wiadomość napisał ktoś na szwedzkim biegunie niedostępności, z nartami na nogach. I niewątpliwie zaadresował do samego Augusta Steena.

Przez chwilę siedział wpatrzony w znak M. Miał nadzieję, że udało mu się odciągnąć Kenta i Roya od pełnego znaczenia wiadomości. Sądził, że sam je dostrzega.

Przekreślone M. Na krótką chwilę ogarnęła go fala uczuć.

Potem wstał z wydrukiem w ręku i poszedł do drzwi.

\* \* \*

*Obserwator wrócił. Wpatruje się w ekrany. Nic tam się nie dzieje. Jego sig sauer P226 kręci się, jakby miał nigdy się nie zatrzymać.*

*Już jest blisko. On wie, że już jest blisko.*

*W jego śnieżnej grocie panuje przeraźliwy chłód.*

*Kiedy zdejmuje okulary do pracy z monitorem, nie widzi nawet ekranów, nie mówiąc już o tym, co się na nich znajduje. Nazwa „terminal glasses” pasuje.*

*Jego wzrok jest w fazie terminalnej.*

*I tak nie może już zbyt długo pracować, jego czas się skończył. Pozostaje tylko sensowna emerytura. Sensowna, jeśli wziąć pod uwagę pracę, której zaniechał. Za wszelką bezsensowną pracę należy się sensowna rekompensata.*

*Musi ją zobaczyć jeszcze raz. Dom na zboczach nieopodal Estepony, taras z widokiem na Skałę Gibraltarską, musi poczuć zapach tymianku, rozmarynu, lawendy. Musi połączyć przyjemne wieczorne ciepło z widokiem, który może dzielić z ♀. Który ona może mu przekazać.*

*Ona może uratować jego wzrok. I życie.*

*Obserwator myśli o ♀ i ♂. Myśli o ich relacji. O tym, że nienawidzi ♂. Myśli, jak by za nią pobiegł, wyrwał ją z mocnego uścisku ♂, czule objął i poczuł, że jest kochany. Obserwator myśli, jak było przyjemnie, jak boska może się wydawać bliskość. Górny ekran nadal pokazuje czas rzeczywisty, a na dolnym widać przewijany przez niego zaniedbany film.*

*Obserwator myśli, że rzeczywiście powinien był to zrobić, ale znów się zatracą w marzeniach. Dłoń w cienkiej skórzanej rękawiczce w roztargnieniu obraca pistolet na biurku, aż w końcu broń traci rozpęd. Lufa go nie wskazuje. Tym razem obserwator nie musi wybierać pomiędzy prawdą*

*a wyzwaniem. Prawda bowiem, jak już stwierdził, jest zbyt skomplikowana.*

*Zauważa, że przewinął za daleko. Film startuje sam z siebie. Obraz lata po ekranie, widać to niebo, to śnieg, a jeszcze kiedy indziej przez ekran przelatuje twarz. W końcu obraz się stabilizuje i widać ślady stóp. Zdają się nadchodzić z oddali, są coraz większe i większe, aż w końcu prowadzą przez całą drogę na szczyt wzgórza, w kierunku kamery.*

*Nagle twarz patrzy w obiektyw, poprawia go, uznaje, że wszystko jest dobrze, i idzie dalej na szczyt wzgórza umocować kolejną kamerę. ♀ jest daleko, zanim obserwator ją dostrzega. Była równie piękna wtedy, kiedy montowała kamery.*

*To właśnie teraz obserwator powinien uratować ♀ przed ♂.*

\* \* \*

August Steen z całej siły otworzył drzwi. Mężczyzna za biurkiem podskoczył, ale jednocześnie nacisnął przycisk joysticka, tak że obraz na dolnym z dwóch ekranów przed nim się zmienił.

– Kurwa, ależ tu zimno – powiedział August Steen i przez chwilę rozcierał ręce.

– Jak w grocie śnieżnej – uśmiechnął się człowiek w okularach do pracy z komputerem. – Składaliśmy skargi, ale wygląda na to, że coś jest mocno nie tak z termostatem.

– Te okulary wyglądają na wyjątkowo grube – stwierdził Steen. – Czy twoja retinopatia czasem się nie pogarsza? Wiesz, że jeśli tak, to musisz mnie natychmiast o tym powiadomić, Carsten.

– Wiem – odparł smutno Carsten. – Ale wszystko wskazuje na to, że u mnie ma powolny przebieg.

– Zobaczymy – rzekł Steen. – Ostatnio kiepsko stałeś z raportami. Raporty drugiej zmiany są na równym poziomie, ale ty ostatnio się opuściłeś.

– Właśnie teraz próbowałem to nadrobić – powiedział Carsten.

– Molly jest na miejscu?

– Musi być. Choć jeszcze się nie pokazała.

– Nie dostałem żadnego raportu, Carsten.

– Wiem. Tak jak mówiłem, próbuję nadrobić.

August Steen się skrzywił.

– Tej nocy Frans przesłał dwuznaczny raport. Nie był pewny, czy Molly wróciła wieczorem do domu. Nocna kamera nie działała zadowalająco. Ale okej, czy mamy jakąś aktywność Bergera? Z ostatniego czasu?

– Ruszał się z kwadrans wcześniej.

– Pokaż mi.

Carsten kliknął joystickiem, na dolnym ekranie pojawiło się kilka menu. Klikał dalej, zaczął przewijać do tyłu.

W końcu na werandzie pojawił się Berger – otworzył składzik, wyjął narty i nie bez wysiłku je przypiął. Potem wyszedł na wolny kawałek śniegu trochę dalej. Nad śnieżny szczyt wystawała tylko jego głowa, wykonująca dziwne ruchy.

– Carsten, do cholery – ryknął Steen. – Masz dostarczać raporty w czasie rzeczywistym. Jeżeli sobie z tym nie radzisz, będę musiał zatrudnić kogoś na twoje miejsce.

Carsten milczał. Wiedział, że to prawda. Jego mroczne strony wzięły górę. Jego, który był znany jako najbardziej profesjonalny ze wszystkich zasobów wewnętrznych Säpo.

– Co tam się dzieje? – spytał Steen i wskazał palcem górny ekran.

– Berger wychodzi – wyjaśnił Carsten i zrobił zbliżenie. – To czas rzeczywisty. Najwyraźniej zmienił buty, ma teraz grube śniegowce. I plecak na ramieniu. Nie idzie do domku Molly, widocznie kieruje się skrótem do samochodu.

August Steen skinął głową i położył wydruk przed Carstenem.

– Jak to rozumiesz? – spytał.

– Czy to...

– Będę musiał się zwrócić do zasobów zewnętrznych, oni robią to bez porównania lepiej niż wewnętrzni. Wyjaśnienie poproszę.

Carsten spojrział na kartkę z napisem ze śniegu: „AS! Pilne. M. Point 0. 1630”.

– To bez wątplenia adresowane do ciebie, szefie. „AS!”. Konieczność natychmiastowego spotkania w punkcie zero o szesnastej trzydzieści. Ale nie wiem, co to za gryzmoł.

August Steen głęboko odetchnął.

– Przekreślone M.

Carsten spojrział na niego, a jego imponujące ciało powoli wypełniło się strachem. Steen popatrzył na wyraźnie pobladłą twarz i mówił dalej:

– Jeśli mamy szczęście, oznacza to, że Molly zniknęła. Jeśli mamy pecha...

– Znaczy, że nie żyje – dokończył ochryple Carsten.

August Steen spojrział na niego kamiennym wzrokiem.

– Jedyne, co wiemy na pewno, to to, że ty i ja za wszelką cenę mamy zabezpieczyć „point zero” na popołudnie.

Carsten skinął głową.

Bolały go oczy.

## 34

*Środa 25 listopada, godz. 16:28*

Trawa, która dawniej sięgała mu do piersi, leżała przygnieciona do ziemi. Spadł śnieg, brutalny śnieg, i niczym ulewa powalił wysokie źdźbła. Potem się zmęczył i stopniał z powrotem. W migoczącym świetle latarki przypominał trawnik z dzieciństwa i plataninę zbutwiałych wielkich szparagów.

Na ciemnym niebie właśnie się pojawił księżyc i z oddali odbijał się w nieruchomej powierzchni wody. Poblask docierał do niego we fragmentach przez zagajnik nad brzegiem. W końcu mignął mu także dom, jakby świecił własnym wewnętrznym światłem.

Jak pociągnięty farbą fluorescencyjną.

Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że łódka nadal się kołysze przy pomoście – najprawdopodobniej będzie tam aż do pojawienia się lodu. Lód ją unieruchomi, zniszczy.

Bez wahania wszedł po schodach do drzwi hangaru na łodzie.

Drzwi się otworzyły, zanim jeszcze zdążył zapukać. Nie dało się zauważyć nic poza dłonią w rękawiczce, mierzącą w jego klatkę piersiową z sig sauera P226.

Pistolet dał znak, żeby wszedł do środka. Czuł, że ktoś go przeszukuje,



zawodowo. Zapaliła się słaba lampka.

Wysoki starszy mężczyzna w garniturze, o grubo ciosanych rysach i krótko ostrzyżonych włosach przypominających wełnę stalową, zajmował strategiczne miejsce na skraju plamy światła rzucanego przez lampę. Opierał się nonszalancko o dwie podpory wyrastające z podłogi. Wokół nich wisiały łańcuchy różnej wielkości.

– *Point zero* jak się patrzy – oznajmił mężczyzna. – W samym środku mechanizmu zegara. Tu wszystko się zaczęło i wszystko może się skończyć.

– Szefie Steen – odezwał się Berger i skinął głową. – Gdybyście chcieli mnie zabić, już byście to zrobili.

– Możliwe, że plan uległ zmianie – odparł Steen. – Skąd to przekreślone M? Porwałaś ją?

– Oczywiście, że nie. Ale została porwana. Przez naprawdę złych ludzi.

– A dlaczego zwracasz się do mnie?

– Bo ona dla ciebie pracuje. Bo wykonywała dla ciebie zadanie, kiedy ją uprowadzono. No i dlatego, że nie jesteś bez serca.

– Ale nie można powiedzieć, że ty dla mnie pracujesz – rzekł Steen. – Dlaczego miałbym cię słuchać? Albo w ogóle pozwolić ci żyć?

– Bo tylko ja mogę ją znaleźć – odparł Berger.

– Kontynuuj – rzekł Steen.

– Mam gdzieś zdradę Molly. Mam gdzieś, że przez cały czas była z tobą w kontakcie. Mam gdzieś nawet to, że zabiłeś Strzałę pieprzoną skarpetą. Chcę tylko odzyskać Molly. Żywą.

– Domyślam się, że przeprowadziłeś poszukiwania jej telefonu?

– Już wczoraj. Leżał w rowie pod lotniskiem Lapland.

– Nadal nie odpowiadasz na pytanie, dlaczego miałbym cię słuchać.

– Bo jej porywaczom zależy na mnie. To ze mną będą się komunikowali. I tylko ze mną. Morderczyni z jakiegoś powodu mnie potrzebują, mam ją

widzieć, gonić, schwytać. Wybrała mnie jako swego rodzaju figurę ojca. Statystyki mówią, że Molly jeszcze nie została zabita, ale trzeba się cholernie śpieszyć. Wszystko, czego od ciebie chcę, to lekka asysta. Jeden jedyny raz, tu i teraz, a potem możesz robić ze mną, co chcesz.

– Asysta?

– Co wiesz o tej sprawie? – spytał Berger. – Tej, nad którą nieoficjalnie pracujemy?

Steen odwrócił się do współpracownika, który siedział w ciemności, tuż za słabym kręgiem światła lampy. Odbył się coś w rodzaju wymiany. Berger poczuł ostre, nieoczekiwane nienawistne spojrzenie wymierzone w niego z ciemności. Steen skinął głową.

– Niewiele. Dostałem raport, że komisarz z NWO zaproponowała wam jako wolnym strzelcom nie całkiem czysty kontrakt.

– Raport Molly Blom?

– Tak jest – odparł Steen. – Wedle mojej oceny sprawa była ślełą uliczką, ale nie mogła zaszkodzić. Potrzebne było cokolwiek, co tylko mogło utrzymać cię w szachu, poza zasięgiem radarów.

– Ale dlaczego trzymanie mnie w szachu było takie ważne? – zawołał Berger.

August Steen urwał i się skrzywił.

– Myślałem, że masz w dupie ratowanie Blom – przyznał. – Ale może się myliłem. Chyba musimy ponownie się zastanowić nad punktem wyjścia tej rozmowy.

– Pomogłeś Molly odkryć nową tożsamość Jessiki Johnsson – powiedział Berger.

Steen skinął głową.

– Ustalenie tego nie jest najprostszą sprawą, nawet dla mnie. Człowiek zawsze zostawia po sobie ślad.

– Ale i tak to zrobiłeś. I tak podjąłeś niewspółmiernie wielkie ryzyko. Dlaczego?

August Steen nie odpowiadał. Patrzył tylko przed siebie, w pustkę starego hangaru.

– Bo Molly Blom była twoją protegowaną, rozłożyłeś nad nią parasol ochronny – odparł Berger. – Bo już od chwili, kiedy zaangażowałeś ją do Säpo, byłeś jej mentorem. Nie jesteś człowiekiem o bogatej mimice, August, ale widziałem, jak posmutniałeś, kiedy musiałeś ją wywalić. Nie jesteś bez serca. A teraz chcesz ją uratować tak samo jak ja. Gdybym wierzył, że Säpo może rozgryźć tę sprawę i ją uwolnić, lekką ręką przekazałbym ci to tu i teraz, ale wiem, że osoba, którą znalazłeś w rejestrze, będzie rozmawiała tylko ze mną. Lena Nilsson alias Jessica Johnsson jest naprawdę okrutną kobietą, która teraz trzyma Molly przywiązaną do krzesła i wykorzystuje swojego niewolnika Reinego Danielssona, żeby ją bił i ciął do nieprzytomności. Molly Blom jest nie tylko kimś, za kogo odpowiadasz. Jest też twoją małą ulubienicą. Pomóż mi pomóc jej. Resztę mam gdzieś.

Steen uważnie go obserwował, zachowując kamienną twarz.

– Co się wydarzyło? – zapytał.

– Nagle zdaliśmy sobie sprawę, że wszystkie ofiary Jessiki przypominały jej matkę. Deer ma podobne rysy. Zlokalizowaliśmy Jessicę w Skogås, tam, gdzie mieszka Deer. Deer nie odbierała telefonu, zniknęła. Już mieliśmy się rzucić i lecieć samolotem do Sztokholmu, kiedy odebrała. A Molly zaginęła.

– Na lotnisku? – spytał Steen.

– Tak – odparł Berger. – W Gällivare.

– No to dlaczego jesteś w Sztokholmie? I jak dotarłeś tu tak szybko?

– Pojechałem z maksymalną prędkością na lotnisko Lapland i się załapałem na lot transportowy. Nie sądzę, żeby sprawcy nadal byli w Laponii. Wciąż wybierają nowe miejsca. Poza tym musiałem z tobą

porozmawiać oko w oko. I zbliżyć się do Deer.

– Co to za Deer? – zapytał surowo Steen.

– Kobieta, która pełni obowiązki komisarz w NWO i która zaaranżowała nasz tak zwany kontrakt wolnych strzelców – wyjaśnił Berger. – Desiré Rosenkvist.

– A dlaczego miałyby być potencjalnym celem naszego osobliwego mordercy?

– Bo ona i ja osiem lat temu wspólnie przesłuchiwalismy morderców. W czasie naszego przesłuchania byli w tym samym pomieszczeniu. Spory kawałek czasu próbowali przyciągnąć naszą uwagę. A teraz musimy znów pracować razem.

– Ty i komisarz Rosenkvist? Tego ode mnie oczekujesz?

– Druga sprawa – ciągnął Berger. – Deer z rodziną zostały przetransportowane w bezpieczne miejsce, pod ochroną. Byłoby dobrze, gdybyście zorganizowali profesjonalną ochronę Säpo jej domu w Skogås. Tam, w swoim garażu, ma wszystkie materiały.

– W garażu? – głos Steena brzmiał bardzo sceptycznie.

– Musimy działać poza zasięgiem radarów. – W przeciwnym wypadku niepotrzebnie zmarnujemy czas na masę biurokratycznych przepychanek. Czas, którego nie mamy. Ale, jak już mówiłem, to kwestia drugorzędna. Najważniejsze jest co innego.

– Mianowicie?

– Żebyś uderzył w wielki bęben, August, uruchomił całą muskularną maszynę wywiadowczą Säpo, aby gdzieś na terenie kraju odnalazła błękitnego, a może kremowego volkswagena caddy o numerach rejestracyjnych LAM 387.

August Steen wlepił w niego wzrok.

– To najlepsze, co masz? Coś tak nieuchwytnego jak samochód?

– Do tego skradziony – dodał Berger. – Dasz radę to zrobić?

Steen go obserwował. Może i był kompletnie pozbawiony mimiki, ale liczba spojrzeń wydawała się nieskończona.

Pokiwał głową.

\* \* \*

Deer siedziała w czarnym samochodzie i obserwowała rodzinę. Spojrzała w oczy Johnny'emu i dotarło do niej, że coś się zmieniło, że nic już nie będzie dokładnie takie jak przedtem. Nic nie stanęło między nimi ani nie zniszczyło wzajemnego zaufania, ale Johnny zrozumiał, że nigdy więcej nie odważy się zaufać jej pracy. Dopiero teraz zrozumiał, jaka jest niebezpieczna. Dla niej, nawet dla niego, ale przede wszystkim – a to zawsze było najważniejsze – dla Lykke. Deer widziała w jego oczach, że jej tego nie wybaczy. Za to sama Lykke uważała, że to ekscytujące – nigdy wcześniej nie widziała tylu sztuk broni, tak eleganckich samochodów, tak dobrze ubranych mężczyzn i kobiet. Paplała z zadowoleniem, a spojrzenia rodziców nad jej głową były jak w klinczu.

Dotarli na miejsce. Wprowadzono ich do szeregowca. Rozdzielono.

Deer usłyszała, jak Johnny trochę nienaturalnie krzyczy:

– Liverpool!?

Na co Lykke, krztusząc się, odpowiedziała:

– Ale tato, przecież dopiero środa.

Potem nie było już ich słychać.

Deer, trzęsąc się, szła przez zimny garaż. Skinęła głową stojącemu pod drzwiami funkcjonariuszowi Säpo i nacisnęła klamkę.

Berger umieszczał elementy na jej białej tablicy. Odwrócił się i spojrzał jej w oczy. Razem mówili znacznie więcej niż tysiąc słów.

– Poszukiwania? – spytał Berger.

– Conny Landin dostał anonimową informację – oznajmiła Deer. – Twoje DNA było na zakrwawionych zwłokach Faridy Hesari.

– O cholera.

– Choć my wiemy, że to nieprawda. Było za to w „zaniedbanym” woreczku z dowodami w śmieciach. I prawdopodobnie także w śmieciach w Malmö i Växjö.

– Co było w tym woreczku? Skóra? Krew?

– Włosy – wyjaśniła Deer.

Berger chwycił się nad uszami i wyciągnął pasma. Włosy niewątpliwie były krótsze po lewej stronie.

– Co prawda chodzę do oszczędnościowego fryzjera – oznajmił – ale zwykle nie jest aż tak źle.

– Ach – odparła Deer. – Porjus.

– Jessica w piwnicy upiekła dwie pieczenie na jednym ogniu: włączyła mnie do sprawy i obcięła pasmo włosów, żeby uzyskać moje DNA. Nie rozumiem tylko, jak te włosy trafiły do śmieci.

– Policyjny magazyn – rzekła Deer. – Nasz przyjaciel Richard Robertsson dawał do zrozumienia, że nie ja pierwsza po to przychodzę. Jessica wykupiła sobie darmowy dostęp do śmieci Faridy Hesari.

Deer pokręciła głową i wyciągnęła ręce. Objęli się. Szybko, nieśmiało.

Usiedli. Deer westchnęła i wyciągnęła telefon.

– A skoro mowa o Faridzie Hesari...

Włączyła przesłuchanie z fabryki dwutlenku węgla. Nagranie kończyło się gwizdem, krzykiem, który mógł być przekleństwem, i hałasem. Potem była tylko cisza.

– Widziałam dziurę w podłodze, kiedy wchodziłam, ale już nie kiedy wychodziłam... – wytłumaczyła Deer.

– Rozumiem – odparł Berger i dotknął się pod pachami. Wyczuł pot.

– W tej ruinie śmignął koło mnie gołąb – powiedziała Deer. – Może dlatego wpadłam pod podłogę.

– Myślę, że powodem była raczej Hesari. – Berger wskazał gestem telefon. – Tego nie można obrócić w żart.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek prowadziłam trudniejsze przesłuchanie – potwierdziła Deer. – Mam nadzieję, że Farida Hesari jest tak silna, jak się wydaje.

– Jak interpretujesz motywy Jessiki?

– Widzę zwykłą kobietę z przedmieścia, Sam – stwierdziła Deer. – Nie mogę tego zrozumieć.

– A jednak rozumiałaś. Zadawałaś odpowiednie pytania. Jakbyś rozumiała.

– W sensie społecznym tak. Widzę drogę Jessiki: to piekielna spirala, którą da się ogarnąć. Groteskowa śmierć matki i młodszego brata. Wyrzuty sumienia i w efekcie autodestrukcyjna seksualność. Dziwaczne zdarzenie w Stanach, seksualizacja przemocy. Związek z Eddym Karlssonem, gwałt, poronienie, histerektomia. Nowa tożsamość, nasilająca się zawiść wobec matek z synami, przechodząca z czasem w nienawiść. Zdolność sterowania pewnymi zaburzeniami psychicznymi, tak jak madame Newhouse sterowała Robem. Ale w sensie psychologicznym nie. W żadnym wypadku.

– Myślę, że Jessica wcześniej wyrobiła sobie teflonową powłokę – oznajmił Berger. – Wszystko po niej spływa. Ona gra. Miała nadzieję, że jest sadomasochistką, ale okazało się, że jest po prostu pusta w środku. Nic do niej nie trafia. Chce nam tylko zaimponować.

Deer skinęła głową i zmieniła temat.

– Tak, zniknęłam, wpadłam do dziury. Ale czy naprawdę trzeba było tak się wysilać? Dzwonić wszędzie i do wszystkich?

– Mogli porwać Lykke – rzekł Berger.

Deer zrozumiała. W takiej sytuacji zrobiłaby dokładnie to samo.

– Ale zamiast niej porwali Molly Blom.

– Zdradziła mnie – oznajmił Berger. – Mimo to będę próbował ją uratować.

– Nie zaśniemy, dopóki nie wyeksploatujemy do cna wszystkich istniejących faktów – powiedziała Deer. – A mamy je tutaj.

Wskazała kilka stosów papierów na biurku.

Berger zapadł się w siebie.

– To się w nas wgryzło – oznajmił.

– Wiem – odparła Deer. – Widzimy to zwierzę w sobie. Tę bestię.

Berger lekko się wyprostował, przeciągnął, ściągnął łopatkę.

– Dwa główne pytania – oznajmił. – Pierwsze jest oczywiste: czy w naszych materiałach widnieje choćby jedna drobna wskazówka na temat tego, gdzie są teraz Jessica i Reine? Z Molly?

– A drugie pytanie jest co najmniej równie oczywiste – powiedziała Deer.

– Skąd, u diabła, wiedziała, że akurat wtedy będziecie odlatywali z tego cholernego lotniska w Gällivare?

Berger skinął głową.

– To było, delikatnie mówiąc, spontaniczne. Kiedy nie mogłem nawiązać z tobą kontaktu, zarezerwowałem bilety lotnicze. Jessica jakimś sposobem musiała zobaczyć tę rezerwację.

– A poza tym musiała być w pobliżu. Jak to możliwe?

– Kiedy dotarliśmy do Porjus, zdała sobie chyba sprawę, że nie przyjechaliśmy prosto ze Sztokholmu. Nie mogła przecież wiedzieć, że się ukrywaliśmy w domkach na biegunie niedostępności.

– Säpo wiedziała – odparła Deer. – Czy Jessica mogła mieć tam jakieś dojścia?

– Trudno mi w to uwierzyć – przyznał Berger. – Ona działa na własną



rękę. Ale sprawniej obsługuje komputery, niż udawała wtedy przy maszynie do pisania. Domyślałam się, że w jakiś sposób monitorowała wszystkie loty z Laponii i sprawdzała, czy się pojawię.

– Zgadzam się, że ja byłam bardziej prawdopodobną kandydatką – odparła Deer, pogładziła się po włosach ostrzyżonych na pazia i pomyślała o takiej samej fryzurze swojej córki.

– Naprawdę sędzę, że jesteś już bezpieczna, Deer. Porwali Molly, a więc zależy im na mnie, a nie na tobie. Chcieli gliniarza, który strzelił do nich z palców, wyszydził ich w Orsie. Jessica uprowadziła Molly, żeby uderzyć we mnie. Najwyraźniej uznała, że jesteśmy parą.

– Ja też tak uznałam – odparła Deer z krótkim uśmiechem. – Mimo tej cholernej brody.

– Nie mam czasu jej zgolić – przyznał Berger z grymasem na twarzy.

Przez jakiś czas milczeli, potem wrócili do tematu.

– Nigdy nie ufałam Molly Blom – oświadczyła Deer.

– Wiem – odparł Berger. – Ale to wy wspólnie to wszystko ustaliłyście, beze mnie.

– Zdradziła cię – powiedziała Deer. – Odurzyła, okłamała, manipulowała tobą.

– Wiem – odparł Berger. – No to jazda.

## 35

*Środa 25 listopada, godz. 21:02*

Czytali, aż im się oczy wykrwawiały. Deer podniosła wzrok na stos papierów, wskazała najpierw swoje oko, a potem oko Bergera. Dotknął kącika oka, zobaczył krew na palcu.

Rozumieli się po gestach.

Deer podała mu chusteczkę do nosa i puderniczkę. Spojrzał na puderniczkę wyraźnie zdezorientowany, Deer gestami wydała nieme polecenie. Kliknął, otworzył i spojrział w lusterko.

Z oka leciała mu krew.

Osuszył je chusteczką do nosa.

– Nic? – zapytał.

– Współrzędne są przypadkowe – Deer uderzyła w stos papierów. – Nie widzę, jak mielibyśmy odgadnąć, gdzie przebywają. Nie da się tego zrobić.

– Musi się dać! – krzyknął Berger i wstał. – Musi, do cholery. Ona umiera.

– Byli w Gällivare, tyle że półtorej doby temu. Przy dobrze zorganizowanym systemie transportu mogą teraz być w dowolnym miejscu na kuli ziemskiej.

– Są w Szwecji – oznajmił Berger i opadł z powrotem na krzesło.

– Wiem – odparła Deer. – Ale Szwecja to duży kraj. Orsa, Malmö,

Göteborg, Bagarmossen, Täby, Växjö, Sorsele, Porjus. Naprawdę nie ma żadnego punktu styczności.

– Jest. Wiem, że jest.

Jego głos był jednak bardzo słaby.

Rozległo się pukanie i dokładnie w tej samej chwili drzwi zostały otwarte. Do pokoju wszedł mężczyzna z nosem boksera i w bardzo grubych okularach. Miał ze sobą dwie puste walizki.

– Nie wiem nawet, jak się pan nazywa – powiedział Berger głucho.

– Carsten – odparł. – Możesz mi mówić po imieniu. – Załatwiłem wam bella.

– Słyszę, że do mnie mówisz, ale nie rozumiem co.

– Najszybszy możliwy transport do Dalarny – uściślił Carsten i zamachał walizkami. – Weźcie ze sobą wszystkie materiały, wszystkie komputery.

– Ale moja rodzina... – odezwała się Deer ze zdumieniem.

– Oczywiście będziemy kontynuować obserwację – powiedział Carsten. – Twoja rodzina jest bezpieczna. Ale oboje musicie wyjechać.

– Dokąd? – spytał Berger i zaczął pakować rzeczy do jednej z walizek.

– Nie możemy was wspierać oficjalnie – oznajmił Carsten. – To zupełnie nieoficjalne. Musicie to załatwić sami. Ale my was tam zawieziemy. Do Särfy.

– Do Särfy? – Deer zaczęła się pakować równie gorączkowo jak Berger.

– To powtórzenie coś znaczy – stwierdził Carsten.

\* \* \*

Czarny samochód pędził, Berger jeszcze nigdy nie jechał tak szybko środkiem transportu naziemnego. Na tak zwanej „świńskiej prostej” – odcinku prowadzącym na lotnisko Arlanda – miał wrażenie, że na cyfrowym prędkościomierzu odczytał magiczną liczbę trzysta. Spojrzał na Deer. Jej

brwi były mocno ściągnięte. Nachylił się do Carstena, który siedział na fotelu pasażera.

– „To powtórzenie coś znaczy”? – zacytował.

– Widzieliśmy błękitnego volkswagena caddy z prawdopodobnym numerem rejestracyjnym LAM 387 w czterech miejscach w kraju – oznajmił Carsten i poprawił cienką skórzaną rękawiczkę. – Zarejestrowały go radary pod Arvidsjaur i Östersund, na stacjach benzynowych w Vilhelminie i Särnie.

– Brzmi jak Inlandsvägen – oznajmił Berger.

Carsten skinął głową.

– Tak, ogólnie rzecz biorąc, E45. Ale nie Särna. Inlandsvägen skręca na południe w Sveg. Dostali się głębiej na teren północnej Dalarny. Zauważenie pojazdu w jednym miejscu nie ma wielkiego znaczenia. Znaczy to, że po prostu jest w drodze i już odjechał. Ale jeśli to się powtarza... jeśli pojazd był widziany dwukrotnie w tym samym miejscu, wtedy zachodzi dość duże prawdopodobieństwo, że w takim czy innym sensie jest to miejsce postoju.

– I to było w Särnie? W północnej Dalarnie?

– Tak, na stacji benzynowej OKQ8 przy Särnavägen. Wyślę wam esemesem instrukcje.

Umilkł. Berger przyglądał się męskiej twarzy w grubych okularach.

– Coś jeszcze? – spytał.

Carsten zdjął okulary. W jego spojrzeniu było coś budzącego niepokój, kiedy mówił:

– Postarajcie się ją uratować, do cholery.

\* \* \*

Byli nad Salą, kiedy Berger skojarzył, co to jest bell. Bell 429, lekki helikopter dwusilnikowy. Szwedzka policja niedawno zakupiła ich siedem. W jednym z nich siedział teraz z Deer, za pilotem, którego zadanie polegało

nie tylko na tym, aby ich przetransportować do Särny, ale i na milczeniu. Wszystko przemawiało za tym, że celowo nie wypowiedział w czasie podróży ani jednego słowa.

Podróż dobiegła końca na opustoszałym polu nieopodal Särny. Kiedy chmura śniegu opadła, a ich bell 429 zniknął na nocnym niebie, było widać tylko samotny domek na skraju pola. Ruszyli tam, brnąc w grubej warstwie śniegu i ciągnąc ciężkie walizki. Kiedy podeszli bliżej, zobaczyli garaż nieopodal domku. Berger zajrzał tam przez okno. Wewnątrz stał czarny samochód. Przeszli do domku, Deer wyciągnęła komórkę i przeczytała instrukcje Carstena. Przez chwilę grzebała w lekko zamrożonej rynnie i wyciągnęła klucze. Weszli po schodach na werandę i do środka.

Było tam ciepło, lecz ascetycznie. Pozbawiony okien duży pokój nie kojarzył się z typowym domkiem w Dalarnie. Pleciona tapeta nie wywoływała żadnego konkretnego wrażenia, stół był wykonany z okleiny brzoźowej. Był tam też boczny stolik z niezdefiniowanym sprzętem. Na stole leżały kluczyki do samochodu, prąd był doprowadzony, przy stole stała biała tablica z magnesami i pisakami, w rogu mrugał router. Wszystko dokładnie odpowiadało wyobrażeniom Bergera o kryjówkach Säpo, choć po raz pierwszy trafił do jednej z nich.

Zostało jeszcze kilka godzin nocy. Zaczęli się rozpakowywać. Chcąc zrobić miejsce na ewentualne przesłuchania, wynieśli białą tablicę i wszystkie materiały do wewnętrznego pomieszczenia, które wkrótce stało się idealną mieszanką domku Molly na biegunie niedostępności i garażu Deer w Skogås.

Nie było to jednak nic, co mogłoby ich ucieszyć.

Na zewnątrz w dalszym ciągu panował gęsty mrok.

\* \* \*

Deer opuściła wzrok na telefon.

– To nie był koniec – oznajmiła.

Znajdowali się w wewnętrznym pomieszczeniu. Przymocowali kamerę do ściany w dużym pokoju, boczny stolik wciągnęli do wewnętrznego pokoju, sprawdzili działanie kamer w laptopach, wjechali z białą tablicą. Berger zaczął przytwierdzać do niej mapę północnej Dalarny i nagle znieruchomiał.

– Co nie było końcem? – zapytał.

– Esemes Carstena. Najpierw były to krótkie instrukcje na temat klucza w rynnie, hasło do wi-fi i takie tam. Potem kilka pustych wersów. I ciąg dalszy. Dopiero teraz go zobaczyłam.

– Ciąg dalszy? – odparł Berger.

Deer wkroczyła do sypialni, w której jeszcze nie byli, i podeszła do szafy w rogu. Otworzyła ją i wyjęła grubą plastikową teczkę. Położyła ją na bocznym stoliku przy komputerach, ustawiła cyfrowy kod zamka i otworzyła.

W teczce było pełno rurek wypełnionych płynami.

I zestaw guzików. I wyświetlacz.

Deer znów spojrzała na komórkę.

– Reszta jest w samochodzie – powiedziała.

\* \* \*

Stanęli w kompletnej ciemności, nawet wyjątkowo mocne reflektory samochodu nie ukazywały nic oprócz śniegu. Śniegu i jeszcze raz śniegu. Berger wyłączył silnik i odwrócił się do fotela pasażera. Deer ani na sekundę nie oderwała oczu od komórki.

– Dwieście metrów w prawo – oznajmiła. – Powinna tam być ścieżka.

Wysiedli z samochodu i stwierdzili, że żadnej ścieżki nie ma. Z pewnością była, zanim spadł śnieg. Deer zapaliła swoją latarkę, a Berger swoją. GPS w komórce pokazywał, że idą po ścieżce, ale nic w terenie nie wskazywało,

że to prawda. Wszystko pokrywała gruba warstwa śniegu.

Śnieg i dwoje ludzi, którzy w środku nocy ciągnęli przez pustkowie niewiarygodnie duży ciężar.

To, co po krótkim czasie spiętrzyło się na skraju kręgu światła latarki, przypominało średniowieczny zamek z wieżami i wieżyczkami. W miarę upływu czasu wieże zmieniały się w transformatory i przełączniki, a wieżyczki w kondensatory i wyłączniki automatyczne.

Mrok naprawdę dawał się we znaki. Nigdzie na nieboskłonie nie było widać najmniejszego nawet śladu przejaśnienia. Niebo w każdym razie pozostało średniowieczne.

Gdyby to naprawdę był zamek, staliby teraz przed fosą. Tymczasem były to jedynie solidne drzwi z niegościnniej siatki z galwanizowanej stali, ukoronowane pordzewiałym drutem kolczastym.

Berger wyjął nieporęczne nożyce do cięcia drutu i zaczął przecinać warstwę po warstwie. W końcu dotarł do grubego łańcucha, zacisnął ostrza nożyc na jednym z ogniw i nacisnął.

Łańcuch zwinął się sam z siebie, warstwa po warstwie. Berger szarpnął masywne drzwi.

Słyszeli trzaski i czuli elektryczność w powietrzu, otaczała ich ze wszystkich stron.

Deer opuściła wzrok na telefon i ruszyła w stronę czegoś, co wyglądało na budynek główny. Stanęli przed masywnymi stalowymi drzwiami. Były zamknięte.

– Teraz ostrożnie – powiedziała Deer.

Berger wyjął przypominającą surowe ciasto masę z bagażnika pojazdu Säpo. Wcisnął ją, najgłębiej jak się dało, do dziurki od klucza, wetknął w nią dwa kable i je rozciągnął. Oboje się cofnęli o kilka metrów. Berger podłączył akumulator.

Nic się nie wydarzyło. Czekali. Wytarł kable do czysta i spróbował ponownie.

Wybuch był silniejszy, niż się spodziewali. Oboje polecili do tyłu. Leżeli na śniegu i przyglądali się sobie. Deer skinęła głową, Berger też. Wstali, odsunęli drzwi na bok i wcisnęli się do świątyni.

Poświecili dookoła. Otaczała ich zaawansowana technika. Deer wpatrywała się w komórkę i zaczęła szukać wśród migających wyświetlaczy.

– Tutaj – powiedziała.

Berger nie miał zamiaru protestować. Przyniósł plastikową teczkę i przysunął ją do czegoś, co wyglądało jak gigantyczny transformator. Umieścił ją dokładnie tam, gdzie pokazała Deer. Otworzył i się odsunął.

Deer przejęła pałeczkę. Wypełniała instrukcję w każdym szczególe. Zaczęła wpisywać kody liczbowe na małym zestawie przycisków w tezcze. Zapalił się wyświetlacz. Kiedy wpisała ostatnią cyfrę, na wyświetlaczu pojawiło się 08:00.

– Czy to znaczy, że przez całą noc będziemy bez prądu? – spytał Berger.

– Nie my – odparła Deer.

Wyświetlacz nadal pokazywał 08:00. Deer zbliżyła palec do klawisza enter.

– Nie my – powtórzyła. – Jesteśmy w kryjówce, mamy zapasowy generator. Ale reszta Särny wraz z przyległościami owszem.

Przycisnęła.

Wyświetlacz pokazał 07:59.

Wyszli. Zaczęli biec przez gęsty śnieg. Nagle Deer poleciała do przodu. Berger pomógł jej wstać, ale przejęła się tylko tym, że telefon komórkowy wpadł w śnieg, i zaczęła go otrzepywać. Wskazywał 04:12.

Kiedy dotarli do samochodu, Berger odczytał z wyświetlacza 02:46. Musiał zawrócić na właściwie nieistniejącym odcinku drogi. Kiedy



samochód wreszcie się rozpędził, zegar wskazywał 00:21.

Berger podrapał się w koniuszek oka. Po policzku spłynęła mu kropla. Odwrócił do siebie wsteczne lusterko i zobaczył, że to krew.

W tej samej chwili świat za ich plecami eksplodował.

## 36

*Czwartek 26 listopada, godz. 02:07*

Nie po raz pierwszy Molly Blom wysiada z jeepa na miejscu dla niepełnosprawnych przy lotnisku w Gällivare. Przeciwnie – cały cykl zdarzeń wciąż się powtarza, w nieskończonym zapętleniu.

Wtedy po raz ostatni odetchnęła świeżym powietrzem.

Zobaczyła przed sobą plecy Bergera, znikające za głównymi drzwiami, i zaczęła biec, żeby go dogonić. Nagle usłyszała gwizd i poczuła, że jej głowa eksploduje.

Budziła się i zasypiała, odbijała się od ścian i podskakiwała, słyszała warkot silnika, nie widziała nic. Leżała w przestrzeni bardziej zamkniętej niż zwykły bagażnik samochodu, klaustrofobicznej. W końcu się zorientowała, że leży w walizce albo kufrze.

Poczuła, że to, czym oddycha, to krew. Zakrzepła krew.

Krew Jovany Malešević.

Ta myśl przeniosła ją z powrotem do chwili, kiedy wysiadała z jeepa w Gällivare, widziała przed sobą plecy i rozpędała się, żeby je dogonić.

Potem siedziała na ciężkim metalowym krześle, wszystko wokół niej wirowało w rozmytym półmroku. Głowa była przyciśnięta do przodu, ku dołowi. Zajrzała do białej emaliowanej miski. Woda spływała jej z włosów

do umywalki. W pierwszej chwili myślała, że to krew, która się łączy z wodą i tworzy wir w odpływie, ale potem spostrzegła, że kolor jest inny. Ktoś narzucił jej na głowę ręcznik i intensywnie wycierał. Potem dano jej spokój. Ręce i nogi miała przytwierdzone do krzesła. Dostrzegła ramę, a w niej kobietę o brązowych włosach, ale wkrótce zasłoniła ją szybko nadchodząca postać w kominiarce. W powietrzu zadźwięczały nożyczki. Ktoś zasłonił jej oczy ręką, a nożyczki zanurkowały we włosy. Cięły energicznie i długo, bardzo długo. W końcu ktoś cofnął rękę. Dopiero po jakimś czasie dostrzegła przed sobą złote lustro.

Przejrzała się w nim, popatrzyła sobie w oczy, w końcu dostrzegła jako tako znaną twarz. Dopiero wówczas zdała sobie sprawę, że brązowa czupryna, której odbicie widziała w lustrze, to jej włosy.

I że jest ostrzyżona na pazia.

Postać w kominiarce stała za jej plecami i odkładała nożyczki. Jakaś dłoń pomału gładziła ją po głowie. Nagle za kominiarką coś wezbrało. Nieludzki ryk rozniósł się po nieznanym pomieszczeniu. Znacznie większa postać w podobnej czarnej kominiarce rzuciła się na tą mniejszą.

Wszystko znów pociemniało.

Wysiada z jeepa na parkingu dla niepełnosprawnych przy lotnisku w Gällivare. Widzi plecy Sama wchodzącego głównymi drzwiami i nabiera rozpędu, żeby go dogonić. Słyszy gwizd.

Wysiada z jeepa na parkingu dla niepełnosprawnych przy lotnisku w Gällivare. Widzi plecy Sama wchodzącego głównymi drzwiami i nabiera rozpędu, żeby go dogonić.

Wtedy się obudziła.

Otworzyła oczy. Chłód zdążył już się w nią wgryźć. Minęło trochę za dużo czasu, zanim zrozumiała dlaczego. Była naga, zupełnie naga. Ciężkie metalowe krzesło wydawało się przykręcone do betonowej podłogi, żywo

przypominającej podłogę w piwnicy. Surowy, stęchły zapach uderzył ją w nozdrza i przywiódł na myśl kwaśny odór tamtego miejsca. Poruszyła lekko rękami i nogami – zostały solidnie przywiązane opaskami zaciskowymi.

Cisza była absolutna.

Ciemność właściwie też. Kilka metrów dalej dostrzegła coś, co przypominało pluszową kanapę, a na niej kontury dwóch postaci.

Nie widziała jednak nic, tylko się domyślała ruchu. Potem znowu ogarnęła ją ciemność.

Budzi się znowu, ma wrażenie, że na pluszowej kanapie dostrzega dwa ciała. Pozbawione głów.

W końcu dociera do niej, że mają czarne kominiarki. Niewyraźnie dostrzega ruchy na kanapie. Wężowate, nienaturalne. Nic poza tym.

Tylko mrok i cisza. Mniejsza postać się nachyla. Wkracza w pole czegoś, co przynajmniej przypomina światło. Ma nagi tułów i kominiarkę na głowie. To kobieta. Po chwili z powrotem znika.

Wygląda to jak powolny, ale uparty stroboskop.

Po raz kolejny dostrzega ruchy na kanapie, ale wyglądają jak z równoległego wszechświata. Nie docierają do niej, nie tak naprawdę.

Kobieta znów się nachyla, wchodzi w krąg słabego światła, światła ramp. Powoli ściąga kominiarkę, ale dopiero kiedy zdejmuje jasną perukę, Molly Blom rozpoznaje w niej Jessicę Johnsson.

Mężczyzna też się nachyla i zdejmuje kominiarkę. Reine Danielsson mocno się postarzał od czasu przesłuchania w Orsie. Molly widziała tylko jego portret z dzieciństwa, nic więcej. Dziecinna postać z portretu zniknęła i zastąpiło ją mroczne, pobrużdżone doświadczenie. Wielka samotność.

Para opada z powrotem na sofę i ponownie zastępują ją mrok. Molly jest w ciemności, w wielkiej ciemności.

Słyszy odgłosy groteskowej pantomimy pary, domyśla się ruchów nagich ciał na folii, uderza ją komizm całej tej szarady. Tego teatru, który wydaje się nie sprawiać nikomu zbytnej frajdy.

Kiedy wzrok powraca, Reine już stoi. Molly widzi samą siebie, swoje nagie, przypięte ciało, z zupełnie innego punktu w pokoju.

Reine się zbliża. Dokładnie na skraju słabej wiązki światła Molly dostrzega stół. Na stole leży duży nóż.

Znowu zapada mrok. Kojący, litościwy mrok. Molly czuje ból głowy. Promieniujący na całe ciało. A to dopiero początek.

Nie chce wiedzieć, jaka będzie reszta bólu, nie chce jej doświadczyć.

Budzi się. Choć wola otwarcia oczu jest instynktowna, udaje jej się utrzymać je zamknięte. Trwa to jakiś czas. Molly próbuje się zorientować w czasie i przestrzeni. Jej nos, jej ciało wypełnia woń stęchlizny. Próbuje zrozumieć, co się dzieje.

Nagle rozlega się kobiecy głos:

– Powieki nie tylko są cienkie, ale również demaskujące.

Otwiera oczy. Reine stoi przed nią. Trzyma w ręku polano. Za jego plecami dostrzega prawie całkiem schowaną Jessicę. Jej głowę, pochyloną do przodu na kanapie, lekko uśmiechniętą twarz, niewiele więcej.

– Sprawdziłam z zegarkiem, że byłaś przytomna trzy minuty i osiem sekund – kontynuuje Jessica. – Zdażyłaś się zastanowić, gdzie jesteś?

– Wiem, gdzie jestem – odpowiada Molly, najspokojniej jak potrafi.

– To znaczy?

– W ciemności – mówi Molly.

Jessica wybucha głośnym śmiechem. To ciepły, radosny, terkoczący śmiech, zupełnie niepasujący do piwnicy, w której przebywają.

W ogóle nic tu do siebie nie pasuje.

Jessica wstaje, przeciąga się.

– Gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo masz rację.

Podchodzi i staje obok Reinego. Stoją zaledwie metr od Molly, jedno przy drugim. Dwoje nagich ludzi.

Jessica się pochyla i obserwuje Molly. Kładzie jej rękę pod brodą i obraca twarz w jedną i drugą stronę, jakby oglądała ją pod lupą.

– Trochę zbyt długo myślałam, że nazywasz się Eva Lundström – mówi Jessica. – Potrzeba było czasu, abym ustaliła, że tak naprawdę nazywasz się Molly Blom. – Prostuje plecy i nie odrywając wzroku od oczu Molly, mówi: – Reine. Uderz ją.

Molly czuje, jak się wzdryga, zaczyna rzucać głową na boki, w przód i w tył. Całe jej ciało przygotowuje się na ból.

– Teraz poprzestaniemy na przedramionach – oznajmia Jessica. – Potem ją potniesz.

Molly nie zamierza zamykać oczu. Nie zamierza zamykać oczu.

Patrzy prosto w oczy Reinego Danielssona, kiedy ten unosi polano, wytrzymuje spojrzenie, nawet kiedy uderza ją w przedramię. W oczach Reinego z pewnością nie ma żadnej przyjemności. Raczej dziwna odraza. Gdyby miała szansę, może mogłaby z nią popracować.

Uderza w lewą rękę, potem w prawą, Molly wpatruje się w niego przez cały czas, bez przerwy. Kiedy pada trzeci cios w lewe ramię, traci czucie, a jedynym, co czuje, kiedy nadchodzi czas na prawe ramię, jest dziwne odrętwienie. Znieczulenie. Jakby ciało się wyłączyło.

Reine zamienia polano na nóż.

Molly widzi, jak ostrze wchodzi w lewe przedramię. Widzi tryskającą krew. Czuje się tak, jakby to była cudza krew.

Cudze ciało.

Pojawia się Jessica i pielęgniarskim spojrzeniem patrzy na krew bryzgającą z rany. Unosi probówkę i odkorkowuje. Przykłada do ramienia,

do płynącej krwi, i napętnia. Podstawia pod słabe czerwone światło i trzęsie. Wszystko wygląda profesjonalnie.

Jessica już ma coś powiedzieć, kiedy światło gaśnie. W piwnicy robi się całkiem ciemno.

– Nie, znowu! – krzyczy Jessica.

Reine coś mamrocze, nie daje się zrozumieć słów. Jessica mówi:

– Chyba jest tu więcej bezpieczników. Rozmawialiśmy o tym, żeby kupić świece, prawda?

– Nie – odpowiada Reine.

Molly po raz pierwszy słyszy jego głos. Jest opanowany, jakby dobiegający zza zasłony.

Wie, że może popracować nad tym głosem.

Jeśli będzie miała szansę.

– Idź na górę i wkręć nowy bezpiecznik – mówi Jessica.

Reine znika.

Molly gapi się w ciemną przestrzeń i myśli o całym absurdzie sytuacji. Ale przede wszystkim o tym, jakim absurdem jest wysłuchiwanie codziennej rozmowy seryjnych morderców. Tej perwersyjnej normalności. Gadek o wyskakujących korkach i o świecach, których się zapomniało kupić.

Jakby nagle pojawiła się codzienność.

Jej ramię rozsadza potężny ból.

– Chyba możemy to nazwać odroczeniem – mówi Jessica.

Molly czuje jej ciężki oddech. Nic nie widać. A Jessica milczy.

Jakby nie miała nic więcej do powiedzenia.

Czas płynie. Nagle Molly słyszy kroki na schodach. I głos Reinego:

– To nie to. Korek nie wystrzelił. Ale i tak go wymienilem. Nie pomogło.

– Kurwa – mówi Jessica gdzieś w ciemności.

Molly chce zatrzymać krwotok z ramienia. Ale to niemożliwe. Jest

przywiązana.

Słyszy różne rzeczy w ciemności. Odgłos kanapy zapadającej się pod czyimś ciężarem. Nagle włącza się małe światełko w komórce. Molly dostrzega, jak siedząca na kanapie Jessica odsuwa wszystko, co tam leży, i przygląda się próbówce. Reine podchodzi do niej z wózkiem na kółkach. Na wózku stoi sprzęt medyczny i laboratoryjny.

Molly próbuje zrozumieć, co widzi.

Rozumie jednak tylko, że nie rozumie niczego.

I że dostała odroczenie.

Zamyka oczy i wie, po prostu wie, że każda minuta działa na jej korzyść. Z każdą minutą, w czasie której pozostaje przy życiu, Sam Berger jest coraz bliżej.

Po prostu to wie.



## 37

*Czwartek 26 listopada, godz. 07:48*

Wiadomość przyszła w nocy. Berger i Deer usłyszeli ją w lokalnym radiu i zobaczyli w internecie. Lokalna elektrownia zniszczona, stacja elektroenergetyczna nie działa. Gmina Älvdalen, do której należy Särna, miała wystarczająco dużo zimnej krwi, żeby się powstrzymać przed wszelkimi sformułowaniami, które sugerowałyby wysadzenie w powietrze i zamach. Wiadomość jeszcze około siódmej rano nie zainteresowała ogólnokrajowych mediów.

We wczesnych godzinach porannych na stronie internetowej gminy pojawił się następujący komunikat dla mieszkańców Särny i okolic: „Trwa przekierowanie dostaw energii elektrycznej. Każde gospodarstwo domowe musi się zalogować na stronie internetowej przy użyciu indywidualnego kodu, który można otrzymać w miejscu zbiórki o godzinie ósmej w czwartek rano”.

Owym miejscem zbiórki był kościół w Särnie, a za dziesięć ósma ludzie już zaczęli się zbierać. Särna nie była duża i na szczęście przy stacji benzynowej po drugiej stronie ulicy naprzeciwko białego kościoła mieścił się okazały parking. Na początku wszystko przebiegało spokojnie.

Siedzieli w strategicznym miejscu tuż przy wjeździe. W samochodzie

zaczynało być zimno.

Szare niebo się rozwierało, blade światło świtu zaczęło się sączyć przez oporną pokrywę chmur.

– A więc Carsten miał rację – odezwała się Deer z fotela pasażera.

– Wygląda na to, że ogromnie mu zależy, abyśmy uratowali Molly.

Deer spojrzała na swój telefon komórkowy i zacytowała:

– „Sieć elektryczna jest sterowana cyfrowo. Przy przekierowaniu jest wymagany indywidualny kod, który należy odebrać osobiście. Wyłączenie dostaw prądu to jedyny sposób na wywabienie ludzi z domów”.

– To ktoś, kto wie, jak się przeprowadza zamachy – mruknął Berger.

Czas się kurczył. W miarę jak przybywało światła, spadała temperatura w samochodzie. Powoli przybierający na sile chaos parkingowy przed kościołem w Särnie sprawiał, że od czasu do czasu mogli włączyć silnik i pozostawić samochód na jałowym biegu, nie ściągając na siebie uwagi. Kolejka do kościoła zaczynała już zakręcać, powstał wyraźny, ale wciąż jeszcze pełen rozbawienia chaos. Coraz trudniej było rozróżnić poszczególnych ludzi, a nawet poszczególne samochody.

Berger i Deer tyle razy siedzieli razem w samochodach patrolowych, że czuli się jak w domu. A jednocześnie kompletnie obco. Jakby odgrywali scenę w sztuce o dalekiej przeszłości. Wszystko było znajome, choć jednocześnie nic.

Cała sytuacja wyglądała inaczej.

Chaos na parkingu zaczął przybierać na sile. Samochody trąbiły, jeden z kierowców gorączkowo pokazywał ich miejsce parkingowe, najwyraźniej żądając, by je zwolnili. Pojazdy stały stłoczone, ludzie krzyczeli na siebie, wymachiwali pięściami, wykonywali obraźliwe gesty. Klaksony rozbrzmiewały w swoistej kakofonii. Ciężarówka skręciła przed nimi i po prostu zaparkowała na wprost ich rzędu. Niewzruszony kierowca zaczął

wypakowywać towary, które dostarczał na stację benzynową.

Po jakichś dziesięciu minutach Berger miał już dość i wysiadł. Okrążył ciężarówkę, usiłował ogarnąć wzrokiem chaos. Rzucił okiem na krętą kolejkę do kościoła. Również tam pełen rozbawienia chaos zaczął przechodzić w coś groźniejszego. Skąd się brali ci wszyscy ludzie?

I wtedy to zobaczył. Na ustronnym miejscu parkingowym stał volkswagen caddy w kolorze fjord blue o numerach rejestracyjnych LAM 387. Był pusty.

Berger przycupnął, przekradł się do Deer, dał jej znak, żeby wyszła, i wskazał samochód. Włożyli kaptury kurtek i, tak dyskretnie jak potrafili, podkradli się do kolejki prowadzącej do kościoła. Po obu stronach nieskoordynowanego tłumu szli naprzód, choć nie obyło się bez protestów. Temperatura wynosiła minus dziesięć stopni albo i jeszcze mniej, ludzie byli porządnie opatuleni, trudno było dostrzec ich twarze. Dwukrotnie Berger musiał pokazać fałszywą legitymację policyjną, choć wołał tego uniknąć.

W miarę jak coraz bardziej przesuwali się do przodu wzdłuż kolejki, atmosfera była coraz bardziej napięta, w pewnym momencie Berger odniósł wrażenie, że nastroje są rodem z linczu. Już miał się przedrzeć przez kolejkę, żeby wyrwać Deer z rąk ogromnego mężczyzny o sinoczerwonej twarzy, kiedy jakieś dwadzieścia metrów dalej pojawiła się postać w puchowej kurtce w kolorze maskującej zieleni. Udało mu się uwolnić Deer od olbrzyma, jednocześnie śledząc postać wzrokiem. Człowiek w kurtce zszedł w prawo na odśnieżoną ścieżkę pomiędzy przykryte śniegiem groby.

Berger ruszył przed siebie, Deer poszła za nim. Nagle potknął się o czyjąś nogę i runął bezwładnie do przodu, a blade powietrze przeciął surowy śmiech. Deer go wyminęła – leżąc, zobaczył, jak dociera do ścieżki wiodącej na cmentarz. Wstał, wyplątał się i pobiegł za nią.

Postać w kamuflującej zieleni przystanąła. Pod kapturem nie było widać twarzy. Postać zdawała się ich obserwować. Stała dwadzieścia metrów dalej

na oblodzonej ścieżce pomiędzy grobami, kiedy Berger minął Deer i po raz drugi się wywrócił, tym razem z własnej winy. Ścieżka była istnym lodowiskiem. Wstał, zaczął się ślizgać. Postać stała nieruchomo, niewidoczne oczy śledziły ich spod kaptura. Wyczekująco. Jakby postać wiedziała coś, czego oni nie wiedzieli.

Bergerowi się to nie podobało. Ten ktoś stał między dwoma grobami i na nich czekał. Próbował się zaprzeć butami o lód i jednocześnie rzucił spojrzenie przez ramię. Deer nie było. W chwili kiedy nabrał rozpędu, na ile się dało, postać wystrzeliła w prawo na ukos. Najwyraźniej tam, pomiędzy grobami, była ścieżka. Poza tym, w przeciwieństwie do niego, tajemniczy człowiek miał korki na podszwach. Biegł między grobami w stronę parkingu. Berger nie zdążył nawet dotrzeć do zakrętu, kiedy zobaczył, jak przesadza ośnieżony żywopłot graniczący z parkingiem – niczym reprezentant drużyny narodowej w skokach przez płotki. Wybiegł na ścieżkę, znowu się poślizgnął, ale zobaczył zielony kaptur, gdy ten mijał kilka samochodów w drodze do caddy'ego.

Kurwa, pomyślał, zaraz mi ucieknie.

Kolejka zdążyła już dotrzeć prawie do wejścia na cmentarz. Postać biegła płynnie w stronę prześwitu, kiedy nagle coś się wydarzyło.

Druga postać wypadła z pełnym impetem zza samochodu najbliższego wejścia. Zderzyła się z postacią w maskujących barwach i przycisnęła ją do samochodu po drugiej stronie ulicy. Oba kaptury opadły. Berger klęczał na lodowisku, kiedy spostrzegł, że obie postaci mają ciemne włosy ostrzyżone na pazia i wyglądają jak walczące ze sobą lustrzane odbicia. Nagle zobaczył, jakby w zwolnionym tempie, jak Deer z siłą, której nie był w stanie pojąć, chwyta Jessicę Johnsson za włosy i wybija jej głową boczną szybę samochodu.

Zdawało mu się, że chmura szklanych odłamków nigdy nie opadnie na

ziemię.

*Czwartek 26 listopada, godz. 09.16*

Berger wszedł do środka. Drzwi zamknęły się za nim. Wszystko budziło skojarzenia z kliniką. Pleciona tapeta była tak samo anonimowa jak pusty stół z okleiny brzozonej. Na bocznym stole stał niezidentyfikowany sprzęt. W pokoju nie było okien, tylko dwa krzesła. Jedno z nich było wolne.

Na drugim siedziała Jessica Johnsson.

Jej nadgarstki były przypięte do podłokietników opaskami zaciskowymi. Na twarzy miała kilka ran, niektóre przykryte plastrami, inne lekko broczące krwią. Berger wyraźnie wyczuwał dziwny uśmiezek w kącikach jej ust. Nie odzywała się jednak.

Berger usiadł, włączył sprzęt nagrywający na bocznym stole i zapytał:

– Gdzie jest Molly?

Jessica Johnsson nie odpowiadała. Jej spojrzenie przeszukiwało ascetyczny pokój, analizowało go. Berger kontynuował:

– To już koniec, Jessico, chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

Nie było reakcji.

– Pomyśl przynajmniej o Reinem – powiedział Berger. – O twoim Reinem. Pozwól mu uniknąć popełnienia ostatniego morderstwa, pozwól uniknąć kolejnej psychozy.

Jego powściągliwość sprawiała mu ból. Miał ochotę rzucić się na tę kobietę i pociąć ją na kawałki. Jednak Deer, która kierowała nim przez słuchawkę, przekonała go, że to nie będzie szczególnie skuteczne.

– Pod skórę – przypomniała w tej chwili.

Wiedział, że musi spróbować wejść pod skórę Jessiki Johnsson. Znaleźć jakiś cholerny sposób.

Prowadzili gorączkowe dyskusje na temat konfiguracji osobowej. Czy Deer ma być obecna na przesłuchaniu? A może sama powinna je poprowadzić? W końcu doszli do wniosku, że jej nieobecność powinna przynieść najlepszy rezultat. Przynajmniej na początku.

W końcu to o Sama Bergera chodziło Jessice.

Nachylił się nad stołem i rzekł:

– Jeśli powiesz, gdzie ona jest, być może kiedyś wyjdiesz z więzienia. W przeciwnym wypadku dostaniesz dożywocie, prawdziwe dożywocie, co oznacza, że swój ostatni oddech na wolności masz już za sobą.

Jessica Johnsson milczała, obserwowała go – zagadkowa, zdecydowana, absurdalnie silna. Bez najmniejszych wątpliwości chora. Wiedział, że nie będzie łatwo. Musiał się uzbroić w cierpliwość. Nie sądził, aby Reine mógł zaatakować Molly, kiedy będą sam na sam. O ile Molly nadal żyła...

Jessica zdawała się czytać mu w myślach. Jej pierwsze słowa brzmiały:

– Reine wie, co ma zrobić, jeśli nie wrócę.

Berger poczuł, że chce mu się wymiotować, narzygać prosto na stół z pieprzonej okleiny. W uchu usłyszał pytanie, zadane ze wszech miar nauczycielskim tonem: „A co ma zrobić Reine?”.

Udało mu się opanować i zapytał:

– A co ma zrobić Reine, jeśli nie wrócisz?

Jessica się uśmiechnęła. Szybko, przelotnie, bez radości.

– Dokończyć – odparła.

– Farida Hesari – powiedziała Deer do ucha.

– Bez ciebie Reine staje się innym człowiekiem – oznajmił Berger. – Kiedy spałaś, pozwolił Faridzie Hesari uciec z willi w Täby.

Jessica wolno pokiwała głową, jakby coś sobie uświadomiła.

– Odrobiliście pracę domową – powiedziała. – Ależ byliście mądrzy.

– Właśnie tego chciałaś – odparł Berger, najspokojniej jak potrafił.

– Reine też ją odrobił – rzekła Jessica i wzruszyła ramionami. – Nigdy już nie powtórzy tego błędu.

Nie patrzyła na niego. Berger spojrzał jej głęboko w oczy. Przez chwilę miał wrażenie, że widzi całą jej sztuczność. Jakby zrozumiała, jak wiele bólu powinna czuć, gdyby nie to, że nie jest do tego zdolna. Pytanie brzmiało, czy w ogóle coś czuła, czy też wszystko było jedynie zwyrodniałą grą.

– Wiemy o wszystkim, przez co przeszłaś – oznajmił Berger.

– O wszystkim? – Jessica się roześmiała. – „Lepiej mów o rzeczach, które potrafisz zrozumieć”.

Berger umilkł. Skądś znał to sformułowanie.

Jessica mówiła dalej:

– Rechocze ci teraz do ucha, Sam? Jak to robiła osiem lat temu?

Dopiero wtedy scena z Orsy stanęła mu przed oczami. Unosi rękę w kierunku Reinego i pielęgniarki. Układa z palców pistolet. Strzela do Reinego. Potem zwraca się do pielęgniarki: „Lepiej mów o rzeczach, które potrafisz zrozumieć”. A Deer wybucha śmiechem.

Jeden gest, kilka słów, śmiech. Siedziały w niej i rosły jak szalony guz nowotworowy.

Wbrew wszystkiemu udało mu się wrócić do teraźniejszości. Zaskoczył go jego własny pozorny spokój.

– Wiemy, przez co przeszłaś – oznajmił. – Ale to nam się nie zgadza. W wieku ośmiu lat znalazłaś czterolistną koniczynę. Miałaś życzenie, coś,



czego skrycie pragnęłaś, ale nie mogłaś wypowiedzieć tego na głos. Skrycie pragnęłaś nie mieć młodszego brata.

Obserwowała go, ich spojrzenia się zakleszczyły.

– Bo chciałaś być sama – ciągnął Berger. – Jak prawdziwy narcyz nie mogłaś znieść, że będziesz dzieliła uwagę rodziców z kimś innym. Zastanawiam się, czy w ogóle byłaś zszokowana, kiedy w wieku ośmiu lat znalazłaś matkę w kałuży krwi. Zastanawiam się też, czy to nie ty przypadkiem ją zabiłaś. Otrułaś? Skoro miałaś się z kimś nią podzielić, musiała umrzeć.

Jessica uwolniła się od jego spojrzenia, patrzyła w ścianę. Odniósł wrażenie, że widzi, jak napinają jej się szczęki.

Potrzebował tych napiętych szczęk.

– No i jeszcze ta sprawa z twoim ojcem... – ciągnął. – Nigdy nie zasłużyłaś sobie na jego uwagę. Może więc mogłabyś zasłużyć, kiedy zagrożenie zostało usunięte?

Szczęki nadal się napinały.

– Tak jednak się nie stało. A wręcz odwrotnie, prawda? Twój ojciec uciekł na drugą stronę kuli ziemskiej. Myślę, że uciekł przed tobą, Jessico. Bał się ciebie. Zobaczył, jaka jesteś niebezpieczna. Jak bardzo chora. Mówiłaś tacie o swoim marzeniu? Jego też zabiłaś?

Uśmiechnęła się, ale szczęki pozostały napięte. Wyszła z tego naprawdę szczególna mina.

– Chodziłaś do terapeuty dziecięcego – ciągnął Berger. – Wiedziałaś, co powinnaś czuć. Ale tego nie potrafiłaś. Ani wtedy, ani teraz. Twój krajobraz wewnętrzny jest całkowicie biały, Jessico. To świat bez właściwości.

Ich spojrzenia się spotkały. W jej oczach było też coś nowego, niemal rozbawienie. Jakby chciała, aby to ujawnić. Jakby o to jej chodziło. Nie napędzał jej ból, tylko poszukiwanie bólu. Robiła to wszystko, aby w ogóle

cokolwiek poczuć.

– Kiedy byłaś u swojej biednej nieświadomej ciotki Ebby i surfowałaś po najgorszych stronach, jakie potrafiłaś sobie wyobrazić, dotarło do ciebie, że powinnaś czuć coś autodestrukcyjnego. Może by tak się zainteresować sadomasochizmem? Weszłaś w rolę masochistki, pojechałaś do Stanów Zjednoczonych, zobaczyłaś, jak madame Newhouse postępuje ze swoim wysokim progiem apatii. Niewolnik, którym można sterować... może to byłoby coś? Ktoś, kto wypełniałby twoje najbardziej zwichrowane fantazje i jednocześnie cię dostrzegał. Bo chcesz być dostrzeżona. Jesteś tylko fikającą małpą, komediantką, Jessico.

– Na tym poprzestań – powiedziała mu Deer do ucha.

Berger urwał. Obserwował Jessicę Johnsson. Znów spojrzała mu w oczy. Próbował coś odczytać z tego spojrzenia, ale było to bardzo, bardzo trudne. Czyżby mimo wszystko dostrzegał, że coś w niej pękło? Dostrzegał chęć skorygowania, doprecyzowania, zmiany jego słów?

Nie wiedział, czekał, liczył na to, że Deer zobaczyła więcej niż on. Ale słuchawka milczała.

– Dlaczego to ty miałbyś być pierwszym człowiekiem na świecie, który to zrozumie? – zapytała Jessica z lekkim uśmiechem. – Co miałoby cię do tego kwalifikować?

– Odszukałaś właśnie mnie, Jessico. Wezwałaś mnie.

Oczy Jessiki się zwęziły. Berger kontynuował:

– Reine nie wystarczy, co? Już w Orsie zauważyłaś, że to nie jest publiczność, której potrzebujesz. Taka, która byłaby w stanie cię widzieć i jednocześnie potępiać. Która mogłaby cię powstrzymać. To, co robisz, jest bowiem kompletnie bezsensowne i sama o tym wiesz. Myślisz, że prędzej czy później coś poczujesz, ale ja uważam, że po prostu nie potrafisz czuć.

Jessica Johnsson uciekła wzrokiem. Berger zobaczył coś w jej oczach.

Uśmiech zniknął, jak ręką odjął.

– Wkrótce coś poczuję – powiedziała cicho.

Berger przerwał, czekał na jakieś słowo Deer, jakiegokolwiek, ale nic nie słyszał. Słuchawka milczała.

Co, do cholery, miało znaczyć „wkrótce coś poczuję”?

– Osiem lat temu wybrałaś Deer i mnie jako swoistych rodziców zastępczych – kontynuował Berger. – Deer bardzo ostro traktowała Reinego w czasie przesłuchania, ja strzeliłem do was z palców. To cię w jakiś sposób sprowokowało. Przez lata, kiedy kontynuowałaś swoją straszliwą serię zabójstw, próbowałaś nawiązać z nami kontakt, sprawić, abyśmy cię dostrzegli. Ale potem coś się wydarzyło, bo kilka tygodni temu naprawdę chciałaś nas skłonić do działania. Co się wtedy stało?

Jessica nagle znów się uśmiechnęła, nieco skrycie.

– Przecież już mówiłam w Porjus. Zobaczyłam was w telewizji.

– Mówiłaś, że zobaczyłaś Deer.

– Oboje byliście w tym materiale, wtedy jeszcze pracowaliście razem. Ona mówiła coś o sprawie Ellen, a ty stałeś w tle.

– Ale dlaczego potrzebowałaś nas właśnie teraz?

– Chcę widzieć twój ból – oznajmiła Jessica z promiennym uśmiechem.

Berger poczuł przeszywające błyskawice. Miał ochotę użyć przemocy. Brutalnej przemocy.

– Spokojnie, Sam – powiedziała mu Deer do ucha.

Berger zamknął oczy, udało mu się zapanować nad sobą.

– Chcesz, żebym potwierdził twój ból, Jessico – powiedział. – Nie zamierzam tego zrobić, bo nie ma żadnego bólu. Ale mogę potwierdzić twoją wewnętrzną pustkę.

Czyżby dostrzegł w jej oczach rozczarowanie? Czy miała nadzieję, że będzie „nobiletował” jej uczucia, uczyni je szlachetniejszymi niż są w istocie?

Co zadziała najskuteczniej? Głaskanie jej czy potraktowanie jeszcze ostrzej? Musiał podjąć decyzję. Wcześniej Deer go powstrzymała. A więc decyzja zapadła.

– Może jednak coś poczułaś, kiedy tak strasznie się zemściłaś na Eddym Karlssonie w tej piwnicy w Bagarmossen?

Rzeczywiście trochę się rozpromieniła.

– Przynajmniej nie zaprzeczysz, że dostał to, na co zasłużył.

– Zostań przy tym – powiedziała Deer do ucha.

– Nie wiem, co dokładnie Eddy Karlsson ci zrobił – przyznał Berger.

– I się nie dowiesz – odparła Jessica.

– Ale to chyba było dość jasne „oko za oko”. Fiut za macicę.

Jessica się roześmiała.

– Całkiem sprytne, nie?

Berger popatrzył na nią i spytał:

– Jesteś tak banalną seryjną morderczynią, Jessico? Wezwałaś mnie tylko po to, abym cię podziwiał? Abym był pod wrażeniem twojego „sprytu”?

Ponownie mrugnęła, ale tym razem wytrzymała jego spojrzenie. Wydawało mu się wręcz, że dostrzega w nim odrobinę gniewu.

– Właśnie cię powstrzymałem – oznajmił. – Nie jesteś zbyt sprytne. I chyba nigdy nic nie poczułaś.

– Wkrótce coś pocuję – powtórzyła Jessica.

– Jak miałyby to się stać po trzydziestu pięciu latach bez uczuć?

– Chcę patrzeć ci w oczy, kiedy Molly Blom będzie umierała.

Wszystko zrobiło się białe. Świat bez właściwości.

– Spokojnie, Sam – powiedziała natychmiast Deer prosto do jego ucha. – Zachowaj teraz zimną krew. Czy to znaczy, że ona wie, co dokładnie się wydarzy? Czy Reine ma zadać cios o konkretnej godzinie? Jak mamy się tego dowiedzieć?

– Nie ośmieszaj się – powiedział Berger z udawanym spokojem. – Nie wiedziałaś nawet o istnieniu Molly, dopóki nie przyjechaliśmy do ciebie do Porjus.

– A poza tym myślałam wówczas, że nazywa się Eva Lundström – dodała Jessica z nieco pewniejszym uśmiechem. – Jednak, co ważniejsze, zobaczyłam, że jesteście parą.

– Parą?

– To było wyraźnie widoczne.

W uchu Bergera rozległ się szelest. Deer bardzo wyraźnie powiedziała:

– Nie pozwól jej się do ciebie przebić, Sam. Po prostu kontynuuj.

Nie potrafił. Naprawdę nie potrafił kontynuować. Jessica go wyręczyła, patrząc prosto w kamerę za jego plecami.

– Tuż obok szkoły twojej córki, Deer, jest skrzynka pocztowa. Lekcje tego dnia dobiegły końca, Lykke szła prosto w naszą stronę. Stałam, trzymając list do Säter, do Karla, w szczelinie skrzynki. Reine stał obok i czekał na moje rozkazy. Musiałam podjąć szybką decyzję. Co sprawiłoby największy ból? Gdybym zabrała córkę Deer czy ukochaną Sama? Lykke ma tyle samo lat co ja, kiedy zerwałam czterolistną koniczynę... i rzeczywiście mnie przypomina z wyglądu... ta fryzura na pazia i tak dalej. Wszystko było przygotowane do porwania jej. Ale w tamtym miejscu i czasie zmieniłam zdanie. Uznałam, że większym wyzwaniem będzie porwanie Molly Blom. Wrzuciłam kopertę do skrzynki i pozwoliłam Lykke mnie minąć. W przeciwnym razie twoja córka byłaby martwa, komisarz Rosenkvist.

– Zostań tam, gdzie jesteś, Deer – powiedział od razu Berger.

Usłyszał, jak Deer chlipie mu do ucha, ale nic więcej.

Musiał skierować rozmowę na inne tory.

– Jak udało wam się zdążyć przed nami na lotnisko w Gällivare? Myśleliśmy, że jesteście w Skogås.

– O to właśnie chodziło – odparła Jessica ze słodkim uśmiechem. – Kiedy postanowiłam, że nie zgarniemy małej Lykke, poleciliśmy z powrotem do Laponii.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie – rzekł Berger.

Jessica wzruszyła ramionami.

– Domyśliłam się, że jesteście na północy, odpowiednio blisko Porjus. Tamtejsze linie lotnicze mają systemy łatwe do zhakowania. Osiedliliśmy się pomiędzy Gällivare a Arvidsjaur, dwoma możliwymi lotniskami. Wystarczyło tam pojechać, kiedy w systemie pojawiła się twoja rezerwacja. Czy chcesz zadać jeszcze jakieś ekscytujące pytanie techniczne?

– Anders Hedblom, brat Karla – odparł Berger. – Dlaczego go zabiłaś?

– To Berger go zabił – oznajmiła Jessica i znów się uśmiechnęła. – Tak było napisane na kartce.

– Przeprowadziłaś się do Malmö z powodu Andersa? – zapytał Berger tak opanowanym tonem, na jaki tylko potrafił się zdobyć.

– To nie jest zbyt interesujące – stwierdziła Jessica aroganckim tonem. –

Był w odwiedzinach u brata w Orsie, zaczęliśmy się spotykać. Pojechałam za nim do Malmö, ale miał mnie gdzieś. Żeby go przy sobie zatrzymać, dawałam do zrozumienia, że Karl był niewinny i powiedział trochę za dużo. Potem się ze mną przeprowadził na północ i zaczął ode mnie wyciągać pieniądze. Tak więc sam był sobie winien.

– Nie był wystarczająco dobry jako ojciec – oznajmił Berger. – Zamiast tego stał się jedną z twoich dziesięciu ofiar.

– Dziesięciu?

– Naliczyłem dziesięć. Helena, Rasmus, Mette, Lisa, Eddy, Farida, Elisabeth, Anders, Jovana i Molly.

– Ja liczę zupełnie inaczej – stwierdziła Jessica Johnsson – Ofiar było sześć.

– Wyjaśnij – powiedział Berger.

– Farida uciekła, nie liczy się. Eddy i Anders się nie liczą, to było po prostu konieczne. A Andersa można było potraktować jako część mojej wiadomości dla ciebie, Sam.

– I tak wychodzi mi siedem – rzekł Berger.

– Rasmus Gradén się nie liczy. On należy do Heleny.

– Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć.

– Ofiar nie jest sześć – oznajmiła Jessica. – Tylko sześć razy dwa.

Berger czekał, myślał, nasłuchiwał. Ale Deer nic nie mówiła, w jego uchu była cisza. A w myślach nic do siebie nie pasowało.

Jessica kontynuowała z perwersyjnym spokojem:

– Zawsze cierpi dwoje, matka i syn, reszta jest nieistotna. Helena i jej syn. Mette i jej syn. Lisa Widstrand i jej syn. Elisabeth Ström i jej syn. Jovana Malešević i jej syn.

– To pięć, do cholery – krzyknął Berger, czując, jak mózg mu się gotuje. – Pięć razy dwa.

– Prawa kieszeń kurtki – powiedziała Jessica Johnsson.

Potem nie powiedziała nic więcej.

Berger stanął na nogi i wykuśtykał przez drzwi na korytarz. Wrócił z puchową kurtką Jessiki, włożył rękę do prawej kieszeni, wyjął z niej coś w rodzaju plastikowej rurki, popatrzył na nią, zobaczył małe okienko, a w niej kreseczkę.

– Zaczęłam od próbki krwi – oznajmiła Jessica. – Rezultat był zdumiewający, ale dziwnie logiczny, jakby nawet przypadek sprawił, że dobrze wybrałam. Potem zrobiłam też klasyczny test ciążowy. Z moczu.

Berger wpatrzył się w kreseczkę, w Jessicę Johnsson, w ścianę.

– Molly Blom jest w ciąży – oznajmiła Jessica. – Od niecałego miesiąca.

Berger na nią popatrzył. Zastanawiał się, co takiego sączy się z kącików

jej ust.

- Sześć razy dwa – powiedziała Jessica Johnsson z szerokim uśmiechem.
- Ofiar jest sześć razy dwa.



## 39

*Czwartek 26 listopada, godz. 10:35*

Obudziło ją zimno. Zimno albo rany. Nie miało znaczenia co, bo i jedno, i drugie sprawiało ból.

Wszystko sprawiało ból.

Ale najbardziej bolała świadomość. Świadomość sytuacji.

Szarpnęła opaskę. Wszystkie cztery kończyny wciąż były unieruchomione. Dopiero potem otworzyła oczy.

Zrobiło to bardzo niewielką różnicę. Coś w rodzaju słabego światła w tle sączyło się do piwnicy, nic więcej. Rozpoznała w mroku kanapę, postać na kanapie, wydawało jej się, że mężczyzna nie jest już nagi, lecz ma na sobie coś w rodzaju dresu i że śpi.

Wydawało jej się, że jest sama.

Rozejrzała się po ciemnej piwnicy. Nic w niej nie było. Kanapa, mężczyzna, stół z polanem i nożem, ona. Nic więcej.

Molly Blom przyjrzała się swojemu ciału. Próbowwała ocenić stopień obrażeń. Sam widok tak sinych, tak opuchniętych, tak zakrwawionych ramion był szokiem, ale to pieczenie pośladka nie dawało jej spokoju. Zaczęła powoli, stopniowo, wyciągać się do przodu. Nie miała odwagi oszacować, jak długo to trwało, ale z każdym pchnięciem sięgała nieco dalej.

W końcu mogła spojrzeć sobie między nogi. Na pośladku spostrzegła niewyraźny kontur. W końcu zrozumiała, że patrzy na rysunek długopisem.

Że to, co widzi, prawdopodobnie jest czterolistną koniczyną.

Jessiki nie było. Molly nie miała pojęcia, kiedy zniknęła, ale nocą coś się wydarzyło, bo Jessica i Reine wisieli nad komputerem i dyskutowali o czymś stłumionymi, lecz wzburzonymi głosami.

Molly nie miała pojęcia, która godzina. Słabe światło w tle mogło sugerować, że jest dzień. Mogła to być wiązka dziennego światła, na przykład spod kiepsko izolowanych drzwi piwnicy. Skoro bezpieczniki, albo coś podobnego, nawaliły, nie mogło to być światło elektryczne.

W końcu coś usłyszała, oprócz chrapania Reinego. Bardziej uporczywy, bardziej regularny dźwięk. Czy mogło to być tykanie?

Bardzo, bardzo słabe, a jednak obecne, jednak rzeczywiste. Tak.

Tykanie za jej plecami.

Była dość wysportowana, nawet jeśli ostatnimi czasy głównie dzięki jeździe na nartach, i rozciągnęła już kark i plecy, żeby zobaczyć czterolistną koniczynę. Kilka dodatkowych obrotów wystarczyło, aby spojrzeć za plecy. Był tam zegar ścienny. Wskazywał za piętnaście jedenastą i wyglądał na nowy, zdawał się nie należeć do zużytego wyposażenia, tak samo jak czerwona pluszowa kanapa. A więc został tam umieszczony z jakiegoś powodu.

Pewnie przez Reinego.

Molly wprawdzie nie była zbyt przytomna, kiedy ją transportowano w to miejsce, w kufrze skąpanym w krwi Jovany Malešević, ale wiedziała, że podróż trwała długo, z pewnością ponad sześć godzin. Oczywiście mogli pojechać na północ – w stronę miejsca na styku Szwecji, Norwegii i Finlandii albo jeszcze dalej na północ, w kierunku Finnmarku, Honningsvåg, Hammerfest, Przylądka Północnego – ale za bardziej prawdopodobne uznała,

że pojechali na południe. W stronę gęściej zaludnionych terenów. A więc Jessiki Johnsson prawdopodobnie nie było dość długo. Nieco dłużej niż nakazywała konieczność.

Tak, tego rodzaju logiczna analiza była niezbędna.

Stawką w grze było jej życie i nie zamierzała poświęcać być może ostatnich chwil życia na metafizyczne spekulacje. Co się dzieje po śmierci? Czy miała dobre życie? Nie ma mowy. Teraz chodziło o to, aby przeżyć.

Wóz albo przewóz, tak lub nie.

Ona, Molly Blom, nie zamierzała opuszczać tego świata bez walki do ostatniej kropli krwi.

Tym razem zaś jej przeciwnik był kompletnym kretynem. Jeśli sobie nie poradzi, to nie zasługuje na to, aby przeżyć. Mimo opasek zaciskowych, polana i ostrego jak brzytwa myśliwskiego noża.

Jessica Johnsson nigdy by nie wyszła bez uprzedniego zabezpieczenia. Była na to zbyt mądra. Na wypadek, gdyby rzeczywiście minęło trochę za dużo czasu – w optymalnym przypadku: gdyby Sam Berger ją złapał – Reine dostał coś, na czym mógł się oprzeć. Mogła być tylko jedna taka rzecz: ewidentnie niedawno powieszony zegar. A więc konkretna godzina. Reine zaś nie poradziłby sobie z jedenastą trzynastą albo czterdzieści siedem. Dałby sobie za to radę z pełnymi godzinami, ewentualnie z połówkami.

Dochodziła za dziesięć jedenasta. Może jedenasta była zbyt wczesna. Może Jessica podała Reinemu wpół do dwunastej, dwunastą.

W każdym razie istniała konkretna pora, o której miał ją zabić.

Wysłuchiwała się w chrapanie. Jeśli tą porą była jedenasta, to budzik, a może telefon komórkowy na pewno zadzwoni lada chwila. Jessica musiała być świadoma ryzyka, że Reine może zasnąć. Z pewnością nastawiła budzik. A biedny Reine musiał mieć co najmniej dziesięć minut na rozbudzenie, zanim popełni kolejne morderstwo. Na rozkaz Jessiki.

Tak więc budzik musiał zadzwonić teraz.

Wobec tego Molly Blom – mimo braku choćby jednej działającej kończyny – musiała być gotowa w tej samej sekundzie przystąpić do kontraktaku.

Przygotowała się. Naładowała. Na wypadek, gdyby chodziło o jedenastą.

Czas płynął. Czuła się prawie jak na treningu, gdy przez cały czas rzucała spojrzenie przez ramię. Wskazówki minęły jedenastkę. Prawdopodobnie miała pół godziny, może godzinę. Czy w ogóle istniały jakieś inne możliwości działania? Raczej nie. Jej ciało było zablokowane, a poza tym dość mocno uszkodzone. Miała tylko głowę, tylko ona była nietknięta.

Słowa, które wypowie do Reinego, jakimś sposobem będą musiały być mocniejsze od słów Jessiki. Jessica i Reine żyli ze sobą przez osiem lat, trenowała go przez dekadę. Tresowała. Prała mu mózg.

Jednak w oczach Reinego nie było zła. Miał spojrzenie niewolnika.

Molly czuła, że może do niego dotrzeć. Naprawdę. Zagadać go, żeby czas minął.

Musiała w to wierzyć.

Było piętnaście po jedenastej, kiedy w kieszeni dresów Reinego coś zaczęło dzwonić. Spodziewała się tego.

Kwadrans na przygotowanie.

Kwadrans do śmierci.

Reine otworzył oczy i gapił się przed siebie. Dopiero po dobrej chwili wyjął telefon z kieszeni i wyłączył. Obserwowała go, myślała o triangulacji, myślała logicznie, uświadomiła sobie, że jeśli Sam dorwał Jessicę, to mógł znaleźć numer Reinego na liście kontaktów w jej komórce i wykorzystać triangulację do namierzenia komórki.

Prawdopodobieństwo było oczywiście minimalne, ale sama możliwość dała jej wystarczająco dużo siły, aby wrócić do pierwotnego planu. Jak

najłagodniejszym tonem powiedziała:

– Dzień dobry, Reine. Wypałeś się?

Reine potarł oczy i popatrzył na nią w półmroku. Bardzo trudno było stwierdzić, co widzą te oczy.

– Bardzo tu zimno – stwierdziła i próbowała się uśmiechnąć.

Spostrzegła, że patrzy przez jej ramię w kierunku zegara i próbuje odczytać godzinę. Miała wrażenie, że widzi, jak w jego głowie zapala się żarówka.

Po jego wyrazie twarzy zorientowała się, że wie, na czym polega jego zadanie. Wzrok Reinego padał na stół, na nóż.

– Nazywałeś Jessicę Leną, kiedy się poznaliście? – spytała Molly. – Nazywała się wtedy Lena, prawda? Lena Nilsson. Pamiętasz to, Reine? Pamiętasz ośrodek w Falun?

Reine zamrugał kilka razy, nie ruszał się z kanapy. Nic nie mówił.

– Dorastałeś tam, Reine, pamiętasz?

– Mam cię nie słuchać – odparł.

– To Lena czy Jessica kazała ci mnie nie słuchać, Reine?

Spojrzał na nią, po raz pierwszy zetknął się z nią wzrokiem.

– Mam cię nie słuchać – powtórzył.

– Ale może ty nie jesteś Reine? Nazywasz się Sam? Sam Berger? Pamiętasz Sama? A Deer? Na pewno pamiętasz Deer. Sama i Deer?

– Mam cię nie słuchać.

– Pamiętasz igłę w ręce, Sam? Byłeś wtedy sprytny, wygiąłeś igłę, żeby płyn z kroplówki nie dostał się do twojego ciała. Bo chciałeś uciekać w śniegu, Samie Bergerze. Wyglądałeś jak śnieżny anioł, kiedy tak biegłeś. Pamiętasz to chyba?

– Mam cię...

– Chciałeś złapać ten autobus gołymi rękami, Sam. Na pewno pamiętasz

autobus. Miał cię uratować. Chciałeś wtedy uciec, Sam, chciałeś się wydostać. W ośrodku nigdy tak nie było. Chciałeś tam być i rysować, tylko tyle. Pamiętasz? Wolno ci teraz rysować, Reine? Lena była miłsza od Jessiki, prawda?

Reine wstał.

– Chcę więcej rysować – powiedział.

Molly rzuciła spojrzenie przez ramię, zostało jej siedem minut życia, miała siedem minut na roztopienie determinacji w mikroskopijnym mózgu Reinego.

– Teraz już tylko Jessica rysuje, prawda? Czterolistną koniczynę. Czy widziałeś, jak ją rysowała na moim tyłku dzisiaj w nocy?

– To jedyne, co mogę rysować – odparł Reine i wykonał ruch w kierunku stołu. Zobaczyła, że jeszcze raz rzuca okiem na zegarek.

– To ty rysujesz koniczynkę, Reine? A może masz na imię Sam? Sam Berger? Dlaczego lubisz Sama i Deer?

– Nie lubię ich. Byli niemili. Mówili niemiłe rzeczy.

– A jednak to ty jesteś Sam, chyba o tym wiesz? Ty też robisz złośliwe rzeczy. Lena była miła na początku pobytu w ośrodku, prawda? Robiłeś wszystko, co kazała, właśnie dlatego, że była taka miła, prawda? Wtedy nie musiałeś uciekać, Reine. Ale potem Lena stała się Jessicą. A Jessica jest niemiła. Od Jessiki chcesz uciec, Sam, jak wtedy przez śnieg. Pamiętasz Faridę?

– Farida... – powiedział Reine i stanął w połowie drogi do stołu.

– Tak, Farida – odparła Molly. – Farida z tatuażami. Pamiętasz ją, prawda? Pozwoliłeś jej pobiec do autobusu, Reine. Byłeś dla niej miły, pozwoliłeś jej uciec. Pamiętasz to?

– Nie chciała umierać – odparł Reine. Stał nieruchomo.

– Ja też nie chcę umierać – powiedziała Molly, czując, jak łzy spływają jej

po policzkach. – Proszę, Reine, wypuść mnie, wypuść, to pobiegniemy razem do autobusu, Sam. Tuż za oknem przejeżdża autobus, możemy razem uciec od Jessiki. Jessica była dla ciebie niemiła, kiedy wypuściłaś Faridę. Na pewno pamiętasz, jaka była niemiła? To przecież wtedy zamoczyła ci koniuszki palców w kwasie, tak, że zniknęły odciski palców?

– Mam cię nie słuchać – powiedział Reine trochę głośniej i zrobił krok w stronę stołu.

– Nazywam się Molly, Sam. Chcę z tobą uciec. Molly. Zamierzasz zabić Molly, Reine? Naprawdę masz taki zamiar?

Spojrzenie przez ramię. Jeszcze trzy minuty.

Reine zbliżył się do stołu i krzyknął:

– Mam cię nie słuchać!

– Ale będziesz mnie słuchał, będziesz słuchał Molly. Przecież chcesz uciec od Jessiki. Możemy uciec razem. Autobus przejeżdża tuż za oknem, Sam. Możemy wsiąść do niego razem, odlecieć jak śnieżne anioły, być piękni jak śnieżne anioły. Sam i Molly, dokładnie tak jak ma być. Mam na imię Molly, jestem człowiekiem. Nie chcesz mnie zabić, Sam.

Reine podszedł do stołu, uniósł nóż. Spostrzegła, że drży mu w dłoni. Czują cisnące się do oczu łzy.

Reine powoli nadchodził. Nóż gwałtownie się trząsał.

– Ze mną będziesz mógł rysować, ile tylko chcesz, Reine – zawołała Molly. – Dostaniesz swój pokój, będzie w nim jasno, a ja dostarczę ci tyle kredek i papieru, ile będziesz chciał. Chodź, zwiewamy stąd, Reine.

Reine się zatrzymał i patrzył na nią, przekrzywiając głowę.

– Cały czas próbuję cię zabić, Jessico, ale się nie da. Zawsze wracasz.

– Ja jestem Molly, Reine! Ty jesteś Sam, a ja Molly i razem uciekniemy od Jessiki. Możemy ją razem zabić. Potem będziesz mógł rysować do woli.

Przykucnął przed nią, zajrzał jej w oczy, przybliżył do niej nóż.

– Pojedziemy autobusem, Reine – powiedziała. – Pojedziemy autobusem do wolności, Sam.

Nóż się zatrzymał, drżąc, tuż nad jej prawym nadgarstkiem.

– Muszę cię teraz zabić, Jessico – rzekł Reine.



## 40

*Czwartek 26 listopada, godz. 10:35*

Berger nie potrafił oderwać rąk od twarzy. Nie dało się. Były jak przymarznięte.

Deer na niego patrzyła. Siedzieli w wewnętrznym pomieszczeniu. Przesłuchanie było zatrzymane na monitorze. Jessica Johnsson się uśmiechała, a w formie stopklatki jej uśmiech był naprawdę przerażający. Jakby dopiero tam stała się prawdziwa.

Zesztywniała.

– Naprawdę nie rozumiem – powiedział Berger.

– Podejrzewam, że rozumiesz bardzo dobrze – odparła Deer.

– Wymiotowała – oznajmił Berger. – Po jeździe na nartach.

– Jeżeli dobrze rozumiem twoją historię, byliście odcięci od świata na biegunie niedostępności prawie przez miesiąc. Ale nie możemy uznać Jessiki Johnsson za wiarygodne źródło informacji. Cięża może równie dobrze mieć dwa miesiące, co oznaczałoby, że Molly zaszła w nią na długo przed waszym spotkaniem. Albo odjechała, kiedy leżałeś odurzony, i spotkała jakiegoś miejscowego specjalistę, powiedzmy, w Kvikkjokk.

– Ale pamiętam jej ciało.

– Co masz na myśli?

– Znamię pod prawą piersią, które wygląda jak gwiazda.

– Mogłeś je zobaczyć kiedykolwiek.

Deer podeszła do rozpiętej na ścianie mapy północnej Dalarny.

– Ona gdzieś tu jest – powiedziała. – Teraz wejdziemy razem i to zakończymy.

Podeszła do drzwi i otworzyła je szarpnięciem.

– Jak miło – powiedziała Jessica Johnsson i się uśmiechnęła. – Również komisarz Rosenkvist *comes crawling out of the woodwork*. Jak świeżo wykluty spuszczał pospolity.

– Gdzie ona jest? – wrzasnęła Deer centymetr od jej twarzy.

– Kiedy się rozglądam po tym pokoju, wszystko rozumiem – powiedziała spokojnie Jessica. – Działacie na własną rękę, to wszystko jest nieoficjalne. Co oznacza, że możemy przeprowadzić wymianę. Siadajcie.

Deer kilka razy zacisnęła dłoń, a potem lekko się cofnęła. Okrążyła stół i usiadła. Berger zajął miejsce obok niej.

Tonem, który brzmiał niemal urzędowo, Jessica obwieściła:

– O ustalonej godzinie Reine zabije Molly. Ma jednak telefon, mogę zadzwonić i go powstrzymać. Możemy dokonać prostej wymiany. Wy dostaniecie Molly, a Reine dostanie mnie. Wszyscy odejdą stąd zadowoleni.

– Już sprawdziliśmy twoją komórkę – powiedział Berger. – Nie masz nikogo w kontaktach, żadnych wcześniej wykonanych ani odebranych połączeń.

– Dla bezpieczeństwa ani jego, ani mój telefon nigdy nie były użyte – oznajmiła Jessica i postukała się w głowę. – Ale numer mam tutaj.

– No to dzwoń, do kurwy nędzy! – krzyknął Berger.

– Najpierw musimy się zgodzić co do sposobu działania – powiedziała Jessica i spojrzała przez ramię Bergera na zegar. – Mamy do dyspozycji pięćdziesiąt dwie minuty.

Zarówno Berger, jak i Deer odwrócili się i popatrzyli na zegar.

– Czyli wpół do dwunastej? – powiedziała Deer.

Jessica wzruszyła ramionami.

Spojrzenia Bergera i Deer się spotkały. To spotkanie trwało dobrą chwilę, odczytywali się nawzajem. Wreszcie wyszli z pokoju. Za plecami usłyszeli głos Jessiki.

– Pamiętajcie, że zegar tyka.

Berger zatrzaskał za sobą drzwi.

– Ona nigdy nie wykona tego telefonu – powiedział. – To jest część jej prób zaznania sadystycznej rozkoszy. Chciała zostać złapana, teraz jest zadowolona. Jedyne, czego chce, to patrzeć mi w oczy, kiedy Molly będzie umierała. Ale wtedy też nic nie poczuje. Chce zobaczyć, czy będę próbował ją zabić. Bo może wówczas wreszcie będzie w stanie coś poczuć.

– Zgadzam się. – Deer wyglądała, jakby doznała objawienia. – Teraz jednak przyszła mi do głowy inna rzecz. Przy kościele w Särnie Jessica sprawiała wrażenie, jakby się odłączyła od kolejki. Ale co, jeśli tego nie zrobiła?

– Co masz na myśli?

– Jeśli już była w kościele. I otrzymała swój kod internetowy.

Berger wlepił w nią dzikie spojrzenie.

– Jej samochód stał tam krótko – stwierdził. – To niemożliwe.

– Przecież jest „sprytna” – powiedziała Deer. – Mogła się jakoś wcisnąć w kolejkę, powiedzieć, że respirator jej córki pracuje na zapasowym generatorze i natychmiast potrzebuje prądu. Cokolwiek.

– W takim wypadku musiałyby mieć to na papierze – odparł Berger. – Już opróżniłem jej kieszenie. Nie ma tam żadnej kartki.

Ich spojrzenia się spotkały.

– Groby – powiedziała Deer. – To strzał, ale może wyrzuciła ten papier,

kiedy uciekała pomiędzy nagrobkami.

Weszli do dużego pokoju. Berger pociągnął Jessicę Johnsson do kaloryfera i przywiązał opaskę zaciskową. Potem oboje wyszli, nie obdarzając jej spojrzeniem.

Usłyszeli, jak za nimi krzyczy:

– Zostały trzy kwadranse. Nie chcecie, żebym zadzwoniła?

Wślizgiem wjechali na miejsce parkingowe pod kościołem w Särnie. Samochodów wciąż było pod dostatkiem, ale kolejka do kościoła wyglądała na odrobinę mniejszą. Berger zaparkował niedbale i rzucił się do bramy cmentarza. Ludzie obserwowali go, kiedy się ślizgał i przez chwilę tańczył na zakręcie wiodącym na cmentarz. Deer była tuż za nim, podtrzymała go, kiedy stracił równowagę.

– Tędy! – ryknął Berger. – Ja pobiegnę skrótem.

Popędził do zakrętu, który miał dziewięćdziesiąt stopni, i zaczął bacznie się przyglądać śliskiej szklance na ścieżce prowadzącej do żywopłotu. Jego spojrzenie wędrowało do grobów po obu stronach. Wszystko było białe, pokryte śniegiem. Nie widział niczego, co by się wyróżniało na białym tle. Nawet białego papierka. Coraz bardziej zdesperowany dotarł do żywopłotu. Żadnej cholernej kartki nie było.

– Zobacz tutaj – rozległ się głos Deer.

Berger się odwrócił. Zobaczył Deer brodzącą w głębokim śniegu pomiędzy dwoma większymi grobami. Nabrał rozpędu, pobiegł dalej, odbił w lewo. Deer się pochyliła przy grobie niewiele metrów od wejścia na cmentarz. Nagle wstała. W jej wyciągniętej ręce była zmięta kartka.

Rozwinęła ją i opuściła wzrok. Potem zacisnęła pięść.

Berger zobaczył ten gest, zrozumiał. Mimo wszelkich przeciwności obstawili dobrze. Pobiegli do samochodu, wskoczyli do środka i dodali gazu. Patrząc na rozprostowaną kartkę, Deer powiedziała:

– O cholera, tu jest adres. We wsi o nazwie Mörkret. Mrok.

– Mrok? – zawołał Berger, kiedy wyjeżdżał na Särnavägen. Można było skręcić w lewo lub w prawo. – Dokąd? – zapytał.

– Poczekaj – odparła Deer i otworzyła laptop. Jej palce tańczyły piruety na klawiaturze. Pochyliła się nad monitorem. – Mörkret. Wieś w parafii Särna, w gminie Älvdalen. Dwadzieścia pięć kilometrów na zachód stąd. Czyli w prawo.

Samochodem mocno zarzuciło, kiedy Berger gwałtownie skręcił w prawo. Deer zaczęła majstrować przy samochodowej nawigacji satelitarnej, drżącą ręką wpisała adres z kartki. Wyraźnie trzymała kciuki.

Trafiła. GPS ustawił adres i podał odległość – dwadzieścia siedem kilometrów. Wszystko najwyraźniej się zgadzało.

Deer opadła na oparcie, gdy Berger zaliczył jeszcze jeden poważny poślizg, mocno się trzymała, znów odwróciła się do komputera i rzekła:

– To punkt tak daleko w głębi lądu, jak to tylko możliwe. Czytam: „Na wschód od wsi Mörkret, w cieniu góry Fulu, znajduje się najbardziej oddalony od morza punkt na Półwyspie Skandynawskim: ponad dwieście dwadzieścia kilometrów zarówno do wybrzeża Hälsinglandu, jak i do Trondheimsfjorden i Oslofjorden.

– Mörkret – powiedział Berger, kontruując, żeby nie wpaść w poślizg. – Mrok. Najgłębszy zakątek gdzieś w głębi kraju.

Droga zrobiła się znacznie bardziej kręta i coraz trudniej było utrzymać samochód na właściwym kursie. Berger nie był pewien, czy oddycha.

Deer siedziała w milczeniu. Jej oczy były jak ze szkła.

– Dwadzieścia trzy minuty – powiedziała w końcu.

Berger ścigał się z czasem. Świat przybrał naprawdę zwyrodniałą formę. Czas się zacinał, był urywany, drżący. Ściana, biała jak kreda, wtoczyła się pomiędzy równie białe szczyty i drzewa iglaste.

Wszystko było białe. Całkowicie białe.

Także jego mózg. Jego własny krajobraz wewnętrzny.

Molly, pomyślał. Pedalu gazu nie dało się już mocniej docisnąć. Widział, jak nóż Reinego zbliża się coraz bardziej do jej ciała. Zobaczył polano.

Samochód sunął zrywami po kredowobiałej drodze do Mörkret w samym sercu kraju.

– Napisała to – oznajmiła Deer. – Ta końcowa gra była zaplanowana od dawna.

– Jak to „napisała”? – krzyknął Berger i dodał gazu.

– W liście – odparła Deer. – Już w tym liście, który do mnie wysłała. Nawet to komentowaliśmy. Ni z tego, ni z owego napisała: „Jestem w Mroku”. W osobnej linijce i wielką literą.

– Jest tak cholernie „sprytna” – rzekł Berger.

Potem milczeli stanowczo za długo.

Zegar wskazał jedenastą dwadzieścia siedem.

Zostały trzy minuty do chwili, kiedy Reine Danielsson ugodzi nożem Molly Blom. Berger wpatrywał się w GPS. Do wskazanego punktu w Mörkret zostało siedem kilometrów.

Nie zdążą.

Berger wiedział, że nigdy nie będzie potrafił wyjaśnić, co w tej chwili działo się z czasem. Zacinał się, drgał, rzucał się i szarpał, jakby wzrok nie do końca oddawał rzeczywistość. Wszystko było jakby trochę wykrzywione. On zaś jechał szybciej niż kiedykolwiek.

Czy powinni byli spróbować skłonić Jessicę Johnsson do wykonania telefonu? Czy powinni byli ją zmusić? Torturować? Wyrywać jej paznokcie?

Sprawiliby jej tylko przyjemność.

Nie było innego wyjścia, musieli wcisnąć gaz do dechy. Grzać jak ogień piekielny. Przez absurdalnie urywany czas.

Kiedy minęło wpół to dwunastej, wszystko nadal było samą bielą. Tylko straszliwszą.

Ani razu nie zabłądzili po drodze. Mimo to przyjechali osiem minut po czasie.

Krzywość czasu ustąpiła, drgania ustały.

Berger wyskoczył z samochodu i pobiegł do domku. Słyszał za sobą Deer, dźwięk odbezpieczanego pistoletu. Sam miał gdzieś broń, po prostu biegł. Drzwi były uchylone, szarpnął je z całej siły, przebiegł przez pomieszczenie rekreacyjne, gorączkowo szukał, w każdym pokoju po kolei, aż w końcu znalazł otwarte drzwi do piwnicy.

Popędził w dół schodami. Do serca Mroku.

Zobaczył zegar na ścianie, pokrytą folią pluszową kanapę w czerwonym kolorze, stół, na którym leżało polano. Zobaczył puste krzesło, z którego zwisały rozcięte opaski zaciskowe, nóż na podłodze, postać w kałuży krwi. Podbiegł do niej. Odwrócił ją.

To był Reine Danielsson. Z głowy spływała mu krew, oddech był chrapliwy.

Berger się obrócił i dopiero wtedy spostrzegł ślady krwi, w którą wszedł, zbiegając po schodach. Zobaczył mnóstwo krwi, wrócił po schodach na górę i usłyszał, jak Deer dziwnie stłumionym głosem krzyczy:

– Mam ślady krwi na śniegu!

Wszedł na górę, zobaczył Deer brodzącą w śniegu kilkanaście metrów dalej, spostrzegł ślad krwi, który częściowo zdeptała, ruszył w jej stronę. Przebiegł obok.

Ślad prowadził przez wielkie białe pustkowia, na szczyt wzgórza, nikał za nim. Berger spróbował zrobić pierwszy krok pod górę, wyłożył się jak długi, zarył głową w ponadmetrową warstwę śniegu. Śnieg wypełnił mu usta, nie mógł oddychać.

Trwało to trochę za długo, ogarnęła go panika. Lawinowa panika. Po chwili jednak dał radę wstać, a nogi się pod nim nie ugięły. Pluł śniegiem, smarkał śniegiem, wymiotował nim, ale mimo to ruszył dalej pod górę. Nieznośnie wolno. Jakby stąpał po ruchomych piaskach.

W końcu dotarł na szczyt wzgórza i rozbieganym, gasnącym wzrokiem spojrzał na drugą stronę.

Tam leżała.

Na brzuchu, naga, z rękami rozłożonymi na śniegu. Krwawy okrąg wokół prawej dłoni pokrywał coraz większą część białej powierzchni.

Wyglądała jak upadły anioł.

O brązowych, ostrzyżonych na pazia włosach.

Przykucnął obok Molly Blom, odwrócił ją na plecy, nie dostrzegł żadnego ruchu za zamkniętymi powiekami. Ciało było lekko błękitne, ale nie mogła przecież tak szybko zamarznąć. Sprawdził oddech i puls – jedno i drugie było słabe, niemal niewyczuwalne.

Wstał, próbował spojrzeć na wzgórze za sobą, nie dostrzegł Deer. Wyglądało na to, że zniknęła w domku.

Zdjął puchową kurtkę i przykrył nią Molly. Ostrożnie podniósł jej prawą rękę. Duży kawałek mięsa został odcięty od dolnej części kciuka aż po cały nadgarstek. Krew dosłownie się z niej wylewała i nie było jasne, czy tętnica została całkowicie przecięta. Zdjął też bluzę polarową, bezskutecznie próbował podrzeć ją na kawałki, usłyszał pulsujące kroki po drugiej stronie wzgórza i zobaczył twarz Deer, bladą jak u trupa. Wyciągnęła do niego dwa koce i powiedziała:

– Helikopter pogotowia jest już w drodze.

Zobaczyła ranę na nadgarstku i tryskającą krew.

– O kurwa – zaklęła.

– Co? – odparł Sam. Wreszcie udało mu się podrzeć bluzę.



- Molly dokonała tego, co było fantazją Faridy Hesari.
- Co ty gadasz, do cholery? – wykrzyknął Sam, opatrując rękę.
- W jakim ona jest stanie? – zapytała tylko Deer.

Sam pokręcił głową. Razem owinęli siniejące ciało Molly kocami i puchową kurtką. Berger ją podniósł.

Powoli zaczął padać śnieg. Przez mgiełkę łez Berger widział wirowanie opadających na niego płatków śniegu. Spadały w tak nabożnej ciszy, jakby chciały natychmiast pokryć powłoką zapomnienia ten najgłębszy zakątek gdzieś w głębi kraju.

Niósł ją ostrożnie przez masy śniegu. Opuścił wzrok i spojrzał na jej twarz.

Molly Blom wyglądała na martwą.

Kiedy szli, śnieg padał coraz mocniej, a gdy dotarli do domku, drogą przejechał autobus.

# 41

*Czwartek 26 listopada, godz. 11:30*

Jessica Johnsson siedziała nieruchomo, przyciśnięta do kaloryfera, i widziała, jak godzina na zegarze przechodzi w jedenastą trzydzieści. To był moment, kiedy wszystko miało się spełnić. Wypadł dokładnie w tej chwili.

Jakby cała energia, całe napięcie, cały wysiłek po prostu z niej wypłynęły.

Spełniło się.

Ona czuła się spełniona.

Molly Blom nie żyła, Sam Berger został unicestwiony. A Jessica Johnsson miała władzę, realną władzę nad życiem i śmiercią.

Była bogiem. Boginią śmierci we własnej osobie. Zabiła dziewczynę ojca.

Ale już było po wszystkim.

Czy cokolwiek poczuła? Właściwie nie. Za późno na takie rzeczy.

Wiedziała, że Berger we wcale nie tak odległym czasie wróci. Może ją zabije. Była w tym makabryczna logika. To on dostanie dożywocie, nie ona. Jej życie i tak już było skończone. Może coś poczuje w ostatnich sekundach.

Oczywiście nigdy nie przyszłoby jej do głowy dzwonić do Reinego i wstrzymać akcję – coś takiego nie mieściło się w jej świecie.

Mimo woli rozważała, co by się stało, gdyby nie znalazła tamtej czterolistnej koniczyny.

Pamiętała ten dzień bardzo wyraźnie. Spacer plażą z Fagersjö do Farsty. Mała rodzina przyszła na piechotę z Rågsved, to nie było daleko. Połyskujące wody jeziora Magelungen. Tata Ove z aparatem, mama Eva z brzuchem, który właśnie zaczął rosnać. Mały zagajnik, gęsta kępa koniczyny. Kroki w tamtym kierunku. Chłód powiewającej sukienki na łydkach. To, jak podwiewał ją wiatr, jak materiał pieścił skórę.

Jak powoli się zapadała w małą koniczynową łąkę.

Wtedy po raz ostatni coś czuła. Mimo wszystko było jej tak dobrze. Wprawdzie mama ogłosiła, że będzie miała młodszego braciszka, ale ta wiadomość jeszcze nie do końca do niej dotarła. Dopiero kiedy się zapadła w małą kępę i znalazła czterolistną koniczynę, w momencie, kiedy uniosła ją do aparatu taty, to życzenie przyszło jej do głowy. Dokładnie w chwili, gdy usłyszała pstryknięcie, pomyślała życzenie – nigdy nie mieć młodszego brata. Mniej więcej tydzień później dostała wywołane zdjęcie. Pamiętała, że wtedy napisała życzenie na odwrocie. Tym sposobem zostało uprawomocnione. Tata Ove też przeczytał ten napis. Nie miało tak być, ale przeczytał. Zbladł. Jednak jak zwykle nie powiedział ani słowa.

Tak było. Berger miał rację. Jej ojciec, naukowiec, bez wątpienia bał się własnej córki. Uciekł od niej. Na drugą stronę kuli ziemskiej.

Miała nadzieję, że nadal żyje. I cierpi. Tchórzliwy dupek.

Potem była tam. Nie dało się tego uniknąć. Nawet teraz, tuż przed śmiercią, nie mogła nie widzieć tego klucza wkładanego do zamka. Nie mogła nie widzieć własnych stóp w drodze do kuchni i dokładnie na progu między dużym pokojem a kuchnią, nie zobaczyć bladej, martwej twarzy mamy i krwi, w monstualnym chaosie spływającej po podłodze.

Spojrzała też w oczy swojemu martwemu bratu.

Miała wrażenie, że ledwo rozwinięte oczy mówiły: „Już nigdy nic nie poczujesz, Jessico”.

Potem usłyszała samochód i kroki na schodach na werandę, przygotowywała się. Nadszedł czas.

Zamknęła oczy. Ciepło kaloryfera, do którego ją przypięto, było dziwnie przyjemne. Miała nadzieję, że Berger zrobi to szybko.

Czuła, że już się nacierpiała. Nie zniosłaby żadnego wyrywania paznokci.

Usłyszała odgłos otwieranych drzwi zewnętrznych, kroki, drugie drzwi, kroki po podłodze pokoju, usłyszała, jak usiadł na stole z okleiny brzozonej.

Ale przecież powinien chyba krzyczeć i wyć. Nie siedzieć tam w milczeniu, kiedy właśnie zabiła mu ukochaną.

Otworzyła oczy.

Człowiekiem, który siedział na stole, nie był Sam Berger. Zobaczyła potężnego mężczyznę w grubych okularach do pracy przy komputerze. Nie bez staranności włożył ekstremalnie cienkie skórzane rękawiczki. Popatrzył na nią, uśmiechnął się i powiedział:

– No więc, Jessico, widzę, że skończyłaś się bawić. Mam nadzieję, że było warto.

– Coś ty za jeden? – wykrzyknęła Jessica Johnsson.

– Nazywam się Carsten – odparł mężczyzna. – Trochę trudno było mi cię znaleźć.

– Ale... – zaczęła Jessica. – Myślałam...

– Wiem, co myślałaś – powiedział Carsten. – Ale właśnie przejrzałem całe twoje CV i uderzyło mnie, jak mało jest rzeczy, na poznanie których zasługujesz. Byłaś bardzo niemiłą dziewczynką.

– Ale musisz wytłumaczyć...

– Naprawdę nic nie muszę – rzekł Carsten i z wewnętrznej kieszeni wyjął wypucowanego sig sauera P226.

– Kim ty w ogóle jesteś?

Carsten się uśmiechnął.

– *Life's but a walking shadow, a poor player / That struts and frets his hour upon the stage / And then is heard no more: it is a tale / Told by an idiot, full of sound and fury, / Signifying nothing*<sup>1</sup>.

– Co, kurwa...

– Czasami – powiedział Carsten – myślę sobie, że prawdziwą karą jest zupełne niezrozumienie w chwili śmierci. Niektórzy ludzie po prostu zasługują na to, aby umrzeć, nie mając bladego pojęcia dlaczego. Nie zabierają ze sobą do piekła jakiegokolwiek pojednania. Bo właśnie tam zmierzasz, Jessico, i nie myśl sobie, że jest inaczej. Przekaż, że ja wkrótce też się tam zjawię.

– O co ci, kurwa, chodzi? – Jessica zaczęła ciągnąć i szarpać opaski zaciskowe.

– Cały dowcip polega na tym, że umierasz w kompletnej nieświadomości – powiedział Carsten i strzelił jej trzy razy prosto w serce.

Podczas ostatnich sekund swego życia Jessica Johnsson rzeczywiście coś poczuła. Było to bezbrzeżne zdumienie.

Carsten zdjął grube okulary i kilka razy zamrugał. Otarł łzę z kącika oka.

Podszedł do Jessiki i wepchnął jej czarną skarpetę prosto w gardło.

Cofnął się i obejrzał swoje dzieło.

Naprawdę widział coraz słabiej.

A na swoim tarasie w Andaluzji będzie sam.

*Signifying nothing.*

---

## 42

*Piątek 27 listopada, godz. 11:14*

Korytarz, którym wędrowała Deer, zdawał się nie mieć końca. Przez okna, przesuwane się obok w bezkresnym szeregu, widziała, że zatokę Årsta zaczął skuwać lód. Widziała to mimo intensywnych opadów śniegu.

To będzie długa zima.

Szpital Söder jak zwykle był obłożony. Kiedy otworzyła drzwi, spostrzegła, że jedynym, co oddziela ciało od pozostałych trzech łóżek w tej samej sali, jest poźółkła zasłonka. Poza tym sala wydawała się uwłaczająco pełna ludzi z zewnątrz. Trzech ubranych na biało mężczyzn wisiało nad jednym z łóżek i mamrotało, przy drugim pielęgniarka zmieniała cewnik, za otwartymi drzwiami toalety sprzątacze szorowali podłogę, a przy łóżku Molly Blom na skraju po prawej stał szeroki mężczyzna o szerokiej twarzy z jeszcze bardziej szerokimi wąsami.

Deer głęboko westchnęła. To było ostatnie, czego potrzebowała.

– Conny – odezwała się.

Conny Landin, komisarz z Narodowego Wydziału Operacyjnego, szerzej znanego jako NWO, odpowiedział:

– Desiré.

– Co z nią? – spytała.

– Nie wiem – odparł. – Jeden z tamtych lekarzy przyjdzie, jak tylko skończą.

Deer skinęła głową. Patrzyła na Molly Blom i zastanawiała się, co ona właściwie czuje. Aparatura poruszała się w takt oddechu Molly. Ciekawe, czy w ogóle jest w stanie oddychać samodzielnie, pomyślała.

Conny Landin odchrząknął.

– Przypuszczam, że czytałaś dzisiejsze nagłówki gazet?

– Jak mogłabym je przegapić? – odparła Deer, wciąż obserwując park maszynowy wokół Molly Blom. Aparatura sprawiała, że jej nieprzytomne ciało wydawało się takie małe.

Prawie jakby była dzieckiem.

Conny Landin pokręcił głową.

– Wiem, że mnie okłamałaś, że wykonywałaś jakieś tajne zadanie dla Säpo wspólnie z Bergerem. Jasne, Säpo wyłącza normalne zasady z gry.

Deer prychnęła i pokręciła głową. Landin kontynuował:

– Chociaż tytuły takie jak: *Były policjant poszukiwany w związku z zabójstwem podejrzanej* nie do końca są tym, na czym nam zależy w obecnych czasach...

– Wiem – odparła Deer.

– Wasza Jessica Johnsson została zastrzelona ze starej broni służbowej Bergera, sig sauera P226, którego powinien być zwrócić. Jeśli do tego dołożyć jego DNA w co najmniej trzech starych śledztwach w tej samej sprawie, nie ma co się dziwić, że zszedł pod ziemię. Zakładam, że rozumiesz, iż będziesz przesłuchiwana przez wewnętrznych?

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparła spokojnie Deer.

– A więc poleciałaś helikopterem pogotowia do Falun? A Berger nie?

– Nie mieliśmy miejsca, rannych było dwoje. Ale mieliśmy samochód, Sam dojechał nim do Falun.

– Został odnaleziony na szpitalnym parkingu, to prawda. Potem wszystkie ślady się urywają. Jest oczywiste, że po drodze wrócił do domu w Särnie i zastrzelił Jessicę Johnsson. Taki był wniosek policji z Dalarny.

– Zaczekajmy na śledztwo wewnętrznych – odparła Deer.

W tej samej chwili podszedł do nich lekarz.

– Policja, jak rozumiem? – zapytał.

Przedstawili się. Lekarz opowiedział:

– Molly Blom, tak. Naprawdę nie ma żadnych bliskich?

– Ja chyba jestem najbliższą, jaką znajdziecie – oznajmiła Deer. – W jakim jest stanie?

– Niestabilnym – odparł lekarz. – Musimy przeczekać najbliższy czas, żeby móc ocenić, czy znaczna utrata krwi spowodowała trwałe uszkodzenia mózgu.

– A... dziecko? – zapytała Deer z napięciem w głosie.

– Z dzieckiem wszystko w porządku – rzekł lekarz. – Już choćby ono jest powodem, dla którego poleży tu co najmniej osiem miesięcy.

Deer wlepiła w niego wzrok. Zareagował, poprawił się:

– To znaczy, jeśli skończy się na *atria mortis*. – Zrozumiał, że i ta poprawka nie do końca wyjaśniała sprawę, więc uściślił: – Zatrzymanie funkcji życiowych.

Tym sposobem wytłumaczył wszystko znacznie lepiej.

– Ale jeszcze nie jesteśmy na tym etapie? – zapytała Deer tak spokojnie, jak tylko potrafiła.

– Nie, nie – odparł szybko lekarz. – Teraz wszystko jest po prostu niepewne. Czas musi zrobić swoje. Pozostałe wyniki wyglądają dobrze. Jak tylko to będzie możliwe, zrobimy MR.

– Co takiego?

– Rezonans magnetyczny, zwykle mówi się na to MR. Żeby mieć jasność



w kwestii czynności mózgu.

Gdy lekarz poszedł, Conny Landin zwrócił się do Deer:

– Jeszcze dziś chcę mieć kompletny raport, Desiré. Powiedzmy... za godzinę, dobrze? Dwunasta trzydzieści w moim gabinecie?

Deer skinęła głową i zobaczyła, że szeroki mężczyzna wychodzi z sali wraz z resztą personelu. Odwróciła się do Molly Blom. Podeszła do jej łóżka i wzięła ją za rękę. Dłoń była blada i wydawała się zimna.

Deer zdecydowanie nie czuła się dobrze.

Sprzątaczkę wyszedł z łazienki. Widziała tylko jego plecy, kiedy dokładnie wyciskał mop. Odwrócił się z powrotem. Nagle stał obok niej.

– Mam nadzieję, że twoje serce jest teraz mocne – powiedział.

Deer wykonała gwałtowny obrót i stanęła oko w oko z wciąż zbyt brodatą twarzą. Zamknęła oczy i pokręciła głową.

– Co się stało, do cholery? – zapytała, kiedy szok już minął.

– Co on mówił na temat zatrzymania funkcji życiowych? – odparł i podszedł do Blom.

Deer przekazała mu jej dłoń.

– Tylko to, że wszystko jest niejasne – powiedziała. – Funkcje życiowe nie ustały, Sam. A z dzieckiem wszystko w porządku.

– Czyjekolwiek ono jest – rzekł Berger, powoli głaszcząc dłoń.

– Co się dzieje, Sam?

Dopiero po chwili Berger odpowiedział. Mówił wolno:

– Kiedy jechałem do Falun, słyszałem w policyjnym radiu informację o zabójstwie w Särnie. Mówiono, że ktoś wszedł do domu i zastrzelił Jessicę. Ponieważ już wcześniej ktoś próbował mnie zrobić, postanowiłem zniknąć do czasu, aż będę miał jasność, co się stało. Potem powiedziano, że została użyta moja dawna broń służbowa.

– No właśnie. O co chodzi?

– Nie wiem – odparł Berger. – Oczywiście zostawiłem ją w szafce na komisariacie, kiedy mnie zwolnili. Ktoś ją podprowadził, żeby mnie zrobić. Musisz mi uwierzyć, Deer.

Podniosła na niego wzrok, a wtedy po raz pierwszy od niebawale długiego czasu pomyślała o oczach sarny.

– Tak – oznajmiła. – Wierzę ci. Ale wszystko się posypało.

– Nie wiem. Przecież Molly żyje. Dzięki tobie, Deer.

Przekazał jej z powrotem zimną dłoń Blom i lekko się cofnął. Deer pogładziła dłoń i poczuła ogarniającą ją falę bólu.

Tym, czego teraz potrzebowała, był mocny uścisk.

Odwróciła się. Bergera jednak już nie było.

Na korytarzu zdjął fartuch sprzątacza i popatrzył na swój wibrujący telefon. Na wyświetlaczu widniało:

„Point 0”.

\* \* \*

Samotny liść osiki tkwił na samym koniuszku samotnej gałęzi. Berger przystanął w śnieżycy i czekał. W końcu liść się oderwał. Opadał powoli, wirując w powietrzu, i ułożył się bezdźwięcznie u jego stóp.

Berger poszedł dalej po tym trawniku jak z dzieciństwa w stronę słabo oświetlonego hangaru na łodzie.

Łódka na zatoce Ed była coraz mocniej ośnieżona. Wodę zaczął skuwać lód.

Wszedł po schodach do hangaru. Tym razem nie czekał na niego żaden sig sauer P226. Drzwi otworzył za to pozornie nieuzbrojony szef wywiadu Säpo. Jego krótko ostrzyżone szare włosy nadal przypominały opiłki żelaza wokół magnesu, ale wyraz twarzy był zupełnie inny, bardziej ugodowy. Jakby człowiek bez mimiki nagle poszerzył swój rejestr.

Poza tym powiedział:

– Miło, że mogłeś przyjść.

Berger tylko patrzył na Augusta Steena. Usiedli po przeciwnych stronach starej ławy stolarskiej. Steen przez chwilę kiwał głową. Potem posunął iPada po ławie.

Wkrótce zaczął się film. Berger od razu rozpoznał wnętrze schronu Säpo w Särnie w regionie Dalarna. Przywiązana do kaloryfera na dalszej ścianie siedziała Jessica Johnsson. Miała zamknięte oczy. Do środka wszedł mężczyzna, na razie było widać tylko jego plecy. Usiadł na stole ze sklejki brzozowej. Jessica otworzyła oczy i przez jakiś czas trwała bezgłośnie rozmowa. W końcu Jessica zaczęła ciągnąć i szarpać opaskę zaciskową. A wtedy mężczyzna oddał trzy strzały w jej serce. Przez chwilę siedział w miejscu, aż w końcu podszedł i wcisnął czarną skarpetę głęboko w gardło martwej Jessiki.

Kiedy się odwrócił, August Steen zatrzymał film.

Było widać bardzo wyraźnie, że tym człowiekiem jest Carsten.

– Nie ma dźwięku? – zapytał Berger.

– Niestety – odparł Steen. – Mikrokamera bez mikrofonu. Wszystko inne by zauważył.

– To jest twój człowiek, Steen – powiedział Berger. – Poza tym krewny. Był tu z tobą ostatnio i wszystko się rozgrywało w cholernej tajemnicy. Co to ma być?

– Dasz radę obejrzeć jeszcze jeden fragment? – spytał Steen, zamiast odpowiedzieć. – Przygotowałem go przed przyjściem tutaj. Ma dwa tygodnie.

Berger skinął głową. Rozpoczął się jeszcze jeden film.

Ukazała się przestrzeń biurowa. Choć spoczywała w mroku, wydawała się znajoma. Dopiero po chwili Berger rozpoznał swój stary open space,

w którym grupa Allana Gudmundssona walczyła nad rozwiązaniem sprawy Ellen Saviger. Do pomieszczenia wszedł mężczyzna, włączył się obraz z kamery noktowizyjnej, zielono-białe kontury. Mężczyzna natychmiast podszedł do szafki z bronią, otworzył ją bez problemów, wyłuskał pistolet.

Steen zatrzymał obraz.

– Widać wyraźnie, z której przegródki go wyjmuje.

– Z mojej – powiedział Berger.

Steen znów uruchomił film. Kiedy mężczyzna się odwrócił, po raz kolejny, mimo kamery noktowizyjnej, było wyraźnie widać, że to Carsten.

– To mnie uniewinnia – oznajmił Berger.

– Ale nigdy nie trafi do wiadomości publicznej – odparł Steen.

– Co by mnie powstrzymało, gdybym zgarnął ten tablet i z nim uciekł?

– Nic – odparł Steen ze smutnym uśmiechem. – Ale pliki mają ograniczenie czasowe. Znikną, zanim zdążyłbyś przejść przez te drzwi. Zaoszczędzimy czas, jeśli zaczniemy się wzajemnie doceniać.

Berger popatrzył na niego.

– Co to jest? – zapytał.

– Długa historia – odparł Steen. – Jeśli pozwolisz, szybko ci ją zreferuję.

– Zabiłeś Strzałę, ty gnoju – wycedził Berger.

– Nie – odparł Steen ze spokojem. – Wysłuchasz sprawozdania?

Berger nie odpowiedział. Steen skinął głową i zaczął mówić:

– Sylvia Andersson zniknęła, ponieważ zgodnie z twoim życzeniem próbowała odzyskać trochę plików z najgłębszych archiwów Säpo, prawda? Plików usuniętych na przełomie tysiącleci? Zgadza się to z twoją teorią, Sam?

Berger patrzył na niego w półmroku hangaru na łodzie, nie wykonując najmniejszego ruchu.

– To rzeczywiście ja usunąłem te pliki – ciągnął Steen. – Mniej więcej

miesiąc wcześniej zyskałem bowiem pewność, że mamy w Säpo kreta.

– Kreta?

– Przepraszam za ten zimnowojenny termin – powiedział Steen z uśmiechem. – Zdrajcę, szpiega, przeciek, nazywaj to sobie, jak chcesz. Musiałem dopilnować, żeby ten kret nie dostał się do plików.

– Czy to rodzina Pachachich jest kluczem? – spytał Berger.

August Steen zrobił najbardziej intensywny grymas, jaki Berger kiedykolwiek widział.

– Właśnie dlatego musieliśmy cię odsunąć. Umieścić poza zasięgiem. W ochronie przed kretem.

– I wtedy zaangażowaliście Molly?

– Mylisz się co do Molly Blom – odparł Steen. – Uwolniła się od nas, była gotowa zostać prywatnym detektywem razem z tobą. Uratowała cię, kiedy miałeś atak w tym hangarze. Poważny atak, psychozę. Dopiero potem nawiązaliśmy kontakt. Zgodziła się pilnować, abyś był niewidzialny, rozumiała, że to kret zabił twoją Strzałę.

Berger gapił się na Steena.

– To była skrócona wersja – oznajmił Steen po przerwie. – Pachachi jest dla nas ekstremalnie ważny. Jedyńm człowiekiem, który zna jego prawdziwą tożsamość, jestem ja. Ale pojawił się kret, który próbował ją poznać. Musiałem szybko usunąć wszystkie pliki, które miały związek z tą sprawą. Podjął drugą próbę, udusił skarpetą staruszkę z demencją, która być może mogła zdemaskować Gundersena, a to Gundersen pomógł nam ściągnąć tu Pachachiego. Zabił twoją Strzałę, jednak ona raczej nie miała żadnej informacji o Pachachim, której mogłaby mu udzielić, w każdym razie nic takiego nie zauważyliśmy. Jednak przede wszystkim dorwał córkę Pachachiego. Została porwana przez...

– Williama – dokończył Berger, choć właściwie nie mógł wydobyć głosu.

– Kret teraz ją ma – powiedział Steen. – Zabrał Aiszę, zanim labirynt na Stupvägen został ukończony. Zignorował wszystkie pozostałe porwane dziewczyny i wziął tylko Aiszę. Teraz ucisza Pachachiego, trzymając jego córkę. Jednak dopiero kiedy zabije Pachachiego, nasz kret otrzyma swoje dwadzieścia srebrników. Wszystko wskazuje na to, że będą to znacznie większe pieniądze.

– Od kogo?

– Pewnie od Państwa Islamskiego. Ścigałem go przez rok. A on ujawnia się tutaj. Wariactwo.

– Carsten? – wykrzyknął Berger.

Steen pomału pokiwał głową.

– Jego podstawowym motywem było raczej to, że potrzebował kozła ofiarnego. Jasne, że lepiej byłoby wybrać kogoś z wnętrza Säpo, ale skoro to ty stałeś za tym, że Sylvia Andersson grzebała w naszych najtajniejszych archiwach, stałeś się możliwym kretem.

– Zabił Jessicę, żeby zrobić ze mnie twojego kreta? – wykrzyknął Berger.

– Tak, po pierwsze – odparł Steen. – Jednak kretów zawsze demaskuje namiętność. Idealny szpieg to wykastrowany szpieg.

– Zaczekaj. Czy Carsten próbuje mnie zrobić w...

– Tak, po drugie. Jest zazdrosny. Wiele wskazuje na to, że jego zdaniem odebrałeś mu Molly. Są pewne przesłanki w jego raportach z obserwacji was. Wiadomo, czego szukać. Zorientowałem się trochę za późno.

– Gdzie on teraz jest?

– Pewnie gdzieś w Szwecji. Razem z porwaną Aiszą Pachachi. Myślę, że czeka, aż tatuś Pachachi zaproponuje mu wymianę. Na to, że będzie mógł zaofiarować siebie w zamian za córkę.

– Ale dlaczego ja tutaj jestem? Czego ode mnie chcesz?

August Steen obserwował go, przeciągle wydychając powietrze.

– Stoimy w obliczu czegoś naprawdę wielkiego – oznajmił. – Ludzie wjeżdżają do kraju. Jeżeli Carstenowi uda się uciszyć Alego Pachachiego, będzie to się działo bez problemów. A wtedy czeka nas najgorszy zamach terrorystyczny w historii Szwecji.

Berger wpatrywał się w Steena.

– Ale czego ty ode mnie chcesz, August?

– Jesteś lepszy, niż ci się wydaje, Sam.

– Ale Molly tam leży, jej mózg jest prawie martwy. Ma w sobie dziecko, być może moje.

August Steen pokręcił tylko głową.

– Jak mówiłem, dobry szpieg to wykastrowany szpieg. A mózg Molly nie jest martwy. Sytuacja jest po prostu niejasna. Myślę zresztą, że kwestia ojcostwa również.

Berger popatrzył na resztki zegara, do którego nie tak dawno był przymocowany.

– Czego chcesz, August? – zapytał.

August Steen podsunął mu telefon komórkowy i okazał plik gotówki.

– Tylko twojej gotowości. Wkrótce będę cię potrzebował. I nie zapominaj, że jesteś poszukiwany w całym kraju. Trzymaj się poza zasięgiem radarów.

– Zaczynam do tego przywykać – stwierdził Sam Berger z krzywym uśmiechem.

## 43

*Niedziela 27 grudnia, godz. 14:02*

W śnieżycy trudno było zobaczyć, jak dobrze strzeżony jest nowo wybudowany oddział psychiatrii sądowej Helix w Huddinge. A jednak kierowca zaopatrzony w fałszywe upoważnienie z samej góry wjechał do środka. Zaparkował i wyłączył silnik.

Sam Berger opuścił wsteczne lusterko i spojrzął na świeżo ogoloną twarz. Nie poznawał samego siebie.

I czuł się straszliwie samotny.

W świeżym korytarzu unosił się zapach nowego budynku. Lekarka szła przed nim sprężystym krokiem. Nie odwracając się, powiedziała:

– To przykre, że przyjechał pan tu na darmo.

– Jak to? – odparł Berger.

– Przed procesem obowiązuje absolutny zakaz rozmów. Ale może pan zajrzeć przez okno.

Dwa metry przed drzwiami z małym okienkiem lekarka gwałtownie przystanęła. Równie gwałtownie się odwróciła i ruszyła w kierunku, z którego przyszli.

– Ma pan pięć minut – rzuciła przez ramię. – Przyjdzie po pana ktoś z pracowników.



Berger odczekał, aż zniknie. Potem powoli podszedł do okienka i zajrzał.

Pierwszym, co zobaczył, było wielkie okno. Przez zasłonę obficie padającego śniegu zobaczył autobus na drodze.

Potem spostrzegł Reinego Danielssona. Siedział przy stole i rysował. Stół był zavalony papierami i kredkami we wszystkich kolorach, a na twarzy Reinego malowało się skupienie. Może za koncentracją w rysach twarzy kryło się nawet szczęście.

Początkowo trudno było rozpoznać, co rysuje. Potem Berger zobaczył, że rysunki są też na ścianach. Motyw powoli się ukazał.

Była to czterolistna koniczyna. Narysowane ze wszystkimi szczegółami czterolistne koniczyny ozdabiały całą celę Reinego Danielssona.

Podniósł wzrok na Bergera. Uśmiechnął się i uniósł prawą dłoń, jakby chciał mu pomachać. Tymczasem wyprostował palce wskazujący i środkowy, tak że dłoń przypominała dwulufowy rewolwer.

I strzelił.

# Przypisy końcowe

1. „Życie jest tylko przechodnim półcieniem, / Nędznym aktorem, który swoją rolę / Przez parę godzin wygrawszy na scenie / W nicość przepada – powieścią idioty, / Głośną, wrzaskliwą, a nic nieznaczącą” (fragment monologu Makbeta w przekładzie Józefa Paszkowskiego). [\[wróć\]](#)

# Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

I

1

2

3

4

5

6

7

8

9

## II

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20



### III

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

IV

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

## [Przypisy końcowe](#)